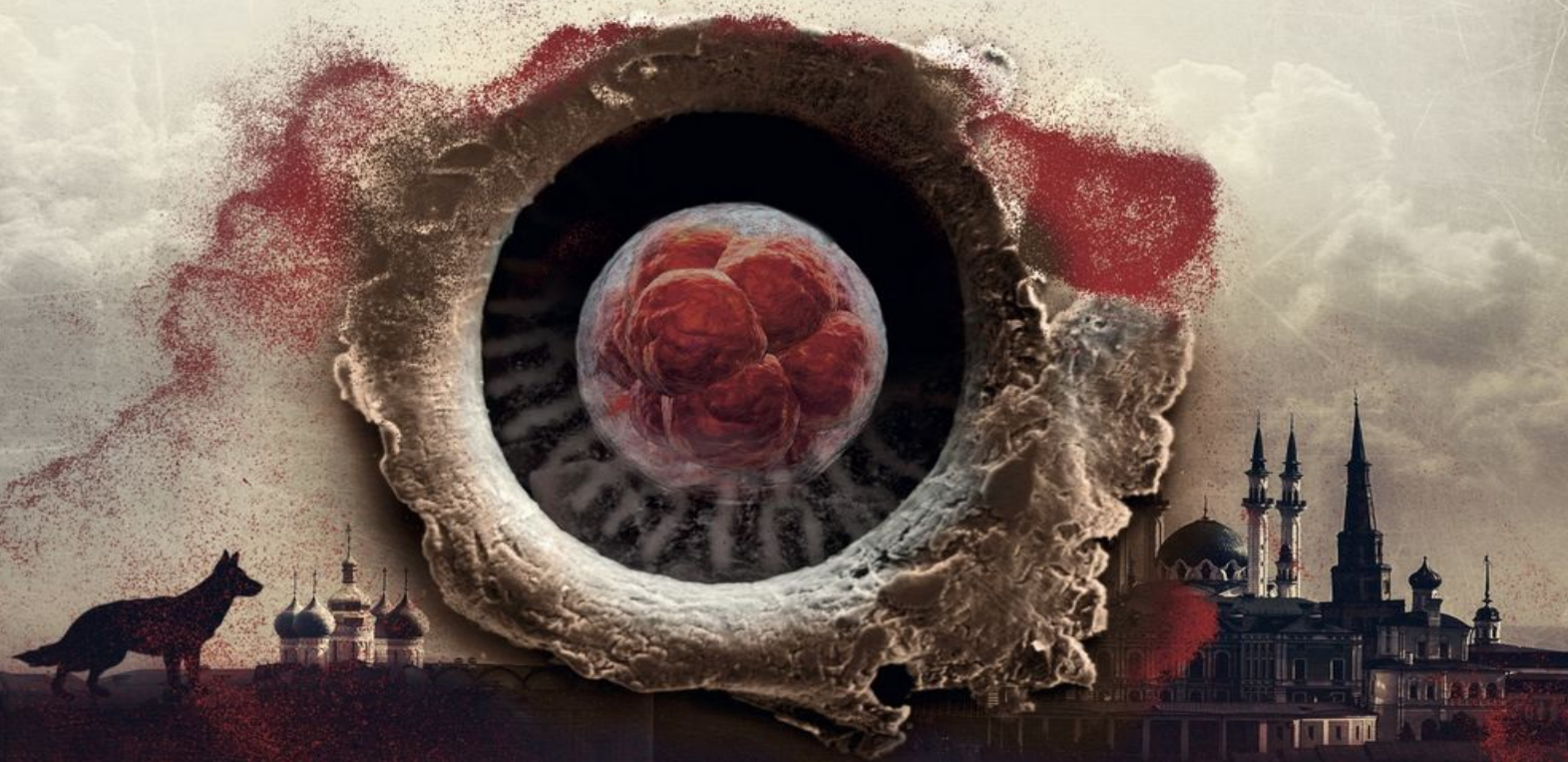


Nowa książka autora cyklu SIGMA FORCE

JAMES ROLLINS

GRANT BLACKWOOD



WYŁĄCZNIK
AWARYJNY

O książce

Były żołnierz Rangersów, elitarnej jednostki amerykańskiej armii, i owczarek belgijski, który ma za sobą służbę w Afganistanie. Niezwykli partnerzy, znani z Linii krwi, teraz w rolach głównych w pierwszej powieści z nowego cyklu Jamesa Rollinsa.

Wolny strzelec

Jeśli trzeba załatwić coś sprawnie i dyskretnie, nikt nie nadaje się do tego lepiej niż Tucker Wayne i jego czworonożny partner Kaine. Po misji, w której kiedyś obaj brali udział, rząd Stanów Zjednoczonych już kilkakrotnie próbował zwerbować ich do Sigma Force. Tylko że Wayne nie ufa władzy i woli pracować na własny rachunek.

Niby proste zlecenie

Właśnie uratował życie rosyjskiemu milionerowi we Władywostoku, który płaci mu – i to niemało – za ochronę. Kiedy Painter Crowe nawiązuje z Wayne'em kontakt i prosi o wywiezienie z Rosji pewnego naukowca, były ranger się waha. W końcu przyjmuje zlecenie – może miał już dosyć syberyjskiej zimy, a może wyczuł, że człowiek, którego ma eskortować, jest z jakiegoś powodu bardzo ważny.

Tykająca bomba

I nie myli się. Bo gdzieś w Afryce zachowała się LUCA, starożytna forma życia mogąca zniszczyć ekosystem Ziemi. A jedyną osobą, która jest w stanie stworzyć „wyłącznik awaryjny” unieszkodliwiający ten inwazyjny organizm, jest ekscentryczny rosyjski profesor. Bezpieczeństwo świata zależy od tego, kto pierwszy dotrze do Namibii i znajdzie niewinnie wyglądającego „grzybka”, przy którym grzyb atomowy to dziecinna zabawka.

JAMES
ROLLINS
GRANT BLACKWOOD

WYŁĄCZNIK
AWARYJNY

Z angielskiego przełożyła
MARIA GĘBICKA-FRĄC

Wydanie elektroniczne



JAMES ROLLINS

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania pletwonurek i grotolaz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, *Podziemny labirynt*. Kolejne m.in. *Ekspedycja*, *Amazonia* oraz książki z cyklu SIGMA FORCE zapoczątkowanego w 2004 r. *Burzą piaskową* – których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata – dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach – odniosły międzynarodowe sukcesy. Obecnie trwają przygotowania do ekranizacji *Mapy Trzech Mędrców*.

www.jamesrollins.com

GRANT BLACKWOOD

Amerykański pisarz, były żołnierz piechoty morskiej. W Polsce znany głównie jako współautor powieści pisanych z Tomem Clancym i Clive'em Cusslerem.

www.grantblackwood.com

Tego autora

LODOWA PUŁAPKA
AMAZONIA
OŁTARZ EDENU
EKSPEDYCJA
PODZIEMNY LABIRYNT

Cykl SIGMA FORCE

BURZA PIASKOWA
MAPA TRZECH MĘDRCÓW
CZARNY ZAKON
WIRUS JUDASZA
KLUCZ ZAGŁADY
OSTATNIA WYROCNIA
KOLONIA DIABŁA
LINIA KRWI
OKO BOGA
SZÓSTA APOKALIPSA
LABIRYNT KOŚCI

James Rollins, Grant Blackwood
Cykl z Tuckerem Wayne'em

WYŁĄCZNIK AWARYJNY

James Rollins, Rebecca Cantrell
Cykl ZAKON SANGWINISTÓW

EWANGELIA KRWI
NIEWINNA KREW
DIABELSKA KREW

Tytuł oryginału:
THE KILL SWITCH

Copyright © James Czajkowski & Grant Blackwood 2014
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Maria Gębicka-Frać 2017

Redakcja: Grażyna Dziedzic

Zdjęcie na okładce: Tatiana Shepeleva/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-6578-123-9

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, 88em.eu

Spis treści

Prolog

CZĘŚĆ PIERWSZA. PROSTA PROPOZYCJA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

CZĘŚĆ DRUGA. MYŚLIWY ZABÓJCA

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

CZĘŚĆ TRZECIA. SUROWY KRAJ

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

CZĘŚĆ CZWARTA. OSTATECZNA ROZGRYWKA

42

43

44

45

46

47

48

Od autora

*Dla wszystkich czworonożnych wojowników...
i dla tych, którzy służą razem z nimi*

Federacja Rosyjska



Prolog

Beczuana, Afryka

Wiosna 1900 roku

Doktor Paulos De Klerk zapakował ostatnie lekarstwa i materiały opatrunkowe do drewnianego kufra i zamknął go na trzy mosiężne zatrzaski, mamrocząc pod nosem:

– *Amat... victoria... curam.*

Zwycięstwo sprzyja przygotowanym.

W każdym razie o to się modlił.

– Więc jak idzie, drogi doktorze? – Dudniący głos generała Maniego Roosy napłynął z wieżyczki obserwacyjnej.

De Klerk zasłonił dłonią oczy przed oślepiającym blaskiem słońca i spojrzał na brodacza wychylającego się nad barierką. Roosa nie wyróżniał się imponującą budową fizyczną, ale miał charyzmatyczną osobowość, która sprawiała, że wydawał się ponaddwumetrowym olbrzymem; było to w jego oczach. Generał zawsze sprawiał wrażenie gotowego do walki.

I miał ją stoczyć, jeśli wiadomości z północy były zgodne z prawdą.

– Jesteśmy gotowi? – zapytał.

De Klerk skierował uwagę na inne kufry, skrzynie i jutowe worki. Choć słowa generała rzeczywiście brzmiały pytająco, wiedział, że nie wymaga on odpowiedzi. W ciągu całego dnia dowódca zadał to samo „pytanie” prawie wszystkim żołnierzom pod swoją komendą, krzątającym się na płaskowyżu, na którym

stał fort, zajęty czyszczeniem broni, liczeniem amunicji i ogólnie rzecz biorąc, przygotowaniami do rychłego wymarszu.

– Jak zawsze będę gotów do ruszenia w drogę pięć minut przed panem, drogi generale – odparł De Klerk i westchnął.

Roosa, poklepując ręką drewnianą barierkę, wybuchnął gromkim śmiechem.

– Rozbawia mnie pan, doktorze. Gdyby nie był pan taki dobry w swoim fachu, może by mnie kusilo, żeby tu pana zostawić, w bezpiecznym miejscu.

De Klerk powiódł wzrokiem po ruchliwym forcie. Nie cierpiał samej myśli o opuszczeniu tych murów, ale wiedział, gdzie jest najbardziej potrzebny. Otoczony palisadą fort ze skromnymi zabudowaniami może i był prymitywny, lecz przetrwał niezliczone ataki Brytyjczyków, stanowiąc bastion burskich żołnierzy. Wyjście za te zapewniające ochronę mury oznaczało, że prawdopodobnie on i jego sanitariusze w ciągu najbliższych dni będą mieli pełne ręce roboty.

Co nie znaczy, że nie przywykł do okropności wojny.

De Klerk miał tylko trzydzieści dwa lata, ale pięć z ostatnich dziesięciu spędził na wojnie. Pierwsza *Vryheidsoorlog*, czyli wojna wyzwolenicza, wybuchła w 1880 roku i na szczęście trwała tylko rok, kończąc się zwycięstwem Burów. Burowie wyzwolili się spod brytyjskiej władzy i Transwał uzyskał niepodległość. Osiem lat później rozpoczęła się druga wojna burska, w której brał udział nie tylko Transwał, ale również sąsiednia Orania.

Te same kwestie sporne, tylko więcej żołnierzy, pomyślał cierpko lekarz.

Brytyjczycy chcieli trzymać Burów pod kolonialnym obcasem, a ci, rzecz jasna, nie odnosili się z entuzjazmem do tego pomysłu. Przodkowie De Klerka przybyli na sawanny i w góry Afryki, żeby cieszyć się wolnością, a teraz *Engelse* chcieli im ją odebrać. W przeciwieństwie do pierwszej wojny, ta obecna przedłużała się, a Brytyjczycy stosowali w niej politykę spalonej ziemi. Choć ani De Klerk, ani żaden z jego towarzyszy nie ujął tego w słowa, wszyscy wiedzieli, że czeka ich nieuchronna

klęska. Jedynym człowiekiem, który wydawał się tego nieświadom, był generał Roosa, w sprawach wojny niepoprawny optymista.

Roosa odepchnął się od barierki, zszedł po topornej drabinie i zatrzymał się przy zajętych De Klerku. Kilkoma wprawnymi pociągnięciami wygładził mundur khaki. Był tego samego wzrostu co doktor, ale bardziej krzepki i miał krzaczastą brodę. Ze względów higienicznych De Klerk nie zapuszczał zarostu i tego samego wymagał od sanitariuszy.

– Widzę, że zapakował pan mnóstwo bandaży – zauważył Roosa. – Czy ma pan tak złe zdanie o moich talentach przywódczych, doktorze? A może zbyt wysoko ocenia pan angielskich żołnierzy?

– Na pewno nie to drugie, generale. Po prostu wiem, że niedługo będę opatrywać rzesze jeńców ranionych przez nasze kule.

Roosa zmarszczył brwi i potarł brodę.

– Tak, skoro o tym mowa, doktorze... o niesieniu pomocy wrogowi...

Od dawna była to drażliwa kwestia. De Klerk nie chciał zmienić swojego stanowiska.

– Jesteśmy chrześcijanami – powiedział. – Zapewnianie takiej pomocy to nasz obowiązek. Ale rozumiem, że nasi ludzie muszą mieć pierwszeństwo. Będę pomagać brytyjskim żołnierzom tylko na tyle, żeby mieli szansę przeżyć do czasu znalezienia się pod opieką swoich lekarzy. Jeśli zaprzestaniemy takiego postępowania, będziemy nie lepsi od nich.

Roosa poklepał go po ramieniu, niekoniecznie na znak, że się z nim zgadza, ale rozumiał jego punkt widzenia.

Z powodów, które De Klerk nie do końca pojmował, generał zaczął go uważać za swojego powiernika. Często rozmawiał z nim na tematy, które nie miały nic wspólnego z jego lekarskimi obowiązkami – jakby widział w nim swoje sumienie.

Lekarz wiedział, że Roosa jest zainteresowany jego przygotowaniem z jeszcze innego powodu. Podwładni generała

stali się dla niego rodziną, zastępowali mu żonę, trzy córki i dwóch synów – cała szóstka dwa lata temu zmarła na ospę. Strata bliskich niemal go zdruzgotała i zostawiła trwałe blizny na jego psychice. Nie bał się kul czy bagnatów, lecz choroba budziła w nim przemożny strach.

Odchodząc od drażliwego tematu, Roosa wskazał oprawny w skórę dziennik, który De Klerk zawsze trzymał pod ręką.

– Widzę, że kataloguje pan kolejne kwiaty.

De Klerk tkliwie, niemal opiekuńczym gestem, pogładził podniszczoną okładkę.

– Gdy tylko Opatrzność pozwala, tak. Jeśli zmierzamy tam, gdzie przypuszczam, znajdę wiele gatunków, których nigdy dotąd nie widziałem.

– Owszem, kierujemy się na północ, w góry Groot. Zwiadowcy meldują, że brygada angielskich żołnierzy pod wodzą nowego dowódcy, pułkownika, który niedawno przybył z Londynu, wyruszyła z Kimberley na zachód.

– A ten pułkownik bez wątpienia chce jak najszybciej dowieść, ile jest wart.

– Czy oni wszyscy nie są właśnie tacy? Jeśli wyruszymy rankiem, ich patrole wypatrzą nas tuż przed wieczorem.

I wtedy rozpocznie się polowanie. De Klerk bynajmniej nie uważał się za stratega, ale spędził z Roosą wystarczająco dużo czasu, żeby poznać jego ulubioną taktykę: najpierw pozwalał, by brytyjscy zwiadowcy ich zauważyli, a następnie zwabiał nieprzyjaciela na północ, w góry Groot, gdzie ukształtowanie terenu ułatwiało urządzenie zasadzki.

Wróg wolał walczyć na sawannie, gdzie schludne formacje i przeważająca siła ognia nieodmiennie zapewniały mu zwycięstwo. Brytyjscy dowódcy nie cierpieli wzgórz, gór i dolin, nienawidzili tego, że Roosa ze swoją bandą wieśniaków odmawia walki na ich warunkach. Generał wiele razy stosował właśnie taką strategię, żeby wciągnąć Brytyjczyków w mordercze zmagania. A oni, jak dotąd, nie wyciągnęli z tego żadnych wniosków.

Ale jak długo będą tak aroganccy?

De Klerka przebiegł zimny dreszcz. Sięgnął po dziennik i schował go do kieszeni.

Oddziały wyruszyły długo przed świtem i gdy słońce wspinało się coraz wyżej po niebie, bez przeszkód zmierzały na północ. Było w zenicie, kiedy dopędził ich jeden z wysłanych na południe zwiadowców galopujący na spienionym, zadyszczanym wierzchowcu. Udał się wprost do Roosy, który jechał na czele kolumny.

De Klerk nie musiał słyszeć meldunku, żeby znać jego treść.

Nieprzyjacieli ich znaleźli.

Po krótkiej rozmowie ze zwiadowcą generał podjechał do wozu medycznego.

– Doktorze, Brytyjczycy niebawem rozpoczną pościg. Pańskim wygodnym wozem będzie trochę trzęsło.

– Mniej się przejmuję wozem niż tym, w jaki sposób wstrząsy wpłyną na moje delikatne narządy wewnętrzne. Myślę jednak, że jakoś to przeżyję.

– Podziwiam pański hart ducha.

Minuty przechodziły w godziny, a generał prowadził kolumnę na północ, w miarowym tempie zmniejszając odległość dzielącą ich od gór. Podnóża rysowały się na horyzoncie, ze szczegółami rozmytymi przez wznoszące się nad sawanną fale rozgrzanego powietrza.

Dwie godziny przed zmierzchem przybył kolejny zwiadowca. Gdy przejeżdżał obok wozu medycznego, De Klerk z wyrazu jego twarzy i postawy odgadł, że dzieje się coś złego. Po krótkiej rozmowie z generałem zwiadowca odjechał.

Roosa obrócił konia i krzyknął do oficerów:

– Przygotować wozy do szybkiej jazdy! Pięć minut! – Zbliżył się do De Klerka. – Ten nowy angielski pułkownik próbuje być sprytny. Chce nas oskrzydlić i podzielił swoje oddziały na dwie części, z których jedna jest młotem, a druga kowadłem.

– Z nami pośrodku.

– Przynajmniej taką mają nadzieję – odparł Roosa z szerokim uśmiechem. – Ale nadzieja zgaśnie wraz ze światłem, doktorze. Zwłaszcza jeśli zwabimy ich w góry. – Beztrosko machnął ręką, zawrócił konia i odjechał.

Kilka minut później wzdłuż kolumny poniósł się jego tubalny głos.

– Szybki marsz... naprzód!

Woźnica De Klerka trzasnął lejcami po końskich zadach.

– Wio... wio! – krzyknął.

Konie wierzgnęły i ruszyły galopem. De Klerk kurczowo chwycił się burty wozu, nie odrywając spojrzenia od dalekich gór Groot Karas.

Za daleko, pomyślał posępnie. Za daleko i za mało czasu.

Po godzinie okazało się, że jego obawy były uzasadnione.

Tumany pyłu zapowiadały powrót dwóch jeźdźców, których Roosa wysłał na północ na rozpoznanie, ale gdy pył osiadł, stało się jasne, że wrócił tylko jeden. Zwiadowca, dwukrotnie postrzelony w plecy, pochylił się w siodle i spadł z konia.

Roosa dał rozkaz, żeby się zatrzymać, po czym ruchem ręki przywołał De Klerka. Doktor zabrał torbę lekarską, podbiegł do rannego i ukląkł. Stwierdził, że obie kule przedarły się przez narządy wewnętrzne i wyszły z przodu torsu młodego człowieka.

– Zapadnięte płuco – powiadomił Roose, który podtrzymywał głowę chłopca.

Zwiadowca Meer, ledwie osiemnastoletni, chwycił generała za rękaw i próbował coś powiedzieć, lecz zanim znalazł słowa, na usta wystąpiła mu krwawa piana.

– Generale – wyrzeźił – *Engelse* batalion... na północ od nas. Ciężka kawaleria, szybkie przodki z armatami.

– Jak daleko, synu?

– Trzyście kilometrów. – Meer zakaszłał chrapliwie i z ust trysnęły mu krople krwi. Wypreżył się, ostatkiem sił walcząc

z tym, co było dla niego nieuchronne, po czym nagle jego ciało bezwładnie opadło.

De Klerk sprawdził puls i pokręcił głową.

– Całe to moje gadanie o angielskiej arogancji – mruknął Roosa. – To ja byłem arogancki. Ten nowy brytyjski pułkownik próbuje odciąć nam drogę do Groot. Jeśli dopadną nas na otwartej przestrzeni... Hm, w takim wypadku, drogi doktorze, będzie pan miał więcej pracy niż w ciągu całego życia.

De Klerk nie odpowiedział, ale generał zauważył, że pobladł.

Mocno chwycił go za ramię.

– *Engelse* pułkownik jest sprytny, ale jego kleszcze wciąż są rozwarte na tyle szeroko, że zdołamy się wymknąć. Co więcej, niebawem pochłonie nas noc.

Godzinę później, siedząc na podskakującym wozie, De Klerk patrzył, jak górny skraj tarczy słonecznej niknie za horyzontem. Wkrótce zapadnie noc, ale niebo na wschodzie przysłaniał pióropusz pyłu, czerwonożłoty w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Oszacował, ile koni może wzbić taką chmurę.

Co najmniej dwustu jeźdźców.

A za nimi niezliczone wozy pełne żołnierzy i do tego armaty.

Boże, miej nas w opiece...

Ale przynajmniej dotarli bezpiecznie do podnóży Groot, wymykając się z nieprzyjacielskich kleszczy. Wóz podskoczył i z terkotem wjechał do cienistej doliny. Siły brytyjskie zniknęły z pola widzenia.

Odwrócił się i spojrzał na rozciągający się przed nimi istny labirynt wzgórz, suchych koryt rzecznych i jaskiń. Roosa wiele razy wysławiał ukryte w górach „kieszonkowe fortece”, podziemne warownie, w których Burowie mogli przeczekać każde brytyjskie oblężenie.

Przynajmniej taką mieli nadzieję.

Czas płynął powoli, rozcierany w proch przez koła wozów i końskie kopyta. Wreszcie powróciła jedna z grup zwiadowców wysłanych przez generała na południe. Po krótkiej naradzie jeden z jeźdźców odjechał, a Roosa wydał rozkaz, żeby kolumna zwolniła.

Zbliżył się do wozu De Klerka.

– Zyskaliśmy trochę czasu, doktorze. Ale ten *Engelse* pułkownik jest nie dość że szczywany, to jeszcze na domiar złego uparty. Jego żołnierze wciąż za nami ciągną.

– Co to dla nas oznacza?

Roosa westchnął. Wyjął chusteczkę z kieszeni bluzy i otarł twarz z pyłu.

– Cytując Szekspirowskiego Falstaffa, odwaga winna iść w parze z rozważą. Pora się gdzieś zaszyć. W pobliżu jest jedna z naszych kieszonkowych fortec. Ukryta, łatwa do obrony. Schowamy się, zaczekamy, aż *Engelse* zaczną mieć górę powyżej uszu, i zaatakujemy od tyłu, kiedy rozpoczną odwrót. Nie ma pan... hm...? Jest takie słowo na lęk przed przebywaniem w ciasnych pomieszczeniach...

– Klaustrofobii? Nie.

– Dobrze to słyszeć, doktorze. Mam nadzieję, że inni dzielają pański hart ducha.

Przez pół godziny Roosa prowadził ich coraz dalej w góry, aż w końcu skręcił w wąską dolinę i zatrzymał się przed wejściem do jaskini. Ludzie zaczęli przenosić ekwipunek.

De Klerk dołączył do generała stojącego przy wlocie tunelu.

– A co z końmi i wozami? – zapytał.

– Wszystko pójdzie do środka, doktorze. Będziemy musieli częściowo rozebrać wozy, ale wewnątrz jest dość miejsca na zagrodę dla koni.

– A prowiant?

Roosa uśmiechnął się z pewnością siebie.

– Zaopatrywałem jaskinię od jakiegoś czasu, doktorze, a poza tym mam kilka asów w rękawie. Jeśli ten *Engelse* pułkownik nie wpadnie na pomysł, żeby miesiącami kręcić się po górach, nie

mamy się czego obawiać. A teraz, jeśli pan chce, proszę zabrać dwóch ludzi i wnieście swoje rzeczy. Za godzinę wszystko ma się znajdować w bezpiecznym miejscu.

Jak zwykle Roosa postawił na swoim. Gdy w migotliwym blasku latarni wniesiono do jaskini ostatnie zapasy, zajął się nadzorowaniem rozmieszczania ładunków czarnego prochu wokół wejścia. De Klerk, urządziwszy w głębi jaskini coś w rodzaju infirmerii, przyszedł popatrzeć.

– Dobrze, dobrze! – krzyknął generał do jednego z saperów. – Ten ładunek z lewej strony umieście trochę wyżej. Tak, tam! – Odwrócił się do lekarza. – Doktorze, już się pan urządził?

– Tak, generale. Ale czy mogę spytać... czy to mądre? Zamykanie nas w jaskini...

– Byłoby wybitnie niemądre, doktorze, gdyby istniało tylko jedno wejście. Ale ten system jaskiń jest ogromny, z licznymi mniejszymi, dobrze ukrytymi wyjściami. Długo rozmyślałem nad tą taktyką.

– Rozumiem.

Z zewnątrz napłynął tętent kopyt. Strzelcy wyborowi, wysłani w celu nękania sił brytyjskich, kolejno wchodzili do jaskini, prowadząc spienione, posapujące wierzchowce. Ostatni zatrzymał się obok Roosa.

– Znacznie spowolniliśmy wrogów, generale, ale ich zwiadowcy są niespełna godzinę za nami. Szacujemy, że mają trzystu kawalerzystów, dwustu piechurów i czterdzieści dwunastofuntowych armat.

Roosa przemyślał podane informacje i potarł brodę.

– Imponująca siła. Wygląda na to, że Brytyjczycy wyznaczyli wysoką cenę za nasze głowy. Ale nawet jeśli zdołają nas znaleźć, to bitwa zostanie stoczona na naszym terenie. A wtedy, towarzysze, zobaczymy, jak dobrzy są *Engelse* w kopaniu grobów.

Po odpaleniu ładunków i zasypaniu wejścia do jaskini noc minęła spokojnie – podobnie jak następny dzień i sześć kolejnych. Burscy żołnierze rozlokowali się w nowej warowni i urządzali groty w taki sposób, żeby były nie tylko wygodne, ale też jak najbardziej zdatne do obrony.

Tymczasem zwiadowcy Roosa pod osłoną ciemności korzystali z tajemnych wyjść z jaskini i wracali z tym samym meldunkiem: Brytyjskie bataliony wciąż przebywają w górach i prowadzą intensywne poszukiwania, ale, jak dotąd, nikomu nie udało się znaleźć podziemnej fortecy.

Po tygodniu samotny zwiadowca, który wrócił o świcie, zastał generała w mesie oficerskiej, małej grocie, w której z desek rozmontowanego wozu sklecono stół na kozłach i ławki. Roosa i De Klerk siedzieli przy stole, w blasku wiszącej latarni omawiając raport z infirmerii.

– Psy – zameldował zwięźle zwiadowca. – Gończe. Idą w tę stronę.

– Jesteś pewny? – zapytał Roosa, przymrużając oczy.

– Tak, generale. Słyszałem ujadanie, jakieś trzy kilometry stąd. Wydaje mi się, że zmierzają w kierunku naszej kryjówki.

– Może to szakale? – podsunął De Klerk. – Albo dzikie psy afrykańskie?

– Nie, doktorze. Moj ojciec miał gończe, kiedy byłem dzieckiem. Dobrze znam ich szczekanie. Nie mam pojęcia, jak...

– Pojmali trzech naszych – wyjaśnił Roosa, jakby spodziewał się takich wiadomości. – Ich zapach jest naszym zapachem, a stłoczeni w tej przeklętej jaskini... – Generał spojrział na twarze towarzyszących mu oficerów i zniżył głos. – Panowie, obsadzmy szançe, takie jakie są. Wygląda na to, że *Engelse* wpadną tu na herbatę.

Pierwsze ukryte wejście, które znaleźli Brytyjczycy, znajdowało się po południowej stronie systemu jaskiń: dziura zamaskowana przez spiętrzone głazy.

I tak się zaczęło.

De Klerk znalazł generała, który wraz z jednym z oficerów, niejakim Vosem, klęczał za workami z piaskiem. Za nimi strop wielkiej groty opadał na wysokość ramienia, a jakieś piętnaście metrów dalej zaczynał się tunel prowadzący do tajnego wyjścia. Dwunastu żołnierzy zajmowało stanowiska w jaskini, każdy klęczał ze strzelbą za skalną kolumną.

Roosa się odwrócił, przyłożył palec do ust, a potem wskazał ucho.

De Klerk skinął głową i zachował milczenie. W ciszy wytężył słuch. Rozpoznał dobiegające z daleka ciche poszczekiwanie psów. Po kilku minutach ujadanie ucichło.

Wszyscy wstrzymali oddech. Żołnierz zajmujący pozycję za jedną z najbardziej wysuniętych do przodu kolumn dał znak generałowi.

Ten pokiwał głową.

– Słyszysz głosy. Wielu ludzi idzie tunelem. Vos, wiecie, co robić.

– Tak jest, generale.

Vos zazgrzytał bagnetem o skaliste podłoże i kiedy przyczajeni ludzie obrócili głowy w jego stronę, gestami wydał im rozkazy. De Klerkiem, który wiedział, co zaraz nastąpi, zawładnął strach.

W wylocie tunelu pojawił się pierwszy brytyjski żołnierz widoczny w nikłym blasku niesionej przez niego latarni. Wczołgał się do groty, skręcił w lewo i stanął, robiąc miejsce dla następnego. Brytyjczyści zwiadowcy jeden po drugim wypełzli z tunelu, aż cała szóstka przykucnęła w dalekim końcu jaskini. W milczeniu oświetlali latarniami ściany, sklepienie i skalne kolumny.

De Klerk patrzył, wstrzymując oddech.

Przekonani, że jaskinia jest pusta, Anglicy przypięli latarnie do pasów i ruszyli dalej, z karabinami gotowymi do strzału.

Vos pozwolił im podejść na sześć metrów, po czym dwa razy stuknął bagnetem w skałę. Jego ludzie otworzyli ogień, zabijając

wszystkich poza jednym zwiadowcą, który teraz z jękiem czołgał się w kierunku tunelu, zostawiając za sobą szlak krwi.

De Klerk chwycił torbę lekarską i wstał, lecz Roosa złapał go za rękę i pokręcił głową.

– Generale, przecież on jest...

– Nie, doktorze. Im większe przerażenie wzbudzimy w sercach *Engelse*, tym prędzej stąd odejdą. Vos, zajmijcie się tym.

Na znak generała Vos przeskoczył przez wał worków, wyciągnął nóż i podszedł do czołgającego się żołnierza. Ukłękł i poderżnął mu gardło.

Roosa spojrział na De Klerka.

– Przykro mi, doktorze. Wydawanie takich rozkazów nie sprawia mi przyjemności, ale jeśli chcemy przeżyć, musimy być brutalni.

Takie okrucieństwo ciążyło w piersi doktora niczym zimny kamień. Kiedy odwracał się zrozpaczony, jednego był pewien:

Pod czujnym okiem Boga nic nie uchodzi bezkarnie.

Mijały dni, a Brytyjczycy nie dawali za wygraną. Wróg znalazł wszystkie sekretne wejścia poza jednym. Na szanłach, jak zwał je Roosa, toczono małe, ale zaciekle bitwy. Stało się jasne, że brytyjski pułkownik z determinacją dąży do zdobycia jaskiń, nie bacząc na ciężkie straty – pięciu, sześciu, siedmiu żołnierzy płaciło życiem za jednego rannego albo zabitego Bura.

De Klerk nie szczędził starań, żeby pomagać rannym i konającym, ale gdy dni przeszły w tygodnie, umierało coraz więcej Burów – z początku od brytyjskich kul, później z powodu choroby. Pierwszy niedomagający żołnierz, który pojawił się w infirmerii, narzekał na silne skurcze brzucha. Sanitariusze poratowali go ziołami, lecz kilka godzin później mężczyzna dostał gorączki i skręcał się z bólu. Nazajutrz przyszło dwóch innych z takimi samymi objawami, a dzień później zjawiono się czterech kolejnych.

Infirmeria stała się istnym domem wariatów pełnym krzyczących, wijących się z bólu pacjentów. Roosa codziennie tam zaglądał, żeby sprawdzić, w jakim stanie są jego ludzie. Pewnego dnia De Klerk zdał mu ponury raport.

Generał wysłuchał i zmarszczył czoło.

– Chcę to zobaczyć.

Lekarz wziął latarnię i zaprowadził go do groty, gdzie sześciu chorych odbywało kwarantannę. Razem uklękli obok pierwszego pacjenta, który zgłosił się z objawami choroby, młodego blondyna o nazwisku Linden. Chłopak miotał się na prowizorycznej pryczy. Był śmiertelnie blady. Ręce miał przywiązane rzemieniami do boków prymitywnego łóżka.

– Czy to konieczne? – zapytał Roosa.

– Nowe objawy – wyjaśnił De Klerk i pochylił się nad pacjentem.

Podciągnął cienką bawełnianą bluzę, żeby odsłonić tors chorego. Brzuch pokrywały brodawkowate zgrubienia, ale nie na powierzchni skóry. Wydawało się, że rosną pod spodem.

– Boże... Co to takiego?

De Klerk pokręcił głową.

– Nie wiem, generale. Gdyby nie był skrępowany, rozdrapałby sobie brzuch do żywego mięsa. Proszę spojrzeć.

Razem pochylili się nad chłopakiem. Doktor czubkiem skalpela wskazał jeden z większych guzków wielkości ziarnka grochu.

– Widzi pan ten mlecznozielony kolor pod skórą?

– Widzę. Wygląda to tak, jakby coś w nim rośło.

– Nie „jakby”, generale. Coś w nim rośnie. W nich wszystkich. I cokolwiek to jest, na siłę chce się wydostać. Wszyscy mają takie symptomy. Proszę spojrzeć tutaj.

Roosa przysunął latarnię. Guzowaty groszek zdawał się wic pod skórą jak robak. Nagle wyrósł z niego czerwony pęcherzyk, który szybko osiągnął wielkość dojrzałej śliwki.

– Co, u licha...? – szepnął Roosa.

– Proszę się cofnąć – powiedział doktor, sięgnął po kawałek płótna i zakrył nim guzek. Szmątka wybrzuszała się przez kilka sekund, a potem usłyszeli głuchoe pyknięcie. Na płótnie pojawiła się zabarwiona na żółto szkarłatna plama. Pacjent zaczął dziko wierzgać, nogi pryczy waliły o podłoże.

Podbiegł sanitariusz, żeby pomóc go przytrzymać. Linden wygiął plecy w łuk, wspierając tył głowy na poduszce. Nagle pod skórą na jego szyi i brzuchu pojawiły się dziesiątki guzków z pęcherzami, które rosły w oczach.

– Cofnąć się, cofnąć się! – krzyknął De Klerk i wszyscy trzej odskoczyli.

Z przerażeniem patrzyli, jak bąble pękają jeden po drugim. W migotliwym świetle latarni żółtawa mgiełka wzbila się w powietrze, po czym powoli opadła na chłopaka.

W ostatnim paroksyzmie chory poderwał się z pryczy, wsparty tylko na piętach i czubku głowy. Szeroko otworzył niewidzące już oczy, opadł na posłanie i znieruchomiał.

De Klerk nie musiał sprawdzać, a Roosa nie musiał pytać. Linden nie żył. Sanitariusz zarzucił koc na wyniszczone ciało.

– Ilu się zaraziło? – zapytał Roosa łamiącym się głosem.

– Siedmiu.

– I jakie są rokowania?

– Jeśli nie znajdę źródła i nie będę mógł przeciwdziałać, obawiam się, że wszyscy umrą. Jak ten chłopiec. Ale nie to jest najgorsze.

Generał w końcu oderwał spojrzenie od okrytych kocem zwłok.

– To dopiero początek – powiedział De Klerk. – Z pewnością zachoruje wielu więcej.

– Podejrzewa pan, że szerzy się zaraza.

– Nie ma innego wytłumaczenia. Sam pan widział, co się wydobyło z pęcherzy. Musimy założyć, że choroba rozprzestrzenia się w ten sposób.

– Jak pan sądzi, ilu już się zaraziło? – dociekał Roosa.

– Musi pan zrozumieć, że nigdy nie widziałem czegoś podobnego ani nawet o czymś takim nie czytałem. Okres wylegania jest krótki. Trzy dni temu ten chłopak był okazem zdrowia. Teraz nie żyje.

– Ilu? – powtórzył z naciskiem Roosa. – Ilu zachoruje?

Lekarz nie odwrócił wzroku, więc generał widział w jego oczach przekonanie.

– Wszyscy. Każdy obecny w tej jaskini. – Doktor chwycił Roosę za nadgarstek. – Cokolwiek zabija tych ludzi, jest wyjątkowo zjadliwe. I jest tutaj z nami.

CZĘŚĆ PIERWSZA
PROSTA PROPOZYCJA

Władywostok, Rosja

4 marca, godzina 7.42 czasu miejscowego

Jego zadanie polegało na ochronie złego przed gorszym.

Było to niezupełnie najszlachetniejsze ze wszystkich przedsięwzięć, ale dało się z tego wyżyć.

Tucker Wayne przykucnął na obrzeżach portu i pozwolił, żeby spadł na niego ciężar obowiązków. Przestał zwracać uwagę na lodowaty wiatr i padający deszcz ze śniegiem; koncentrował się na mrocznym, cichym zimowym pejzażu żurawi, przypadkowo ustawionych kontenerów i ledwie widocznych statków zacumowanych wzdłuż pirsu. W dali buczał róg mgłowy. Cumy skrzypiały i pojękiwały.

Portowe miasto Władywostok okazało się znacznie lepsze niż rozdarty przez wojnę Afganistan – choć nigdy nie dodałby tego mroźnego miejsca do listy tych, w których chciałby mieszkać na emeryturze.

Tucker zawsze pamiętał o swoim szkoleniu rangera, ale tego ranka okazało się ono wyjątkowo potrzebne. Pozwoliło mu skupić się na ważnych kwestiach.

Na ocenie zagrożenia, na ustaleniu, kto spróbuje zabić jego pracodawcę, gdzie się ukrywa i jak zamierza tego dokonać.

Trzy tygodnie temu, zanim przyjął to zlecenie, doszło do dwóch prób zamachu na rosyjskiego przemysłowca i intuicja podpowiadała Tuckerowi, że niebawem zostanie podjęta trzecia próba.

Musiał być gotów – obaj musieli być przygotowani.

Wyciągnął rękę, żeby krzepiąco poklepać swojego towarzysza i partnera. Przez oprószoną śniegiem sierść poczuł napięte mięśnie niezbyt rośłego malinois, belgijskiego psa pasterskiego. Kain, pies do zadań specjalnych, przed laty został jego partnerem w Afganistanie i odchodząc ze służby, Tucker zabrał go ze sobą. Łącząca ich więź była silniejsza niż najmocniejsza smycz, umieli wzajemnie czytać sobie w myślach i potrafili się porozumieć bez używania słów czy dawania sygnałów.

Kain siedział obok niego z postawionymi uszami i czujnością w ciemnych oczach; wyraźnie zadowolony, nie zważał na śnieg padający na odsłonięte części ciała porośniętego czarną i jasnobrązową sierścią. Miał na sobie zaprojektowaną specjalnie dla psów kamizelkę taktyczną K9 Storm, wodoodporną i wzmocnioną kevlarom. W jej kołnierzu znajdował się bezprzewodowy nadajnik wielkości paznokcia kciuka oraz kamera noktowizyjna, dzięki czemu jego partner miał z nim stały kontakt audiowizualny.

Tucker skierował uwagę na otoczenie.

Pora była wczesna, świt jeszcze nie nastał i w dokach panował spokój. Od czasu do czasu widział w mroku sylwetki robotników ciężkim krokiem idących do pracy. Starał się nie zwracać na siebie uwagi i próbował wtopić się w tło: po prostu kolejny doker.

Przynajmniej miał nadzieję, że na kogoś takiego wyglądał.

Prawie trzydziestoletni, wysoki, z trochę potarganymi jasnymi włosami. Gruba wełniana kurtka maskowała jego muskularną sylwetkę, a naciągnięta nisko na czoło futrzana uszanka, rosyjska czapka myśliwska, skrywała błysk jego oczu.

Kciukiem pogładził Kaina po łbie, a pies odpowiedział jednym machnięciem ogona.

Zupełnie inaczej niż w domu, co, Kain?

Z drugiej strony, gdyby usunąć ocean, Władywostok aż tak bardzo nie różnił się od Rolli w Dakocie Północnej, miasteczka leżącego blisko granicy z Kanadą, gdzie Tucker spędził pierwszych siedemnaście lat życia. Jeśli jakieś miejsce w Stanach Zjednoczonych mogło konkurować z Syberią, to właśnie Rolla.

W dzieciństwie spędzał wakacje na pływaniu canoe po jeziorze Willow i wędrówkach po północnych lasach. Zimą jeździł na nartach, chodził w raketach śnieżnych i łowił ryby w przeręblu. Ale to życie wcale nie było takie piękne, jak mogłoby się wydawać. Kiedy miał trzy lata, jego rodzice, nauczyciele, zginęli w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę, a on znalazł się pod opieką dziadka ze strony ojca, który pewnej ciężkiej zimy dostał ataku serca podczas odśnieżania dojazdu do domu. Nie mając innych bliskich krewnych, w wieku trzynastu lat trafił do rodziny zastępczej, z którą mieszkał do czasu złożenia podania o wcześniejsze usamodzielnienie się, i w wieku siedemnastu lat wstąpił do wojska.

Otrząsnął się ze wspomnień tamtych mrocznych lat, przepędził je do głębokiego zakamarka pamięci.

Nic dziwnego, że bardziej lubię psy niż ludzi, pomyślał.

Skupił się na bieżącej sprawie.

Chodziło o próbę zabójstwa.

Czujnie rozejrzał się po dokach.

Skąd nadejdzie zagrożenie? I w jakiej postaci?

Zleceniodawca – rosyjski miliarder i potentat przemysłowy Bogdan Fiedosiejew – zaplanował tę wczesną wizytę w porcie wbrew radzie Tuckera. Od tygodni krążyły plotki, że dokerzy próbują założyć związek zawodowy, i Fiedosiejew zgodził się spotkać z przywódcami w nadziei, że narzuci im swoją wolę i skłoni ich do uległości. Już to stanowiło wystarczające zagrożenie, Tucker podejrzewał jednak, że wielu robotników jest Władywostockimi Separatystami, politycznymi terrorystami, którzy biorą na cel przede wszystkim czołowych kapitalistów na rosyjskim Dalekim Wschodzie, co stawiało Bogdana Fiedosiejewa wysoko na ich liście.

Tucker nie dbał o politykę, ale wiedział, że z jego pracą wiąże się konieczność rozumienia krajobrazu społecznego – równie ważna jak poznanie krajobrazu naturalnego.

Popatrzył na Kaina.

– Co powiesz, brachu? Gotów do pracy?

Pies w odpowiedzi wstał i otrząsnął się. Z jego sierści wzbiła się chmura śniegu, natychmiast uniesiona przez wiatr.

Tucker ruszył i Kain potruchtał obok niego.

Godzina 9.54

Późnym rankiem Tucker namierzył sześciu z ośmiu robotników, których podejrzewał o przynależność do Władzywostockich Separatystów. Dwaj pozostali rano telefonicznie powiadomili o chorobie, co do tej pory nigdy się nie zdarzyło.

Stojąc w drzwiach magazynu, rozglądał się po dokach. O tej porze port tętnił życiem, wózki widłowe jeździły we wszystkie strony, żurawie ładowały kontenery na statki i wszystko to odbywało się w kakofonii łoskotu, zgrzytania i wykrzykiwanych poleceń.

Tucker wyjął telefon, przewinął listę akt w PDF-ie i znalazł dwóch mężczyzn, którzy zgłosili, że są chorzy. Obaj służyli kiedyś w wojsku, byli podoficerami w rosyjskiej piechocie. Co gorsza, obaj byli wyszkolonymi snajperami.

Dwa plus dwa równa się zagrożenie.

Zapamiętał twarze tych mężczyzn.

W pierwszym odruchu chciał zadzwonić do Jurija, szefa ochrony Fiedosiejewa, ale nic by to nie dało. „Nie będę uciekał” – głośno i często obwieszczał Fiedosiejew. A do tego, z punktu widzenia ochroniarzy, Tucker był przecież intruzem, Amerykaninem, zupełnie tu niepotrzebnym.

Wyobraził sobie trasę Fiedosiejewa przez port. Znalazł odsłonięte miejsca, gdzie jego zleceniodawca będzie najbardziej narażony na zamach, ocenił możliwe kąty strzału. Zlokalizował wszystkie potencjalne stanowiska snajperskie. Było ich sześć.

Spojrzał w niebo. Słońce wzeszło; jego mętna biała tarcza jaśniała nad horyzontem. Wiatr ucichł i zamiast deszczu ze śniegiem z chmur spadały duże, ciężkie płatki.

Niedobrze. Teraz znacznie łatwiej oddać celny strzał z dużej odległości.

Spojrzał na Kaina. Wiedział, że nie mogą stać beczynnienie i czekać.

– Chodźmy znaleźć paru drani.

Godzina 10.07

Sześć potencjalnych miejsc odpowiednich dla snajperów znajdowało się w różnych częściach portu, na około ośmiu hektarach magazynów, pomostów, żurawi, wąskich przejść pomiędzy stosami kontenerów. Tucker i Kain szli szybko, ale patrząc na nich, nikt nie miałby wrażenia, że się spieszą; w miarę możliwości korzystali ze skrótów, nie zatrzymywali się zbyt długo w jednym miejscu.

Gdy mijali front kolejnego magazynu, Kain cicho warknął. Tucker, w pełnym pogotowiu, odwrócił się w półprzysiadzie. Pies zatrzymał się i patrzył w głąb przejścia między kontenerami.

Tucker dostrzegł postać znikającą z pola widzenia. Niby nic niepokojącego, ale znał swojego psa. Coś w mowie ciała albo zapachu nieznanego musiało wzbudzić zainteresowanie Kaina: napięcie, postawa, ukradkowe ruchy. Po kilku latach spędzonych w Afganistanie instynkt psa był ostry jak brzytwa.

Tucker przywołał w myślach plan portu i po chwili namysłu podniósł kamerę na kamizelce swojego partnera.

– ZWIAD – polecił zwierzęle.

Słownik Kaina zawierał około tysiąca słów, a poza tym pies rozumiał setkę gestów, co czyniło go przedłużeniem ciała przewodnika.

Tucker wskazał przed siebie i dał mu znak, że ma okrążyć kontenery z drugiej strony.

Kain potruchtał bez wahania.

Jego partner odprowadził go wzrokiem, a gdy pies zniknął w mroku, odwrócił się i pobiegł wąskim przejściem pomiędzy kontenerami do miejsca, gdzie przed chwilą był cel.

Na pierwszym skrzyżowaniu stanął i wyjrzał zza narożnika kontenera.

Kolejne przejście.

Puste.

Skręcił, pobiegł i dotarł do następnego skrzyżowania. Wielkie kontenery tworzyły piekielny labirynt.

Łatwo się zgubić, pomyślał, i jeszcze łatwiej zgubić cel.

W wyobraźni zobaczył, jak Kain biegnie gdzieś po drugiej stronie, obserwując stosy kontenerów. Tucker potrzebował oczu swojego partnera podczas polowania w tym labiryncie.

Dane z kamery były przesyłane na zmodyfikowany telefon satelitarny. Na małym ekranie ukazał się migoczący cyfrowy obraz.

Nagle ktoś wyskoczył z labiryntu – biegł na wschód.

Dobrze.

Tucker ruszył w tym kierunku. Zobaczył, że Kain robi to samo, tropiąc cel.

Teraz obaj polowali, dokładnie tak jak rangerzy, którzy – poza nielicznymi wyjątkami – nie patrolowali i nie udzielali pomocy humanitarnej. Rangerom przyświecał jeden cel i dążyli do niego z najwyższą determinacją: znaleźć i zneutralizować wroga.

Tuckerowi podobała się ta prostota.

Brutalna, owszem, ale też w jakiś sposób czysta.

Wydostał się z labiryntu kontenerów w porę, żeby zrównać się z Kainem, i przywołał go. Pies przytruchtał i usiadł obok jego nogi; z wywieszonym językiem i jasnymi oczami czekał na następną komendę.

Znajdowali się w pobliżu wschodniego krańca portu. Wprost przed nimi, za wysypanym żwirem placem, ciągnęły się tory

kolejowe, na których stały porzucone zardzewiałe wagony towarowe, wśród których zniknęła ich zwierzyna.

Za torami wznosiło się wysokie ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym, a za nim rósł gęsty sosnowy las.

Poza napływającymi z dali stłumionymi odgłosami portu panowała cisza.

Nagle Kain obrócił łeb w lewo. Tucker zobaczył trzęsący się przez chwilę fragment ogrodzenia i znieruchomiał. Wyobraził sobie, jak drugi cel przeciska się przez dziurę, żeby od tej strony wejść na teren portu, wykorzystując osłonę lasu.

Dlaczego? – zaczął się zastanawiać.

Przesuwając się dalej w lewo, zobaczył wysoki dźwig, kiedyś używany do ładowania wagonów towarowych – jedno z sześciu potencjalnych stanowisk snajperskich, które miał naniesione na plan portu w swojej głowie.

Spojrzał na zegarek. Fiedosiejew przybędzie za sześć minut. Wyjął szybko z kieszeni kurtki małą lornetkę i spojrzał przez nią na szczyt dźwigu. Z początku widział tylko stalową konstrukcję, niewyraźną w wirującym śniegu. Potem ujrzał rozmyte kontury postaci powoli wspinającej się po drabinie do umieszczonej wysoko kabiny.

To ten, który przed chwilą wszedł przez dziurę w ogrodzeniu, pomyślał Tucker. Ale gdzie jest facet, którego śledziłem?

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Jurija, żeby nakłonił szefa do rezygnacji z wizyty w porcie, ale wiedział, że jeśli nawet szef ochrony przekaze wiadomość, zwycięży niefrasobliwa brawura Fiedosiejewa. Ten człowiek nie cofnie się przed zagrożeniem. Kule musiałyby świszczeć w powietrzu, żeby wziął pod rozwagę ucieczkę.

Właśnie tacy są Rosjanie.

Tucker padł na ziemię i zajrzał pod wagony. Z prawej strony zauważył pojawiające się i znikające nogi, gdy idący mężczyźni mijali stalowe koła. Nie miał pewności, czy to tropiony przez niego facet, ale było to bardzo możliwe.

Sięgnął za plecy i z przypiętej do paska kabury wyjął samopowtarzalny pistolet Makarowa. Była to przyzwoita broń, chociaż na pewno nie jego ulubiona.

No, ale kiedy wejdiesz między wrony...

Spojrzał na Kaina, który leżał na brzuchu obok niego. Pies śledził wzrokiem cel biegnący truchtem wzdłuż torów, oddalający się od człowieka, który wspinał się na dźwig.

Tucker, wiedząc, że jedno słowo wystarczy, rzucił krótką komendę:

– TROP. – Po czym wskazał cel poruszający się po ziemi.

Kain wystartował i bezszelestnie popędził za celem.

Jego partner skręcił w lewo, w kierunku dźwigu.

Zgarbiony przebiegł przez plac, dotarł do torów, przeczołgał się pod wagonem i zsunął z nasypu do rowu melioracyjnego. Korzystając z tej skromnej osłony, wypatrzył lukę w ogrodzeniu. Zobaczył, że druty zostały przecięte, i to niedawno.

Sto metrów dalej po lewej stronie wznosił się dźwig. Tucker przetoczył się na bok, nastawił lornetkę i w końcu zauważył cel. Zamachowiec stał na drabinie kilka stopni poniżej oszklonej kabiny operatora i wyciągnął dłoń w rękawicy do włazu.

Tucker zastanawiał się przez chwilę, czy do niego nie strzelić, ale szybko zarzucił ten pomysł. Może gdyby miał karabin, nie makarowa. Z tej odległości nie mógł liczyć na celny strzał. Co więcej, padający śnieg gęstniał, stopniowo zmniejszając widoczność.

Sprawdził, która godzina. Za trzy minuty limuzyna Fiedosiejewa wjedzie przez główną bramę. Pomyślał o Kainie, ale zaraz potem skupił się na zadaniu.

Nie wszystko naraz, rangerze. Rozwiąż ten problem.

Pozwól, by Kain robił swoje.

Kain biegnie nisko przy ziemi, uszy ma postawione, gdy nasłuchuje chrzęstu złodzonego śniegu pod butami zwierzyny. Liczy się tylko wydana komenda.

Trop.

Śledząc ciemną sylwetkę przemieszczającą się na tle bieli, która z chwili na chwilę gęstnieje, trzyma się cieni rzuconych przez porzewiałe wagony. Ale jego świat nie ogranicza się do bodźców odbieranych tylko i wyłącznie wzrokiem. Widok jest najbardziej nieostrym elementem rejestrowanego przez Kaina świata, ledwie cieniem większej prawdy.

Zatrzymuje się na chwilę, żeby przysunąć nos do odcisku podeszwy, wietrzy gumę, ziemię i skórę. Unosi pysk, żeby pochwycić zapach wilgotnej wełny, dymu papierosowego i potu. Czuje strach w pocie swojej zwierzyny, słyszy chrapliwy szmer przyspieszonego oddechu.

Posuwa się w jej tempie, jego łapy stąpają bezgłośnie.

Chłonie informacje dostarczane przez otoczenie, odczytując przeszłość i teraźniejszość w potoku starych i świeżych tropów. Uszy rejestrują każdy daleki krzyk, warkot silnika, szum fali pobliskiego morza. Język smakuje mróz i lód.

W tym natłoku wrażeń jedna ścieżka lśni najjaśniej, ta wiodąca do jego ofiary.

Kain płynie po niej, duch na szlaku.

Godzina 10.18

Z punktu obserwacyjnego w rowie Tucker patrzył, jak cel wślizguje się do kabiny na szczycie dźwigu i ze stłumionym trzaśnięciem zamyka właz.

Gdy tylko mężczyzna zniknął w kabinie, Tucker wstał i chowając makarowa do kabury, popędził w kierunku dźwigu. Nawet nie próbując się ukrywać, wskoczył na trzeci szczebel drabiny i rozpoczął wspinaczkę. Szczeble były oblodzone i pokryte śniegiem. Buty ześlizgiwały się z nich, ale nie rezygnował. Zatrzymał się tuż pod włazem.

Wstrzymując oddech, wyciągnął pistolet i łagodnie, powoli przycisnął lufę do klapy, po czym lekko ją uniósł.

Nie pozwolił sobie na myślenie, na ocenianie, czy jego następny ruch będzie rozsądny. Wahanie może zabić równie łatwo jak brawura.

I jeśli mam umrzeć, to wtedy, gdy jeszcze mogę się ruszać, pomyślał.

W przeszłości wpadał na oślep przez setki drzwi w afgańskich wioskach i bunkrach. Po drugiej stronie zawsze ktoś czekał, żeby go zabić.

Tu nie było inaczej.

Pchnął klapę, wodząc lufą pistoletu z lewej strony w prawo. Zamachowiec klęczał pół metra dalej, pochylony nad otwartą walizką z karabinem. Śnieg wpadał do kabiny przez jedno z przesuwanych okien.

Mężczyzna odwrócił głowę, na jego twarzy może przez mikrosekundę malowało się zaskoczenie, a potem rzucił się na niego. Lecz w tym samym momencie Tucker oddał strzał. Dziewięćmilimetrowy pocisk z wgłębieniem wierzchołkowym wszedł dwa i pół centymetra nad garbem nosa, zabijając snajpera na miejscu. Mężczyzna upadł na bok i znieruchomiał.

Jeden z głowy...

Tucker nie żałował tego, co właśnie zrobił, ale przyszła mu na myśl pewna sprzeczność. Nie był wprawdzie religijny, lecz pociągała go filozofia buddyjska, która mówiła „żyj i daj życie innym”. W tym wypadku pozwolenie, żeby ten człowiek żył, nie wchodziło w rachubę. Sam się dziwił, że odebranie życia człowiekowi uznawał za zasadną konieczność, podczas gdy zabicie zwierzęcia nie wchodziło w rachubę. Zaintrygowała go ta zagadka, ale wiedział, że łamanie sobie nad nią głowy musi odłożyć na później.

Schował makarową, wspiął się do kabiny i zamknął za sobą właz. Szybko przetrząsnął kieszenie zamachowca, szukając telefonu komórkowego albo radia; nie znalazł ani jednego, ani drugiego. Jeśli snajper miał współnika, to działali niezależnie – prawdopodobnie na zasadzie: strzelaj, kiedy chcesz.

Czas: sześćdziesiąt sekund.

Fiedosiejew będzie punktualny. Jak zawsze.

Od tej chwili najważniejsze zadanie polegało na tym, żeby zatrzymać Rosjanina z dala od strefy zagrożenia.

Tucker skierował uwagę na karabin zamachowca, rosyjski SW-98. Wyjął go z futerału, obejrzał i stwierdził, że jest przygotowany do strzału.

Dzięki, towarzyszu, pomyślał, przestąpił nad zwłokami i podszedł do okna.

Rozstawił dwójnog, oparł nóżki na parapecie i skierował lufę nad morzem kontenerów i dachów magazynów w główną bramę. Przykładając zimną kolbę do policzka, przybliżył oko do lunetki i spojrzał przez tumany wirującego śniegu.

– Gdzie jesteś, Fiedosiejew? – mruknął. – Dawaj...

Nagle zauważył czarny cień sunący w śnieżnej bieli. Limuzyna była dziesięć metrów od głównej bramy i zwalniała. Tucker, naprężając palec na spuście, skupił spojrzenie na przedniej szybie. Opadło go zniechęcenie, ale po chwili przypomniał sobie dane techniczne SW-98. Broń miała zbyt małą siłę rażenia, żeby przebić kuloodporną szybę – przynajmniej miał taką nadzieję.

Strzelił, huk zabrzmiał ogłuszająco w małej kabinie. Pocisk kalibru 7,62 mm uderzył w przednią szybę limuzyny wprost przed fotelem kierowcy. Dla wzmocnienia efektu Tucker oddał jeszcze jeden strzał; tym razem roztrzaskał boczne lustro. Trzeba przyznać, że szofer zareagował błyskawicznie i właściwie: wrzucił wsteczny, tyłem przejechał piętnaście metrów i zawrócił.

Po kilku sekundach pojazd był sto metrów od bramy i zniknął w śniegu.

Tucker z satysfakcją opuścił karabin. Wiedział, że Fiedosiejew na razie jest bezpieczny, ale przecież ktoś chciał go zabić. Postanowił nie pozwolić, żeby drugi zamachowiec uciekł i później ponowił próbę.

Wyłuskał magazynek z karabinu i schował go do kieszeni, po czym wyjął telefon satelitarny. Sprawdził obraz z kamery Kaina.

Niestety, obiektów był mokry, a do tego padał gęsty śnieg, Tucker zobaczył więc tyle co nic. Obraz był niewyraźny, rozmazany.

Z westchnieniem otworzył inną aplikację i na ekranie pojawił się plan portu. Na zachód od dźwigu, około czterystu metrów dalej, pulsowała zielona kropka. Był to sygnał z mikroskopijnego nadajnika GPS wszczepionego pod skórę między łopatkami Kaina.

Kropka jaśniała w jednym miejscu, co oznaczało, że pies postąpił zgodnie z instrukcjami: wytropił zwierzynę i teraz warował, czekając i obserwując.

Nagle plamka zmieniła położenie. Lekkie drgnienie wskazywało na to, że Kain zmienił pozycję, prawdopodobnie po to, by pozostać w ukryciu i jednocześnie mieć cel w zasięgu wzroku. Plamka znów się poruszyła, tym razem sunęła na wschód i miarowo nabierała prędkości.

To mogło oznaczać tylko jedno.

Drugi zamachowiec biegł w kierunku dźwigu.

Tucker pospiesznie zszedł po drabinie, zsuwając się przez większą część drogi na dół. Gdy tylko jego buty uderzyły o ziemię, potruchtął w gęstniejącym śniegu wzdłuż torów, z makarowem gotowym do strzału. Zanim przebył dziesięć metrów, zauważył przed sobą niewyraźną sylwetkę kucającą obok rozciętego ogrodzenia. Mężczyzna przedostał się na drugą stronę i zniknął w lesie.

Cholera...

Kain zjawił się dwie sekundy później, gotów kontynuować zadanie, ale gdy zobaczył swojego partnera, stanął jak wryty i z postawionymi uszami czekał na dalsze rozkazy.

– TROP. CICHO! – wydał komendę Tucker.

Żarty się skończyły.

Pies przeskoczył przez dziurę w ogrodzeniu i rzucił się w pościg, z partnerem depczącym mu po piętach. Posłuszny komendzie, nie wysforował się za bardzo. Kluczył pomiędzy drzewami i bez wysiłku przeskakiwał nad leżącymi pniami, mając w zasięgu wzroku zarówno zwierzynę, jak i partnera.

Las zupełnie stłumił odgłosy portu. Śnieg syczał cicho w konarach drzew. Gdzieś przed nimi trzasnęła gałąź. Tucker przykucnął. Na prawo od niego, dwanaście metrów z przodu, Kain też zamarł, przysiadając na zwalonym pniu, wpatrzony prosto przed siebie.

Ich cel widocznie się zatrzymał.

Tucker wyjął telefon i spojrzał na mapę.

Dwieście metrów dalej las był przecięty przez wąski kanał należący do portu w czasach, gdy port był własnością marynarki wojennej. Uciekający mężczyzna musiał kiedyś służyć w marynarce i okazał się dość sprytny, żeby opracować sobie trasę ucieczki – drogą wodną.

Ale czy rzeczywiście taki był plan?

Z mapy wynikało, że po drugiej stronie kanału biegnie główna droga.

A jeśli czeka na niego samochód?

Decyduj, Tucker.

Czy cel ucieknie lądem, czy morzem?

Cicho syknął, a Kain na ten znak obrócił łeb. Tucker podniósł pięść, potem otworzył dłoń i rozcapierzył dwa palce, wydając komendę: *Trop*.

Pies popędził prosto na południe.

Tucker asekuracyjnie ruszył na południowy wschód, gotów w razie konieczności przeciąć mężczyźnie drogę.

Biegając, obserwował na ekranie pozycję partnera. Kain dotarł do kanału i zatrzymał się na brzegu. Przez kilka sekund kropka nie zmieniała położenia, potem znowu ruszyła, równoległe do kanału, i szybko zwiększała prędkość.

To mogło oznaczać tylko jedno.

Cel wszedł do łodzi.

Tucker biegł co sił w nogach; gdy omijał ostatnie drzewa, musiał schylać głowę. Wypadł z lasu na otwartą przestrzeń. Wzdłuż kanału ciągnął się wysoki wał, którego szczytem pędził Kain. Z prawej strony dobiegał warkot silnika. Tucker ruszył w tamtą stronę. Wiedział, że nie ma szans zrównać się z łodzią.

Przez chwilę się zastanawiał. Z mapy wynikało, że kanał jest wąski, ma nie więcej niż pięć metrów szerokości.

Da się zrobić, pomyślał.

– POWAL... ROZBRÓJ! – krzyknął.

Pies nisko opuścił łeb, zwiększył tempo, zeskoczył z wału i zniknął.

Kain szybuje, podekscytowany pędem powietrza na sierści. Oto sens jego życia, nieodłączny jego naturze jak bicie serca.

Doścignięcie i powalenie zwierzyny.

Gdy przednie łapy uderzają w drewno pokładu, błyskawicznie przesuwa zad, żeby te tylne znalazły się w idealnej pozycji. Odbija się od desek i skacze w kierunku kabiny.

Jego zmysły się wyostrajają, chłoną szczegóły.

Smród spalonego oleju...

Żywica wypolerowanego drewna...

Ślady soli i strachu prowadzące do otwartych drzwi kabiny...

Podąża tym tropem, napędzany przez komendę i zew natury.

Wpada do kabiny, widzi odwracającego się człowieka, który wytrzeszcza przerażone oczy, strach emanuje z porów jego skóry, z gardła płynie świst zaskoczenia.

Człowiek unosi rękę, nie w odruchowo obronnym geście, ale pewnie zaciśniętą na chwycie pistoletu.

Kain wie, do czego służy pistolet.

Huk go ogłusza, kiedy daje susa.

Godzina 10.33

Gdy Tucker wbiegł na wał, nad wodą rozchodziło się echo strzału. Strach ścisnął mu serce. Pięćdziesiąt metrów dalej pogłębiarka skręcała, kierując się dziobem w stronę brzegu.

Przerażenie dodawało Tuckerowi skrzydeł, kiedy biegł dalej. W końcu zrównał się z łodzią, odbił się i skoczył wysoko w powietrze. Ciężko wylądował na rufie; padając, uderzył w nadburcie i poczuł oślepiający ból. Mimo to przekręcił się, dźwignął na kolana i uniósł makarowa.

W otwartej kabinie zobaczył leżącego na plecach mężczyznę, który wymachiwał lewą ręką i wierzgał nogami. Kain zaciskał zęby na jego prawym przedramieniu. Muskularny malinois był na tyle silny, że potrząsał swoją zwierzyną jak szmacianą lalką.

Rosjanin krzyknął coś w ojczystym języku. Tucker kiepsko znał rosyjski, ale ton mówił sam za siebie.

– Zabierz go! Proszę!

Celując w pierś mężczyzny, wszedł do kabiny.

– PUŚĆ – powiedział spokojnie.

Kain natychmiast wykonał polecenie i cofnął się z cichym warknięciem, pokazując zęby.

Rosjanin przycisnął do piersi poranioną rękę, szeroko otwierając załzawione z bólu oczy. Tucker przypuszczał, że silne szczęki Kaina złamały kość łokciową i prawdopodobnie również promieniową.

Wcale nie współczuł temu człowiekowi, który o mało nie zastrzelił jego partnera.

Kilka kroków od Rosjanina leżał rewolwer, wciąż dymiący w zimnie. Tucker podszedł i spojrział na powalonego mężczyznę.

– Mówisz po angielsku?

– Angielski... tak, trochę mówić angielski.

– Jesteś aresztowany.

– Co? Ja nie...

Tucker zrobił zamach prawą nogą i kopnął go prosto w czoło, pozbawiając przytomności.

– To by było na tyle – dodał.

Władywostok, Rosja

4 marca, godzina 12.44 czasu miejscowego

– Jest mi pan winien za nową szybę – zagrzemiał Bogdan Fiedosiejew, podając mu kieliszek lodowatej wódki.

Tucker postawił kieliszek na brzegu stolika przy kanapie. Nie lubił wódki, ale, co ważniejsze, w tej chwili nie ufał swoim rękom. Po strzelaniu w porcie był napompowany adrenaliną – wrażenie nie było ani mu obce, ani nieprzyjemne. Zastanawiał się, jaką jego część stanowi euforia, a jaką zespół stresu pourazowego, bo tak w żargonie medycznym określa się nerwicę frontową albo wyczerpanie bojowe, stan zbyt często występujący u wielu weteranów wojny w Iraku i Afganistanie.

W porównaniu z innymi żołnierzami, w jego przypadku stres pourazowy był umiarkowany, ale stał się nieodłączną częścią życia Tuckera. Choć dobrze sobie z nim radził, wciąż czuł, że gdzieś się w nim czai, jak potwór, który szuka szczeliny w mentalnym pancerzu. Uważał tę metaforę za dziwnie krzepiącą. Czujność była jego drugą naturą. A jednak tkwiący w nim buddysta szeptał mu do ucha, żeby się odprężył.

Odpuść sobie.

Wzmacnia cię to, w co wierzysz.

Stajesz się taki, jakim chcesz być.

Niezupełnie potrafił ustalić, kiedy i gdzie przyjął taką filozofię. Sama się do niego podkradła. Miał kilku nauczycieli – jednego cenił w szczególności – ale podejrzewał, że źródłem jego światopoglądu były wędrówki z Kainem. Napotykając ludzi

niemał każdego pokroju, nauczył się brać ich takimi, jakimi są, bez bagażu z góry wyrobionych opinii. Doszedł do przekonania, że w ludziach jest więcej podobieństw niż różnic. Każdy próbuje znaleźć drogę do szczęścia, do poczucia spełnienia. Dążą do celu na różne sposoby, ale nagroda pozostaje taka sama.

Dość, nakazał sobie w duchu. Rozważania są dobre, lecz dawno temu przekonał się, że są jak tequila – lepiej ich zażywać tylko w małych dawkach.

Kain siedział spokojnie przy jego stopach, ale oczy wciąż miał jasne i czujne. Nic nie umykało jego uwadze: postawa, ruchy ręki i oka, tempo oddychania, zapach i intensywność potu partnera. Jak można się było spodziewać, pies wychwytywał wiszący w powietrzu niepokój.

Tucker też go czuł.

Zostali parą między innymi z powodu zaskakująco wysokiej empatii Kaina. Przewodnicy służących w wojsku psów mawiają: „To spływa po smyczy”, co opisuje, jak z czasem oboje, człowiek i zwierzę, zaczynają dzielić emocje wiążące jednego z drugim. Ten dar pozwalał Kainowi odczytywać ludzi, dostrzegać niuanse mowy ciała i mimiki, które umykały innym.

Jak teraz, z napięciem wciąż panującym w pokoju.

– I za boczne lustro – dodał Fiedosiejew z wymuszonym uśmiechem. – Zniszczył pan szybę i lustro. Bardzo kosztowne, jedno i drugie. A co najgorsze, mógł pan zabić mojego szofera.

Tucker nie chciał ustąpić, bo wiedział, że byłoby to oznaką słabości.

– Pocisk karabinowy wystrzelony z takiej odległości i pod takim kątem miał zbyt małą siłę, żeby przebić kuloodporną szybę limuzyny. Może gdybym stał na masce, pana szofer miałby powody do zmartwienia.

Fiedosiejew zmarszczył czoło.

– Jednak zostały zniszczone bardzo drogie rzeczy, prawda?

– Może pan odciągnąć z mojej premii – powiedział Tucker.

– Z premii? Jakiej premii?

– Tej, którą dostanę od pana za ocalenie życia.

– Poradzilibyśmy sobie z... – zaczął stojący za Fiedosiejewem Jurij, ale szef uniósł rękę, uciszając go. Jurij poczerwieniał. Dwóch ochroniarzy stojących za nim przestąpiło z nogi na nogę i wbiło oczy w podłogę.

Tucker wiedział, co myślą ci trzej. Tryb przypuszczający jest nie do przyjęcia, kiedy chodzi o osobistą ochronę. No, a musieli przyznać, że ten obcy – ten Amerykanin ze swoim psem – ocalił ich szefa. Z drugiej strony, Jurij na coś się przydał; interweniował na policji, żeby nie dopuścić do komplikacji związanych z zabiciem zamachowca.

Półtorej godziny po zatrzymaniu drugiego mężczyzny, który obecnie przebywał w policyjnym areszcie, Tucker spotkał się z Fiedosiejewem i jego żoną w hotelu Meridian, gdzie Rosjanin wynajmował najwyższe piętro apartamentów dla VIP-ów. Wyposażenie było wygodne, ale wystrój przesadnie ozdobny. Sfatygowany sowiecki szyk. Śnieg wciąż padający za oknami zasłaniał oszałamiający widok na Zatokę Piotra Wielkiego i kontynentalną Rosję.

– Zaproponuję panu coś lepszego niż premia – oznajmił Fiedosiejew. – Dołączy pan do mojego zespołu. Na stałe. Jestem hojny. Pański pies co wieczór będzie jadł stek. Spodoba mu się, prawda?

– Niech pan sam go zapyta.

Fiedosiejew przeniósł spojrzenie na Kaina, uśmiechnął się i pogroził Tuckerowi palcem.

– Bardzo zabawne. – Spróbował innej taktyki. – Wie pan, że te dwie swołowce mogły mieć pomocnika. Jeśli wciąż jest...

„Swołowcz” było jednym z jego ulubionych słów. Z grubsza rzecz biorąc, oznaczało kanalię.

Tucker nie pozwolił mu skończyć.

– Jeśli ma pan rację, Jurij z pewnością znajdzie wszystkich zamieszanych w tę próbę zabójstwa.

Zwłaszcza że jeden z zamachowców już przebywał w areszcie.

Tam tortury były narzędziem używanym równie powszechnie jak nóż i widelec.

Fiedosiejew westchnął.

– Więc jak brzmi pańska odpowiedź?

– Doceniam propozycję, ale mój kontrakt wygasa za dwa dni. Później muszę być gdzieś indziej.

Skłamał, ale nikt mu tego nie zarzucił.

Prawda była taka, że nie musiał nigdzie być i w tej chwili ten stan rzeczy najzupełniej mu odpowiadał. Co więcej, Jurij i jego ludzie kiedyś służyli w wojsku i przeszłość wpływała na wszystko, co robili i mówili. Miał takich jak oni powyżej uszu. Odsłużył swoje i rozstał się z armią w mniej niż przyjacielskiej atmosferze.

Oczywiście, pierwsze dni w wojsku bardzo mu się podobały i na poważnie się zastanawiał, czy nie zostać żołnierzem zawodowym.

Do czasu operacji Anakonda.

Sięgnął po kieliszek wódki, gdy naszyły go nieproszone wspomnienia. Nienawidził odgłosu kostek lodu grzechoczących o kryształowe szkło. ZSP, zespół stresu pourazowego... Zastanawiał się, czy na pewno tylko psychiczny odłamek tkwi w pobliżu jego serca.

Wypił trochę wódki, żeby zalać nią wspomnienia.

Nie miał wpływu na to, kiedy się pojawiają i kiedy odpływają.

Znowu pyknęło mu w uszach, jak wtedy, gdy śmigłowiec ewakuacyjny zwiększał wysokość, a on czuł pęd gorącego powietrza.

Zamknął oczy, wspominając ten dzień, wracając myślą do tamtej wymiany ognia. Towarzyszył żołnierzom z Dziesiątej Dywizji Górskiej, którym przydzielono zadanie zlikwidowania bunkrów w górach Shahi-Kot. Tego dnia miał dwóch partnerów: Kaina i Abła, braci z tego samego miotu. Jeśli Kain był jego prawą ręką, to Abel stanowił lewą. Wyszkolił obydwie psy.

Do jego zespołu w górach dotarło wezwanie o pomoc. Śmigłowiec Chinook przewożący grupę żołnierzy Navy Seals, trafiony pociskiem z granatnika, runął na szczyt zwany Takur Ghar. Tucker i jego oddział zostali wysłani na wschód i niedługo

po rozpoczęciu mozolnej wspinaczki wpadli w zasadzkę w wąwozie. Ekspłodowały dwa fugasy – prowizoryczne miny lądowe zakopane w ziemi – zabijając większość ludzi i raniąc pozostałych, łącznie z Ablem, któremu wybuch urwał lewą przednią łapę.

Po kilku sekundach z kryjówek wyskoczyli talibowie i błyskawicznie rzucili się na niedobitków. Tuckerowi wraz z garstką żołnierzy udało się znaleźć osłonę i utrzymać pozycję do czasu lądowania śmigłowca ewakuacyjnego. Kiedy znalazł się na pokładzie z Kainem i kolegami, chciał wyskoczyć i wrócić po Abła, ale jeden z członków załogi odciągnął go od drzwi i przytrzymał. Tucker mógł tylko patrzeć.

Gdy śmigłowiec wystartował i leciał nad wąwozem, dwóch talibów popędziło za Ablem, który kuśtykał w kierunku wznoszącej się maszyny, brocząc krwią z okaleczonej łapy i z bólem w oczach wpatrując się w swojego przewodnika. Tucker ponowił próbę przedarcia się do drzwi, ale znowu ktoś pociągnął go do tyłu.

Talibowie dopadli Abła. Tucker wymazał z pamięci te ostatnie chwile, ale nie głos, który zawsze go nawiedzał i kołatał w zakamarku umysłu: *Mogłeś się bardziej postarać, mogłeś po niego pobiec.*

Wiedział, że gdyby to zrobił, też zostałby zabity, ale przynajmniej Abel nie byłby sam. I nie zastanawiałby się, dlaczego partner go porzucił...

Wrócił do rzeczywistości, otworzył oczy i jednym haustem wypił resztę wódki, żeby jej ciepło wypaliło najgorszy lód z tego zimnego bólu.

– Panie Wayne... – Bogdan Fiedosiejew pochylił się, z z troskaniem marszcząc czoło. – Jest pan chory? Zrobił się pan błądy jak śmierć, przyjacielu.

Tucker odchrząknął i pokręcił głową. Bez spoglądania wiedział, że Kain na niego patrzy. Wyciągnął rękę i uspokajająco ścisnął jego kark.

– Nic mi nie jest. O czym mówiliśmy...?

Fiedosiejew się wyprostował.

– O tym, żeby pan do nas dołączył wraz ze swoim psem.

Tucker skupił się na Rosjaninie i terażniejszości.

– Nie, przykro mi, jak powiedziałem, muszę być gdzieś indziej.

Skłamał, ale był gotów ruszyć w drogę, musiał ruszyć w drogę.

Pozostało pytanie: Co będzie robić?

Fiedosiejew głośno westchnął.

– No dobrze. Ale gdyby pan zmienił zdanie, wystarczy mnie powiadomić. Na dzisiejszą noc zatrzyma się pan w jednym z apartamentów. Zamówię dwa steki. Jeden dla pana, drugi dla pańskiego psa.

Tucker pokiwał głową, wstał i uściśnął mu dłoń.

Na razie takie plany muszą wystarczyć.

Godzina 23.56

Zbudził go świergot telefonu satelitarnego.

Sięgnął po niego na oślep i sprawdził, która godzina.

Prawie północ.

Co teraz? Fiedosiejew nie miał żadnych spotkań przewidzianych na tę noc, więc obaj z Kainem dostali wolne. Czyżby coś się stało? Jurij wcześniej powiadomił go, że zamknięty w areszcie członek Władywostockich Separatystów pękł i wszystko wyśpiewał.

Właśnie dlatego Tucker spodziewał się spokojnej nocy.

Podniósł telefon i spojrział na numer: zastrzeżony. To rzadko wróżyło coś dobrego.

Kain siedział na brzegu łóżka, patrząc na niego.

Tucker odebrał.

– Słucham?

Seria pisków i trzasków sugerowała, że rozmowa będzie filtrowana przez szereg cyfrowych koderów.

Wreszcie usłyszał głos rozmówcy.

– Kapitanie Wayne, cieszę się, że pana złapałem.

Tucker odprężył się, choć nie do końca. Gdy rozpoznał głos, zaczęło w nim narastać podejrzenie. Dzwonił Painter Crowe, dyrektor Sigma Force i człowiek, który próbował go zwerbować po poprzedniej misji. Rola Sigmy w działaniach wywiadowczych i obronnych Stanów Zjednoczonych wciąż pozostawała dla niego tajemnicą, ale jedno wiedział na pewno: Sigma pracowała pod egidą DARPA, supertajnej Agencji Zaawansowanych Projektów Badawczych podlegającej Departamentowi Obrony USA.

Odkaszlnął, żeby nie mówić zaspianym głosem.

– Zakładam, dyrektorze, że pan wie, którą mamy tu godzinę?

– Tak... przepraszam. Ale to ważne.

– Czy tak nie jest zawsze? Co się dzieje?

– Wydaje mi się, że pański kontrakt z Bogdanem Fiedosiejewem zbliża się do końca. Wygasa za dwa dni, o ile się nie mylę.

Tucker powinien być zaskoczony, że Crowe o tym wie, ale przecież ten człowiek miał zatrwajająco duże możliwości zdobywania informacji.

– Dyrektorze, przypuszczam, że nie dzwoni pan po to, żeby uciąć sobie pogawędkę. Może przejdzie pan do rzeczy?

– Potrzebuję przysługi. Pańska rosyjska wiza jest ważna jeszcze przez czterdzieści dwa dni.

– I coś mi mówi, że chce pan mi je zabrać.

– Tylko kilka. Chciałbym, żeby poznał pan naszego przyjaciela.

– Mam dość przyjaciół. Dlaczego ten jest taki wyjątkowy?

Zapadła cisza; trwała zbyt długo. Tucker zrozumiał. Rozmowa była szyfrowana, ale jego pokój mógł być na podsłuchu... znając Rosjan, prawdopodobnie był. Przekazanie wszelkich dalszych szczegółów będzie wymagało podjęcia dodatkowych środków ostrożności.

Tucker skłamałby, mówiąc, że to go nie zaintrygowało.

Podejrzewał również, że przerwa w rozmowie jest sprawdzianem.

Zadając kolejne pytanie, dowiódł, że rozumie potrzebę poufności.

– Gdzie?

– Osiemset metrów od hotelu, automat telefoniczny na północno-wschodnim narożniku Apartamentowca Siwy Koń.

– Znajdę go. Proszę mi dać dwadzieścia minut.

Był na miejscu po osiemnastu. Stał, tupiąc dla rozgrzewki. Używając karty prepaid, zadzwonił na główny numer Sigmy i czekał, słuchając trzasków koderu. W końcu zastąpił je głos Crowe'a.

Dyrektor od razu przeszedł do sedna.

– Jest mi pan potrzebny do wywiezienia z kraju pewnego człowieka.

To proste zdanie niosło mnóstwo informacji. Fakt, że według Crowe'a ten człowiek nie może wyjechać z Rosji na własną rękę, wskazywał na dwie rzeczy.

Po pierwsze, miał dla Sigmy bardzo duże znaczenie.

Po drugie, zwyczajne środki transportu nie wchodziły w rachubę.

Innymi słowy, ktoś nie chciał, żeby ten człowiek opuścił kraj.

Tucker wiedział, że nie powinien pytać, dlaczego musi opuścić Rosję. Crowe był zagorzałym wyznawcą zasady „Powie ci tylko tyle, ile musisz wiedzieć”, ale on miał następne pytanie, na które chciał usłyszeć odpowiedź.

– Dlaczego ja?

– Już pan tam jest, ma pan przykrywkę, a także odpowiednie umiejętności do wykonania tego zadania.

– A pan nie ma nikogo innego pod ręką.

– To też.

– Dla jasności, dyrektorze... to przysługa. Nic więcej. Jeśli próbuje mnie pan nakłonić do dołączenia...

– Ależ skąd! Proszę wydostać naszego przyjaciela z Rosji, na tym koniec. Zarobi pan dwa razy więcej, niż wynosi pańskie

zwykłe honorarium. Na czas misji przydzielę panu oficera prowadzącego. Nazywa się Ruth Harper.

– Poważnie? – Tucker nie przepadał za niespodziankami. – Dyrektorze, przecież pan wie, że nie dogaduję się z ludźmi, zwłaszcza z tymi, których nie miałem okazji poznać.

– Harper jest w porządku. Naprawdę zna się na swojej robocie. Proszę dać jej szansę. Zrobi pan to?

Westchnął. Nie miał wielkiego zaufania do agencji rządowych, ale, jak dotąd, Crowe okazał się wiarygodnym facetem.

– Proszę mi podać szczegóły.

Syberia, Rosja

7 marca, godzina 8.07 czasu miejscowego

Drzwi się przesunęły i do prywatnego przedziału Tuckera wsunęła się głowa w niebieskiej czapce.

– Dokumenty, proszę – polecił konduktor, życzliwym uśmiechem łagodząc swoje żądanie rodem z KGB. Chudy jak szczapa młody człowiek, nie więcej niż dwudziestoletni, miał kruczoczarne włosy sterczące spod wykrochmalonej czapki. Guziki munduru były starannie wypolerowane, co świadczyło o tym, że jest bardzo dumny ze swojej pracy.

Tucker podał mu paszport.

Konduktor przyjrzał mu się uważnie i skinąwszy głową, oddał dokument. Nerwowo spojrział na Kaina. Pies siedział na kanapie naprzeciwko Tuckera, ziejąc z wywieszonym językiem.

– A pańskie zwierzę? – zapytał konduktor.

– Służbowe.

Tucker podał dokumenty Kaina, które dostał dzięki uprzejmości Paintera Crowe'a. Według papierów, jego towarzysz był psem pracującym, wprawnym w wyczuwaniu częstych i wyczerpujących ataków epileptycznych. Oczywiście była to przykrywka, ale konieczna, ponieważ podróżowanie z ważącym ponad trzydzieści kilogramów psem do zadań specjalnych wywołuje zwykle wiele niepożądanych pytań.

Konduktor przejrzał papiery i skinął głową.

– *Da*, rozumiem. Mój kuzyn cierpi na podobną przypadłość. – Znowu popatrzył na Kaina, tym razem z sympatią. – Mogę go

pogłaskać?

Tucker wzruszył ramionami.

– Jasne. Nie gryzie.

Dopóki mu nie każą.

Konduktor ostrożnie podrapał Kaina pod pyskiem.

– Dobry piesek.

Malinois przyglądał mu się obojętnie, tolerując tę poufałość.

Tucker stłumił uśmiech.

Usatysfakcjonowany konduktor wyszczerzył zęby i zwrócił dokumenty.

– Podoba mi się – powiedział.

– Mnie też.

– Gdyby czegoś pan potrzebował, wystarczy powiedzieć, *da?*

Tucker skinął głową, a konduktor wyszedł i zasunął za sobą drzwi.

Za oknem przemykał rosyjski pejzaż, na który głównie składały się ośnieżone drzewa i zabudowania z czasów Związku Radzieckiego. Pociąg wyjeżdżał z Władywostoku, miasta portowego leżącego na końcu tej linii Kolei Transsyberyjskiej, która zaczyna się w Moskwie.

Co nie znaczyło, że Tucker miał jechać tak daleko.

Z powodów, których Crowe nie wyłuszczył, ich „przyjacieli” miał być gotowy do wyjazdu dopiero za tydzień. Po przepracowaniu ostatnich dwóch dni dla Bogdana Fiedosiejewa Tucker wsiadł do pociągu Kolei Transsyberyjskiej i przygotował się na pięciodniową podróż do Permu. Tam miał się spotkać z osobą, która go doprowadzi do celu, niejakiego Awrama Bukołowa.

Wciąż nie miał pojęcia, dlaczego ten człowiek musi opuścić Rosję w ukradkowy sposób, zwłaszcza że był tak znaną osobą. Rozpoznał nazwisko, gdy tylko Crowe je podał przez telefon. Bogdan Fiedosiejew prowadził kiedyś interesy z Bukołowem.

Awram Bukołow był właścicielem firmy Horizon Industries, niekwestionowanym potentatem farmakologicznym w Rosji. Jego twarz często pojawiała się na okładkach czasopism,

występował w programach telewizyjnych; na polu farmaceutyki był tym, kim Steve Jobs, współzałożyciel Apple'a, w dziedzinie komputerów osobistych. Po rozpadzie Związku Radzieckiego dotknięty korupcją rosyjski przemysł farmaceutyczny podupadł z powodu jakości leków i problemów z siecią dystrybucji. Przypuszczano, że tysiące ludzi zmarło z powodu zanieczyszczonych leków albo wadliwych dawek. Dzięki determinacji i odziedziczonemu majątkowi Awram Bukołow powoli i systematycznie nagiął system do swojej woli i stawał się dozorcą rosyjskiej farmacji.

A teraz chciał odejść, porzucając tworzone przez całe życie, warte wiele miliardów dolarów imperium.

Dlaczego?

Co przeraziło go tak bardzo, że postanowił uciec?

Według zaszyfrowanych akt przysłanych przez Paintera Crowe'a, jedyną wskazówką były tajemnicze słowa Bukołowa: „Chcą mnie dopaść generałowie Arzamasu-16”.

Odmówił dalszych wyjaśnień, dopóki nie opuści Rosji.

Tucker kilkakrotnie czytał pliki powiązane z misją. Bukołow znany był z ekscentryzmu i ta cecha wybijała się w każdym przeprowadzanym z nim wywiadzie. Był wizjonerem, który z determinacją i żarliwą pasją dążył do celu. Czyżby w końcu się załamał?

I o co chodzi z tymi generałami Arzamasu-16?

Z notatek dołączonych do akt wynikało, że kiedyś, za czasów Józefa Stalina, istniało miasto Arzamas-16 – radziecki ośrodek badań nad bronią jądrową. Amerykański wywiad nazywał je rosyjskim Los Alamos.

Było jednak tylko jednym z wielu *naukogradów*, czyli pilnie strzeżonych „zamkniętych miast nauki”, które powstawały na terenie Związku Radzieckiego. W takich miejscach pod kierunkiem najwybitniejszych naukowców realizowano ściśle tajne projekty. Podczas zimnej wojny krążyły pogłoski o pracach nad bronią biologiczną, specyfikami pozwalającymi kontrolować umysł i techniką *stealth*, pozwalającą na zmniejszenie

możliwości wykrycia obiektów dotychczas znanymi metodami obserwacji. Tylko że miasto Arzamas-16 już nie istniało.

Zostały tam dwa obiekty powiązane z bronią jądrową, ale co to miało wspólnego z Awramem Bukołowem?

I kim mogli być ci dybiący na niego generałowie?

To nie miało sensu.

Spojrzał na Kaina, a pies machnął ogonem, gotów na wszystko, co mogło się zdarzyć. Tucker usadowił się wygodnie i uznał, że to prawdopodobnie najlepsze podejście.

Po prostu trzeba być gotowym na wszystko.

Moskwa, Rosja

7 marca, godzina 10.42 czasu miejscowego

Zwalisty mężczyzna wyszedł z biurka i usadowił się w fotelu obitym skrzypiącą skórą. Rozmawiał przez telefon, korzystając z zestawu głośnomówiącego. Nie obawiał się, że ktoś go podsłucha. Nikt by się nie ośmielił, zwłaszcza tu.

– Gdzie jest cel? – zapytał. Do jego biura dotarła wiadomość, że jakiś agent, amerykański najemnik z psem, miał udzielić pomocy profesorowi Bukołowowi w opuszczaniu rosyjskiej ziemi.

Nie wolno do tego dopuścić!

– Zmierza na zachód – odparła rozmówczyni po rosyjsku ze szwedzkim akcentem. – W pociągu Kolei Transsyberyjskiej. Wiemy, że jedzie do Permu, ale jeszcze nie ustaliliśmy, czy to jego ostateczny cel podróży.

– Dlaczego sądzisz, że miałyby być inaczej?

– Przeszedł jakieś szkolenie. Intuicja mi mówi, że nie kupowałby biletu do ostatecznego celu. Jest na to za sprytny.

– Pod jakim nazwiskiem podróżuje?

– Nad tym też pracujemy – odparła cierpko Szwedka.

– Gdzie teraz jesteś?

– Jadę do Chabarowska. Chcieliśmy wsiąść do pociągu we Władywostoku, ale...

– Ale was zgubił, *da*?

– Tak.

– Chcę wiedzieć, czy dobrze rozumiem. Zgubiliście gościa z dużym psem. Widział was?

– Nie. Jesteśmy tego pewni. Po prostu jest ostrożny i dobrze wyszkolony. Dowiedział się pan o nim czegoś więcej?

– Niewiele. Próbuję wytropić ślad finansowy, ale wygląda na to, że używa „zdezynfekowanej” karty kredytowej. Więc albo jest kimś więcej, niż się nam wydaje, albo stoi za nim ktoś, kto ma siłę. A może jedno i drugie. Czy przeszukanie hotelu we Władywostoku coś dało?

– Nic. Nie mogliśmy tego zrobić. Jego pracodawca, ten łajdak Bogdan Fiedosiejew, wynajął całe najwyższe piętro. Ochrona okazała się zbyt szczelna. Jeśli zdołamy dotrzeć do Chabarowska przed pociągiem, wsiądziemy do niego. Jeśli nie...

Zapadła cisza. Żadne z nich nie musiało mówić, co się stanie, jeżeli im się nie uda.

Z Chabarowska można było dotrzeć koleją w różne miejsca, również do Chin i Mongolii. Jeśli cel wyjedzie z kraju, trudności związane ze śledzeniem go, zwłaszcza w Chinach, niepomrotnie wzrosną.

Telefon głośnomówiący zatrzeszczał.

– Jeśli używa „zdezynfekowanych” kart kredytowych, powinniśmy założyć, że ma kilka paszportów i dokumentów podróжных. Jeśli ma pan jakichś znajomych w Służbie Granicznej Federacji Rosyjskiej, mogą się przydać. Puścilibyśmy w obieg jego zdjęcie.

Pokiwał głową, ale się nie odezwał.

– Jak pan powiedział – ciągnęła Szwedka – trudno nie zauważyć faceta z dużym psem.

– Zobaczę, co da się zrobić. Wolałbym ograniczyć zakres tej operacji. Dlatego cię wynająłem. Niestety, zaczynam wątpić, czy postąpiłem słusznie. Postaraj się o wyniki, a może zmienię zdanie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Długo się nie odzywała.

– Nie ma obawy – rzuciła w końcu. – Nigdy dotąd nie zawiodłam. Zdobę informacje, których pan potrzebuje, a on będzie trupem, zanim dotrze do Permu.

Syberia, Rosja

7 marca, 18.08 czasu miejscowego

Z głośnika interkomu popłynął komunikat, najpierw po rosyjsku, potem po angielsku: „Następna stacja Chabarowsk”.

Luminescencyjny zielony napis na ścianie nad kuszetką powtórzył wielojęzyczną wiadomość z dodatkową informacją: ODJAZD ZA 18 MINUT.

Tucker zebrał swoje rzeczy i włożył kurtkę.

– Co powiesz na rozprostowanie nóg? – powiedział, klepiąc Kaina po grzbiecie.

Większą część dnia spędził w wagonie i wiedział, że przyda mu się trochę świeżego powietrza. Naciągnął uszanke, przypiął smycz do obroży i otworzył drzwi przedziału.

Ruszył korytarzem za innymi pasażerami zmierzającymi do wyjścia. Kilka osób uniosło brwi, widząc jego niezwykłego towarzysza podróży. Jakaś stateczna *babuszka* obrzuciła go czymś, co mógłby nazwać złym spojrzeniem.

Nie chcąc niepotrzebnie przyciągać uwagi, nie wszedł na dworzec – do bielonej, wyłożonej zielonymi płytkami budowli w stylu Kremla – tylko poprowadził Kaina przez tory kolejowe na porośnięty krzakami spłachetek ziemi otoczony wysokim do piersi płotem, w którym więcej sztachet brakowało, niż zostało.

Gdy Kain węszył i znaczył teren, Tucker spacerował, rozprostowując plecy i nogi. W pociągu nadrobił zaległości w spaniu i musiał się rozruszać.

Po kilku minutach jego uwagę przyciągnął wizg opon i nagła trąbienie przy dworcu. Sznur samochodów zatrzymał się na skrzyżowaniu, gdy ze stacji odjeżdżał pociąg na wschód. Kiedy ostatni wagon z klekotem przejechał przez drogę i szlabany się podniosły, czarne auto wyprzedziło inne pojazdy i popędziło na parking przy dworcu.

Sprawdził godzinę. Pięć minut do odjazdu. Ktokolwiek był w tym aucie, nie miał dużo czasu.

Tucker pozwolił swojemu partnerowi pochodzić jeszcze przez minutę, po czym wrócił przez tory do wagonu. Gdy tylko weszli do przedziału, zziębnięty, ożywiony Kain wskoczył na swoje miejsce.

Ich uwagę przyciągnęło zamieszanie na peronie. Wzdłuż pociągu zdecydowanym krokiem szło trzech mężczyzn w długich czarnych skórzanych płaszczach; zatrzymywali napotkanych konduktorów i pokazywali im coś, co wyglądało na zdjęcie. Żaden się nie wylegitymował.

W głowie Tuckera zabrzmiały ciche dzwonki alarmowe. W pociągu są setki ludzi, powiedział sobie, i na razie wszyscy konduktorzy tylko wzruszali ramionami albo kręcili głowami, gdy obejrzeliby zdjęcie.

Jeden z mężczyzn w skórzanym płaszczu, wyraźnie sfrustrowany, wyjął komórkę i do kogoś zadzwonił. Trzydzieści sekund później dołączyli do niego pozostali. Po krótkiej dyskusji pośpiesznie wrócili na dworzec i zniknęli z pola widzenia.

Tucker obserwował i czekał, ale żaden z nich się nie pojawił.

Odetchnął z ulgą, kiedy lokomotywa zagwizdała i konduktorzy krzyknęli, że pociąg rusza. Dopiero gdy dworzec zniknął w oddali, Tucker usiadł.

Ale wcale się nie uspokoił.

Godzina 19.38

Godzinę później, przepelniony nerwową energią do tego stopnia, że nie mógł usiedzieć w przedziale, poszedł do wagonu restauracyjnego. Wokół niego stały nakryte obrusami stoły, w oknach wisiały jedwabne zasłony, zastawa była z porcelany i kryształu.

On jednak skupiał uwagę wyłącznie na jednym elemencie.

Nigdy nie należał do mężczyzn, którzy pozerają wzrokiem przedstawicielki płci pięknej, ale kobieta siedząca po drugiej stronie przejścia, jeden stolik dalej, rzucała wyzwanie jego dyscyplinie.

Była wysoka i smukła; wąska spódnica i biały kaszmirowy sweter z golfem podkreślały jej figurę. Miała długie, proste jasne włosy, twarz o wysoko zarysowanych kościach policzkowych i niebieskich jak lód oczach. Skubiąc sałatkę i od czasu do czasu sącząc wino, przez większą część posiłku albo czytała podniszczony egzemplarz *Anny Kareniny*, albo patrzyła w okno, za którym nad syberyjskim pejzażem zapadał zmierzch. Raz uniosła głowę, pochwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się – szczerze i uprzejmie, chociaż wyraźnie z rezerwą.

Tucker z łatwością odczytał mowę jej ciała.

Dziękuję, ale wolę być sama.

Po kilku minutach kobieta gestem poprosiła o rachunek, podpisała go, przemknęła obok jego stolika i przeszła do innego wagonu.

Tucker siedział przy kawie dziwnie zawiedziony, zdecydowanie bardziej, niż powinien. W końcu ruszył do swojego przedziału.

Gdy wyszedł na korytarz, zobaczył, że blondynka klęczy na podłodze nad rozsypaną zawartością torebki; niektóre przedmioty z każdym stukotem kół pociągu toczyły się coraz dalej.

Podszedł i przyklęknął obok niej.

– Pomogę.

Ściągnęła brwi, zatknęła za ucho kosmyk jasnych włosów i obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem.

– Dziękuję. Zdaje się, że ostatnio wszystko ode mnie ucieka. –
Mówiła z wytwornym brytyjskim akcentem.

Pomógł jej pozbierać drobiazgi i wstał. Ruchem głowy wskazał
Annę Kareninę.

– Zrobił to kamerdyner, nawiasem mówiąc.

Skonsternowana, zatrzepotała powiekami.

– W bibliotece, gazrurką – dodał.

Uśmiechnęła się.

– Boże... w takim razie czytanie do końca nie ma sensu,
prawda?

– Przykro mi, że zepsułem pani rozrywkę.

– Czytał pan to?

– W ogólniaku.

– I pańskie zdanie?

– Z pewnością nie jest to czytało na plażę. Powieść mi się
spodobała, ale nie na tyle, żeby brnąć przez nią po raz drugi.

– To mój trzeci raz. Chyba jestem masochistką. – Wyciągnęła
rękę. – Jeszcze raz dziękuję...

Ujął jej dłoń. Palce miała miękkie, ale mocne.

– Tucker – przedstawił się.

– Felice. Dziękuję za pomoc. Mam nadzieję, że przyjemnie
spędzasz wieczór.

– Tak, okazał się całkiem przyjemny.

Odwróciła się i ruszyła korytarzem. Po przejściu trzech
metrów przystanęła i bez oglądania się za siebie powiedziała:

– Wiesz, to nie wydaje się uczciwe.

Czekał w milczeniu, dopóki się nie odwróciła.

– Co? – zapytał.

– Psucie zakończenia dobrej rosyjskiej powieści.

– Rozumiem twoje racje. Zakładam, że przeprosiny nie
wystarczą.

– Nie wystarczą.

– W takim razie śniadanie?

Felice ściągnęła brwi, zastanawiając się przez chwilę.

– O siódmej nie będzie za wcześnie?

Uśmiechnął się.

– Do zobaczenia rano.

Pomachała ręką i poszła korytarzem. Patrzył za nią, ciesząc się każdym jej krokiem, dopóki nie zniknęła.

Gdy został sam, otworzył drzwi swojego przedziału. Kain siedział na podłodze i na niego patrzył. Z pewnością słyszał jego głos w korytarzu. Przekrzywił łeb w typowy dla niego sposób, jakby pytał: Co się dzieje?

Tucker z uśmiechem podrapał go między uszami.

– Wybacz, brachu, ona nie ma przyjaciela.

6

Syberia, Rosja

8 marca, godzina 6.55 czasu miejscowego

Przyszedł na śniadanie pięć minut wcześniej i zobaczył, że Felice już siedzi w głębi wagonu restauracyjnego. Przez pewien czas mieli cały wagon wyłącznie dla siebie. Słońce, zapowiadane tylko przez smugę różu nad wschodnim horyzontem, jeszcze nie wzeszło.

Tucker podszedł do stolika i usiadł.

– Widzę, że jesteś rannym ptaszkiem.

– Niestety, od dzieciństwa. Doprowadzałam rodziców do szpitala. Zamówiłam dwie kawy, jeśli nie masz nic przeciwko. Jest ze mnie znacznie lepszy ranny ptaszek, kiedy mam kofeinę w krwiobiegu.

– Więc jest nas dwoje.

Kelner przyszedł z dwoma parującymi kubkami i przyjął zamówienia. Felice wybrała zestaw, który jak najbardziej przypominał obfite angielskie śniadanie. Tucker z aprobatą pokiwał głową, doceniając jej apetyt. Sam wybrał omlet z grzanką z ciemnego pieczywa.

– Jesteś właścicielem tego dużego psa? – zapytała. – Tego, który wygląda na mądrzejszego niż większość ludzi w tym pociągu?

– Nie używam słowa „właściciel”, ale tak. – Opowiedział historyjkę o swoim psie i o atakach padaczki. – Nie wiem, co bym bez niego zrobił.

Przynajmniej to ostatnie było prawdą.

– Dokąd jedziecie? – zapytała.

– Mam bilet wykupiony do Permu, ale jestem elastyczny. Jest tu mnóstwo do zobaczenia. Możemy wysiąść i zwiedzać, jeśli nas najdzie ochota. A ty?

Uśmiechnęła się nieśmiało.

– To zaproszenie?

Odpowiedział wzruszeniem ramionami, które mogło oznaczać potwierdzenie.

Uśmiechnęła się szerzej i zmieniła temat.

– Jadę do Moskwy na spotkanie z przyjaciółmi z czasów studiów.

– Tam studiowałaś?

– Jezu, nie! W Cambridge. Historię sztuki. *Hinc lucem et pocula sacra* i tak dalej. Stąd czerpiemy światło i święte puchary nauki. Łacińska sentencja. Przeintelektualizowana, wiesz. W ubiegłym roku dwie moje przyjaciółki przeniosły się do Moskwy. Urządzamy małe spotkanie.

– Wsiadłaś do pociągu w Chabarowsku?

– Tak. I o mało nie zostałam rozjechana przed dworcem. Przez duży czarny samochód.

– Pamiętam, słyszałem trąbienie, widziałem jakieś zamieszanie.

– Trzech mężczyzn, ubranych jak zbiry ze starej szkoły KGB. Mieli ponure miny. Bardzo chamscy, maszerowali po peronie, jakby należał do nich, i pokazywali swoje odznaki.

Tucker starał się nie marszczyć czoła.

– Wygląda na to, że byli policjantami. Może kogoś szukali.

Lekceważąco siorbnęła kawę.

– Nie mam pojęcia.

– Nie ciebie, prawda? Nie jem śniadania z międzynarodową złodziejką dzieł sztuki?

Roześmiała się, lekko przekrzywiając głowę.

– Rozpracowałeś mnie. Musisz natychmiast zatrzymać pociąg.

Uśmiechnął się.

– W przewodniku jest napisane, że każdy koneser sztuki musi obowiązkowo zobaczyć chabarowską Galerię Fiedotowa. Zwłaszcza absolwenci historii sztuki z Cambridge. Żałuję, że nie wysiadłem z pociągu, żeby tam pójść. Byłaś?

Pokiwała głową i oczy jej rozbłysły.

– Absolutnie oszalamiające. Sama chciałabym mieć więcej czasu. Musisz tam kiedyś wrócić. A jaki jest twój sekret, panie Wayne? Co robisz, kiedy nie włączysz się po Syberii?

– Jestem międzynarodowym złodziejem dzieł sztuki – odparł.

– Tak myślałam.

Poklepał kieszeń marynarki.

– Przepraszam na chwilę – powiedział, wyjął komórkę i spojrzał na ekran. – Dostałem SMS-a od brata.

Ukradkiem zrobił zdjęcie twarzy Felice. Przez kilka sekund wpatrywał się w ekran, udając, że pisze odpowiedź, po czym schował telefon do kieszeni.

– Wybacz. Brat za miesiąc się żeni i poprosił mnie o zorganizowanie wieczoru kawalerskiego. Przyszła żona się zamartwia, że to zbyt ryzykowne.

Felice uniosła wzrok.

– A jest?

– Zdecydowanie.

– Mężczyźni... – rzuciła ze śmiechem, sięgnęła nad stołem i ścisnęła jego przedramię.

Godzina 8.35

Po śniadaniu i spędzeniu pół godziny przy kawie rozstali się, obiecawszy sobie, że spotkają się przy następnym posiłku, przed pożegnaniem w Permie.

Tucker szybko wrócił do przedziału, wyjął telefon satelitarny i wybrał nowy numer, który podał mu Painter Crowe. Ktoś odebrał od razu.

– Tucker Wayne, prawda? – powiedziała kobieta.
– Ruth Harper.
– Zgadza się. – Mówiła zwięźle, precyzyjnie, choć niezupełnie oschle, z lekkim południowym akcentem. – Co dla mnie masz? – zapytała.

– Bez „miło cię poznać” albo „jak się masz”?

– Miło cię poznać. Jak się masz? Wystarczająco ciepło?

– Może być – odparł Tucker.

Chodząc po małym przedziale, próbował sobie wyobrazić, jak Ruth wygląda. Sprawiała wrażenie młodej, ale twardej. Ocenił, że jest po trzydziestce, może pod czterdziestkę. Wiedział, że agenci Sigmy mają za sobą służbę wojskową, i prawdopodobnie ona nie była wyjątkiem. Część tej twardości mogła wynikać z doświadczeń zdobytych za młodu, z dojrzałości osiągniętej pod ostrzałem. Słyszając jej poważny ton, w wyobraźni widział brunetkę w okularach, zmęczoną bojem bibliotekarkę.

Uśmiechnął się w duchu.

– Jak pan ocenia sytuację?

– Sądzę, że ktoś mi siedzi na ogonie.

– Na jakiej podstawie, kapitanie Wayne? – W jej poważnym tonie zabrzmiała nutka wątpliwości.

– Proszę mówić mi Tucker. – Opowiedział o mężczyznach w skórzanych płaszczach na peronie w Chabarowsku i o tym, że, według Felice, pokazywali odznaki.

– A nie pokazywali? – zapytała Harper.

– Nie. Pokazywali tylko zdjęcie. Jestem tego pewien. Poza tym ona twierdzi, że zwiedziła Galerię Fiedotowa w Chabarowsku, która od miesiąca jest zamknięta z powodu remontu.

– Skąd o tym wiesz?

– W pociągu nie ma wiele do roboty poza spaniem i czytaniem prospektów.

– Podejrzewasz ją jeszcze z jakiegoś innego powodu?

– Jest ładna i uważa, że jestem fascynujący.

– O, to bardzo podejrzane. Na pewno jest przy zdrowych zmysłach?

Uśmiechnął się, rozbawiony jej rzeczowym tonem.

– Zabawne – rzucił.

Uznał, że może – tylko może – lubi Ruth Harper.

– Twój akcent... Pochodzisz z Tennessee? – spytał.

Zignorowała tę próbę sondowania, a z irytacji brzmiącej w jej następnych słowach odgadł, że się pomylił co do pochodzenia.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz o tej Felice – poprosiła.

Tucker przekazał jej uzyskane informacje: podał nazwisko, wspomniał o studiach w Cambridge i przyjaciółkach w Moskwie.

– Zrobiłem jej zdjęcie. Zakładam, że wasi spece mają dostęp do programów rozpoznawania twarzy.

– Owszem, mają.

– Już wysyłam.

– W porządku. Odezwę się do ciebie.

Nie czekał długo. Harper oddzwoniła po czterdziestu minutach.

– Masz intuicję – rzuciła bez wstępów. – Ale złapałeś więcej niż ogon. Ona jest najemnikiem, wolnym strzelcem.

– Wiedziałem, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe – mruknął. – Mów dalej.

– Naprawdę nazywa się Felice Nilsson, ale podróżuje pod nazwiskiem Johansson. Szwedzkie obywatelstwo. Ma trzydzieści trzy lata, urodzona w Sztokholmie w zamożnej rodzinie. Studiowała nie w Cambridge, ale na uniwersytecie w Göteborgu, zrobiła magisterium z historii sztuki i muzykologii. A teraz to, co naprawdę jest interesujące. Pół roku po ukończeniu studiów wstąpiła do szwedzkich sił zbrojnych i ostatecznie trafiła do Särskilda Inhämtningsgruppen.

– SIG?

Jako członek amerykańskich sił specjalnych, Tucker musiał znać konkurencję zarówno po stronie sprzymierzeńców, jak i wrogów. Skrót SIG oznaczał szwedzką Specjalną Grupę Rozpoznania. Agentów, doborowych, doświadczonych żołnierzy, szkolono pod kątem zdobywania informacji, rekonesansu i inwigilacji.

– Była tam jedną z pierwszych kobiet – dodała Harper.

– Jaką miała specjalność?

– Snajper.

Super!

– Nalegam, żebyś zachowywał przy niej najwyższą ostrożność.

– Ostrożność? Nigdy bym na to nie wpadł.

Z gardła Harper popłynęło coś, co mogło uchodzić za śmiech, ale dźwięk ucichł tak szybko, że Tucker nie miał pewności.

– Punkt dla ciebie – powiedziała. – Ale nie lekceważ jej. Po sześciu latach służby w SIG złożyła rezygnację. Osiem miesięcy później pojawiła się na radarach wywiadu. Z początku wykonywała drobne zadania jako najemnik, głównie dla grup o ustalonej reputacji. Dwa lata temu stworzyła zespół złożony z byłych członków szwedzkich sił specjalnych i zaczęła działać na własną rękę. Według ostatnich szacunków, ma od sześciu do ośmiu ludzi.

– Znudzona bogata dziewczyna schodzi na manowce – skomentował Tucker.

– Może od tego się zaczęło, ale teraz naprawdę się w tym rozsmakowała. I ma opinię dobrej w swoim fachu. Pozostaje pytanie, kto ją wynajął i dlaczego.

– Masz większe możliwości niż ja, żeby znaleźć odpowiedź. Ale to musi mieć jakiś związek z waszą operacją. W przeciwnym wypadku chodziłoby o osobiście o mnie, a to wydaje się mało prawdopodobne.

– Masz rację.

– I jeśli jest tak, jak myślę, to chyba nie muszę ci mówić, co oznacza fakt, że mam ich na ogonie.

– Mamy przeciek – powiedziała Harper. – Wieści o włączeniu ciebie do akcji musiały dotrzeć do tych, którzy polują na profesora Bukołowa.

– Ale kto ujawnił te informacje? Załóżmy, że nikt z dowództwa Sigmy. Wobec tego kto w Rosji zna mój plan podróży? Kto wiedział, że będę w tym pociągu?

– Jediną osobą posiadającą te informacje jest łącznik, z którym masz się spotkać w Permie.

– Kto to taki?

Nie odpowiedziała i Tucker zrozumiał dlaczego. Gdyby wpadł w ręce Felice Nilsson, im mniej będzie wiedział, tym mniej wyjawiał.

– Zapomnij, że spytałem. Więc źródłem przecieku jest albo mój kontakt, albo ktoś, komu się wygadał.

– Całkiem możliwe – przyznała. – Tak czy siak, zależy im na Awramie Bukołowie. Ale fakt, że panna Nilsson jest w pociągu, a nie szuka twojego łącznika w Permie, coś nam mówi. Że ktokolwiek jej płaci, ma powód, żeby to robić. Nie chodzi o samego Bukołowa. Może o to, co on ma... albo co wie.

– Masz rację. Ci w skórzanych płaszczach... założmy, że to jej ludzie... ogromnie się spieszyli i chyba wiem dlaczego. Następnym przystankiem na trasie jest miasto Czyta, ważny węzeł kolejowy, skąd pociągi odjeżdżają we wszystkie strony. Musieli doczepić się do mnie w Chabarowsku, bo gdyby tego nie zrobili, mogliby mnie zgubić.

– Myślisz, że jej ludzie są w pociągu?

– Nie sędzę, ale będę musiał się rozejrzeć. Zastanawiam się, czy nie urządzili przedstawienia na dworcu, żeby Felice mogła niepostrzeżenie wskoczyć do pociągu.

– W każdym razie można pójść o zakład, że jest z nimi w kontakcie. Mówiłeś, że przed Czytą pociąg się nie zatrzymuje?

– Niestety, nie. – Tucker spojrział na zegarek. – Będziemy tam za jakieś sześćdziesiąt godzin. Sprawdzę trasę. Jeśli pociąg gdzieś zwalnia poniżej pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i teren będzie odpowiedni, możemy wyskoczyć. To najpewniejszy sposób, żeby uwolnić się od Felice.

– Będiesz w górach, Tucker. Uważaj, żeby nie spaść w przepaść.

– Miło wiedzieć, że się o mnie troszczysz.

– Martwię się tylko o psa.

Uśmiechnął się, pełen coraz cieplejszych uczuć do Harper. Obraz zmęczonej bojem bibliotekarki zyskiwał łagodniejsze odcienie, łącznie z błyskiem rozbawienia w jej oczach.

– Co do Felice Nilsson – podjęła – nie zabijaj jej, dopóki nie będziesz musiał.

– Niczego nie obiecuję. Będę cię informował na bieżąco.

Rozłączył się i spojrzał na Kaina, który siedział wyprostowany na miejscu przy oknie.

– Co sądzisz o małej wycieczce po bezdrożach, przyjacielu?

Pies przekrzywił łeb i machnął ogonem.

Jesteśmy jednomyślni.

Gdy pociąg toczył się na zachód w kierunku Czyty, Tucker spędził resztę dnia na spacerowaniu po pociągu; dwa razy wpadł na Felice. Za każdym razem chwilę gawędzili i Felice zręcznie wypytywała go o plany.

Czy jedzie do Permu czy gdzieś dalej?

Co będzie tam robić?

W którym hotelu ma rezerwację?

Odpowiadał wymijająco albo po prostu kłamał, po czym podejmował poszukiwania miejsca odpowiedniego do wyskoczenia z pociągu.

Wbrew temu, co pokazują w hollywoodzkich filmach, nie można po prostu otworzyć okna ani wyslizgnąć się na zewnątrz pomiędzy wagonami. Podczas jazdy wszystkie wyjścia albo są zablokowane bezpośrednio, albo też znajdują się za zamkniętymi drzwiami. Takie zabezpieczenia zostawiały Tuckerowi dwie możliwości. Albo zostanie w pociągu i spróbuje zgubić Felice na dworcu w Czycie, gdzie prawdopodobnie już czekają jej ludzie, albo znajdzie jakiś sposób, żeby otworzyć wyjście i na łeb, na szyję wyskoczyć z pociągu w środku nocy.

Żadna z tych opcji go nie zachwycała.

Ale nie miał kłopotu z podjęciem decyzji, przy której polegał na swoim wojskowym szkoleniu i sposobie myślenia. Podczas służby wbijano mu do głowy prostą maksymę: „Nie reaguj, tylko wykaż się inicjatywą”.

Syberia, Rosja

8 marca, godzina 23.03 czasu miejscowego

Gdy noc ciemniała za oknami przedziału, Tucker kończył przygotowania. Ostatnich kilka godzin dnia spędził na opracowywaniu planu; psychicznie i fizycznie przygotowywał się do realizacji kolejnych jego etapów, mierzył czas i obserwował rutynowe poczynania załogi.

Kiedy był już gotowy, zadzwonił do Harper.

– Dostałaś zdjęcia dokumentów Felice?

Wcześniej wślizgnął się do jej przedziału. Starannie przejrzał bagaż oraz schowki i znalazł cztery paszporty, kilka kart kredytowych i szwedzkie prawo jazdy. Komórką sfotografował wszystkie dokumenty, wymknął się niepostrzeżenie i wysłał zdjęcia do centrum dowodzenia Sigmy. Chciał wiedzieć jak najwięcej o przeciwniczce.

– Tak. Właśnie je przepuszczamy przez nasze bazy danych.

– Miejmy nadzieję, że zanim skończycie, uzyskane przez was informacje już będą nieistotne. – Nie zamierzał być tutaj tak długo. – Za czterdzieści minut pociąg zwolni przed ostrym zakrętem na brzegu rzeki Bjankino.

– Czyli dokładnie gdzie na tej rozległej przestrzeni, jaką jest Syberia?

– Jakieś czterysta osiemdziesiąt kilometrów od Czyty. W pobliżu leży wiele wiosek, a wokół rozciąga się tajga. To oznacza mnóstwo miejsca, żeby się zgubić.

– Zakładam, że nie rozumiesz tego dosłownie. Minusem takiej izolacji jest to, że będziesz miał problem ze znalezieniem środka transportu do Permu, a przynajmniej takiego, który nie przyciągnie uwagi.

– Chyba mam pewien pomysł.

– Znasz powiedzenie „Żaden plan nie przetrwa pierwszego kontaktu z wrogiem”.

Tucker wyobraził sobie twarz Felice.

– Już nawiązaliśmy kontakt z wrogiem. Czas przejść do czynów.

– Twoja decyzja. Powodzenia z...

Ktoś lekko zapukał do drzwi przedziału.

– Mam towarzystwo. Zadzwoń, kiedy będę mógł. Tymczasem nic nie mów naszemu przyjacielowi w Permie, dobrze?

Nie chciał, żeby jego nowy plan podróży, choć improwizowany, wyciekł i trafił do niepowołanych uszu.

– Rozumiem – rzuciła Harper.

Rozłączył się i otworzył drzwi.

Felice oparła się o futrynę.

– Mam nadzieję, że jeszcze się nie kładziesz.

Wyraz jej twarzy sugerował zaproszenie. Niezbyt wyraźne, ale jednak.

Dobrze wyćwiczone, pomyślał.

– Właśnie czytałem Kainowi bajkę na dobranoc.

– Miałam nadzieję, że zjemy razem coś przed snem.

Tucker spojrział na zegarek.

– Wagon restauracyjny jest zamknięty.

Uśmiechnęła się.

– Mam w przedziale tajne zapasy. Moglibyśmy podyskutować o literackiej wartości *Anny Kareniny*.

Nie odpowiedział od razu, więc spojrzała na niego z iskrą w oczach i leciutko uniosła kąciki ust.

Była dobra; nie szczędziła starań, żeby podejść zwierzynek.

– Zgoda – powiedział. – Daj mi dziesięć minut. Gdzie jest twój przedział?

– W następnym wagonie, drugi od wejścia.

Kiedy zamknął drzwi, zwrócił się do Kaina:

– Zmiana planów, brachu. Ruszamy natychmiast.

Pies zeskoczył z siedzenia, a Tucker powoli otworzył drzwi i wyjrzał z przedziału. Na prawo, od strony wagonu Felice, korytarz był pusty. Na lewo przy oknie stała starsza para, patrząc w noc.

Wszedł z Kainem za plecami, zamknął za sobą drzwi i z uprzejmym skinieniem minął dwoje starszych ludzi. Otworzył szklane drzwi łącznika pomiędzy wagonami i wszedł do następnego wagonu sypialnego. Na szczęście tutaj korytarz był pusty.

Zatrzymał się w połowie drogi i przekrzywił głowę. Kain odwrócił łeb i spojrział tam, skąd przyszli.

Gdzieś za nimi otworzyły się i zamknęły drzwi.

– Chodź – rzucił Tucker i poszedł dalej.

Przeszedł przez następny wagon i sięgnął do szklanych drzwi na końcu. Za nimi znajdował się łącznik z wagonem bagażowym.

Gdy dotknął klamki, z drugiego końca korytarza dobiegło:

– Tucker?

Rozpoznał jej głos, ale się nie odwrócił. Rozsunął drzwi.

– Tucker, dokąd idziesz? Myślałam, że jesteście...

Wszedł z Kainem do łącznika i zasunął drzwi. Pies warknął cicho.

Niebezpieczeństwo.

Tucker odwrócił się i napotkał wzrok konduktora, który stał w cieniu z boku łącznika. Natychmiast rozpoznał twarz o twardych, groźnych rysach. Był to członek zespołu Felice. Mężczyzna, który zamienił czarny skórzany płaszcz na mundur konduktora, był równie zaskoczony jak on, ale szybko sięgnął do kieszeni marynarki.

Tucker bez chwili wahania kopnął go w splot słoneczny. Kiedy mężczyzna upadł na drzwi, uderzając w nie głową,

i nieprzytomny osunął się na podłogę, Tucker sięgnął do jego kieszeni i wyjął półautomatyczny pistolet Walter P22; magazynek był pełen, jeden nabój w komorze, bezpiecznik odciągnięty. Zabezpieczył broń i wsunął ją za pas, po czym przeszukał inne kieszenie „konduktora”. Znalazł kółko z kluczami i identyfikator. Zdjęcie nie pasowało do nieruchomej twarzy, ale Tucker wiedział, kogo przedstawia – młodego konduktora, który nieśmiało poklepał Kaina zaraz po tym, jak wsiedli do pociągu. Poczul ukłucie żalu, bo zdawał sobie sprawę, że chłopak prawdopodobnie nie żyje. Felice i spółka szli po trupach.

Zabrał klucze, odwrócił się i zamknął drzwi w chwili, gdy Felice do nich dotarła.

– Co robisz? – zapytała, udając zatroskanie; stała z ręką uniesioną do szyi. – Skrzywdziłeś tego biedaka?

– Nic mu nie będzie. Ale co z prawdziwym konduktorem?

Na ułamek sekundy się zawahała.

– O czym ty mówisz? Po prostu wyjdź i będziemy mogli...

– Gubisz angielski akcent, panno Nilsson.

Jej twarz zmieniła się w jednej chwili, stała się starsza, bardziej ostra.

– Więc jaki ma pan plan, panie Wayne? – zapytała. – Wskoczysz z pociągu i co dalej? Dokąd pójdziesz? Syberia jest piekłem. Razem możemy...

– Zamknij się – warknął.

Umilkła, ale z jej oczu wyczytała nienawiść.

Odsunął się od drzwi i otworzył wagon bagażowy. Wskazał Kainowi kierunek i dotknął jego boku.

– SZUKAJ. KREW. WRÓĆ.

Jego partner potruchtał w mrok. Po dziesięciu sekundach zaskowyczał ostrzegawczo. Wrócił i usiadł, patrząc w głąb wagonu.

Tucker już wiedział, jaki los spotkał pechowego konduktora.

– Wysiadamy – zwrócił się do Felice. – Jeśli dopisze ci szczęście, nikt nie znajdzie zwłok przed Czytą.

– Skąd wiadomo, że to nie ty jesteś zabójcą? Przyłapał cię w trakcie włamania do wagonu bagażowego, zabiłeś go, a potem wyskoczyłeś z pociągu. Jestem świadkiem.

– Jeśli chcesz ściągnąć na siebie uwagę, proszę bardzo.

Tucker odwrócił się, przestąpił nad ciałem jej współnika, wszedł do wagonu bagażowego i zamknął za sobą drzwi.

Kain zaprowadził go do zwłok konduktora, które leżały pod stalową półką. Sądząc z siniaków na szyi, chłopak został uduszony.

– Przykro mi – mruknął Tucker. Włożył kurtkę, rękawice i czapkę, zarzucił plecak na ramiona, przeszedł na tył wagonu i kluczami konduktora otworzył metalowe drzwi. Pęd powietrza pchnął go na bok. Grzechot kół wypełnił jego uszy.

Z Kainem deptającym mu po piętach wyszedł na otwartą platformę, przebiegł przez nią i wszedł do ostatniego wagonu. Otworzył ostatnie drzwi i znaleźli się na kładce z poręczą – na samym końcu pociągu Kolei Transsyberyjskiej.

Pod nimi przemykały tory. Niebo było czyste, czarne, usiane gwiazdami. Po prawej stronie zbocze schodziło do częściowo zamarzniętej rzeki, po lewej wznosiły się zasy. Lokomotywa ciągnęła skład na niewysokie wzniesienie, zwalniając znacznie poniżej średniej prędkości, ale wciąż jechali szybciej, niż Tucker sobie życzył.

Podniósł kołnierz kurtki, chroniąc się przed lodowatym zimnem.

Przy jego kolanie Kain z podekscytowaniem machał ogonem. Nic dziwnego – pies był gotów. Będzie, co ma być. Tucker przyklęknął i ujął jego łeb w obie ręce, przysuwając twarz do psiego pyska.

– Kto jest grzecznym chłopcem?

Kain pochylił łeb i ich nosy się zetknęły.

– Zgadza się. Ty.

Taki mieli zwyczaj.

Prostując się, ale nie puszczając kamizelki Kaina, Tucker zszedł po schodkach. Gdy stanęli na ostatnim stopniu tuż nad

umykającą ziemią, wytknął głowę zza narożnika wagonu. Patrzył do przodu, czekając, obserwując, aż zobaczył wyjątkowo dużą zaspę.

– Gotów, chłopcze? – zapytał. – Zaraz skoczymy. Spokojnie... spokojnie...

Zaspa się przybliżyła. Tucker rzucił plecak w ciemność.

– SKACZ, KAIN! SKACZ!

Pies bez wahania dał susa w noc.

Jego partner odczekał sekundę i zrobił to samo.

Syberia, Rosja

8 marca, godzina 23.24 czasu miejscowego

Tucker natychmiast zrozumiał, że nie wszystkie zasy są takie same, zwłaszcza na Syberii. Po tygodniach tajania i zamarzania powierzchnię tej, w którą skoczył, skuwała gruba na kilkanaście centymetrów skorupa lodu.

Upadł na biodro i miał nadzieję, że się potoczy.

Stało się inaczej.

Przeleciał nad szczytem zasy, pęd poderwał mu nogi nad głowę i zrobił przewrót po drugiej stronie. Wylądował na plecach i zaczął się ześlizgiwać w dół długiej, stromej powierzchni. Uderzając piętami w zlodzony śnieg, próbował wbić łokcie w zaspę, żeby zwolnić, ale bez powodzenia – łokcie ślizgały się po lodzie. Po prawej stronie, zatrważająco blisko, spod śniegu sterczały poszarpane głazy.

Usłyszał dobiegające z góry warknięcie. Wykręcił głowę i zobaczył smukłą sylwetkę Kaina, który pędził galopem w dół zbocza. Po kilku sekundach pies zacisnął zęby na kołnierzu jego kurtki. Przysiadł na zadzie i uniósł łeb, wytężając silne mięśnie grzbietu, żeby utrzymać ciężar.

Niedaleko przed nimi po prawej stronie ze śniegu wyrastało młode drzewko. Pod wpływem impulsu Tucker wyrzucił lewą nogę i zahaczył stopą o pień. Pęd go obrócił i Kain razem z nim zakreślił łuk, zanim obaj zatrzymali się z gwałtownym szarpnięciem.

Wokół panowała cisza.

Tucker leżał w idealnym bezruchu, próbując się zorientować, w jakim stanie jest jego ciało. Chyba niczego sobie nie złamał. Czuł ciężar partnera, wciąż trzymającego w zębach kołnierz jego kurtki.

– Kain? Jak się masz, brachu?

Malinois odpowiedział stłumionym pomrukiem, który Tucker rozszyfrował następująco: *W porządku, ale najwyższa pora, żebyś coś z tym zrobił.*

– Trzymaj się, daj mi chwilę...

Tucker uniósł biodra, wysunął prawą stopę spod pośladka, wyprostował nogę i skrzyżował kostki po drugiej stronie pnia. Zacisnął zęby i podkurczył nogi, podciągając siebie i Kaina w górę, aż mógł sięgnąć do drzewka lewą ręką. Wyciągnął prawą i chwycił kamizelkę partnera.

Pies rozwarł szczęki, puszczał kołnierz, i z pomocą Tuckera, skrobiąc łód pazurami, wdrapywał się wyżej, aż dotarł do drzewka.

Tucker usadowił się za pniem, kilka razy uderzył piętami w łód, żeby zrobić oparcie dla nóg, po czym padł na plecy, by złapać oddech.

Kain liznął jego rękę, jakby chciał mu dodać otuchy.

Tucker usiadł i spróbował zorientować się w otoczeniu. Gdy na łeb, na szyję w niemal zupełnej ciemności sunął w dół, zbocze wydawało się strome. Teraz zobaczył, że nachylenie wynosi nie więcej niż dwadzieścia pięć stopni.

Mogło być gorzej...

Po prawej stronie, piętnaście metrów dalej, linia bezlistnych brzóz i masywnych syberyjskich sosen kręto schodziła w dół zbocza. Daleko w dole ciemniała prostopadła smuga.

Rzeka. Ale jaka? Na każdy naniesiony na mapę strumień i jezioro na Syberii przypadało kilka niezarejestrowanych i nienazwanych. A jednak rzeka oznacza cywilizację. Idź wzdłuż niej, a nieuchronnie gdzieś po drodze natkniesz się na ludzi.

Najpierw jednak trzeba znaleźć plecak. Miał w nim wszystkie zapasy.

Rozejrzał się, wodząc wzrokiem po śniegu. Nic. Było za ciemno, żeby dostrzec szczegóły. Niczym niehamowany plecak mógł się stoczyć do rzeki, zabierając ze sobą wszystko, czego Tucker potrzebował, żeby przeżyć w tym surowym klimacie.

Pozostała mu tylko jedna nadzieja: skorzystać z czyichś bystrzejszych oczu.

Popatrzył na Kaina.

– PLECAK, SZUKAJ – polecił.

Na szczęście słowo „plecak” należało do słownika jego partnera. Kiedy podróżowali, Tucker miał w plecaku większą część swojego doczesnego dobytku i ekwipunek umożliwiający przeżycie.

Po dwudziestu sekundach pies zaskamlał cicho.

Tucker wykręcił szyję i prześledził kierunek jego spojrzenia, w górę zbocza i w bok, ku linii drzew. Nawet z pomocą partnera wypatrzenie plecaka zajęło mu kolejne trzydzieści sekund: zaklinował się w rozwidleniu białego pnia brzozy.

Podniósł się na kolana, lewą ręką chwycił obrozę Kaina i zaczął się przesuwac w kierunku drzew, noskami butów kopiać lód. Posuwali się wolno, tracąc zbyt wiele czasu. W połowie drogi się zorientował, że jego partner wcale nie potrzebuje pomocy. Pazury psa wbijały się w śnieg jak kolce raków.

Współpracując, dotarli do lasu. Pod sosnami i brzozami leżała warstwa miękkiego śniegu. Zostawił Kaina opartego o pień, a sam zaczął się wspinać w kierunku drzewa, na którym zatrzymał się plecak.

W dali trzasnęła gałąź.

Hałas poniósł się w nocnej ciszy i ucichł.

Tucker zamarł. Skąd napłynął ten dźwięk?

Z góry, ocenił.

Przesunął się powoli, chwycił najbliższy pień i płasko padł na ziemię. Spojrzał w górę, wypatrując ruchu. Po dziesięciu sekundach ciszy usłyszał charakterystyczny odgłos: stłumiony chrzęst śniegu pod butem.

Wyteżał słuch, gdy zapadła cisza – i po chwili usłyszał następny krok.

Gdzieś nad nim ktoś się poruszał – nie szedł normalnym krokiem, tylko się skradał. Albo myśliwy, albo Felice. Jeśli ona, to była bardziej niebezpieczna, niż przypuszczał. W ciągu piętnastu minut, jakie minęły od wyskoczenia z pociągu, musiałyby określić ich pozycję, znaleźć miejsce, z którego mogłaby wyskoczyć, i wrócić tutaj biegiem.

Uznał, że to możliwe, ale takie tempo świadczyłoby o jej wybitnych umiejętnościach jako tropiciela.

Lecz nie miał przecież pewności, że to ona?

Obrócił głowę. Sześć metrów niżej Kain leżał na brzuchu, na wpół zagrzebany w miękkim śniegu. Wpatrywał się w niego, czekając na rozkazy.

Tucker dał mu znak wolną ręką: *wejdź głębiej w las i przycupnij.*

Pies ruszył bezgłośnie i po paru sekundach zniknął z pola widzenia.

Jego partner tymczasem skierował uwagę z powrotem na intruza. Kopiając łokciami i kolanami, zagrzebał się w puszystym śniegu, tak że widać było tylko oczy. Minęły dwie minuty. Pięć. Wciąż słyszał kroki zbliżające się w powolnym, lecz miarowym tempie: krok, pauza... krok, pauza. Wreszcie zza drzewa wyłoniła się mroczna postać, przystanęła i kucnęła.

Była smukła i wysportowana, w dopasowanej ciemnej kurtce o zbyt nowoczesnym, zbyt wojskowym kroju. Zdecydowanie nie był to miejscowy myśliwy. Głowa się obróciła i w świetle gwiazd załśnił kosmyk jasnych włosów, który wysmyknął się spod ciemnej wełnianej czapki.

Zalśniły nie tylko włosy.

Nad ramieniem sterczała lufa karabinu. Jak ta dziewczyna przemyciła karabin snajperski do pociągu? Zdjęła broń z ramienia i przytuliła ją do piersi.

Skradała się dwanaście metrów wyżej, na prawo od niego. Jeśli nie zmieni kierunku, znajdzie się kilka kroków od plecaka.

Niedobrze. Tucker wiedział, że bawi się w kotka i myszkę ze snajperem wyszkolonym przez SIG. Wyjście było jedno, choć niełatwe do wykonania: zabić Felice, póki wciąż ma po swojej stronie element zaskoczenia.

Z przesadną powolnością sięgnął za pas i wyjął skradziony P22. Przesunął pistolet w górę i skierował lufę w Felice. Wycelował w tułów, odbezpieczył i położył palec na spuście.

Tego, co się stało, nie mógł wytłumaczyć inaczej, jak intuicją żołnierza, bo Felice, wciąż w półprzysiadzie, cofnęła się i zniknęła za pniem drzewa.

Cholera.

Pewnie trzymał pistolet, czekając na czysty strzał, ale ukradkowe odgłosy sugerowały, że dziewczyna wraca na górę, wykorzystując osłonę, jaką zapewniały jej drzewa. Po pięciu minutach kroki ucichły, ale domyślał się, jaki Felice ma plan. Zamierzała wejść głębiej w las i zająć go z boku. Z pewnością założyła, że jeszcze nie dotarł do rzeki i że nic nie wie o jej obecności. Urządzi zasadzkę daleko w dole i będzie czekać.

To będzie długie czekanie, pomyślał Tucker.

Dał jej jeszcze pięć minut forów, schował pistolet, wydostał się z wykopanej jamy i poczołgał w kierunku plecaka. Dotarł do drzewa, chwycił za szelkę i przyciągnął go do siebie.

A potem zamarł i nasłuchiwał.

Cisza.

Zarzucił plecak na ramiona i wyciągnął rękę tam, gdzie zniknął Kain. Dał mu znak, mając nadzieję, że partner postępuje zgodnie ze szkoleniem i ma go w zasięgu wzroku.

Wróć, zasygnalizował.

Czekał, ale nie trwało to długo. Usłyszał ciche stąpanie. Wykręcił szyję i zobaczył Kaina siedzącego na śniegu. Wyciągnął rękę, położył na jego karku i potarł go uspokajająco.

– ZA MNĄ – szepnął mu do ucha.

Razem zaczęli powolną wspinaczkę w kierunku linii kolejowej.

Godzina 23.50

Wdrapywanie się na nasyp trwało dłużej, niż przypuszczał, a na szczycie odkrył, że trzy razy wyższa od niego stroma skarpa uniemożliwia zejście na tory. Postanowił spróbować znaleźć miejsce, gdzie wyskoczyli z pociągu, i tam zejść do torów.

Zdażył zrobić tylko jeden krok po zdradliwej, oblodzonej powierzchni, kiedy poczuł, że coś się przemieszcza pod butem. Zdażył pomyśleć, że to kłoda, ale nie miał czasu zareagować. Gruby jak udo kawał pnia pogrzebany pod kilkoma centymetrami śniegu, unieruchomiony przez warstwę lodu, uwolnił się pod jego ciężarem i potoczył na dół, pociągając go ze sobą wraz ze śniegiem.

Lawina.

Tucker, wiedząc, że Kain będzie próbował go złapać, pchnął go w bok.

– UNIK! – syknął.

Komenda przeważyla nad instynktem, który nakazywał psu go chronić, i po chwili wahania malinois skoczył pod osłonę drzew.

Tucker wiedział, że wpadł w poważne tarapaty. Zsuwający się śnieg zasypał go i spychał coraz szybciej w dół zbocza. Z plecakiem chroniącym go przed koziołkowaniem, młócił rękami i nogami, próbując wydostać się na powierzchnię śnieżnej fali; chciał wykorzystać jej pęd, ale niewiele mu to dało. Robiąc, co w jego mocy, żeby przeżyć, wbił łokieć w śnieg i napał całym ciężarem ciała. Przekręcił się na brzuchu, żeby sunąć głową naprzód.

Pięćdziesiąt metrów dalej połyskiwała rzeka. Widział czarną nieruchomą powierzchnię. Przy odrobinie szczęścia będzie zamarznęta. Jeśli nie, już po nim.

Jego umysł pracował na najwyższych obrotach.

Gdzie jest Kain? Gdzie jest Felice?

Bez wątpienia słyszała schodzącą małą lawinę – ale czy widziała go w skotłowanym śniegu? Ułamek sekundy później

poznał odpowiedź. W dole po prawej stronie, w kępie krzaków nad rzeką, dostrzegł pomarańczowy błysk.

Błysk z lufy.

Szybki zjazd przynajmniej sprawił, że Felice chybiła. Drugi strzał będzie celniejszy. Trzeci go zabije. Tucker sięgnął do kieszeni, nie bez kłopotów wyjął P22 i wycelował w kierunku miejsca, w którym dostrzegł błysk.

Poczuł pieczenie na karku.

Drasnęła go kula.

Ignorując ból, dwa razy nacisnął spust, strzelając na chybił trafił, ale z nadzieją, że to zniechęci snajpera.

Uderzył w nadrzeczny wał i wyleciał w powietrze. Serce podeszło mu do gardła. Kilka sekund później padł brzuchem na lód, odbił się i potoczył po powierzchni. Wpadł na sterzące z lodu pnie drzew i zatrzymał się gwałtownie, czując ból w kościach.

Chwytając powietrze, przekręcił się na bok i, obolały, zwalczył pragnienie skulenia się w kłębek.

Machnął rękami po lodzie, szukając pistoletu, który wypadł ze zziębniętych palców w chwili upadku.

Gdzie...?

Zauważył go. P22 leżał na wyciągnięcie ręki w płataninie gałęzi. Sięgnął po niego, lecz w tym momencie lód eksplodował przy jego palcach. Tucker poczuł na twarzy pieczenie od jego odłamków. Strzał zabrzmiał jak stłumiony trzask łamanej gałęzi. Felice Nilsson używała tłumika.

– Nie waż się ruszyć! – zawołała. Jej głos dochodził gdzieś z prawej strony.

Wykręcił szyję i ją zobaczył. Klęczała na brzegu rzeki, dwanaście metrów dalej, z karabinem przyciśniętym do ramienia. Z takiej odległości mogła mu wpakować kulę prosto w dziurkę ucha.

Zamiast to zrobić, lekko przesunęła lufę, co oznaczało rezygnację ze śmiertelnego strzału; najwyraźniej chciała go

zranić. Tucker widział jej ciemną sylwetkę w odbitej od śniegu księżycowej poświacie.

– Powiedz mi, gdzie miałeś się spotkać z Bukołowem – zażądała.

Powoli oderwał rękę od lodu.

– Ostrożnie! – warknęła. – Bo ci ją odstrzelę. Możesz być tego pewny.

– Jestem – odparł, unosząc dłoń, jakby błagał Felice o zachowanie spokoju. Wskazał na nią palcem.

– Co ty...

Obrócił rękę, kierując palce w dół.

– Żegnaj, Felice – wycodził przez zaciśnięte zęby.

Chwilę wcześniej dostrzegł skradającego się Kaina, ledwie ruch cienia w blasku księżyca. Pies zrozumiał prosty sygnał.

Atak.

Kain zmniejsza odległość, w ostatniej chwili przysiada na zadzie.

Podążył tropem kobiety, pochwyciwszy w lesie jej zapach, wyraźnie różniący się od tego pozostawionego przez jelenie i króliki. Zna go z pociągu, pamięta nienawiść w jej głosie. Słyszy stłumiony huk strzałów karabinowych i ostrzejszy trzask pistoletu.

Jego partner jest w niebezpieczeństwie.

Kain jest skupiony tylko na jednym – na komendzie.

UNIK.

Dlatego pozostaje w ukryciu. Gdy schodzi coraz niżej w kierunku wody i trzeszczącego lodu, czuje zapach prochu i rozgrzanej skóry.

Tam, za kobietą, wyczuwa swojego partnera na lodzie. Zaniepokojony, tłumi skowyt i czeka na przywołanie.

Dostrzega ruch.

Ręka się unosi.

Widzi wydaną komendę.

Posłusznie ją wykonuje.

Kobieta się odwraca. Z jej skóry promieniuje strach. W trakcie obrotu lufa karabinu lekko opada.

Kain to widzi, pręży mięśnie, odbija się od lodowej tafli i skacze wysoko w powietrze.

Tucker patrzył, jak Kain uderza w Felice niczym futbolista i zaciska szczęki na jej ramieniu. Oboje upadli na lód. Wrzasnęła i machnęła rękami, ale nie puściła karabinu.

Snajper do samego końca, pomyślał. Strać karabin, a stracisz życie.

Chciał się podnieść, gotów pomóc partnerowi, gdy nagle pod sobą usłyszał ostry trzask. Zobaczył ryse, która zygzakiem sunęła od niego w kierunku Kaina i Felice. Ze szczeliny trysnęła ciemna, lodowata woda.

– Felice, przestań się miotać! – krzyknął. – Leż spokojnie!

Spanikowana, głucha na ostrzeżenie, wciąż się szamotała, lewą ręką ściskając kolbę karabinu.

Tucker podniósł się na kolana i wstał. Tafla lodu poruszała się pod nim, przechylała. Pobiegl, balansując na kołyszących się krach. Skakał z jednej na drugą, spiesząc w kierunku Kaina i Felice.

Rysa dotarła do nich pierwsza i nagle otoczyła ich pajęczyna pęknięć. Lód otworzył się z szumem, kobieta razem z psem wpadła do wody.

Słyszając w uszach dudnienie serca, Tucker biegł dalej. Pięć metrów od otworu rzucił się na brzuch i sunął po lodzie, wyciągając ręce, próbując rozróżnić dwie sylwetki miotające się w lodowatej wodzie. Zobaczył białą rękę wyciągniętą na lód, a potem łeb Kaina wynurzył się z pyskiem uniesionym ku niebu.

Pies prychnął.

Ślizgając się równolegle do dziury, Tucker złapał za jego kamizelkę, szarpnął i wyciągnął przemoczone zwierzę z wody.

Kątem oka zobaczył wystający z rzeki karabin z lufą obracającą się w ich stronę.

Nawet teraz Felice nie zrezygnowała z walki.

Wysunęła na lód zakrwawioną rękę, wsparła na niej karabin i próbowała wycelować.

Tucker przekręcił się na bok i odepchnął obcasem, obracając się na biodrze. Zamachnął się drugą nogą i kopnął w lufę, tak że karabin przeszorował po lodzie w śnieg na drugim brzegu rzeki.

Felice szaleńczo zamachała rękami, osunęła się do wody i zniknęła, uniesiona przez prąd.

Tucker, czołgając się z partnerem do brzegu, co chwilę spoglądał na powstały w lodzie przeręb, jakby się spodziewał, że lada moment zobaczy Felice. Dopiero po dwóch minutach nabrał pewności na tyle, by powiedzieć:

– Chyba już po niej.

Czuwał jednak na brzegu, palcami badając ranę na karku. Była wąska, ale dość głęboka. Kain otrząsnął się, wyrzucając w powietrze fontanny lodowatej wody, po czym machnął ogonem, żeby pozbyć się ostatnich kilku kropel.

Tucker sprawdził, czy partner nie został ranny, i został za swoje starania nagrodzony ciepłym liźnięciem w zimny policzek. Nietrudno mu było zrozumieć psią wiadomość: *Cieszę się, że żyjemy.*

– Wiem, brachu, ja też – mruknął.

Zdjął plecak, rozpiął boczną kieszeń i wyjął apteczkę. Obmacując ranę palcami jednej ręki, drugą wycisnął z tubki gruby wałek kleju chirurgicznego. Ścisnął brzegi rany i zgrzytnął zębami, gdy poczuł pieczenie.

Przebiegł go dreszcz. Kain też trząsnął się z zimna. Mróz potęgował skutki przemoczenia. Groziła im hipotermia.

– Idziemy – powiedział Tucker, gotów ruszyć w drogę, ale najpierw musiał coś zrobić.

Przeszedł pięćdziesiąt metrów w dół rzeki, znalazł miejsce, gdzie lód był nienaruszony i gruby. Tutaj tafla z łatwością utrzymała jego ciężar, pozwalając mu bezpiecznie przejść na drugą stronę. Wrócił po karabin Felice i obejrzał swoją zdobycz. Był to niemiecki karabin snajperski PSG-90, wariant D. Sprawdził, czy broń nie została uszkodzona, po czym szybko rozłożył ją na

cztery części, z których żadna nie miała więcej niż czterdzieści pięć centymetrów długości.

– Teraz musimy się rozgrzać.

Znaleźli kępę drzew i rozbili tymczasowy obóz. Ptasie gniazdo i kilka pasków brzozonej kory posłużyły jako idealna rozpałka. Po kilku minutach huczały płomienie.

Zdjął z Kaina kamizelkę i powiesił ją przy ogniu, żeby wyschła.

Pies bez słowa zachęty położył się obok ogniska i mruknął z zadowoleniem.

Wygodnie usadowiony i rozgrzany Tucker spojrział na GPS, żeby określić położenie.

– Pora się dowiedzieć, w jak wielkim jesteśmy bagnie – mruknął.

Z mapy wyczytał, że niedaleko leżą dwie wioski, Borszowniki i Bjankino. Kusilo go, żeby ruszyć do którejś z nich, ale zarzucił ten pomysł. Felice była sprytna. Z pewnością po wyskoczeniu z pociągu zdała raport swoim ludziom albo zleceniodawcy. Jeśli tak, dwie pobliskie wioski będą pierwszymi miejscami, które odwiedzi oddział poszukiwawczy.

Z tysięcy zasad, które armia mu wbiła do głowy, jedna idealnie pasowała do obecnej sytuacji: „Unikaj miejsc, w których wróg spodziewa się ciebie znaleźć”.

Dlatego poszerzył obszar poszukiwań na mapie. W odległości nieco ponad piętnastu kilometrów na północnym wschodzie leżało miasteczko Nerczyńsk. Tam zadecyduje, jak dotrzeć do Permu i osoby, z którą ma się spotkać.

Spojrzał na psa, na mrugające gwiazdy.

Miałby ochotę zrezygnować z tej misji.

Ale została przelana krew.

Przypomniał sobie szarą twarz zabitego konduktora, jego uśmiech, radość, gdy głaskał Kaina. Odpowiedzialność, którą obudziło w nim to wspomnienie, przywiodła mu na myśl motto wbijane do głowy każdemu rangerowi: „Przejmij inicjatywę i wypełnij misję”.

Właśnie to zamierzał zrobić.

Nerczyńsk, Syberia

9 marca, godzina 17.44 czasu miejscowego

Wędrówka do Nerczyńska szybko stała się mozolna.

Porośnięte lasami góry powoli ustępowały niskim, zasłanym śniegiem wzgórzom, które opadały ku dolinie rzecznej na wschód od Nerczyńska.

Przez pierwszą połowę drogi brnęli w wysokim po uda śniegu wśród zasp dwa razy wyższych od Tuckera. Wczesnym popołudniem zerwał się silny wiatr, który znajdował każdą możliwą szczelinę, żeby się wcisnąć pod kurtkę i mrozić Tuckera do szpiku kości. Kain natomiast był w siódmym niebie, gdy przedzierał się przez puszysty śnieg; od czasu do czasu wyskakiwał na powierzchnię z błyskiem w oczach i wywieszonym językiem.

Tylko dwa razy dostrzegli oznaki życia. Najpierw myśliwego, który szedł w dali wzdłuż skraju lasu, a później zardzewiały transporter opancerzony z lat pięćdziesiątych, z terkoczącym silnikiem Diesla, wiozący wąską drogą do Nerczyńska dziesiątki roześmianych dzieci.

Wreszcie, osiem godzin po wyruszeniu z obozu i kilka godzin przez zachodem słońca, wspięli się na wzgórze i ujrzeli pierwsze oznaki cywilizacji: białą cerkiew ze złotą kopułą i mały cmentarz otoczony rozpadającym się płotem. Większość okien cerkwi była zabita deskami, a dach zapadł się w kilku miejscach.

Tucker znalazł bezpieczne miejsce za niedalekim głazem i wyjął lornetkę. Kilkaset metrów na wschód od kościoła

zaczynało się skupisko pomalowanych w pastelowe odcienie błękitu, żółceni i różu domów o dwuspadowych asymetrycznych dachach. Miasto wydawało się spokojne; wypatrzył tylko garstkę przechodniów i kilka kanciastych samochodów, które jeździły z klekotem po oblodzonych ulicach, wyrzucając chmury spalin.

Skierował lornetkę za miasteczko i przyjrzał się ukształtowaniu terenu. Na północnym zachodzie dostrzegł coś, co wyglądało na zaniedbane lotnisko.

Po dokładniejszym przyjrzeniu się doszedł do przekonania, że to wojskowa baza lotnicza.

Na kilku budynkach i hangarach widniały czerwone gwiazdy rosyjskich sił powietrznych. Czy baza była opuszczona? Skupiając szkła na hangarach, z zadowoleniem zobaczył, że pod drzwiami nie ma zasp – ktoś najwyraźniej dbał o to miejsce. Tuckerowi zaświtała nadzieja, że może jest tam sprawny samolot.

Skierował uwagę z powrotem na miasto; wypatrując motelu albo sklepu wielobranżowego. Spostrzegł żołnierza w oliwkowoburym szynelu, stojącego na rogu ulicy i palącego papierosa. Nie był to weteran, ale ktoś pełniący czynną służbę. Miał schludny, czysty mundur i prosto osadzoną czapkę. Mężczyzna rzucił niedopałek, odwrócił się i ruszył w głąb bocznej ulicy.

– Skąd się tu wzięłeś? – mruknął Tucker.

Patrzył, przesuwając lornetkę w kierunku, w którym, jak przypuszczał, zmierzał żołnierz, i nagle zauważył pewną anomalię. Nad dachem budynku na skraju miasta wystawał wirnik śmigłowca, dużego – na tyle wysokiego, że w porównaniu z nim zasłaniający go budynek wydawał się mały. Cętki szarej farby wskazywały, że to wojskowa maszyna.

Tucker nie miał pojęcia, co jej obecność może oznaczać, ale tak czy inaczej, musiał znaleźć kryjówkę dla siebie i Kaina. Obaj byli przemarznięci i zmęczeni; zbliżała się noc i temperatura niebawem spadnie poniżej zera.

Przeniósł wzrok na wałącą się cerkiew. Przez trzydzieści minut wypatrywał jakichkolwiek oznak życia.

Nic.

Pod osłoną zasp i drzew ruszył w kierunku cmentarza. Z Kainem u boku przelazł przez płot, podszedł do wejścia cerkwi i nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc szybko wślizgnęli się do mrocznego wnętrza.

Powitała ich fala ciepła wraz z zapachem dymu i gnoju. Na wprost drzwi stał opalany drewnem piecyk i migotliwy pomarańczowy blask nieco rozjaśniał wnętrze. Od piecyka odchodziła metalowa rura.

Tucker, trzymając się blisko drzwi, czekał, aż oczy przywykną do nikłego oświetlenia. W końcu zawołał po rosyjsku:

– *Dobryj wieczier!*

Nie doczekał się odpowiedzi.

Spróbował jeszcze raz, głośniejsz, ale z tym samym rezultatem.

Z westchnieniem ruszył po spłowiałym czerwonym chodniku zwieńczoną kopułą nawą. Za małym ołtarzem na ścianie, z której łuszczyła się złota farba, wisiały ikony i gobeliny. Znalazł tam drzwi, zapewne prowadzące do administracyjnej części cerkwi.

Gdy je otwierał, stare zawiasy zaprotestowały. Zobaczył spiralne schody. Wszedł po nich z Kainem za plecami i trafił do małego biura. Drewniana prycza, szafa i kuchnia wielkości schowka wskazywały, że jest to również pomieszczenie mieszkalne.

Sądząc po zwisających pajęczynach, od miesięcy nikt tu nie zaglądał. Od przechodzącej pod sufitem rury piecyka buchało gorące powietrze.

Takie lokum w zupełności wystarczy.

Zdjął plecak i kurtkę i rzucił na pryczę, gdzie już usadowił się Kain. Przez kilka minut Tucker przeszukiwał kuchenkę, ale nie znalazł niczego z wyjątkiem kilku wyszczerbionych talerzy, zardzewiałej skrzynki z narzędziami pod zlewem i poczerńniętego srebrnego widelca. W szafie wisiał stary połatany szynel z kurzem na ramionach.

– Nie ma jak w domu, co, Kain?

Pies ze zmęczeniem machnął ogonem.

Wygłodzony Tucker szybko przyrządził posiłek złożony z kawy i liofilizowanych racji obozowych w takiej ilości, żeby starczyło dla nich obu. Przez brudne okno mógł podczas jedzenia obserwować miasto. Tutaj każdy obcy rzuci się w oczy – i wzbudzi zbyt wielkie podejrzenia – zwłaszcza ktoś, kto nie mówi płynnie po rosyjsku.

Musiał coś wymyślić.

Po krótkim zastanowieniu przetrząsnął skrzynkę z narzędziami i znalazł szpulkę drutu. Uciął cztery kawałki i używając taśmy samoprzylepnej z plecaka, zrobił z nich prymitywny odpowiednik aparatu ortodontycznego. Wsunął go pomiędzy dolną wargę i dziąsło. Przejrzał się w zaśniedziałym lustrze, obmacując twarz.

Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jakby miał złamaną zuchwę. Uznał więc, że to zapewni mu pretekst, żeby się nie odzywać.

– Pora spotkać się z kimś, kto będzie coś wiedział o lotnisku – powiedział, wypróbowując swoje ustrojstwo. Słowa brzmiały ledwie zrozumiale.

Idealnie.

Ubrał się w zakurzony szynel z szafy, włożył na głowę uszankę i naciągnął ją nisko na brwi.

– Ty zostajesz – rozkazał Kainowi. – Poza zasięgiem wzroku.

Jego partner, najedzony i rozgrzany, nawet nie próbował protestować.

Tucker zszedł po schodach i wymknął się z cerkwi. Przygarbiony, z opuszczonymi ramionami, ruszył ciężkim krokiem błotnistą drogą w kierunku Nerczyńska. Miał nadzieję, że wygląda jak człowiek, który spędził życie na szarych zamrażniętych przestrzeniach Syberii. Pogoda to ułatwiała. Temperatura spadła o kilkanaście stopni. Gęste kłęby pary buchały mu z ust przy każdym wydechu, błoto pod butami było zamrażnięte.

Ulice miasteczka były puste. Z kilku brudnych okien sączył się żółty blask i gdzieś tam migotały neony, ale to wszystko. Tucker dotarł do rogu, gdzie wcześniej widział palącego żołnierza. Starając się odtworzyć jego trasę, znalazł się o przecznicę od śmigłowca.

Przyjrzał mu się ukradkiem.

Zdecydowanie była to wojskowa maszyna: śmigłowiec szturmowy Mi-28, w oznaczeniu NATO – Havoc. Znał na pamięć jego dane techniczne. Miał dwa pylony na pięćdziesiąt rakiet, a także zamontowane na wieżyczce działko kalibru 30 mm.

Ale na pomalowanym w szaro-czarny zygzakowaty wzór śmigłowcu Tucker nie dostrzegł rosyjskich emblematów. Nie rozpoznał oznakowań. Być może śmigłowiec należał do FSB, Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, dawnego KGB. Ale co taka jednostka miałaby robić tutaj, na takim zadupiu?

Znał najbardziej prawdopodobną odpowiedź.

Szukają mnie.

Zza wirnika na ogonie wyszły dwie osoby. Jedna miała mundur, a druga cywilne ubranie.

Tucker wycofał się, ale zdążył zobaczyć naszywkę na mundurze. Pięć promieniście rozchodzących się czerwonych ząbkowanych płatków na czarnej tarczy.

Nie miał racji.

Ci ludzie byli nie z FSB, lecz z GRU. Głównie Razwiedywatielnoje Uprawlienije, wywiad wojskowy rosyjskiego Ministerstwa Obrony, do tajnych operacji prawie wyłącznie używał komandosów Specnazu – elity imponującej rodziny rosyjskich sił specjalnych.

Jeśli rzeczywiście szukają mnie...

Tucker zawrócił, wiedząc, że musi jak najszybciej zniknąć z tego regionu – a poza tym był spóźniony na rozmowę z Ruth Harper.

Godzina 19.55

Błąkał się po ulicach, dopóki nie znalazł prowadzącej ożywione interesy gospody. Nie rozszyfrował znaczenia neonowego napisu nad drzwiami, w cyrylicy, ale gromki śmiech i zapach piwa stanowiły wystarczającą reklamę lokalu.

Było to miejsce dobre jak każde inne, żeby zacząć.

Poświęcił chwilę na sprawdzenie, czy proteza jest na swoim miejscu, zrobił głęboki wdech i wszedł.

Fala gorąca, dymu papierosowego i potu uderzyła go niczym pięść. Powitał go gwar rozmów okraszanych wybuchami śmiechu i przekleństwami. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Tucker skulił ramiona i lawirował w tłumie, zmierzając w kierunku, w którym, według niego, znajdował się bar. Przepychając się, od czasu do czasu mamrocąc przeprosiny, dotarł do długiej lady z nieheblowanych sosnowych desek.

Barman, o dziwo, od razu zauważył nowego klienta, podszedł i zagadał. Tucker uznał, że pyta, co mu podać.

Zamamrotał w odpowiedzi.

– Że co?

Odchrząknął i wybełkotał coś niezrozumiale.

Barman pochylił się, nadstawiając ucha.

Tucker szerzej otworzył usta i pokazał aparat, udając, że uderza się pięścią w szczękę, a potem ze zmęczeniem wzruszając ramionami, zakończył pantomimę.

Gdy barman pokiwał głową na znak, że rozumie, Tucker wskazał kciukiem stojące w pobliżu piwo. Po chwili miał przed sobą świeżo napełniony kufel z pianą przelewającą się nad krawędzią. Podał barmanowi banknot i schował resztę do kieszeni.

Omyła go fala ulgi. Jeśli nikt nie spróbuje go wciągnąć w rozmowę, może się udać.

Niezdarnie sącząc piwo przez zaimprovizowany aparat, zaczął wypatrywać żołnierzy. Znalazł kilkunastu, ale ich sfatygowane mundury świadczyły o tym, że służbę czynną mają

już za sobą. W Rosji wielu weteranów po odejściu ze służby zachowało i nosiło mundury, częściowo z konieczności, a częściowo dla pewnych korzyści. Obywatele zwykle dawali byłemu żołnierzowi monetę albo stawiali mu drinka czy posiłek – nawet jeśli nie z życzliwości, to dla własnego bezpieczeństwa. Lepiej nie dopuścić do tego, żeby zubożali, głodujący zabójcy wałęsali się po ulicach.

Zadowolony, że w barze nie ma komandosów GRU, Tucker skoncentrował się na tym, co interesowało go najbardziej: jak wydostać się z miasteczka i dotrzeć do Permu. Wypatrywał kogoś, kto mógł być powiązany z pobliską bazą lotniczą, ale na próżno. Może będzie musiał sięgnąć po trudniejszy sposób i...

– Masz pięknego psa – odezwał się ktoś przy jego ramieniu. Mówił całkiem nieźle po angielsku, chociaż z wyraźnym rosyjskim akcentem. – Owczarek niemiecki?

Tucker odwrócił głowę i zobaczył niskiego mężczyznę po sześćdziesiątce, z długimi białymi włosami i posiwiałą brodą. W jego oczach połyskiwał ostry błękit lodu.

– Co? – wycharczał Tucker.

– A, rozumiem... Niech zgadnę, jesteś wędrownym bokserem.

Rozejrzał się, czując, jak serce łomocze mu w piersi. Inni goście chyba nie zwracali na nich uwagi.

Nieznajomy pogroził mu palcem i przysunął się bliżej.

– Wiem, że nie jesteś Rosjaninem, przyjacielu. Słyszałem, jak gadałeś do psa w cerkwi. Lepiej chodź ze mną.

Odwrócił się i ruszył przez tłum, który jakby się przed nim rozstępował; klienci z szacunkiem kiwali do niego głowami.

Zdenerwowany, ale nie mając innego wyboru, Tucker poszedł za nim do stołu w kącie gospody, tuż przy kamiennym kominku.

Mieli stolik wyłącznie dla siebie. Starszy mężczyzna spojrzał na niego spod przymrużonych powiek.

– Dobre przebranie, naprawdę. Opanowałeś syberyjski garb... no wiesz, zwieszane ramiona, podbródek przyciśnięty do piersi. Właśnie to zimno robi z człowiekiem, zgina go. Jeśli mieszkasz tu dostatecznie długo, taka staje się twoja postawa.

Tucker milczał.

– Ostrożny z ciebie człowiek. Dobrze, bardzo dobrze. Widziałeś żołnierzy, tak? Ważniaków z Moskwy, z komandosami i śmigłowcem? Pierwszy raz od wielu lat widzimy takich jak oni. I akurat wtedy Amerykanin z wielkim psem rozbija obóz w moim domu. Nie jest to zbieg okoliczności, jak mniemam.

Tucker milczał.

– Gdybym chciał cię wydać, już bym to zrobił – dodał starszy mężczyzna.

Tucker rozważył jego słowa, przyznał mu rację i zdecydował, że pora skorzystać z okazji. Ukradkiem wyjął druty z ust i pociągnął łyk piwa.

– Belgijski malinois – powiedział.

– Słucham?

– Pies pasterski. Nie niemiecki. Belgijski. I dla twojego dobra, lepiej, żeby był cały i zdrowy tam, gdzie go zostawiłem.

– Jest – zapewnił go z uśmiechem nieznajomy, wyciągając rękę. – Jestem Dmitrij.

– A ja...

– Nie mów, jak ci na imię. Im mniej wiem, tym lepiej. Jestem tutejszym popem, moja parafia obejmuje Nerczyńsk i kilka okolicznych wiosek. Mała trzódka, ale ich kocham.

Siwowłosy mężczyzna powiódł wzrokiem po zatłoczonej gospodzie.

Tucker pamiętał, jak klienci okazywali mu szacunek i ustępowali z drogi.

– Bardzo dobrze mówisz po angielsku – zauważył.

– Antena satelitarna. Oglądam amerykańską telewizję. I, oczywiście, dochodzi internet. Co do twojego rosyjskiego, to... no cóż, jest...

– Do luftu. – Tucker błysnął uśmiechem. – Ale skąd wiesz o mnie i o moim psie?

– Byłem na polowaniu i zauważyłem za miastem wasze tropy. Poszedłem za nimi do cerkwi.

– Przepraszam za wtargnięcie.

– Nie ma sprawy. Kościoły prawosławne zawsze pełniły rolę azylów, gdzie można się było ukryć. A skoro już o tym mowa... – Mężczyzna skinął głową w stronę frontowych drzwi. – Zdaje się, że są na twoim tropie.

Tucker wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien, czy ci żołnierze przybyli do miasta z mojego powodu, ale z drugiej strony, nie bardzo wierzę w zbiegi okoliczności.

– Ostatni raz widzieliśmy taką grupę w okolicy przed upadkiem ZSRR. Szukali cudzoziemca, Anglika.

– Co się z nim stało?

– Dopadli go trzy kilometry od miasta, zastrzelili i zakopali. Nie znam szczegółów, ale wiem, że uciekał, jak ty i twój pies.

Tucker zbladł.

Dmitrij klepnął go po ramieniu.

– Masz przewagę, której brakowało temu Anglikowi.

– Jaką?

– Przyjaciela w mieście.

Tucker wciąż był podenerwowany i nie krył niepokoju.

– Znasz powiedzenie, darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby? – odezwał się w końcu.

– Innymi słowy, nie szukaj dziury w całym?

– Mniej więcej.

– Rozumiem twoje obawy – powiedział pop. – Dlatego pozwól, że nie będę owijał w bawełnę i zapytam wprost. Wzniciłeś albo zamierzasz wzniecić zamęt na terenie Mateczki Rosji?

– Nie.

– Skrzywdzisz moja trzódkę?

– Nie, chyba że ktoś spróbuje skrzywdzić mnie.

– *Niet*, oczywiście. – Dmitrij bagatelizująco machnął ręką. – Więc skoro to ustaliliśmy, potraktuję cię po prostu jak zabłąkanego podróżnego, którego te moskiewskie oprychy ścigają za kradzież mydła z hotelu.

– Może być.

– Zawiodłem się na rządzie w latach osiemdziesiątych, kiedy służyłem jako spadochroniarz w Afganistanie. Zabiłem wielu dżihadystów, a armia w nagrodę dała mi wiele błyszczących wstążek. Potem o mnie zapomniano, jak o większości z nas z tamtej wojny, przynajmniej tych, którzy naprawdę przelewali krew. Kocham swoją ojczyznę, ale nie przepadam za rządem. Rozumiesz?

– Bardziej, niż sobie wyobrażasz.

– To dobrze. Właśnie dlatego, mój zbłąkany przyjacielu, zamierzam ci pomóc. Zakładam, że ty i twój bystrooki kolega zauważyliście bazę lotniczą?

– Owszem.

– Umiesz pilotować samolot?

– Nie.

– Ja też nie. Ale mam przyjaciela, który się na tym zna. Co więcej... – Dmitrij rozejrzał się po barze i znalazł to, czego szukał. – Jest tutaj.

Wskazał sosnowy stół przy oknie, gdzie siedziało dwóch mężczyzn.

– Który?

– Nie, nie, pod spodem.

Tucker wyteńczył wzrok i dostrzegł kogoś pod stołem. Mężczyzna siedział rozkraczony, z mocno przekrzywioną głową, żeby się mieścić pod blatem. Strużka śliny ściekała z kącika jego ust na rękaw.

– To Fiodor – powiedział Dmitrij. – Nasz listonosz. Dowozi pocztę.

– Jest pijany.

– Zalany w trupa – zgodził się Dmitrij. – Przecież jest wieczór. Rano będzie trzeźwy. Zdaję sobie sprawę, że to nie do końca rozwiązuje twój problem, bo te moskiewskie łajzy za dnia będą obserwować niebo. Musisz poczekać do jutrzejszego wieczoru. No i musimy dopilnować, żeby Fiodor był jutro trzeźwy dłużej, niż ma to w zwyczaju. – Umilkł i ściągnął brwi. – A to może być

najsłabszym punktem naszego planu... Ale nie martwmy się na zapas.

– Widzę także inne newralgiczne punkty – przyznał się Tucker. – Czy ten Fiodor jest tutaj jedynym pilotem?

– Są inni, tylko że on jest najbardziej doświadczony. I pierwszorzędny z niego przemytnik. Nie samym chlebem Nerczyńsk żyje... jeśli rozumiesz, o czym mówię. Za odpowiednią sumę wywiezie cię spod nosów tych ludzi i nikomu nie piśnie ani słowa. I tak się składa, że uwielbia psy.

Tucker wcale nie czuł się podniesiony na duchu.

Dmitrij dopił piwo i wstał.

– Chodź, zabierzemy go.

Nerczyńsk, Syberia

10 marca, godzina 6.45 czasu miejscowego

Tucker zbudził się przed świtem – żołnierski nawyk. Z jękiem, bo bolały go plecy, a także draśnięty przez pocisk kark, usiadł na wyrku i spuścił bose nogi na podłogę.

Wieczorem razem z Dmitrijem przyholowali pijanego listonosza do cerkwi. Po drodze natknęli się na trzech komandosów Specnazu, ale żaden nie poświęcił im większej uwagi, poza tym, że śmiali się i pokpiwali z ich nietrzeźwego towarzysza. Dmitrij odstąpił swoje łóżko Tuckerowi i Kainowi, a dla siebie i Fiodora rozwinął dwa sienniki.

Tucker rozejrzał się po strychu i zobaczył, że jest sam.

Dwaj Rosjanie zniknęli razem z Kainem.

Tłumiąc panikę, zszedł na dół. Goły listonosz siedział przed piecykiem w kałuży własnego potu. Obok niego stał plastikowy dzbanek do połowy napełniony przezroczystym płynem. Trzeźwy Fiodor wyglądał młodziej, nie na czterdzieści, ale na jakieś trzydzieści pięć lat. Miał ciemne proste włosy, muskulaturę zawodnika amerykańskiego futbolu i cały był owłosiony – porośnięty gęstym futrem jak prawdziwy rosyjski niedźwiedź.

Kain, który patrząc z zaciekawieniem, siedział kawałek dalej, pomachał ogonem na powitanie swojego partnera.

Fiodor podniósł dzbanek, przyłożył do ust i pociągnął długi łyk.

Zwrócił zaczerwienione, zapuchnięte oczy na Tuckera, machnął dzbankiem w jego stronę, i wychrypiał:

– *Wada. Naturalnaja wada.*

Tucker poskładał słowa i zrozumiał.

Tak musiał wyglądać Fiodorowy rytuał trzeźwienia: wysoka temperatura połączona z piciem dużej ilości wody.

– Pop mówi mi lecieć – dodał listonosz w łamanej angielszczyźnie. – Lecieć z twoja w nocy.

Tucker pokiwał głową.

– *Spasiba* – rzucił.

– *Da.* Twój rosyjski zły. – Fiodor złapał się za głowę. – Robi, że boli mnie głowa.

Oj, chyba nie z powodu mojego akcentu, pomyślał Tucker.

– Twój pies piękny. Bardzo, bardzo. Można kupić, proszę?

– Nie, proszę.

Fiodor wzruszył ramionami i wyłopał więcej wody.

– Zamiana lot za pies, *da*?

– *Niet.* Pieniądze.

Zjawił się Dmitrij z naręczem drewna.

– Widzisz, już jest w znacznie lepszym stanie. Omówmy plan – zaproponował. – Będę tłumaczyć. W ten sposób pójdzie znacznie szybciej. – Powiedział coś po rosyjsku do swojego przyjaciela, po czym zwrócił się do Tuckera: – Zabierze cię dzisiejszej nocy, ale musisz mu zapłacić.

– Mów ile.

– Niezbyt dobrze to przetłumaczę, ale najpierw musisz zapłacić mu ekstra za to, że minie go noc pijaństwa. Następnie musisz zapłacić dodatkowo za to, że jesteś cudzoziemcem. I dodać coś jeszcze, bo szukają cię ci z Moskwy.

– Powiedziałeś mu, że mnie szukają?

– Oczywiście, że nie. Fiodor jest pijakiem, nie idiotą.

– Dalej.

– Spodobał mu się twój pies...

– Odpada. Dalej.

Dmitrij powiedział coś do listonosza, po czym zwrócił się do Tuckera z pytaniem:

– Dokąd chcesz lecieć?

Już się nad tym zastanawiał. Prawdopodobnie samolotem Fiodora nie dotrą do Permu. Za daleko. Poza tym nie miał zamiaru zdradzać swojego ostatecznego celu podróży. Najlepiej będzie lecieć do bliższego dużego miasta, takiego, które oferuje liczne możliwości pokonania ostatniego etapu podróży.

– Muszę dotrzeć do Nowosybirsk – odparł.

Dmitrij przetłumaczył słowa przyjaciela:

– Bardzo daleko. Będzie potrzebne mnóstwo paliwa.

Tucker czekał, podczas gdy Fiodor trajkotał, robiąc wielkie przedstawienie z liczeniem na palcach i strojeniem min.

– Dziewięć tysięcy rubli – powiedział w końcu po angielsku.

Tucker z grubsza przeliczył w myślach: dwieście siedemdziesiąt pięć dolarów. Dobry interes. Starając się nie uśmiechać, po chwili namysłu wzruszył ramionami.

– Stoi.

Fiodor splunął w dłoń i wyciągnął rękę, a on ją niechętnie uścisnął.

Godzina 13.15

Po zakończeniu negocjacji Tucker i Kain spędzili przedpołudnie w cerkwi, podczas gdy Dmitrij i Fiodor zajmowali się gromadzeniem zapasów i przygotowywaniem samolotu.

Wczesnym popołudniem pop wrócił z prowiantem i wiadomościami.

– Dowiedziałem się, że w okolicy są jeszcze dwie jednostki GRU.

Tucker odsunął się od żelaznego piecyka.

– Co? Gdzie?

– Na zachód stąd, w Czycie. Ale tutaj żołnierze są rozleniwieni, tylko palą i wylegują się w hotelach.

Czyta?

Był to następny przystanek na trasie Kolei Transsyberyjskiej. Ale co oznaczała obecność GRU? Tucker zastanawiał się nad tym przez chwilę i doszedł do jednego wniosku. Być może to, że ludzie z GRU nie prowadzili aktywnych poszukiwań, tylko się obijali, oznaczało, że Felice nie miała czasu rozpuścić wieści o jego ucieczce z pociągu. Albo liczyła na to, że snajperska kula zatuszuje jej porażkę, zanim zwierzchnicy poznają prawdę.

Co dawałoby mu trochę spokoju. Przynajmniej na razie.

Bo gdy pociąg dotrze do Czyty i wyjdzie na jaw, że on nim nie podróżuje, rozpoczną się prawdziwe poszukiwania.

Wyjął rozkład jazdy pociągów i spojrzął na zegarek. Pociąg dotrze do Czyty za trzy godziny, mniej więcej cztery godziny przed zachodem słońca. A zatem on i Fiodor nie mogli czekać ze startem do zmroku.

– Musimy wylecieć wcześniej – powiedział Dmitrijowi. – Natychmiast, jeśli to możliwe.

– Niemożliwe, przyjacielu. Zbiornik paliwa jest uszkodzony. Fiodor nad nim pracuje.

– Jak długo potrwa naprawa?

– Nie wiem, ale spróbuję się dowiedzieć.

Po wyjściu popa Kain, wyczuwając napięcie partnera, podszedł do niego i oparł się o jego nogę.

Tucker uspokajająco poklepał go po karku.

– Byliśmy w gorszych miejscach.

Niewiele gorszych, ale gorszych, dodał w myślach.

Nastawił timer w zegarku.

Za trzy godzinny, kiedy wyjdzie na jaw, że zniknął z pociągu, w Nerczyńsku zaroi się od polujących na niego komandosów Specnazu.

Godzina 14.36

Gdy godzinę później Dmitrij wpadł do cerkwi, Tucker i Kain na widok paniki na jego twarzy podnieśli się.

– Idą! – krzyknął pop, szybko zamykając drzwi. – Specnaz.

Tucker spojrział na zegarek. Było za wcześnie. Pociąg jeszcze nie dotarł do Czyty.

– Zwolnij i mów, o co chodzi.

Dmitrij wszedł głębiej do pomieszczenia.

– Żołnierze patrolują całe miasto. Nie wygląda na to, żeby działali w pośpiechu, ale jeden tu idzie.

Co oznacza ta nagła zmiana? Gdyby GRU zostało postawione w stan gotowości, żołnierze wyłamywaliby drzwi i wywlekali mieszkańców Nerczyńska na ulice. Może dowódca po prostu próbował przełamać monotonię.

Znudzeni żołnierze to nieskuteczni żołnierze, pomyślał.

Tak czy inaczej, jeden z komandosów właśnie szedł do cerkwi.

Tucker zarzucił plecak i zacisnął paski kamizelki Kaina.

– Tędy – powiedział Dmitrij.

Poprowadził ich w kąt świątyni i ukląkł przed nakrytym obrusem stołem. Przesunął go, zwinął dywanik, po czym podważył nożem myśliwskim część desek. Podniósł klapę, odsłaniając wejście do tunelu.

– Co...?

– Biali, czerwoni... kto może wiedzieć? Wykopano go na długo przed tym, zanim tu nastąpiłem. Wskakuj!

– SKACZ – wydał komendę Tucker i pies bez wahania zniknął w otworze.

Tucker ruszył w ślad za nim i stwierdził, że jest w tunelu, który ma zaledwie metr wysokości.

Dmitrij pochylił się nad otworem.

– Ruszaj. Wyjście jest jakieś dwieście metrów stąd. Potem kieruj się do wschodniej strony bazy i czekaj tam na mnie. Blisko przewróconego fragmentu ogrodzenia stoi szopa. Łatwo ją znaleźć.

Zamknął właz i po chwili, gdy położył dywanik i przesunął stół na miejsce, zniknęła ta odrobina światła wpadającego przez

szczeliny.

Tucker usłyszał zdecydowane pukanie do drzwi cerkwi, a potem kroki popa idącego po drewnianej podłodze i skrzypnięcie zawiasów.

– *Dobryj dzień!* – zawołał Dmitrij.

Do tunelu dobiegła burkliwa odpowiedź, ale Tucker nie czekał, żeby się przekonać, co będzie dalej.

Zgięty w pół, ruszył za Kainem. Po dziesięciu krokach poczuł się na tyle bezpiecznie, że wyjął latarkę i zaświecił w głąb tunelu. Ze ścian wystawały korzenie drzew, strop był oszalowany deskami, jedne były spróchniałe, inne nowe. Wyraźnie ktoś dbał o stan tunelu.

Dla idącego przodem Kaina przemieszczanie się nie było trudne, lecz jego partner musiał iść w takiej pozycji, że wkrótce zaczął go boleć krzyż. Ignorował ból i szedł dalej. Po dziesięciu minutach tunel się skończył przy krótkiej drabinie oplecionej korzeniami.

Wyjście było zamknięte drewnianą klapą. Tucker wszedł na szczebel, przechylił głowę, przycisnął ucho do drewna i nasłuchiwał przez całą minutę. Niczego nie usłyszał. Kucnął obok Kaina i spojrzał na zegarek.

Za godzinę z minutami pociąg dotrze do Czyty.

Wiedział, że zanim to się stanie, on i jego partner muszą już być w powietrzu.

Przypomniał sobie mapę obszaru. Jeśli pop miał rację, wyjście z tunelu powinno się znajdować gdzieś w lesie, dość blisko cerkwi. Baza lotnicza leżała prawie dwa kilometry dalej, za otwartym polem. W normalnych okolicznościach byłby to spacer, ale Tucker zdawał sobie sprawę, że będzie musiał się przedzierać przez głębokie zasy, uważając, żeby ich nie dostrzegli żołnierze na patrolu.

Nie należał do pesymistów, ale teraz nie mógł zbagatelizować czystej logistyki.

Nigdy się nam nie uda.

Nerczyńsk, Rosja

10 marca, godzina 14.48 czasu miejscowego

Przykucnął obok Kaina i ostrożnie zamknął właz. Wyłonił się z tunelu pod osłoną nisko zwieszonych konarów sosny i na wszelki wypadek zasypał klapę świeżym śniegiem, żeby zamaskować wejście. Dopiero wtedy wydostał się spod gałęzi na otwartą przestrzeń.

Kain otrząsnął się ze śniegu.

– Gotów na małą przebieżkę? – zapytał Tucker, zdając sobie sprawę, że czas płynie nieubłaganie. Wskazał na wschód ku skrajowi lasu.

– ZWIAD.

Kain ruszył i skakał w śniegu, przecierając szlak.

Tucker potruchtał za nim.

Zważywszy na warunki, posuwali się względnie szybko – w godzinę pokonali ponad kilometr. Tucker mógłby iść szybciej, ale musiał się kryć, trzymać za wierzchołkami zasp, żeby go nie zobaczył nikt z miasta. Nie była to pora odpowiednia na spotkanie z ludźmi ze Specnazu.

Gdy dotarli do kępy brzoź, kilkaset metrów od bazy, poczuł wibrowanie zegarka na nadgarstku.

Odliczanie dobiegło końca.

Skrzywił się, wyobrażając sobie pociąg wjeżdżający na stację w Czycie.

Ile minie czasu, zanim ktoś się zorientuje, że nie ma mnie w pociągu?

Nie mając wyboru, kazał Kainowi iść dalej i brnął za nim, nie bacząc na zmęczenie, koncentrując się na każdym kolejnym kroku w głębokim śniegu.

Po dziesięciu minutach wreszcie ujrzał wznoszące się pięćdziesiąt metrów dalej ogrodzenie bazy, zwieńczone zwojami drutu kolczastego.

Nagle Kain stanął i przekrzywił łeb.

Tucker też to usłyszał.

Rytmiczny klekot.

Gdy odgłos się powtórzył, Tucker go rozpoznał.

Huk młotka uderzającego w stal. Dźwięk dobiegał z niedaleka, gdzieś z lewej strony przed nimi.

Podszedł do Kaina i spojrzał pomiędzy drzewami.

Za ogrodzeniem ciągnął się długi pas startowy, przy którym stało sześć hangarów i z dziesięć mniejszych budynków, w większości łątanych arkuszami blachy falistej. Nie widział wschodniej strony bazy, a właśnie tam stała szopa, w której miał się spotkać z Dmitrijem.

Z bazy tymczasem dolatywał coraz głośniejszy łoskot.

Wyjął lornetkę, skierował ją na zabudowania i zaczął się rozglądać. Szukał źródła hałasu i znalazł je przy bocznym wejściu do zardzewiałego hangaru.

– No nie... – mruknął.

W drzwiach stał Fiodor. Pod pachą trzymał śmigło, a w drugiej ręce czterokilogramowy stalowy młot, którym walił w jego krawędź.

Bum.

Po bazie rozchodziło się echo.

Tucker opuścił lornetkę i ścisnął w palcach garb nosa. Za późno. Na dobre czy złe, związał swój los z tym rosyjskim niedźwiedziem.

Ruszył w drogę. Skręcił w prawo i zaczął szukać zniszczonego fragmentu ogrodzenia przy szopie. Przynajmniej tutaj ukształtowanie terenu zapewniało mu przyzwoitą osłonę. Baza została opuszczona tak dawno, że pobliski las, kiedyś wycięty ze

względów bezpieczeństwa, wrócił aż po samo ogrodzenie. Tucker, trzymając się drzew, szedł miarowym krokiem wzdłuż wschodniej strony bazy.

Przystanął dla złapania oddechu i w tym momencie usłyszał łoskot wirników śmigłowca. Klnąc, schował się w cieniu pod niskimi gałęziami sosny i gwizdnięciem przywołał partnera. Kain natychmiast znalazł się u jego boku.

Tucker zadarł głowę i spojrział w niebo. Trudno było określić, z której strony dobiega dudniący hałas. Nagle ciemny brzuch havoca przemknął prawie na wysokości czubów drzew.

Śmigła podrywały puszysty śnieg, tworząc białą trąbę powietrzną. Gałęzie sosny smagały powietrze.

Czy zobaczyli jego i Kaina?

Czy dostrzegli ślady na śniegu?

Poszukiwania z powietrza działały Tuckerowi na nerwy. Instynkt mówił mu, żeby uciekać, ale wiedział, że to najszybszy sposób na to, by pociski z działka śmigłowca przecięły go na pół.

Więc pozostał w kryjówce.

Śmigłowiec przemknął nad nimi i lecąc nad ogrodzeniem, powoli okrążył bazę. Tucker obserwował go z kryjówki, aż w końcu hałas wirników ucichł.

Dla pewności odczekał jeszcze dziesięć minut. W tym czasie złożył i sprawdził karabin snajperski Felice. W końcu ruszył, podniesiony na duchu ciężarem broni.

Po pokonaniu niespełna trzydziestu metrów dotarł do narożnika ogrodzenia bazy. Zatrzymał się i przez lornetkę zlustrował jej wschodnią stronę.

Zgodnie z tym, co powiedział Dmitrij, obalone drzewo zniszczyło fragment ogrodzenia, przy którym stała szopa. Do celu pozostało mu zaledwie trzydzieści metrów.

Zignorował impuls, który kazał mu pędzić co sił w nogach do względnie bezpiecznego miejsca. Wrył sobie w pamięć położenie szopy i wszedł głębiej w las, zamierzając zatoczyć szeroki łuk i podejść do niej od drugiej strony. Nie spieszył się;

wykorzystywał pogłębiające się cienie i wysokie zasy jako osłonę.

W końcu znowu zobaczył szopę. Była mała, niecałe cztery metry na cztery, z omszałym dachem i drewnianymi ścianami. Nie dostrzegł światła ani nie poczuł zapachu dymu.

Zadowolony, schylił się i podniósł kamerę na kamizelce Kaina. Skontrolował, czy słuchawka radia tkwi w lewym uchu psa. Szybko sprawdził przekaz na swoim telefonie.

Mając na karku polującą jednostkę GRU, niczego nie mógł pozostawić przypadkowi.

A już na pewno nie miał zamiaru wchodzić do tej szopy na ślepo.

Wskazał budynek, zrobił kolisty ruch ręką i szepnął:

– CICHY ZWIAD.

Kain chyłkiem oddala się od partnera. Nie biegnie prosto do szopy, ale idzie w las, skrada się. Jego łapy trafiają na miękki śnieg albo gołą ziemię, stąpają bezszelestnie. Trzyma się cienia, sunąc z brzuchem nisko przy ziemi, przemykając pod pachnącymi żywicą gałęziami. Czuje też gorzką woń ptasich odchodów oraz nęcący zapach martwych myszy pod śniegiem.

Uszy obracają się we wszystkie strony, najcichsze dźwięki zapętlniają jego świat.

Śnieg osuwa się z przeciążonych gałęzi, spada na ziemię...

Igły jodły przy każdym podmuchu wiatru grzechoczą jak kości...

Jakieś małe stworzenia chroboczą w śniegu, szept przemyka na skrzydłach...

Wreszcie widzi szopę i spogląda na swojego partnera. Przekrada się na drugą stronę zabudowania, gdzie są najgęstsze cienie, bo wie, że takie podejście jest najlepsze, żeby widziało go jak najmniej oczu.

W lewym uchu brzmi nadana przez radio komenda. Wrażenie nie jest przyjemne, ale Kain cieszy się, słysząc głos partnera:

– STÓJ.

Przypada do ziemi za najbliższą osłoną, za leżącą na ziemi kłodą, która pachnie próchnem i pleśnią. Leżąc na brzuchu, wsuwa łapy pod siebie, mięśnie ma napięte i twarde, przygotowane do wykonania skoku w razie potrzeby. Opuszcza pysk na śnieg.

Wpatruje się w szopę. Wciąga powietrze, wychwytyując zapachy i analizując je pod kątem zagrożenia: stary dym, mocz ludzi i zwierząt, żywica naciętych polan, nuta gęstego mchu na gontach.

Wiedząc, że partner obserwuje wszystko równie pilnie jak on, czeka na następną komendę. W końcu słyszy:

– PODEJDŹ. BLISKI ZWIAD.

Wstaje i przez cały czas węsząc, zbliża się do szopy. Uszy ma postawione, sierść zjeżoną ostrzegawczo. Podchodzi do okna i staje na zadnich łapach. Długo patrzy przez brudną szybę, kręcąc łbem, żeby zajrzeć do każdego kąta.

W mrocznym wnętrzu nie dostrzega ruchu, więc opada na cztery łapy.

Odwraca się, żeby spojrzeć w kierunku ukrytego wśród drzew partnera. Stoi spokojnie, sygnalizując brak zagrożenia.

Partner rozumie.

– DALEJ. CICHY ZWIAD.

Kain podchodzi do narożnika, wygląda zza węgła. Sprawdza chatę ze wszystkich stron, zagląda przez drugie okno i w skupieniu obwąchuje zamknięte drzwi. Kończy zwiad w miejscu, gdzie zaczął.

– DOBRY PIES. WRACAJ.

Nie słucha komendy, pada na brzuch przy spróchniałej kłodzie.

W jego piersi rodzi się cichy warkot, który sam ledwie słyszy.

Ostrzeżenie.

Tucker kontrolował obraz przesyłany z kamery i drgnął, gdy Kain padł na brzuch z nosem na wysokości powierzchni śniegu. Usłyszał warknięcie przez radio i zobaczył, że pies wbija spojrzenie w głąb gęstszego lasu na prawo od szopy.

Przyjrzał się obrazowi na ekranie komórki. Nawet z kamerą jego oczy nie dorównywały wzrokowi Kaina. Przymrużył powieki, patrząc na ekran, próbując wypatrzeć to, co przykuło uwagę jego partnera. Po dziesięciu długich sekundach dostrzegł ruch, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

Przygarbiony człowiek szedł przez las w kierunku szopy.

Tucker zaklął w duchu i cicho opadł na pierś. Przyłożył karabin do ramienia i odbezpieczył go.

Intruz też miał karabin – wnosząc z kształtu, szturmowy. Szedł w cieniu drzew, więc trudno go było zobaczyć, zwłaszcza że miał zimowy strój kamuflujący. Poruszał się zwinnie, jak ktoś, kto jest dobrze obeznany z polowaniem w lesie. Każdy ostrożny krok umacniał Tuckera w przekonaniu, że mężczyzna jest doświadczonym żołnierzem Specnazu, nie miejscowym myśliwym.

Dzięki ci, Boże, za nadzwyczajne zmysły Kaina.

Ale dlaczego jest tylko jeden?

Gdyby był ktoś więcej, Kain by go ostrzegł.

To nie miało sensu. Jeśli Specnaz wiedziałby, że tu są, polowałby na nich cały oddział. To musiał być samotny zwiadowca. Tucker przypomniał sobie śmigłowiec krążący nad bazą. Najwyraźniej dowódca grupy wysłał jednego czy dwóch ludzi, żeby przeprowadzili zwiad naziemny.

Tucker przyłożył kolbę karabinu do ramienia, spojrzął przez lunetkę i szepcząc do mikrofonu przyklejonego taśmą do szyi, wydał partnerowi następną komendę.

– CEL. CICHE PODEJŚCIE.

Kain znał tę komendę doskonale z czasów Afganistanu: podejdź jak najbliżej do wroga i bądź gotów.

Zaczął się czołgać w stronę człowieka.

Gdy partner ruszył, Tucker przyłożył policzek do kolby i spojrzął przez lunetkę. Cel był czterdzieści metrów dalej; poruszał się z wyćwiczoną ekonomią ruchów. Nie przystawał na otwartym terenie, tylko za pniami drzew. Wszystko wskazywało na to, że idzie prosto na Kaina.

Trzydzieści metrów.

Tucker wiedział, że trafienie w głowę będzie trudne, dlatego skierował krzyż celowniczy na punkt znajdujący się kilka centymetrów poniżej lewego sutka.

Żołnierz przystanął za drzewem, przez cały czas zachowując ostrożność. Po dwóch sekundach wyłonił się spod osłony; najwyraźniej chciał ją okrążyć.

Lepszej okazji nie będzie. Tucker leciutko nacisnął spust, nabrał powietrza do płuc, zrobił wydech i strzelił.

W ostatniej milisekundzie żołnierz przesunął ramię do przodu. Kuła uderzyła w łokieć, strzaskała kość i chrząstkę, ale strzał nie był śmiertelny.

Mężczyzna obrócił się i zniknął za pniem świerka.

– POWAL! – krzyknął Tucker.

Nie czekał na reakcję partnera. Rzucił karabin i pobiegł, wyciągając pistolet P22.

Przed nim, po lewej, Kain skoczył w powietrze i zniknął za świerkiem. Zabrzmiał wrzask i terkot ognia automatycznego, który strząsał z drzewa igły.

Tucker dotarł do świerka, chwycił gałąź i, jak na karuzeli, z uniesionym pistoletem przeskoczył na drugą stronę pnia. Rosjanin miotał się, leżąc na plecach.

Kain stał nad nim okrakiem, ściskając w szczękach jego prawy nadgarstek. Karabin szturmowy leżał na śniegu, ale żołnierz w wolnej ręce trzymał pistolet Makarowa. Tucker miał wrażenie, że czas zwolnił. Mężczyzna obracał rękę, żeby wycelować w Kaina. Makarow podskoczył i psa oświetlił pomarańczowy błysk. Na szczęście Kainowi nic się nie stało, bo spanikowany, cierpiący Rosjanin zbyt wcześnie nacisnął spust.

A Tucker nie dał mu drugiej szansy.

Skoczył w bok, wycelował i strzelił. Kuła wywierciła dziurkę w prawej skroni. Ciało żołnierza zwiotczało.

– PUŚĆ – wychrypiał Tucker.

Kain posłuchał i cofnął się o kilka kroków, a jego partner postawił but na częściowo zagrzebanym w śniegu makarowie.

Sprawdzanie tętna wroga nie miało sensu; nie żył. Tuckera już trapiło coś innego: odgłosy strzałów musiały się ponieść daleko po lesie.

Jak daleko? Kto mógł je usłyszeć?

Sprawdził, czy Kain na pewno nie został ranny, i nie znalazłszy żadnych obrażeń, pogładził go po karku, a następnie wskazał ręką tam, skąd przyszedł żołnierz.

– CICHY ZWIAD.

Musiał wiedzieć, czy nie nadciągają posiłki.

Gdy pies pobiegł, Tucker schował makarowa do kieszeni, ściągnął z nieżyjącego mężczyzny strój kamuflujący i wepchnął do swojego plecaka. Choć czas naglił, poświęcił minutę na zasypanie zwłok śniegiem. Z bliska kopczyk nikogo nie zwiedzie, ale ten kamuflaż mógł mu zapewnić cenne sekundy.

W końcu zabrał swój karabin i wszedł głębiej w las, gdzie znalazł stos zwalonych pni. W razie konieczności to miejsce posłuży jako dobre stanowisko snajperskie.

Sprawdził obraz z kamery Kaina. Wydawało się, że panuje spokój, więc zadowolony powiedział przez radio:

– WRÓĆ.

Pół minuty później zasapany Kain przycupnął obok niego.

– Dobra robota, brachu.

Pies liznął go po policzku.

Korzystając z chwili spokoju, Tucker włożył strój kamuflujący.

– Teraz będziemy czekać.

Godzina 16.39

Po kilku długich minutach zaalarmował go trzask gałęzi. Ktoś nadchodził. Tucker słyszał, że chrzęst śniegu pod butami zbliżającego się człowieka staje się oraz głośniejszy. Ten nie stąpał tak ostrożnie jak zabity żołnierz.

Nie Specnaz.

Chwilę później ujrzał Dmitrija, który ciężkim krokiem brnął przez las.

Mimo wszystko Tucker pozostał w ukryciu. Nie mogąc się pozbyć podejrzliwości, czekał i dopiero kiedy pop znalazł się trzy metry od niego – sam – Tucker zawołał:

– Stój!

Dmitrij podskoczył, naprawdę przestraszony. Uniósł ręce i pokazał puste dłonie.

– To ty, przyjacielu?

Tucker nie wyszedł z kryjówki.

– Robisz strasznie dużo hałasu.

– Specjalnie – odparł z półuśmiechem Dmitrij. – Nie uśmiechało mi się zarobić kulkę. Słyszałem strzały.

– Mieliliśmy gościa – powiadomił go Tucker, nieco się rozluźniając. – Ze Specnazu.

– Czy on...?

– Nie żyje. Dmitrij... czy ty nas zdradziłeś?

– *Niet.* Ale jesteś mądry, skoro pytasz. Przysięgam, że nikomu o was nie powiedziałem.

– A Fiodor?

Pop pokręcił głową.

– Ma swoje wady, ale nigdy nie zdradził mnie ani klienta. Poza tym musisz komuś zaufać, inaczej nigdy się stąd nie wydostaniesz.

Tucker mu uwierzył; wiedział, że Rosjanin ma rację. Nawet Kain merdał ogonem, chcąc przywitać się z Dmitrijem. Kiedy Tucker w końcu wyszedł z kryjówki, pop spojrzał na jego zimowy strój.

– Masz nowe ubranie, jak widzę.

– Ktoś już go nie potrzebuje. – Tucker wskazał w kierunku bazy. – Fiodor jest gotów do lotu? Bo tu zaczyna się robić trochę gorąco.

– Chyba tak. Kiedy do niego dzwoniłem, kończył jakieś regulowanie śmigła. Nazwał to strojeniem.

Tucker uśmiechnął się, wspominając brutalne walenie młotem.

– Widziałem.

Razem minęli chatę i ruszyli przez bazę. Dmitrij wybrał okrężną drogę do hangaru, dzięki czemu prawie przez cały czas szli pod osłoną.

– Cieszę się, że nic ci się nie stało – powiedział Dmitrij. – W cerkwi, kiedy szedłeś do tunelu...

– Właściwie co to za tunel? – przerwał mu Tucker, pamiętając nowe deski szalunku.

– Pewnego ranka znalazłem go przez przypadek. Poczulem dziwny przeciąg spod podłogi i zacząłem podwazywać deski.

– I go konserwujesz?

Pop usłyszał nutę podejrzliwości w jego głosie i uśmiechnął się.

– Razem z Fiodorem. Mówiłem ci, że jest przemytnikiem.

Tucker uniósł brew. Patrząc na popa, nagle sobie przypomniał, z jakim szacunkiem odnosili się do niego wszyscy w barze, z szacunkiem większym, niż mogły to tłumaczyć względy religijne.

– No dobrze, może Fiodor ma wspólnika – przyznał się Dmitrij. – Mojej trzódce trudno byłoby żyć samą wiarą. Ale musisz wiedzieć, że nie przemycamy niczego niebezpiecznego. Głównie lekarstwa, szczególnie zimą. Wiele dzieci choruje...

Tucker nie mógł się doszukać w takim przedsięwzięciu nieuczciwości.

– Tak trzymać – rzucił.

Dmitrij rozłożył ręce.

– Tutaj robisz dla sąsiada wszystko, co tylko możesz. Tak żyjemy, tak tworzymy społeczność. – Wskazał przed siebie. – Tam jest hangar Fiodora. Pójdę pierwszy. Sprawdzę, czy jest czysto, *da?*

Tucker czekał z Kainem przy kolanie. Dmitrij wrócił po dwóch minutach i skinął na nich ręką.

– Wszystko w porządku.

Wprowadził ich przez główne drzwi hangaru. W oświetlonym lampą łukową niewielkim pomieszczeniu stał jednosilnikowy samolot. Tucker nie rozpoznał modelu. Jak wszystko inne w bazie, maszyna wydawała się sklecona na poczekaniu z byle jakich części. Przynajmniej śmigło znajdowało się na miejscu.

Fiodor klęczał na betonie obok czerwonej skrzynki z narzędziami.

Zanim zdążyli do niego podejść, Kain warknął cicho. Wciąż stał przy drzwiach, patrząc na zewnątrz.

Tucker podbiegł do partnera, pilnując, żeby się nie pokazać, i pociągnął go za obrożę. Po drugiej stronie bazy dwa reflektory minęły główną bramę, skrzyły i skierowały się w ich stronę. Był to pojazd wojskowy.

Wyjął pistolet i podszedł do Fiodora. Uniósł broń i wycelował w jego czoło.

– Mamy gości. Bez względu na to, co się stanie, ty zginiesz pierwszy.

Fiodor szeroko otworzył oczy i najpierw zatrajkotał po rosyjsku, a potem po angielsku wydukał:

– Nikt nie mówić! Nikt! – Wstał powoli, z pustymi rękami wyciągniętymi w stronę Tuckera. – Chodź, chodź! Za mną. Pokazać kryjówka.

Tucker rozważał różne możliwości, podczas gdy dudnienie diesla brzmiało coraz głośniejsze. Przypomniał sobie słowa: „Musisz komuś zaufać, inaczej nigdy się stąd nie wydostaniesz”.

Nie mając innego wyboru, jak posłuchać tej mądrości, schował broń.

– Pokaż.

Zabierając wszystkich ze sobą, Fiodor pospieszył na tyły hangaru.

Zaprowadził ich do ogromnego pomarańczowego zbiornika oznaczonego smugami rdzy, stojącego na płaskich oponach. Obok leżał zwinięty wąż. Tucker rozpoznał starą cysternę służącą do tankowania samolotów.

Fiodor wskazał drabinkę.

– Na górę! Przez właz.

Skoro się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”, pomyślał Tucker, podszedł do drabiny, przykucnął i poklepał partnera po karku.

– Hop!

Kain cofnął się o krok i wskoczył mu na barki. Tucker wniósł go na górę i przeczołgał się po cysternie do włazu.

– Cicho – przykazał im Fiodor i ruszył do drzwi hangaru. – Wrócę tu.

Tucker szybko otworzył pokrywę i wsunął głowę do cysterny. Wnętrze wydawało się suche.

Przynajmniej nie będę stać po kolana w paliwie.

Wskazał w dół i Kain skoczył, lądując cicho, a on opuścił się za nim mniej zwinnie, ponieważ musiał zamknąć pokrywę. Jego buty z łupnięciem opadły na dno pustego zbiornika. Wzdrygnął się, przerażony, ale warkot wojskowego pojazdu zagłuszył hałas.

Stojąc w zupełnej ciemności, wyciągnął broń. Opary już szczypały go w nos i oczy. Czuł też zapach bananów, czego zupełnie nie potrafił wyjaśnić. Przesunął się, żeby w razie czego zapewnić sobie korzystniejszą pozycję, i uderzył nogą w coś drewnianego.

Co, u licha...?

Wyjął i zapalił małą latarkę. Wodząc dokoła wąskim snopem światła, zobaczył, że połowę cysterny zapełniają paki i skrzynie, jedne opisane cyrylicą, inne w różnych językach. Wypatrzył skrzynkę z dużym czerwonym krzyżem, a na niej kiść bananów.

Coraz więcej się dowiadywał o przemytniczym procederze listonosza i popa.

Wyglądało na to, że teraz sam stanowił część ładunku.

Usłyszał stłumione głosy Rosjan chodzących po hangarze. Gdy podeszli bliżej, zgasił latarkę i oburącz chwycił pistolet. Miał wrażenie, że trwa jakaś sprzeczka. Rozpoznał głos Fiodora, który mówił coś zapalczywie, jakby prowadził zaciekle negocjacje. Po jakimś czasie wszyscy się odsunęli i rozmowa przycichła.

Dziesięć minut później głośno zadudnił silnik i na mokrym asfalcie zapiszczały opony. Po kilku sekundach Tucker usłyszał tupot butów na drabinie i włąz się otworzył.

Wycelował z pistoletu.

– Nie strzelać, proszę – zaburczał Fiodor. – Już bezpiecznie.

– Dmitrij! – krzyknął Tucker.

– Wszyscy odjechali, przyjacielu!

Fiodor jęknął.

– *Da, da*. Jak mówić, bezpiecznie.

Tucker podciągnął się, wytknął głowę z cysterny i zlustrował wnętrze hangaru. Kiedy zyskał pewność, że oprócz nich nie ma tam nikogo innego, zeskoczył, podsadził Kaina i sam się wygramolił.

– Cena teraz wyższa – oznajmił Fiodor.

– Pytali o ciebie, ale zainteresowali się też tym, co tutaj robimy – wyjaśnił Dmitrij. – Nic dziwnego. W każdej dziurze na Syberii działa czarny rynek. Ludzie gadają. Ci żołnierze przyszli przede wszystkim po to, co niektórzy nazwaliby niewinnie „podatkiem”.

Tucker zrozumiał. Wymuszenia wśród rosyjskich żołnierzy to normalka.

– Kosztować mnie skrzynka wódki – powiedział głęboko zraniony Fiodor, kładąc rękę na sercu.

– Powiedzieliśmy im, że szykujemy się do lotu pocztowego – dodał Dmitrij. – Po zapłaceniu podatku nie powinno być z tym problemu. Nawet żołnierze wiedzą, że trzeba przewozić pocztę. Inaczej źródło wódki wyschnie.

Tucker pokiwał głową.

– Ani śnieg, ani deszcz, ani ciemność nocy...

Fiodor spojrzał na niego z lekkim zdziwieniem.

– To wiersz? Ty go napisać?

– Nieważne. – Tuckerowi nie chciało się wyjaśniać, że to motto amerykańskiej poczty. – Ile jestem ci winien?

– Dwa tysiące rubli – odparł Fiodor po głębokim namyśle. – Ty płacić, *da*?

– Zapłacę.

Fiodor klasnął w ręce.

– Rad! Pora ruszać. Pies do samolotu. Potem ty pchać maszyną, ja sterować. Szybko.

Tucker nie marnował czasu.

Była to obsługa niezupełnie pierwszej klasy, ale nie narzekał.

CZĘŚĆ DRUGA
MYŚLIWY ZABÓJCA

Nowosybirsk, Syberia

11 marca, godzina 11.15 czasu miejscowego

– Jesteś pewien tego Dmitrija i Fiodora? – zapytała Ruth Harper.

Tucker stał przy automacie telefonicznym na targu rybnym pod gołym niebem. W zimnym powietrzu wisiał ostry, gęsty zapach jesiotrów, okoni i stynek. Przez ostatnie dziesięć minut informował Harper o swoim położeniu. Był zaskoczony, jaką radość sprawiło mu słuchanie jej głosu z tym południowym zaśpiewem.

Jeśli nie Tennessee, to może...

– Ufasz tym Rosjanom? – nie dawała za wygraną.

– Nie prowadziłbym tej rozmowy, gdyby któryś z nich mnie wsypał. Poza tym przez dwie godziny spacerowałem po zaśnieżonych ulicach Nowosybirska. Jestem czysty. I wciąż dwa tysiące kilometrów dzieli mnie od Permu. Jeśli złapię ogon, będę miał mnóstwo czasu, żeby się od niego uwolnić.

– Zbliżasz się jednak do miejsca spotkania.

– Bukołów zaczeka. Jeśli oni, kimkolwiek są, mają pojęcie, gdzie go znaleźć, nie muszą mnie śledzić. A właśnie, masz może jakieś wiadomości o źródle przecieku?

– Jeszcze nie dopisało nam szczęście. Ale z twoich słów o zaangażowaniu GRU i Specnazu wynika, że wróg ma potężne powiązania albo w rosyjskiej policji, albo w wojsku. Przyglądam się naszemu Ministerstwu Obrony... a może to ktoś z rządu.

– Może lepiej przyjrzyj się jednym i drugim.

– Przerazająca propozycja. Potrzebujesz pomocy?

Tucker zastanawiał się długą chwilę.

– Na razie nie. Mamy dość graczy na boisku. Panuje wystarczająco duże zamieszanie.

Poza tym lubił pracować sam... no, niezupełnie sam.

Krzepiąco poklepał po karku Kaina, który siedział przy jego nodze.

– Jeśli zmienię zdanie, Harper, dam ci znać.

– Dobrze. Tak się składa, że w tej chwili nie mam nikogo wolnego pod ręką.

– Zajęci na froncie w kraju?

– Zawsze. Świat jest niebezpiecznym miejscem. Ale Sigma może ci zaoferować wsparcie logistyczne. Masz listę życzeń?

Miał. Gdy wyrecytował potrzebne mu rzeczy, zakończył połączenie. Harper obiecała, że znajdzie wszystko, o co prosił. Będzie na niego czekało w Permie w bezpiecznej kryjówce.

Ale najpierw musiał się wydostać z Nowosybirsk.

Harper załatwiła mu czyste papiery i wydawała się pewna, że nie trafił na czarną listę rosyjskich służb imigracyjnych i celnych. To oznaczało, że może bezpiecznie lecieć samolotem. Co więcej, wywiad Sigmy podjął środki ostrożności na innym poziomie, rezerwując na jego nazwisko bilety, pokoje hotelowe i samochody w wypożyczalniach. Był wszędzie i nigdzie.

A jednak po zakończeniu rozmowy z Harper – czy to z powodu wrodzonej nieufności wobec wszystkiego, co wiąże się z rządem, czy po prostu dlatego, że chciał zmienić taktykę – Tucker zadzwonił do miejscowej wypożyczalni samochodów i wynajął SUV-a na podróż w jedną stronę do Omska, miasta leżącego sześćset pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Nowosybirsk. Nie miał powodów, żeby nie ufać Sigmie, ale też nie żywił złudzeń co do swojej obecnej sytuacji. Był tu sam z Kainem, bez żadnej nadziei na wsparcie.

Harper zleciła mu bezpieczne przewiezienie Awrama Bukołowa z Rosji do Stanów Zjednoczonych i wyłącznie od niego zależało, jak to zrobi.

I właśnie to mu odpowiadało.

Z Kainem na smyczy przeszedł półtora kilometra do wypożyczalni i wybrał samochód. Rocznik range rovera mógł budzić wątpliwości, ale silnik mruczał i ogrzewanie działało.

W południe opuścił Nowosybirsk, kierując się na zachód, do Omska. Trzy godziny później zjechał z szosy i po przejechaniu dziesięciu kilometrów dotarł do prawdziwego miejsca przeznaczenia: Kujbyszewa.

Podjęcie własnych środków zaradczych nigdy nie zaszkodzi.

Kierując się znakami drogowymi, dojechał na tamtejsze lotnisko i posługując się swoim łamanym rosyjskim, zarezerwował lot do Permu.

Szesnaście godzin po tym, jak wyjechał samochodem z Nowosybirsk, wylądował na permskim lotnisku Bolszoje Sawino. Czekał w punkcie odbioru bagażu, aż Kain wyłoni się z brzucha samolotu, a potem godzinę na odprawę celną.

Kilka minut po odprawie wsiadł z Kainem do następnego wynajętego auta, tym razem volva, i ruszył do celu.

Z samochodu zadzwonił do Sigmy, żeby przekazać najświeższe informacje.

– Nie podniesiono alarmu ani podczas kontroli paszportowej, ani odprawy celnej – powiadomiła go Harper. – Jeśli wciąż cię szukają, nie robią tego w ten sposób.

Albo dają mi czas na dotarcie do Bukołowa, zanim zatrzasną pułapkę, pomyślał.

– Czy zastanę kogoś w kryjówce, do której zmierzam? – zapytał, chcąc niezwłocznie zabrać przygotowane dla niego rzeczy.

– Nie. To mieszkanie. Zadzwoń pod numer, który ci podałam, puść trzy sygnały, potem dwa, i czekaj dziesięć minut. Drzwi będą otwarte. Pięć minut w środku, nie dłużej.

– Żartujesz?

– Prostota się sprawdza, Tucker, a to jest znacznie prostsze, niż gdybyś miał się wybrać na spotkanie do parku z kwiatkiem w butonierce i rozwiązany sznurowadłem.

Zdał sobie sprawę, że to ma sens. Co więcej, jedna z zasad, według których żyją żołnierze, mówi: „Nie komplikuj spraw, głupku”.

– Niech ci będzie – mruknął, ale zaraz potem przeszedł do następnej intrygującej go kwestii. – Karolina Południowa, prawda?

– Słucham?

– Twój akcent.

Westchnęła ciężko.

– Pudło – rzuciła. – Tucker, w kryjówce będą informacje dotyczące dzisiejszego spotkania.

– A mój łącznik?

– Jego nazwisko i rysopis dołączyliśmy do akt, które tam znajdziesz. Trudno go nie zauważyć.

– Zadzwoń, kiedy będzie po wszystkim.

– I trzymać się z dala od kłopotów – przykazała.

– Masz na myśli nas obu czy tylko Kaina?

– Kaina trudniej byłoby zastąpić.

Zerknął na partnera.

– Nie mogę temu zaprzeczyć – powiedział i rozłączył się.

Czekała go trudna część zadania – dyskretne przechwycenie Awrama Bukołowa.

Perm, Rosja

12 marca, godzina 8.55 czasu miejscowego

Na szczęście wizyta w bezpiecznym lokum przebiegła bez żadnych incydentów. Tucker wyszedł stamtąd z czterema nowymi paszportami – dwoma dla niego i dwoma dla Bukołowa – a także z plikiem gotówki, dwiema kartami kredytowymi, drugim telefonem satelitarnym i adresem miejsca spotkania z łącznikiem, który miał go doprowadzić do Bukołowa.

Tajemniczy łącznik zajmował wysoką pozycję na jego liście podejrzanych o spowodowanie wycieku informacji, co niemal skończyło się dla Tuckera śmiercią. Położył na fotelu pasażera akta tego człowieka; zamierzał je potem dokładnie przestudiować.

Najpierw jednak skorzystał z zostawionej w kryjówce listy miejscowych dostawców i pojechał do piekarni, której piwnica służyła jako arsenał. Piekarz stał bez słowa, pozwalając mu wybrać coś z wysokiej od podłogi do sufitu wystawy broni. W końcu podał mu kartkę w wypisaną ceną.

– Nie do negocjacji – rzucił.

Następny zaopatrzeniowiec, właściciel parkingu, okazał się równie milkliwy i sprawny. Za pośrednictwem Harper Tucker zamówił czarny SUV Marussia F2. Samochód rosyjskiej produkcji miał taki przód, jaki tylko matka mogłaby pokochać, ale był istnym potworem wśród aut, często modyfikowanym na użytek służb pierwszego reagowania albo jako mobilne centrum dowodzenia.

Po zapłaceniu Tucker powiedział właścicielowi, gdzie i kiedy ma postawić pojazd.

Około trzeciej po południu, mając sześć godzin do spotkania z łącznikiem, pojechał do dzielnicy Leniński na północnym brzegu Kamy. Zaparkował volvo i ruszył na przechadzkę. Przeprowadzając rozpoznanie, zdołał się odprężyć i mógł podziwiać widoki.

Perm, leżący na brzegach Kamy w cieniu zwieńczonych śniegiem gór Uralu, miał milion mieszkańców. Nie brakowało tu architektury z szarej sowieckiej epoki, ale starsza dzielnica Leniński zachowała urokliwy europejski charakter. Była to przyjemna okolica; obsadzone drzewami ulice biegły wśród zacisznych ogrodów, pełna kawiarenek, sklepów mięsnych i piekarń. Na dodatek słońce świeciło na bezchmurnym niebie, co ostatnio było rzadkim widokiem.

Gdy szedł, nikt nie zwracał na niego większej uwagi: po prostu mężczyzna spacerujący z psem. Pod tym względem nie był osamotniony. Większość permian korzystała z przyjemnego dnia. Kain z wyjątkowym zainteresowaniem przyglądał się idącemu z naprzeciwka dwóm jamnikom na smyczy. Trzy psy powitały się zgodnie ze zwyczajem, węsząc i machając ogonami. Tucker nie miał nic przeciwko, bo właścicielką jamników była piersiasta młoda piękność w obcisłym sweterku.

Dzień zdecydowanie pojaśniał.

W końcu przeszli przez mający kilkaset metrów most, który spinał brzegi Kamy, i nagle znaleźli się w zupełnie innym świecie. Po tej stronie rzeki miasto było zaniedbane i opustoszałe; leżało na lesistym terenie z gruntowymi albo pełnymi wybojów drogami. Nieliczni mieszkańcy, których napotkał, patrzyli na niego i Kaina jak na najeźdźców z kosmosu.

Na szczęście miejsce, w którym miał się spotkać z tajemniczym łącznikiem, leżało tylko czterysta metrów od rzeki. Przyjrzał mu się z daleka, zaznajamiając się z okolicą. Był to przystanek autobusowy naprzeciwko posępnego małego centrum handlowo-rozrywkowo-usługowego, złożonego

z warzywniaka, klubu ze striptizem i warsztatu samochodowego. Tucker zakończył rekonesans i z zadowoleniem wrócił przez most.

Wsiadł z Kainem do volva, znalazł niczym się niewyróżniający hotel, zameldował się i uciął sobie krótką drzemkę. Wiedział, że kiedy będzie razem z Bukołowem, może nie mieć okazji się wyspać, dopóki nie przerzuci profesora przez granicę.

Zakładając, że w ogóle dotrą do granicy.

W końcu i tak się nie wyspał.

Godzina 20.12

O zmroku Tucker zatrzymał samochód na parkingu szkoły podstawowej w podupadłej dzielnicy miasta. Okna były zabite deskami, a plac zabaw pełen pordzewiałego, połamanego sprzętu, który wydawał się idealny do zarażenia się tężcem.

Wybrał to miejsce, ponieważ leżało sto metrów od przystanku autobusowego, gdzie miał się spotkać z łącznikiem. Zgasił silnik i światła i pięć minut siedział w ciemności. Nie dostrzegł innych samochodów, nie było nawet przechodniów. Zdawało się, że nikt go nie śledzi, ale wcale nie poczuł się przez to spokojniejszy, wręcz przeciwnie.

Zwykle zabija cię to, czego nie widzisz.

Obrócił się w stronę Kaina i przesunął w powietrzu otwartą dłoń.

– ZOSTAŃ.

Zastanawiał się, czy zostawianie partnera jest mądre, ale jeśli spotkanie pójdzie nie po jego myśli, chciał mieć pewność, że będzie miał czym uciec. Biorąc pod uwagę charakter okolicy, obecność Kaina w volvie była lepsza niż jakikolwiek system alarmowy.

Często się zmagał z takim właśnie dylematem. Wciąż mając w pamięci śmierć Abla, musiał walczyć z pokusą ochrony partnera przed krzywdą. Kain go kochał, uwielbiał pracować i nie cierpiał zbyt długiej rozłąki.

Stanowili małą sforę.

Pies nie krył niezadowolenia; pytająco przekrzywił łeb i zmarszczył czoło, gdy Tucker wydał komendę.

– Wiem. Pilnuj fortu.

Sprawdził ekwipunek: smith & wesson kalibru 44 wsunięty za pas, rewolwer magnum z wewnętrznym kurkiem w kieszeni kurtki i podobny model kalibru 38 w kaburze na łydce. Dodatkowo w kieszeniach miał po dwa magazynki do każdej broni.

Był tak bliski uzbrojenia się po zęby, jak tylko to możliwe.

Zadowolony, wysiadł, zamknął samochód i ruszył.

Przeskoczył przez wysokie do piersi ogrodzenie szkolnego placu zabaw i ruszył wzdłuż rosnących w rzędzie grubych, nagich rosyjskich modrzewi przez pustą parcelę, na której piętrzyły się zwały śmieci.

Po drugiej stronie, pięćdziesiąt metrów dalej, stała wiata przystanku – nachylony daszek nad pokrytymi graffiti ławkami.

Naprzeciwno, pod neonem klubu nocnego – sylwetką nagiej kobiety – objało się czterech żuli, którzy ze śmiechem palili papierosy i popijali piwo z butelek. Mieli ogolone głowy i wszyscy nosili dzinsy z nogawkami wetkniętymi w cholewy czarnych butów o stalowych noskach.

Trzymając się poza zasięgiem ich wzroku, Tucker spojrzął na zegarek. Wciąż miał dwadzieścia minut.

Zaczęło się czekanie.

W hotelu przeczytał akta łącznika, niejakiego Stanimira Utkina, byłego studenta Bukołowa, obecnie głównego asystenta w laboratorium. Tucker zapamiętał jego twarz, co nie wymagało większego wysiłku. Co więcej, mężczyzna miał prawie dwa metry wzrostu, ale zaledwie siedemdziesiąt kilogramów. Trudno byłoby

nawet w tłumie nie zauważyć tyczkowatego chudzielca ze strzechą ogniście rudych włosów.

O wyznaczonej godzinie samochód zatrzymał się przed przystankiem.

Drzwi się otworzyły i wysiadł Stanimir Utkin.

– Tylko nie to... – mruknął Tucker. – Nie rób mi tego.

Utkin nie dość, że przybył na miejsce spotkania taksówką – wykazując się rażącą bez troską i brakiem ostrożności – to jeszcze miał na sobie coś, co wyglądało na drogi garnitur. Jego rude włosy płonęły w kałuży światła ulicznej latarni.

Taksówka odjechała, szybko zwiększając prędkość.

Kierowca nie był głupi.

Niczym rekiny czujące krew, czterech żuli po drugiej stronie ulicy natychmiast skierowało uwagę na Utkina. Wskazywali go palcami i ryczeli ze śmiechu, lecz Tucker wiedział, że ta faza nie potrwa długo. Utkin był zbyt kuszącym celem albo rabunku, albo pobicia – a najpewniej jednego i drugiego.

Tucker wbił ręce w kieszenie i zacisnął dłoń na chwycie magnuma. Biorąc głęboki oddech, ruszył szybkim krokiem w kierunku tyłu wiaty, trzymając się poza polem widzenia żuli. Pokonał odległość w trzydzieści sekund. W tym czasie Utkin strzelał wzrokiem w prawo i lewo jak szczur, który zobaczył węża.

Jeden z żuli rzucił butelkę przez ulicę. Roztrzaskała się blisko stóp Utkina.

Chudzielec odskoczył i opadł na ławkę.

No nie...

Trzy metry za przystankiem Tucker zatrzymał się w cieniu i zawołał na tyle głośno, żeby tylko Utkin go usłyszał. W aktach napisano, że łącznik mówi płynnie po angielsku.

– Utkin, nie oglądaj się. Przyszedłem się z tobą spotkać.

Następna butelka po piwie przeleciała nad ulicą i rozbiła się z trzaskiem. Zabrzmiał chrapliwy śmiech.

– Jestem Tucker. Słuchaj uważnie. Nie myśl, tylko się odwróć i idź w moją stronę. Natychmiast.

Utkin wstał, wyszedł spod wiaty i skierował się na pustą parcelę.

Jeden z żuli coś krzyknął i cała czwórka ruszyła przez ulicę, zapewne po części dla zabawy, a po części dlatego, że chcieli okraść frajera.

Utkin zrównał się z Tuckerem, który przykucnął za stertą opon i śmieci i pomachał do chudzielca ręką.

– Idź dalej. Dopędzę cię.

Rosjanin posłuchał i szedł dalej, ale często zerkał przez ramię.

Czwórka żuli dotarła do przystanku i po chwili weszła na parcelę.

W tym momencie Tucker wyprostował się, wyciągając magnuma. Zrobił trzy kroki w krąg blasku latarni, żeby go widzieli. Uniósł broń i wycelował w pierś prowodyra.

Banda stanęła jak wryta.

Przypomniał sobie jedno z wyuczonych zdań po rosyjsku.

– Wynocha, bo zabiję!

Pewnie trzymał magnuma, broń groźną już z wyglądu. Może słabo znał rosyjski, ale niektóre komunikaty są uniwersalne.

Przywódca oprychów wyglądał jednak na gotowego wystawić go na próbę – dopóki nie napotkał spojrzenia Tuckera. Nie wiadomo, co wyczytał w jego oczach, ale nagle zmienił zdanie.

Skinął na pozostałych i wszyscy rozsądnie się wycofali.

Tucker odwrócił się i pospieszył do Utkina, którego dostrzegł przy ogrodzeniu szkoły. Rudzielec stał zgięty wpół, z rękami wspartymi na kolanach, oddychając szybko i urywanie. Tucker nie zwolnił; musiał się liczyć z tym, że żule zwołają swoich kolegów, uzbroją się i ruszą za nimi. Złapał Utkina za ramię, wyprostował go i pchnął w kierunku niedalekiej bramy.

– Idziemy.

Ponaglając Rosjanina, pędził do samochodu. Otworzył drzwi po stronie pasażera i kazał mu wsiąść. Utkin zamarł, kiedy zobaczył Kaina na tylnej kanapie. Pies wysunął pysk nad oparciem fotela, żeby obwąchać nieznanego, a jego partner położył dłoń na głowie łącznika i wepchnął go do auta. Wciąż

spanikowany Utkin skulił się w fotelu, przekręcił na bok i ani na chwilę nie odrywał wzroku od Kaina.

Tucker zapuścił silnik i odjechał.

Zawarli znajomość w niezbyt przyjemny sposób, ale Rosjanin nie pozostawił mu wyboru.

Utkin odprężył się dopiero po drugiej stronie mostu, w bardziej cywilizowanej okolicy. Tucker znalazł dobrze oświetlony parking przy lodowisku i zatrzymał samochód.

– Pies nie zrobi ci krzywdy – zwrócił się do łącznika.

– Czy on o tym wie?

Tucker spojrzał na niego i westchnął ciężko.

– Coś ty sobie myślał?

– W związku z czym? – spytał Rosjanin.

– Taksówka, garnitur, niewłaściwa część miasta...

– Co powinienem zrobić inaczej?

– Wszystko.

Prawdę mówiąc, sam częściowo ponosił winę za ten stan rzeczy. Z akt wiedział, że Utkin jest laboratoryjnym jajogłowym. Miejsce spotkania od razu wydało mu się ryzykowne. Powinien je zmienić.

Utkin spróbował się opanować i zważywszy na okoliczności, wyszło mu to zaskakująco dobrze.

– Chyba zawdzięczam ci życie. Dziękuję. Okropnie się bałem.

Tucker wzruszył ramionami.

– W strachu nie ma niczego złego – pocieszył go. – To po prostu oznacza, że nie jesteś głupi. Dlatego zanim wpadniemy w kolejne opąły, jedźmy po Bukołowa. Gdzie jest twój szef?

Rudzielec spojrzał na zegarek.

– Wciąż powinien być w operze.

– W operze?

Utkin przewrócił oczami, najwyraźniej wcale nieprzejęty, że ktoś pragnący uciec z kraju, ktoś poszukiwany przez elitarne rosyjskie jednostki specjalne, wybiera się do opery.

Tucker pokręcił głową.

– Pamiętasz, jak wspomniałem o głupocie...

Przez kilka minut wyciągał historię z Utkina. W obliczu możliwości, że nigdy więcej nie zobaczy ojczyzny, Awram Bukołów postanowił oddać się swojej największej pasji: operze.

– Wystawiają jedną z jego ulubionych, *Fausta* – wyjaśnił Rosjanin. – Jest całkiem...

– Nie wątpię. Ma komórkę?

– Tak, ale na pewno wyłączoną.

Tucker westchnął.

– Gdzie jest wystawiana ta opera i kiedy się kończy?

– Mniej więcej za godzinę. W Domu Czajkowskiego. Jakiś kilometr stąd.

Świetnie... po prostu świetnie...

Wrzucił bieg.

– Wskazuj drogę.

Godzina 22.04

Dziesięć minut przed końcem spektaklu Tucker znalazł parking kilka przecznic od Domu Czajkowskiego. Był zły na Bukołowa za to, że postanowił przed ucieczką z kraju wystroić się w smoking i uczestniczyć w publicznej imprezie, lecz wiedział, że nie warto płakać nad rozlanym mlekiem. Ten wyskok dał mu jednak pewną wiedzę: że Bukołów jest niezrównoważony, głupi albo arogancki, co nie wróżyło dobrze tej misji.

Tucker zostawił Kaina w samochodzie i poszedł z Utkinem. Zatrzymał się naprzeciwko rzęsiście oświetlonego głównego gmachu opery i wskazał masywną fasadę z białego kamienia.

– Zaczekam tutaj – powiedział. – A ty zaprowadź zacnego profesora do samochodu. Nie spiesz się ani nie patrz na mnie. Dojdę do was. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Ruszaj.

Utkin przeszedł przez ulicę i skierował się do głównego wejścia.

Tucker tymczasem przyglądał się szkarłatnemu transparentowi wiszącemu na frontonie teatru. Widniała na nim demoniczna postać w płomieniach, postać Fausta, uczonego, który zawiera pakt z diabłem.

Mam nadzieję, że tu nie o to chodzi, pomyślał.

Po kilku minutach Utkin wyszedł z gmachu opery, a za nim pojawił się Awram Bukołów. Miliarder, właściciel dynamicznie rozwijającego się rosyjskiego imperium farmaceutycznego, był o trzydzieści centymetrów niższy i o dwadzieścia kilogramów cięższy od swojego asystenta, i łysy, z wyjątkiem mnisiego wianuszka szpakowatych włosów.

Zgodnie z instrukcjami, Utkin poprowadził mężczyznę do samochodu. Tucker dał im trochę czasu, po czym ruszył za nimi. Kiedy zyskał pewność, że nikt ich nie śledzi, w końcu do nich dołączył.

– Witam! – krzyknął gromko Bukołów, wyciągając rękę.

Zirytowany Tucker darował sobie kurtuazję i otworzył pilotem drzwi.

– Utkin z przodu, Bukołów...

– Profesor Bukołów – poprawił go mężczyzna.

– Jak pan sobie życzy, profesorze. Pan z tyłu.

Gdy Tucker otworzył drzwi po stronie kierowcy i zaczął wsiadać, stojący za nim miliarder znieruchomiał i zrobił wielkie oczy.

– Z tyłu jest pies.

– Serio? – mruknął Tucker głosem ociekającym sarkazmem. – Skąd on się tam wziął?

– Nie będę siedział obok...

– Wsiadać, bo inaczej wciągnie pana za klapy smokingu, profesorze.

Bukołów zacisnął usta, twarz mu poczerwieniała. Wątpliwe, żeby wielu ludzi odezwało się do niego w ten sposób. Mimo to wsiadł.

Dwie przecznice dalej magnat farmaceutyczny odzyskał mowę.

– Opera była niesamowita, Stanimirze, choć wątpię, czy ty doceniłbyś subtelności. Powiedzcie, kierowco, jak macie na imię? To wasz pies? Wciąż się na mnie gapi.

Tucker spojrział na Utkina spod przymrużonych powiek. Rudzielec zrozumiał wiadomość.

– Profesorze, może później porozmawiamy o operze? Możemy...

Miliarder przerwał mu, klepiąc Tuckera po ramieniu.

– Kierowco, kiedy będziemy w Kazaniu?

Opierając się pragnieniu połamania mu palców, Tucker podjechał do krawężnika i zatrzymał samochód. Obrócił się w fotelu i spojrział na Bukołowa.

– W Kazaniu? O czym pan mówi?

– O Kazaniu. To *obłast*...

– Wiem, gdzie to jest, profesorze. – Miasto Kazań leżało jakieś sześćset pięćdziesiąt kilometrów dalej na zachód. – Skąd panu przyszło na myśl, że tam jedziemy?

– Dobry Boże, człowieku, czy nikt wam nie powiedział? To nie do przyjęcia! Nie opuszczę kraju bez Ani. Musimy jechać po nią do Kazania.

Oczywiście.

– Kim jest ta Ania? – zapytał.

– Moją córką. Bez niej nie wyjadę z Rosji.

Godzina 23.22

Trzymając się pierwotnego planu, Tucker natychmiast wyjechał z miasta – zatrzymał się tylko na czas, jakiego potrzebowali, żeby się przesiąść z volva do nowego SUV-a Marussia F2. Potwór wśród pojazdów stał zaparkowany tam,

gdzie poleciał, na południowym krańcu miasta. Był zatankowany do pełna i miał fałszywe tablice rejestracyjne.

Tucker dotarł do drogi P242 i przez godzinę jechał na zachód, dokonując nadludzkich wysiłków, żeby ignorować dudniący monolog Bukołowa, który poruszał cały wachlarz tematów – od tajemniczej Ani, przez historię przemysłu w regionie, po niepokojąco inteligentny wyraz pyska Kaina.

Na przedmieściach miasteczka Kungur Tucker wjechał na parking przy hotelu i zdecydował, że są w dostatecznie dużej odległości od Permu, żeby trochę odpocząć.

Wysiadł i zadzwonił do Harper, żeby jej przekazać niezbędne informacje.

– Po raz pierwszy słyszę o tej Ani – powiedziała.

– Opisując profesora jako ekscentryka, byłaś wobec niego bardzo łaskawa.

– Może jest trochę... – urwała, żeby dobrać słowa – ... oderwany od rzeczywistości. Ale nikt nie wątpi w jego geniusz. Ani w jego pragnienie opuszczenia Rosji. I, w odpowiedzi na twoje niezadane pytanie, jesteśmy przekonani, że można mu ufać.

– Skoro tak mówisz...

– Gdzie on teraz jest?

– Na tylnej kanapie mojego SUV-a, toczy pojedynek na spojrzenia z Kainem. Musiałem zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Słuchaj, Harper, jeśli zabranie tej Ani ma być warunkiem wyjazdu Bukołowa z kraju, to w porządku. Ale może zanim ruszę do Kazania, sprawdźmy najpierw, czy ktoś taki na pewno istnieje. To dobre siedem godzin jazdy stąd.

– Zgoda. Podaj mi jej nazwisko.

– Zaczekaj. – Tucker otworzył drzwi. – Panie profesorze, jak brzmi nazwisko Ani?

– Bukołow, rzecz jasna! Jest moją córką. Co za pytanie...?

Tucker wyprostował się i rzucił do telefonu:

– Słyszałaś?

– Tak.

– Pracuje w kazańskim Instytucie Biochemii i Biofizyki – dodał profesor. – Jest całkiem bystra, wiesz...

Tucker zatrzasnął drzwi, tłumiąc jego gadaninę.

– Sprawdzam – powiadomiła go Harper.

Bukołow opuścił szybę o kilkanaście centymetrów.

– Przepraszam. Ależ ze mnie zapominalski. Ania przyjęła nazwisko matki, Malinow. Ania Malinow.

Harper też to usłyszała.

– Rozumiem. Nazywa się Malinow. Jaki masz plan, Tucker?

– Zatrzymać się na kilka godzin w jakimś motelu. Tutaj dochodzi północ.

Tucker zaczekał, aż miliarder zamknie okno. Odszedł kilka kroków dalej i poruszył drażliwszą kwestię:

– Harper, co z tym Utkinem?

Asystent profesora wciąż znajdował się na krótkiej liście podejrzanych o przeciek. Pytanie tylko, czy jeśli rzeczywiście chodziło o niego, to przeciek był przypadkowy czy zamierzony? Tucker miał zaufanie do swojej intuicji, a także znał się na ludziach i musiał przyznać, że nie doszukał się u tego młodego człowieka niczego, co budziłoby obawy... poza naiwnością.

Harper najwyraźniej doszła do tego samego wniosku.

– Nasz wywiad nie znalazł nic, co świadczyłoby na jego niekorzyść. Facet wydaje się czysty jak łąza.

– W takim razie może coś się komuś wymysknęło niechcący. Coś powiedziane do niepowołanej osoby. Może Utkinowi... a może nawet samemu Bukołowowi. Ten facet jest nieuleczalnym gadułą.

– Będę się temu przyglądać. Tymczasem pokopię w sprawie tej Ani i skontaktuję się z tobą rano.

Po zakończeniu rozmowy Tucker zaprowadził wszystkich do hotelu i wynajął pokój z dwoma łózkami. Zostawił Kaina przy drzwiach, wiedząc, że pies będzie czuwać przez całą noc.

Na wpół drzemał w fotelu, podczas gdy Bukołow krążył po pokoju, mamrocząc i narzekając, zanim w końcu się zmęczył. Około pierwszej usiadł na łóżku. Utkin już spał na drugim.

– Przepraszam – powiedział. – Zapomniałem, jak ma pan na imię.

– Tucker. – Skinął głową w stronę swojego partnera. – A on Kain.

– Muszę przyznać, że pański pies sprawia wrażenie dobrze wychowanego. Dziękuję, że pan po mnie przybył.

– Nie ma za co.

– Wspomnieli panu o moim odkryciu? – Zanim Tucker miał szansę odpowiedzieć, Bukołów lekceważąco pokręcił głową. – Nie, oczywiście, że nie. Nawet ja im nic nie zdradziłem, więc skąd mogliby wiedzieć?

– Proszę mi o tym powiedzieć.

Bukołów pokiwał palcem.

– W swoim czasie. Ale powiem jedno, to epokowe odkrycie. Zmieni światową medycynę... między innymi. Dlatego chcą mnie dopaść.

– Generałowie z Arzamasu.

– Tak.

– Kim oni są?

– Konkretnie? Nie wiem. Są zbyt przebiegli.

Tucker mierzył go wzrokiem. Czy ten facet cierpi na urojenia paranoidalne? Na manię prześladowczą? Potarł palcami gojące się draśnięcie na karku. To było dość prawdziwe.

– Niech mi pan opowie coś o Ani.

– Ach... – Twarz Bukołowa złagodniała, na ustach pojawił się cień uśmiechu. – To cudowna dziewczyna. Jest dla mnie całym światem. Pracowaliśmy w zespole, razem, oczywiście na odległość i w tajemnicy.

– Myślałem, że to Stanimir jest pańskim asystentem.

– Ha! Zdolny chłopak, ale nie nadaje się do tego, co robię. Niewielu ludzi byłoby odpowiednich, dlatego muszę to robić sam.

Bukołów ściągnął buty, padł na łóżko i zamknął oczy.

Tucker pokręcił głową i wygodniej usadowił się w fotelu.

– Nie jestem wariatem, wie pan – szepnął profesor, nie otwierając oczu.

– Skoro pan tak mówi...

– Po prostu chciałbym, żeby pan wiedział.

Tucker skrzyżował ręce na piersi. Zaczynał rozumieć, jak mało tak naprawdę wie o tym wszystkim.

Okolice Permu, Rosja

13 marca, godzina 6.15 czasu miejscowego

Fotel nie był wygodny, ale Tucker spał przez sześć godzin jak kamień. Zbudził się i zobaczył, że jego podopieczni jeszcze śpią.

Wykorzystując chwilę spokoju, wyprowadził Kaina na spacer, żeby rozprostował nogi i załatwił swoje potrzeby. Gdy byli na zewnątrz, zadzwoniła Harper.

– Ania istnieje – powiedziała bez wstępów.

– Nie wiem, czy to dobra wiadomość, czy zła.

Gdyby Ania była wytworem wyobraźni starego profesora, mogliby natychmiast ruszyć ku granicy.

– Udało nam się potwierdzić – kontynuowała Harper – że niejaka Ania Malinow pracuje w kazańskim Instytucie Biochemii i Biofizyki, ale niewiele więcej. Znaczna część jej akt jest ocenowana. Kazań nie jest taki zły jak te ich dawne zamknięte miasta nauki z epoki sowieckiej, *naukogrady*, ale duże części miasta podlegają Ministerstwu Obrony.

– Więc nie tylko muszę jechać do Kazania, ale na dodatek muszę wyłuskać tę kobietę spod nosa wojska.

– To dla ciebie problem?

– Jakoś będę musiał sobie z tym poradzić. Nie podoba mi się, że nie mam wyboru. Prosiłście, żebym wy dostał z Rosji Bukołowa, i zamierzam to zrobić, ale teraz doszła jego córka. Jest z tym pewien kłopot: mam paszporty tylko dla Bukołowa, nie dla

jego córki. I co z Utkinem, skoro już o tym mowa? Nie przeżyje jednego dnia po tym, jak znikniemy. Nie chcę go zostawiać.

Wrócił myślą do Abla, zziąjanego, z wywieszonym językiem, prosząco machającego ogonem.

Nie miał zamiaru porzucać kolejnego członka zespołu za linią wroga.

Harper milczała. Tucker potrafił sobie wyobrazić, że nawet z drugiego końca świata słyszy zębatki obracające się w jej głowie, gdy dostosowywała się do zmiany sytuacji.

– W porządku – powiedziała w końcu. – Dopilnuję, żeby do tego nie doszło. Kiedy planujesz jechać po Anię?

– W ciągu dwudziestu czterech godzin. Zwłoka oznaczałaby podejmowanie niepotrzebnego ryzyka.

– Nie da rady, nie zdołam tak szybko załatwić nowych paszportów dla niej i Utkina. Ale jeśli podasz mi dalszą trasę z Kazania...

– Jeszcze jej nie znam. Biorąc pod uwagę wszystko, co się stało, trudno mi planować więcej niż jeden krok do przodu. Wiem na pewno tylko tyle, że następnym będzie uwolnienie Ani.

– W takim razie zaczekaj chwileczkę. – Na linii znów zapadła cisza. – Czy po zabraniu Ani mógłbyś się udać do Wołgogradu? To niespełna tysiąc kilometrów na południe od Kazania.

Tucker z tylnej kieszeni wyjął laminowaną mapę i patrzył na nią przez kilka sekund.

– Odległość w miarę rozsądna.

– Dobrze. Jeśli ty zdołasz dotrzeć do Wołgogradu, ja zdołam wydostać was wszystkich. Bez problemu.

„Wydostać” brzmiało nieźle. Podobnie jak „bez problemu”.

Ale po wszystkim, co się wydarzyło, Tucker nie pokładał wielkiej wiary w te słowa.

Kazań, Rosja

13 marca, godzina 14.13 czasu miejscowego

Po południu Tucker stał na chodniku w centrum Kazania, patrząc na odlany z brązu monolit zwieńczony popiersiem mężczyzny o posępnej twarzy. Jak mógł się spodziewać, na tablicy widniał napis w cyrylicy.

Ale przynajmniej mam przewodnika, pomyślał.

– Oto kolebka nowoczesnej chemii organicznej – oznajmił Awram Bukołów, zataczając ręką łuk. – Z Kazania pochodzą najwięksi: Butlerow, Markownikow, Arbuzow. Lista nie ma końca. A ten przedstawiony tutaj piękny mężczyzna... Z pewnością wiesz, kto to taki, prawda?

– Może pan nam przypomni, profesorze – powiedział Tucker.

– To Nikołaj Łobaczewski. Rosyjski pionier w dziedzinie geometrii nieeuklidesowej. Czy to brzmi znajomo?

Raczej ostrzegawczo.

Tucker zaczynał podejrzewać, że Bukołów cierpi na zaburzenie afektywne dwubiegunowe. Niedługo po opuszczeniu hotelu ze stanu ledwie hamowanej euforii popadł w głęboką depresję. Ale gdy jakiś czas temu dotarli na przedmieścia Kazania, ożywił się na tyle, że zażądał, żeby zwiedzili miejscowy Instytut Biochemii i Biofizyki.

Tucker wyraził zgodę z kilku powodów.

Po pierwsze, żeby go uciszyć.

Po drugie, zamierzał przeprowadzić zwiad na terenie instytutu.

Po trzecie, chciał zobaczyć, czy ich obecność wywoła alarm, bo jeśli ktoś ich śledził, robił to dotychczas bardzo dyskretnie.

A po czwarte – i najważniejsze – musiał się dowiedzieć, gdzie mieszka albo pracuje Ania Malinow. Miał nadzieję wyprowadzić ją z ośrodka pod osłoną nocy.

Utkin szedł z tyłu z Kainem. Trzymał telefon przy uchu, próbując skontaktować się z Anią. Mówił po cichu. Wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby jej ojciec wiedział, gdzie córka mieszka albo gdzie jest jej biuro.

„Nigdy tu nie byłem”, odparł zapytany, niemal ze łzami w oczach, wyraźnie zmartwiony o córkę.

Tucker podejrzewał, że Bukołow, pytając o adres Ani w instytucie, nie zdobędzie się na stosowną uprzejmość, dlatego poprosił o to Utkina.

Młody człowiek w końcu oderwał komórkę od ucha i zbliżył się do Tuckera i profesora.

– Mamy problem.

Jakżeby inaczej...

Bukołow złapał swojego asystenta za rękaw.

– Coś się stało Ani?

– Nie, nic jej nie jest, ale jej tu nie ma.

– To znaczy? – zapytał Tucker. – Gdzie jest?

– Na Kremlu.

Tucker głęboko odetchnął, żeby się uspokoić.

– W Moskwie? – rzucił.

Utkin zamachał rękami.

– Nie, nie. W Kazaniu też jest Kreml. Kilometr stąd, nad Wołgą. – Wskazał w kierunku rzeki.

– Co ona tam robi? – zapytał Tucker z westchnieniem ulgi.

– Oczywiście, jest w archiwum! – zawołał Bukołow.

Głos miał ostry i na tyle donośny, że przyciągnął uwagę przechodzącego strażnika instytutu. Nie chcąc wzbudzać nadmiernego zainteresowania, Tucker poprowadził swoich towarzyszy dalej, w kierunku hotelu.

– Wspominała, że coś znalazła – podjął Bukołów. Pokręcił głową, jakby próbował wszystko w niej sobie poukładać. – Dopiero teraz mi się przypomniało. Miała coś dla mnie wyszukać. Coś bardzo ważnego.

– Co takiego? – zapytał Tucker.

Profesor spojrział na niego z błyskiem w oku.

– Dziennik świętej pamięci wielkiego Paulosa De Klerka.

– Kto to taki?

– Wszystko w swoim czasie. Ale De Klerk może być ostatnim potrzebnym mi elementem układanki.

Tucker zdecydował, że lepiej nie naciskać, i przeniósł spojrzenie na Utkina.

– Kiedy wróci do instytutu?

– Za trzy, cztery dni.

– Nie możemy czekać tak długo! – warknął Bukołów.

Choć raz Tucker się z nim zgodził. Utkin też pokiwał głową.

– Z tego, co mi wiadomo, na terenie instytutu ochrona jest szczelniejsza niż na tutejszym Kremlu – powiedział profesor. Tam gdzie Ania mieszka i pracuje, są strażnicy przy każdym wejściu, karty magnetyczne i kamery monitoringu.

Zniechęcony Tucker westchnął ciężko.

Wygląda na to, że musimy wykraść tę Anię z Kremla.

Godzina 15.23

Godzinę później Tucker wszedł z grupą turystów na tereny kazańskiego Kremla. Wraz z kilkoma innymi osobami został oddzielony od grupy i przekazany pod opiekę mówiącej po angielsku przewodniczki, niziutkiej blondynki, która często się uśmiechała, ale mówiła szczekliwym głosem.

– Trzymać się blisko mnie! – poleciała, machając ręką, żeby ruszyli za nią. – Przechodzimy przez południową bramę Kremla. Widząc te masywne mury, pewnie się domyślacie, że kompleks

Kremla został pomyślany jako forteca. Niektóre z obiektów, które widzicie, mają ponad sześćset lat.

Tucker powiódł wzrokiem dokoła. Pozbierał już informacje na temat kazańskiego Kremla, zaglądając na różne strony internetowe, do aplikacji Google Earth i na blogi turystów. Jego plan zaczął się krystalizować, ale najpierw chciał zobaczyć to miejsce na własne oczy.

– Jesteśmy na ulicy Szejnkmana – mówiła przewodniczka. – To główna ulica Kremla. Nad wami wznosi się Wieża Spasska. To jedna z trzynastu wież. Zgodnie z ruchem wskazówek zegara, ich nazwy brzmią...

Była to trzecia wycieczka przed końcem dnia. Tucker kazał Utkinowi pracować nad planem w hotelu, z pomocą Bukołowa; zostawił Kaina, żeby nad nimi czuwał.

Teraz oderwał uwagę od monologu przewodniczki, koncentrując się na zapamiętaniu układu ulic i budynków. Dwa razy widział moskiewski Kreml i choć tamten wyglądał imponująco, wersja kazańska wydawała się jakby bardziej majestatyczna.

Otoczone wysokimi, śnieżnobiałymi murami i wieżyczkami zabudowania prezentowały mieszaninę stylów architektonicznych, od praktycznej prostoty średniowiecznych koszar po nieco krzykliwe dostojeństwo soboru Zwiastowania. Jeszcze większe wrażenie robił kryty kopułą meczet z niebosięźnymi minaretami.

Tucker chodził za przewodniczką przez czterdzieści pięć minut, rozglądając się, poznając labirynt starannie brukowanych ulic, wewnętrznych dziedzińców i obsadzonych drzewami alei. Starał się podziwiać starożytne piękno kompleksu, jednocześnie patrząc na Kreml okiem żołnierza. Zwracał uwagę na pozycje strażników, ślepe uliczki i trasy ucieczki.

Po zakończeniu zwiedzania przewodniczka pozwoliła turystom przez pół godziny przechadzać się ze względną swobodą po ogólnie dostępnych miejscach, a nawet robić zdjęcia.

Przysiadł tu i ówdzie i liczył, ile razy mijają go strażnicy i turyści.

Może się udać, pomyślał.

W końcu zadzwonił telefon i Utkin przekazał mu zwięzłą wiadomość.

– Jesteśmy gotowi.

Tucker wstał i ruszył do hotelu, mając nadzieję, że wszystko jest w porządku. Musieli działać szybko. Jeden błąd i cały plan się posypie.

Godzina 16.14

Tucker z aprobatą przyglądał się Kainowi.

Pies stał na hotelowym łóżku ubrany w kamizelę taktyczną K9 storm, zupełnie zasłoniętą przez nową płócienną kamizelkę, granatową, z napisem w cyrylicy: KAZAŃSKI KREML K9.

– Dobra robota, Utkin – powiedział Tucker. – Mógłbyś zrobić karierę jako szwaczka.

– Prawdę mówiąc, kamizelkę kupiłem w sklepie zoologicznym, a litery są przyklejone żelazkiem.

Patrząc z bliska, Tucker zauważył, że jedna z nich się odkleja.

– Zaraz to naprawię – obiecał Utkin, zdejmując kamizelkę.

Nie było to najlepsze przebranie, lecz zważywszy, że asystent profesora miał tylko internetowe zdjęcia personelu ochrony na Kremlu, wykonał naprawdę pierwszorzędną robotę. Zwłaszcza że nikt nie będzie dokładnie przyglądać się psu, a większość czasu on i jego partner i tak spędzą w ciemności.

Gdy Utkin zakończył ostatnie poprawki kamizelki i naszył łatę na rękawie kurtki, która należała do martwego żołnierza Specnazu, Tucker zwrócił się do Bukołowa:

– Udało się panu skontaktować z córką?

– Wreszcie. Ale tak, będzie gotowa, jak pan kazał.

– To dobrze.

Zauważył, że profesor jest bardzo blady i ma szkliste oczy. Wyraźnie się o nią bał. Wyglądało na to, że rozmowa z Anią tylko nasiliła jego niepokój.

Tucker uznał, że powinien rozproszyć uwagę profesora, i usiadł obok niego na łóżku.

– Proszę mi powiedzieć coś więcej o tych papierach, których szuka pana córka. Znalazła je?

Bukołow wyjaśniał jak dumny ojciec.

– Znalazła!

– A dlaczego dzienniki tego De Klerka są takie ważne?

– Jeśli próbuje pan coś ze mnie wyciągnąć...

– Ależ skąd! Po prostu jestem ciekawy.

Profesor najwyraźniej mu uwierzył.

– Co pan wie o wojnach burskich?

– W Afryce? – Tucker ściągnął brwi, zaskoczony obrotem rozmowy. – Tylko podstawowe rzeczy.

– W takim razie nakreślę tło, żeby rozumiał pan kontekst. Imperium brytyjskie chciało zatrzymać władzę w Afryce Południowej, a burscy farmerzy byli temu przeciwni, więc ruszyli na wojnę. Była krwawa, brutalna i pełna okrucieństw po obu stronach, łącznie z masowymi egzekucjami i obozami koncentracyjnymi. Paulos De Klerk był nie tylko żołnierzem, ale również lekarzem. Dość skomplikowany człowiek. Ale nie dlatego uznałem, że jest taki fascynujący, i z pewnością nie dlatego jego dziennik jest tak ważny dla mojej pracy.

Bukołow przerwał i powiódł wzrokiem dokoła, jakby sprawdzał, czy ktoś nie podsłuchuje. Pochylił się i skinął na Tuckera, żeby się przysunął.

– Paulos De Klerk był również biologiem. – Mrugnął konfidencjonalnie. – Rozumie pan?

Tucker nie odpowiedział.

– W wolnym czasie pomiędzy wypełnianiem podwójnych obowiązków, lekarza i żołnierza, studiował florę Afryki Południowej. Sporządził obszerne notatki i setki szczegółowych rysunków. Jego prace można znaleźć w bibliotekach naukowych,

na uniwersytetach, a nawet w muzeach historii naturalnej na całym świecie.

– I tutaj też, w archiwum Kremla?

– Tak. Jeszcze przed założeniem instytutu w Kazaniu ten region był uważany za miejsce wielkiej nauki. Carowie, poczynając od Iwana Groźnego, który wzniósł tutejszy Kreml, zbierali książki i przechowywali je w podziemiach. W ten sposób powstała bogata biblioteka i archiwa, w większości kiepsko skatalogowane. Wytropienie rozproszonych po całej Rosji i Europie różnych odniesień do De Klerka zajęło wiele lat. Najcenniejszy trop został znaleziony tutaj, pod nosem naszych wrogów. Czy teraz pan rozumie, dlaczego to takie ważne?

– Nie, niezupełnie.

Po prawdzie Tucker nic z tego nie rozumiał, ale zachował milczenie.

Profesor wyprostował plecy, prychnął i machnął ręką, każąc mu się odsunąć.

To było wszystko, co jak dotąd udało się wydobyć z tego człowieka.

Utkin przywołał go, ubierając Kaina w kamizelkę.

– Powinno wystarczyć – ocenił Tucker i sprawdził, która godzina.

Akurat dość czasu, żeby załapać się na ostatnią wycieczkę dnia.

Szybko nałożył żołnierski strój zimowy, wciągnął czarne buty i wcisnął na głowę granatową czapkę. Ten ostatni element garderoby Utkin kupił w sklepie z artykułami z demobilu. Tucker go poprosił, żeby porównał jego wygląd ze zdjęciem strażnika w Kremlu.

– Ujdzie – powiedział młody naukowiec, chociaż bez stuprocentowego przekonania.

Trudno. Czas uciekał.

Tucker odwrócił się w stronę swojego partnera, który pomachał ogonem.

– Czas na przedstawienie, towarzyszu Kain.

Kazań, Rosja

13 marca, godzina 17.45 czasu miejscowego

– I na tym kończymy dzisiejszą wycieczkę – powiedział przewodnik zwiedzającym stłoczonym na zimnie. – Mogą państwo spacerować po terenie Kremla jeszcze przez piętnaście minut. Bramy zostaną zamknięte punktualnie o osiemnastej.

Tucker, w czerwonej czapce baseballowej na głowie i z tanią podróbką okularów marki Ray-Ban na nosie, stał z innymi – po prostu zwyczajny turysta. Włożył to przebranie, na wypadek gdyby się natknął na przewodniczkę, która oprowadzała wcześniejszą grupę. Ostrożność okazała się zbyteczna, bo tę wycieczkę prowadził mężczyzna.

Kain u jego boku z początku przyciągał zaciekawione spojrzenia, ale wcześniej przy kasie biletowej dokumenty psa służbowego zdały egzamin. Pomogło również to, że malinois potrafił być prawdziwym czarusem i kiedy dostał na to pozwolenie, radośnie biegał i merdał ogonem. Co więcej, miał na grzbiecie psi plecak z wypisanymi cyrylicą słowami KOCHAM KAZAŃ. Znudzone nastolatki przy bramie pobieżnie sprawdziły plecak i małą torbę Tuckera.

Usłyszawszy zezwolenie na samodzielne zwiedzanie, Tucker nie marnował czasu. Niedbałym krokiem ruszył z partnerem ulicą Szejnkmana. Gdy dotarł do krytych zielonymi dachami starych koszar kadetów, wszedł przez bramę na dziedziniec. Pokręcił się, zrobił kilka zdjęć fontanny i dziewiętnastowiecznej armaty, po czym usiadł na pobliskiej kamiennej ławce. Widział,

jak za sklepioną bramą turyści zmierzają ulicą w kierunku głównego wyjścia z Kremla.

Nikt nie spojrział w jego stronę. Nie pojawili się strażnicy.

Korzystając z chwili spokoju, poprowadził Kaina do wejścia w południowo-zachodnim kącie dziedzińca. Korytarz był słabo oświetlony, po obu stronach znajdowały się drzwi. Tucker szedł, zwracając uwagę na wypolerowaną podłogę z orzecha i wgłębienia wyżłobione przez podeszwy przed każdymi drzwiami. Przewodnik powiedział, że dawni kadeci codziennie podczas inspekcji w koszarach przez cztery godziny stali na baczność. Tucker uznał to za barwną historyjkę, ale najwyraźniej właśnie tak wyglądała prawda.

Doszedł do schodów na końcu korytarza i przestąpił nad sznurem oznaczającym zakaz wstępu. Szybko wbiegł na piętro, gdzie na szczęście nikogo nie zastał, i znalazł dobrą kryjówkę: puste, najwyraźniej nieużywane zaplecze jednej z sal wykładowych.

Wszedł tam z partnerem i zamknął drzwi.

Nabrał powietrza do płuc i powoli je wypuścił.

Faza pierwsza... wykonana.

W ciemności usadowił się z Kainem pod ścianą.

– Zdrzemnij się, brachu, jeśli masz ochotę – szepnął.

Pies padł na podłogę i położył łeb na jego udzie.

Przez następne dwie godziny Tucker analizował swój plan od początku do końca i z powrotem. Największą niewiadomą była Ania. Niewiele wiedział o tej kobiecie; nie miał pojęcia, jak może się zachować w krytycznej sytuacji i kto jej pilnuje na terenie Kremla. Musiał się zadowolić informacjami uzyskanymi od Bukołowa po jego rozmowie telefonicznej z córką.

Profesor powiedział, że w dzień i w nocy pilnuje jej dwóch mężczyzn, agentów GRU po cywilnemu. Tucker obmyślił, jak się z nimi rozprawić, ale pewne elementy planu były naszkicowane tylko z grubsza, szczególnie te dotyczące ochrony Kremla.

Uczestnicząc w dwóch wycieczkach, naliczył osiem patroli złożonych z przewodników i psów, głównie owczarków

niemieckich – Kain mógł uchodzić za przedstawiciela tej rasy. Zauważył też kilka kudłatych terierów rosyjskich, używanych przez wojsko i policję.

Obawiał się konfrontacji z każdym z nich. Nie zabijał zwierząt i rozpaczliwie pragnął, żeby do tego nie doszło. Psy robią to, co nakazuje im instynkt albo szkolenie. Nigdy nie kieruje nimi złośliwość. Niechęć do wyrządzania im krzywdy stanowiła rysę w jego pancerzu, i dobrze o tym wiedział. Naprawdę nie miał pojęcia, co zrobi, jeśli kiedyś zostanie przyparty plecami do takiego muru.

W ciemności zegarek zawibrował na jego ręce, dając mu znać, że pora na fazę drugą.

Godzina 20.30

Tucker przebrał się w mundur zabitego żołnierza Specnazu i ubrał Kaina w dodatkową kamizelkę, co wcale nie było takie łatwe, zważywszy na ciasnotę kantorka i konieczność zachowania ciszy. Miał już na nogach policyjne buty, z cholewkami ukrytymi w nogawkach dzinsów. Ubrania były rozdzielone w dwóch plecakach. Włożył zimowy strój kamuflujący i czapkę, a stare ubranie schował do plecaka, który wcisnął w ciemny zakamarek pod krokwiami.

Ostrożnie wszedł do sali wykładowej i podkradł się do okna wychodzącego na zaciemnioną ulicę. O tej porze, gdy temperatura spadała, tworzyła się lekka lodowa mgiełka lśniąca na bruku w blasku lamp gazowych.

Stał przy oknie piętnaście minut, obserwując nocne straże, ale również dlatego, że spotkanie z Anią musiało się odbyć w ściśle określonym czasie.

O dwudziestej pierwszej eskorta przeprowadzi ją z archiwum naukowego do rezydencji gubernatora, jednego z niedostępnych dla zwiedzających, podlegających ścisłej ochronie budynków

Kremla. Kiedy Ania tam wejdzie, Tucker nie będzie miał szans, żeby do niej dotrzeć.

Gdy zbliżyła się wyznaczona godzina, przypiął partnerowi smycz i opuścił salę wykładową. Zszedł na parter i wyszedł na mglistą ulicę; Kain dostosował się do jego kroku.

Na skrzyżowaniu Tucker spostrzegł idącego z naprzeciwka strażnika z psem. Po rosyjsku wydał komendę, której nauczył go Utkin i którą umiał wypowiedzieć z miejscowym akcentem. Kain nie znał rosyjskiego, więc partner dał mu ukradkowy sygnał ręką.

Siad.

Malinois przysiadł na zadzie.

Gdy strażnik zbliżył się do skrzyżowania, Tuckerowi załomotało serce.

Idź dalej.

W przeciwieństwie do Kaina, strażnik nie posłuchał. Zatrzymał się razem ze swoim psem, podejrzliwie patrząc na drugą parę.

Podejmując ryzyko, Tucker uniósł rękę i pomachał do niego. Mężczyzna nie zareagował. Idź na całość, pomyślał Tucker. Zrobił dwa kroki i szorstkim głosem wypowiedział jedno ze zdań przeciwiczonych z Utkinem:

– *Wsio w pariadkie?*

– *Da, da* – odparł strażnik i po chwili dodał: – *A u was?*

Tucker wzruszył ramionami.

– *Toże.*

Gdy mężczyzna z psem go wyminął, szybkim krokiem ruszył z Kainem w przeciwną stronę, na południe, w kierunku Wieży Spasskiej. Musiał się skupiać na stawianiu kroków, dopóki bolesne napięcie nie opuściło jego nóg.

Po przejściu stu metrów znalazł się obok miejsca przeznaczenia. Był to tak zwany Dom Jeździecki, niegdyś stajnia, a obecnie jedna z sal wystawowych Kremla.

Trzydzieści metrów dalej pomachał do niego ręką strażnik Wieży Spasskiej, ledwie widoczny w gęstniejącej mgle.

Tucker w odpowiedzi wysoko uniósł rękę.

Stosownie do swojej przykrywki, zrobił małe przedstawienie, świecąc latarką w okna i po murach Domu Jeździeckiego. Zauważył kolejną parę K9, idącą przez plac wokół pobliskiego meczetu.

Pomachał ręką i strażnik zrobił to samo.

– Jedna wielka szczęśliwa rodzina – mruknął Tucker.

Zgodnie z zapowiedzią Ani, drzwi przy północnym narożniku nie były zamknięte. Otworzył je i przemknął się do środka. Wnętrze okazało się takie, jak sobie wyobrażał. Po obu stronach centralnego przejścia znajdowały się boksy, tyle że zamiast koni stały w nich szklane gabloty z eksponatami z dawnej szkoły kadetów: siodła, szpicruty, lance, szable kawaleryjskie. Halogeny w głównej sali zostały zgaszone na noc, ale widział dość dobrze w blasku oświetlenia awaryjnego.

Ania pracowała w zlokalizowanym w piwnicy archiwum, będącym załączkiem czegoś, co wkrótce miało się stać kremlowskim muzeum starodruków i manuskryptów. Tucker nie miał pojęcia, w jaki sposób trafił tam dziennik burskiego botanika. Szmat drogi dzielił Afrykę Południową od Kazania.

Pochylił się i odpiął smycz Kaina.

Pora zabrać się do pracy.

Wskazał przed siebie.

– ZWIAD I WRÓĆ.

Nie chciał niespodzianek.

Pies cicho potruchtał w głąb przejścia i zniknął za jedną z gablot. W ciągu półtorej minuty sprawdził wszystkie boksy. Wrócił, usiadł przy nodze partnera i spojrzał na niego.

Dobry pies.

Razem przeszli na drugą stronę sali wystawowej do drzwi, za którymi znajdowały się schody. Na dole paliło się mleczone światło; słychać było charakterystyczne brzęczenie świetlówek.

Ruszyli na dół.

Dwa metry od ostatniego stopnia ktoś zapytał po rosyjsku:

– Kto tam?

Tucker, który się tego spodziewał, szepnął do Kaina:

– GRAMY PRZYJACIÓŁ.

Malinois uwielbiał tę komendę. Postawił uszy, wesoło machnął ogonem i lekkim krokiem zbiegł po schodach na korytarz.

Tucker podążył za nim. Trzy metry dalej w korytarzu stał mężczyzna o grubym karku, ubrany w źle dopasowany garnitur; patrzył spod ściągniętych brwi na merdającego ogonem psa.

Był to członek eskorty Ani.

– *Dobryj wieczier* – rzucił Tucker i wykorzystując lekką dezorientację strażnika, szedł w jego stronę.

Rosjanin sztywno uniósł rękę i zagadał coś po rosyjsku rozkazującym tonem. Tucker zrozumiał tylko żądanie – przedstaw się.

Wskazał Kaina, udając, że jest zawiedziony nieposłusznym psem.

– Sasza... Sasza... – Kiedy dwa kroki dzieliły go od mężczyzny, ten sięgnął do kieszeni marynarki.

Tucker przestał udawać i krzyknął do Kaina:

– SPODNIE!

Pies zacisnął zęby na nogawce i całą siłą muskularnego ciała szarpnął mężczyznę do tyłu. Strażnik stracił równowagę; jedną ręką młóćąc powietrze, drugą sięgał po pistolet, lecz Tucker nie marnował ani chwili. Przyskoczył do Rosjanina i chwycił rękę sięgającą po broń. Zamachnął się i mocno uderzył przeciwnika pięścią w gardło.

Strażnik zacharczał i upadł na wznak, wciąż przytomny, z wytrzeszczonymi oczami. Jego usta otwierały się i zamykały, gdy próbował złapać oddech.

Tucker wyciągnął broń z jego podramiennej kabury – pistolet GSz-18 – i uderzył go stalowym chwytem w skroń. Gdy oczy Rosjanina w końcu się zamknęły, przyklęknął i wycelował w głąb korytarza. Powalił mężczyznę względnie cicho, ale nie miał pojęcia, czy w pobliżu nie ma drugiego strażnika.

Na szczęście nikt się nie zjawił.

– ZWIAD – rzucił komendę, wskazując przed siebie.

Kain podreptał w głąb korytarza i zatrzymał się przy jego rozwidleniu. Zerknął zza rogu w lewo i w prawo, potem obrócił łeb ze spokojnym spojrzeniem, które mówiło, że droga jest wolna.

Tucker podszedł do niego i razem rozpoczęli poszukiwania.

W przeciwieństwie do znajdującej się na górze stajni, piwnica nie została poddana renowacji. Ceglane ściany się kruszyły, a podłogę tworzyły niezbyt równe granitowe płyty. Jedynym źródłem światła były jarzeniówki przymocowane do belek stropu.

Korytarz po lewej stronie tarasowała sterta skrzyń. Na prawo droga była wolna. Na końcu korytarza widniał prostokąt światła.

Drzwi.

Tucker ruszył pierwszy. Przycisnął się do ściany i zajrzał do oświetlonego pomieszczenia.

Zobaczył rozległy magazyn ze sklepieniem, długi i szeroki jak stajnia na górze. Pod ścianami stały regały. Na ustawionych w rzędach drewnianych stołach leżały sterty książek, rękopisów i dokumentów.

Przy najbliższym stole zwrócona profilem do wejścia stała kruczowłosa piękność w czerwonej bluzce. Oparta rękami o blat, studiowała otwarty rękopis. Na lewo od niej, przy innym stole, siedział drugi strażnik; palił papierosa i układał pasjansa.

Tucker ukrył się za framugą, wsunął pistolet do bocznej kieszeni i wskazując pomieszczenie, dał partnerowi znak: *przyciągnij uwagę i wróć.*

Pies wbiegł do dużego magazynu i zaczął szczeleć.

Strażnik krzyknął coś po rosyjsku. Jego słowom towarzyszył zgrzyt krzesła przesuwanego po kamiennej podłodze.

Kain wybiegł na korytarz, a Tucker dał mu znak, by pobiegł tam, skąd przyszli.

Chwilę później w drzwiach pojawił się strażnik. Tucker pozwolił mu zrobić dwa kroki, zanim przyskoczył do niego i sierpowym uderzył go w nerkę. Wypuszczając ze świstem

powietrze, Rosjanin padł na kolana. Tucker otoczył mu prawym ramieniem szyję, a lewą ręką nacisnął potylicę, pochylając głowę przeciwnika. Pięć sekund nacisku na arterię szyjną wystarczyło. Gdy mężczyzna zwiotczał w jego ramionach, dla pewności odczekał pół minuty i położył go na podłodze.

Kiedy Kain wrócił, machając ogonem, Tucker poklepał go po boku i wszedł do magazynu.

Kobieta stała twarzą do niego, wyraźnie przejęta, z ręką uniesioną do szyi. Jej oszłamiająco błękitne oczy były teraz szkliste ze strachu; pewnie przez to wyglądała na mniej niż dwadzieścia pięć lat. Cofnęła się o kilka kroków. W tych okolicznościach nie mógł się temu dziwić.

– Ty... ty jesteś Tucker, tak? – zapytała po angielsku z lekkim rosyjskim akcentem.

Wyciągnął otwarte dłonie w jej stronę, próbując ją uspokoić.

– Tak. A ty jesteś Ania.

Skinęła głową i odetchnęła z ulgą.

– Prawie się spóźniłeś – powiedziała, szybko odzyskawszy panowanie nad sobą.

– Prawie robi wielką różnicę... mam nadzieję.

Kain podszedł do niej z uniesionym ogonem. Dziewczyna spojrzała na niego z lekkim nieśmiałym uśmiechem.

– Naprawdę mnie przestraszył, kiedy zaczął szczekać. Ale jest piękny.

– Wabi się Kain.

Przeniosła spojrzenie jasnych oczu na Tuckera.

– Jak Kain i Abel?

Głos uwiązał mu w gardle.

– Teraz jest tylko Kain. – Odwrócił się w stronę drzwi. – Powinniśmy iść.

Szybko zaprowadził ją na górę; przystanął po drodze, tylko żeby przeszukać nieprzytomnych mężczyzn i zabrać ich identyfikatory.

Ania szła za nim, przyciskając do piersi skórzaną torbę na ramię, zdobioną kryształami górskimi, tak dużą, że pewnie

zmieściłby się w niej Kain. Niezupełnie dyskretna, pomyślał Tucker. Spostrzegła, że patrzy na torbę, gdy wychodzili z piwnicy.

– Podróbka Prady. Zostawiam za sobą całe moje życie, karierę... Czy jedna torba to zbyt wiele? – Kiedy dotarli do głównego korytarza, zapytała: – Więc jaki jest twój plan, wielki ratownika?

Usłyszał w jej głosie maskującą zdenerwowanie nutkę wymuszonego humoru, ale głębiej dźwięczała stal. Po wyjściu z szoku Ania okazała się twardsza, niż oczekiwał.

– Wychodzimy główną bramą – odparł.

– Tak po prostu?

– Pod warunkiem że umiesz choć trochę udawać.

Godzina 21.09

Na kilka minut zatrzymał się z Anią w głównym holu Domu Jeździeckiego, żeby zaznajomić ją ze szczegółami planu. Kiedy była gotowa – albo prawie gotowa – poprowadził ją do drzwi.

Zanim wyszli w mglistą noc, wziął Kaina na smycz, przygładził wojskową kurtkę i poprawił czapkę, po czym ujął dziewczynę pod ramię.

– Gotowa? – zapytał.

– Byłoby łatwiej, gdybym naprawdę była pijana. – Uśmiechnęła się i skinęła głową. – Miejmy to już za sobą.

Razem wyślizgnęli się z muzeum na ulicę i ruszyli w kierunku Bramy Spasskiej i głównego wyjścia. W jednej ręce Tucker trzymał smycz Kaina, a drugą próbował podtrzymywać szamoczącą się i potykającą Anię.

Dziesięć metrów od bramy strażnik wyszedł z budki i zawołał coś, co prawdopodobnie znaczyło: „Co się dzieje?”.

– Spała w kwaterach kadetów! – krzyknął po rosyjsku Tucker, powtarzając przećwiczone zdanie, którego na tę okazję nauczył go Utkin.

Dziewczyna rozpoczęła przedstawienie, trajkocząc po rosyjsku i przesadnie gestykulując. Tucker nie rozumiał, co mówi, ale miał nadzieję, że naszpikowana przekleństwami tyrada jest zgodna z jego wskazówkami: *Ten strażnik to drań... jego pies śmierdzi... żadne prawo nie zabrania spać na Kremlu, nie mówiąc o picciu... zamykacie stanowczo za wcześnie... mój ojciec, redaktor kazańskiego „Zwiastuna”, wam nie popuści...*

Tucker brutalnie pociągnął ją do bramy i wykrzyknął do strażnika kolejne zapamiętane zdania.

– Pospiesz się! Policja jest w drodze! Otwieraj, muszę ją wyprowadzić!

Za nimi ktoś krzyknął. Tucker spojrział przez ramię i zobaczył zwabionego przez zamieszanie strażnika.

Pohamowując własną litanie przekleństw, odwrócił się i machnął ręką na znak, że ma wszystko pod kontrolą.

– HAŁAS – szepnął do Kaina.

Pies zaczął ujadać, powiększając zamieszanie.

Ania ani na chwilę nie przestawała mówić.

Niestety, strażnik się do nich zbliżał.

Improwizując, Ania zgięła się w pół; jedną ręką uwieszona na ramieniu Tuckera, drugą zasłaniała usta, jakby miała zaraz wymiotować.

– Pospiesz się! – wrzasnął Tucker.

W końcu strażnik odwrócił się od młodej kobiety, znalazł właściwy klucz i podszedł do bramy. Otworzył ją i machnął ręką, ordynarnie zaklął i kazał im wyjść.

Tucker posłuchał i powłókł za sobą Anię, podczas gdy brama zamknęła się ze szczękiem. Drugi strażnik dołączył do kolegi i obaj patrzyli za nimi.

Tucker machnął do nich ręką, jakby mówił: „Ale się wpakowałem!”.

Rubaszny śmiech i pogwizdywanie oznaczały, że dobrze zrozumieli jego wiadomość.

Kilka metrów od bramy Ania zakończyła przedstawienie.

– Udawaj dalej, dopóki nie stracą nas z oczu – szepnął Tucker.

Skinęła głową, spróbowała mu się wyrwać i coś wrzasnęła. Rozpoznał słowa: *niet* i *policija*.

Strażnicy nagrodzili jej niemrawą próbę stawiania oporu salwą śmiechu, a Tucker pociągnął ją dalej i skręcił w prawo, tak że zniknęli z pola widzenia strażników.

Natychmiast się wyprostowała i wygładziła ubranie.

– Biegniemy? – spytała.

– Nie. Idziemy. Nie możemy przyciągnąć uwagi.

Idąc zwawym krokiem, dotarli do oszronionego trawnika po północnej stronie soboru Zwiastowania. Tucker wskazał zaparkowanego pod drzewem czarnego SUV-a Marussia.

Wsiedli z przodu, Kain z tyłu.

Tucker zapuścił silnik, zawrócił i jadąc na południe, zadzwonił na komórkę Utkina.

– Wydostaliśmy się. Bądźcie gotowi za pięć minut.

Jak zaplanowali, Utkin i Bukołów czekali w uliczce za hotelem. Tucker zahamował i gdy tylko wskoczyli na tylną kanapę, ruszył.

Bukołów sięgnął nad oparciem fotela, żeby uściskać córkę, i ze łzami w oczach pocałował ją w policzek.

Tucker pozwolił im na to krótkie powitanie, po czym kazał wszystkim się pochylić. Nie oglądając się za siebie, wyjechał z Kazania i popędził na południe.

Trzeba wynosić się z tego kraju, i to szybko.

Na południe od Kazania, Rosja

13 marca, godzina 22.42 czasu miejscowego

– Nie mogę uwierzyć, że się wam udało – powiedział Bukołow pół godziny później. – Naprawdę pan tego dokonał!

Tucker koncentrował uwagę na ciemnej, oblodzonej drodze P240; z maksymalnie podkreślonym ogrzewaniem wciąż kierował się na południe.

– Myślisz, że nic nam już nie grozi? – zapytał Utkin, wychylając się z tylnego siedzenia z taką miną, jakby cierpiał na nerwicę frontową. – Wszystko stało się tak szybko...

– Szybko to dobrze – powiedział Tucker. – Gładko jeszcze lepiej.

Prawdę powiedziawszy, był zaskoczony, że jego plan się powiódł. Przykazał sobie, że jeszcze nie wolno mu się odprężyć, i nadal miał się na baczności.

W świetle reflektorów mignął znak zapowiadający parking.

Może być, uznał.

Trzy kilometry dalej dotarli do zjazdu z głównej drogi. Tucker chciał zrobić małe porządki, więc zjechał na parking z toaletą i dwiema pokrytymi śniegiem parkowymi ławkami wśród oblodzonych brzoź.

– Rozprostujcie nogi – rzucił, patrząc na pasażerów. – Ale najpierw muszę zabrać wasze komórki, laptopy, cały sprzęt elektroniczny, jaki macie.

– Dlaczego? – zapytał Bukołow.

– Myśli, że jedno z nas może do kogoś zadzwonić – wyjaśniła Ania.

– Kto? Do kogo mielibyśmy dzwonić?

– Nie tylko o to chodzi – sprostował. – Sprzęt elektroniczny można wytropić nawet wtedy, gdy nie jest włączony. Proszę mi dać to, o co prosiłem.

Powoli przekazali mu laptopy i komórki.

– A jeśli ktoś z nas będzie musiał zadzwonić? – zapytała Ania.

– Wtedy to załatwię – odparł Tucker.

Kiedy bezpiecznie wyjedziemy z kraju i przekażę was Sigmie, dodał w myślach.

Zabrał Kaina na krótki spacer i pozwolił pozostałym trochę się rozruszać po szybkiej ucieczce z Kazania. Gdy nikt nie patrzył, wrzucił cały sprzęt do płynącego w pobliżu strumienia. Zachował tylko swój telefon satelitarny.

Dziesięć minut później wrócili na drogę.

– Co teraz? – zapytała Ania. – Dokąd jedziemy? Na jakieś lotnisko?

– Poczekamy, zobaczymy – odparł enigmatycznie, nie chcąc zdradzać swoich planów.

Jechał na południe przez sześć godzin, nie zdejmując nogi z pedału gazu. Wykorzystując względnie dobry stan drogi, chciał maksymalnie oddalić się od Kazania. Minąwszy wiejskie tereny, w końcu przekroczyli granicę *obłasti*. Na szczęście pomiędzy rosyjskimi obwodami nie było punktów kontrolnych. Coś takiego znacznie skomplikowałoby sytuację.

Dwie godziny przed świtem dotarł do niewielkiego miasta Dimitrowgrad, które nie oderwało się od korzeni epoki sowieckiej. Przejechał głównymi ulicami, szukając hotelu zapewniającego im anonimowość i jaką taką wygodę. Znalazłszy odpowiednie lokum, wynajął sąsiadujące pokoje na pierwszym piętrze, jeden dla Ani i jej ojca, drugi dla Utkina i siebie. Kainowi kazał zająć stanowisko przy drzwiach pomiędzy pokojami.

Nie chciał zbyt długo przebywać w jednym miejscu. Cztery godziny później już był na nogach. Pozwalając innym pospać

trochę dłużej, wybrał się na krótki spacer. Chciał побыć sam. Gdy w nocy wjeżdżał do miasta, po drodze zauważył kawiarenkę internetową i właśnie tam się skierował. Wnętrze pachniało kiełbasą i rozgrzanym plastikiem, ale przynajmniej o tej porze nikogo tam nie było. Na pięciu stołach stały IBM-y z lat dziewięćdziesiątych, tak stare, że miały modemy słuchawkowe.

Na szczęście właściciel, starszy mężczyzna, który sprawiał wrażenie przyspawanego do stołka, nie był gadatliwy. Tucker rzucił okiem na odręcznie napisany cennik na ladzie i podał właścicielowi sto rubli. Mężczyzna machnął ręką, jakby mówił: „wybieraj”.

Jak było do przewidzenia, prędkość transmisji danych była koszmarnie niska. Tucker wczytał kilka rosyjskich stron z wiadomościami. Korzystając z translatora, znalazł to, czego szukał – a dokładniej to, co miał nadzieję znaleźć.

Po powrocie do hotelu zobaczył, że nie ma Ani i Utkina. Kain siedział na łóżku, patrząc na niego wyczekująco. Ogarnęła go złość, ale szybko minęła. Powinien przykazać partnerowi, żeby nie wypuszczał nikogo z pokoi.

Potrząsnął Bukołowem, by go obudzić.

– Gdzie jest pana córka? I Utkin?

– Co? – Profesor usiadł w łóżku. – Nie ma ich? Przyszli po mnie?

– Spokojnie.

Tucker już szedł do wyjścia, gdy drzwi się otworzyły. Utkin i Ania weszli do pokoju, trzymając tekturowe tacki zastawione parującymi styropianowymi kubkami.

– Gdzie byliście? – warknął.

– Po herbatę – odparła Ania, unosząc tackę. – Dla wszystkich.

Zdusił irytację.

– Nie róbcie tego więcej, nie bez informowania mnie o swoich zamiarach.

Utkin wymamrotał przeprosiny, a Ania z zakłopotaną miną położyła tackę na stole.

Bukołow stanął w obronie córki, obejmując ją opiekuńczo.

– Posłuchaj, Tucker, nie muszę cię...

Tucker wycelował palcem w nos profesora, potem wskazał pozostałych.

– Kiedy wyjedziecie z kraju, będziecie mogli robić, co dusza zapragnie. Do tego czasu macie mnie słuchać. Już została przelana niewinna krew, żeby znalazł się pan tu, gdzie pan jest, profesorze. Nie pozwolę, żeby ofiara poszła na marne przez czyjąś głupotę.

Wypadł do sąsiedniego pokoju, by ochłonąć. Kain podreptał za nim ze zwieszonym ogonem, wyczuwając zdenerwowanie partnera.

– To nie twoja wina – rzucił Tucker i zmierzwił mu sierść. – Ty jesteś grzeczny.

Wszedł Utkin, zamykając drzwi pomiędzy pokojami.

– Przepraszam... Nie pomyślałem.

Tucker przyjął przeprosiny młodego mężczyzny, ale dręczyła go kolejna kwestia.

– Byliście razem przez cały czas?

– Ania i ja? Nie, nie przez cały czas. Wstałem wcześniej od niej. Przespacerowałem się ulicami wokół hotelu. Przepraszam, po prostu musiałem stąd wyjść... Mam stargane nerwy. Nie mogłem usiedzieć sam w tym cichym pokoju.

– Kiedy się z nią spotkałeś?

Utkin, zamyślony, podrapał się po nosie.

– Zobaczyłem ją na parkingu. Szła z kawiarni, niosąc dwie tacki z herbatą.

– Gdzie jest ta kawiarnia?

Rudzielec wskazał ręką.

– Na zachód stąd.

– Widziałeś z nią kogoś? Rozmawiała z kimś?

– Nie. Co cię martwi? Stało się coś złego?

Tucker mierzył wzrokiem młodego człowieka, próbując zdecydować, czy kłamie, czy nie. Kłamca zawsze się zdradza, jeśli się wie, czego wypatrywać. W końcu doszedł do wniosku, że

nie zmieni dotychczasowego zdania o Utkinie. Nie doszukał się w nim ani odrobiny przebiegłości.

– Sprawdziłem wiadomości z Kazania – odparł. – Agencje donoszą, że Ania Malinow została uprowadzona.

– W pewnym sensie właśnie taka jest prawda.

– Piszą, że została porwana z uliczki przed nocnym klubem przez mężczyznę, który zabił jej towarzysza.

Utkin opadł na łóżko.

– Dlaczego ktoś miałby przeinaczać fakty?

– Żeby manipulować opinią publiczną. Ale dziwi mnie to, że sfabrykowana historia trafiła do agencji informacyjnych niecałe dwie godziny po naszym wyjeździe z Kazania.

– Bardzo szybko. Czy to coś oznacza?

– Może tak, może nie.

– Podali twój rysopis?

– Nie, ale ktoś z pewnością już łączy kropki: Anię, jej ojca i mnie.

– A co ze mną?

– W końcu tę kropkę też połączą.

Utkin zbladł.

– To oznacza, że zaczną mnie szukać, kiedy wy troje znikniecie.

– Nie, nie.

– Dlaczego?

Tucker położył rękę na jego ramieniu.

– Ponieważ jedziesz z nami.

– Co? Naprawdę? – Na twarzy młodego naukowca odmalowała się taka ulga, że przez chwilę wyglądał jak uradowane szczenię.

Czy kiedykolwiek byłem taki nieskomplikowany i niewinny? – przemknęło Tuckerowi przez głowę. Wiedział, że tego chłopaka trzeba będzie zahartować.

– Ale będziesz musiał dać z siebie wszystko. Strzelałeś kiedyś z pistoletu?

– Oczywiście, że nie.

– W takim razie pora się tego nauczyć.

14 marca, godzina 9.12

Tucker wyszedł na balkon, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Usłyszał kroki za plecami i obejrzał się. Ania stała oparta o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Możemy pomówić?

Wzruszył ramionami.

– Przepraszam za to, co zrobiłam, i za to, co wcześniej powiedział mój tata... Po prostu stanął w mojej obronie. Chciał mnie chronić.

– Twój ojciec jest... – Starał się, żeby zabrzmiało to dyplomatycznie. – Niełatwo się z nim dogadać.

– Spróbuj być jego córką!

Tucker się uśmiechnął.

– Może tego nie okazuje, ale cię lubi – dodała. – To rzadkość.

– Skąd wiesz?

– Nie ignoruje cię. A wracając do tamtego... Kiedy się obudziłam, poczułam się jak w więzieniu. Musiałam na chwilę wyjść. Atak klaustrofobii... Tak to się mówi?

– Albo: zaczęłam świrować od siedzenia w jednym miejscu – podsunął Tucker.

Uśmiechnęła się.

– Tak, chyba o to chodzi. Mogę cię o coś spytać? Dlaczego nam pomagasz?

– Zostałem o to poproszony.

– Przez kogo? – Natychmiast machnęła rękami. – Nieważne. Nie powinnam pytać. Możesz przynajmniej powiedzieć, dokąd jedziemy?

– Na południe. Przy drobinie szczęścia jutro rano dotrzemy do Syzrania. Tam będą na nas czekać moi ludzie.

Wyglądało na to, że jego słowa podniosły ją na duchu.

– Wysadzę was w umówionym miejscu spotkania, w hotelu Czajka – dodał. – Myślałaś o tym, co będziesz robić w Stanach?

– Naprawdę nie wiem. Przypuszczam, że to zależy od tego, co będzie z ojcem. Nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Pójdę tam, gdzie on. Potrzebuje mojej pomocy w pracy. Gdzie mieszkasz?

Pytanie zaskoczyło Tuckera. Miał skrytkę pocztową w Charlotte w Karolinie Północnej, ale nie posiadał stałego miejsca zamieszkania. Większość ludzi nie potrafiła zrozumieć jego stylu życia. Kilka razy próbował tłumaczyć, ale w końcu się poddał. Co mógł powiedzieć? Nie przepadam za ludźmi. Podróżuję samotnie z moim psem i od czasu do czasu imam się dorywczych zajęć. I to mi się podoba.

Chcąc skrócić rozmowę na ten temat, po prostu skłamał:

– W Portlandzie w stanie Maine.

– Ładnie tam? Spodobałoby mi się?

– Lubisz ocean?

– Tak, bardzo.

– W takim razie byłabyś zachwycona.

Spojrzała tęsknie nad parkingiem.

– Jestem tego pewna.

Możesz mi przysłać widokówkę i napisać, jak tam jest, pomyślał.

Sam nigdy nie był w Portlandzie.

Gawędzili jeszcze przez kilka minut, a potem Ania wróciła do pokoju.

Korzystając z chwili prywatności, Tucker zadzwonił do Harper. Kiedy uzyskał połączenie, szybko powiedział:

– Jutro rano. Hotel Czajka w Syzranii.

Godzina 19.05

Ruszyli w dalszą podróż po zachodzie słońca i w ciemności jechali na południe. Tucker wybrał drogę, która biegła wzdłuż Wołgi, najdłuższej rzeki w Europie. Kierował się do Wołgogradu, miasta noszącego nazwę od rzeki. W ramach ostrożności od czasu do czasu korzystał z podrzędnych dróg.

O czwartej nad ranem zjechał na parking dla ciężarówek na skraju miasta Bałakowo.

– Potrzebuję zastrzyku kofeiny – powiedział sennie, trąc oczy. – Ktoś jeszcze?

Jego towarzysze, na wpół śpiący, odpowiedzieli zirytowanymi pomrukami i gestami. Tucker wysiadł i wrócił do SUV-a z kubkiem czarnej kawy.

Zobaczył, że jego telefon satelitarny leży w uchwycie na kubek, gdzie go rozmyślnie zostawił. Wyglądało na to, że nikt go nie dotykał.

Zadowolony, ruszył w dalszą drogę, w dwie godziny pokonując ostatnie trzysta dwadzieścia kilometrów. Gdy wjechał do Saratowa, słońce już wzeszło.

Ania zbudziła się na tylnej kanapie, przeciągnęła i rozejrzała.

– To nie Syzrań.

– Nie.

– Nie mówiłeś, że jedziemy do Syzrania? Do hotelu Czajka?

– W ostatniej chwili zmieniłem plany – odparł.

Zjechał z głównej drogi i skierował się do stojącego kawałek dalej hotelu.

– Twoi przyjaciele nie będą się martwić?

– Żaden problem. Już do nich zadzwoniłem.

Skreślił na parking i wyłączył silnik. Utkin się poruszył, a Ania zbudziła ojca.

– Zaraz wrócę z kluczami do naszych pokoi – powiedział Tucker, wysiadając z samochodu.

Gdy szedł do holu, zaczął wyciągać telefon satelitarny. Wyjął go z kieszeni i spojrzał na ekran:

PRZY HOTELU CZAJKA NIC SIĘ NIE DZIEJE.
NIKT NIE KORZYSTAŁ Z TEGO TELEFONU OD OŚMIU
GODZIN.

Zadowolony, przeszedł przez hol i skręcił do toalety. Załatwił się, umył ręce, przeczesał palcami włosy i wziął miętówkę ze słoika przy umywalce. Po pięciu minutach wyszedł z hotelu i wrócił do SUV-a.

– Niestety, brak wolnych miejsc – oznajmił. – Więc pojedziemy do Wołgogradu.

Utkin ziewnął i skinieniem głowy powitał nowy dzień.

– Mówiłeś, że podróżowanie za dnia nie jest bezpieczne.

– Owszem, mimo to jedziemy dalej.

Asystent profesora miał rację. Tucker podejmował ryzyko, ale skoro tylko trzysta kilometrów dzieliło ich od Wołgogradu, gra była warta świeczki. A z jego małego sprawdzianu wynikało, że żaden z towarzyszy podróży nie chwycił przynęty, jaką był hotel Czajka. Ani nie próbował skorzystać z jego telefonu.

Jak dotąd wszystko gra.

Dalsza jazda wydawała się bezpieczna.

Poza tym, gdyby wróg zdołał ich wytropić, pewnie już zacisnąłby sieci?

Wyczuwając światełko na końcu tunelu, Tucker jechał dalej, próbując radować oczy scenerią zalaną blaskiem słonecznego poranka. Byli prawie wolni, jego podejrzania wobec Ani i pozostałych okazały się bezpodstawne.

Za szybą po jego stronie skrzyła się w promieniach słońca Wołga. Z drugiej strony ciągnęły się faliste wzgórza i wiejskie drogi okryte dziewiczymi śnieżnymi kocami. Opuścił szybę, żeby poczuć zapach rzeki i świeżego śniegu.

Wszyscy byli w dobrych nastojach, rozgadani i roześmiani.

– Czas na quiz z historii Rosji – oznajmił wesoło Bukołow. – Wszyscy grają?

Tucker się uśmiechnął.

– Akurat z tego tematu nie jestem najlepszy.

– Przyjęto do wiadomości – powiedział Utkin.

– Damy ci fory – rzuciła Ania. – Tak będzie sprawiedliwie.

Tucker otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale słowa nie padły. Przecinając skrzyżowanie, dostrzegł mignięcie chromu, błysk słońca na przedniej szybie; usłyszał ryk silnika, a po chwili okropny chrzęst metalu.

Potem świat przewrócił się do góry nogami.

Na południe od Saratowa, Rosja

15 marca, godzina 8.09 czasu miejscowego

Słyszając dzwonienie w głowie, Tucker zmusił się do uniesienia powiek i powiódł wzrokiem dokoła. Po kilku sekundach zarejestrował, że wisi głową w dół na pasach bezpieczeństwa, z poduszką powietrzną przed twarzą.

SUV przewrócił się i spoczął na dachu. Woda wlewała się przez otwory wentylacyjne, a wycieraczki omiatały przednią szybę.

Z jękiem spojrzął w prawo i zobaczył Utkina skulonego pod nim na suficie, leżącego bez ruchu w wodzie, która miała jakieś piętnaście centymetrów głębokości i przybierała.

Zaraz potem jego uwagę zaprzątnął ktoś inny.

Kain.

Już miał zawołać i sprawdzić, w jakim stanie są jego towarzysze, gdy nagle przypomniał sobie kolizję.

Ktoś w nich uderzył, celowo.

Zacisnął oczy i spróbował myśleć.

Wylądowali w przydrożnym rowie. Pamiętał, że widział szeroki kanał ciągnący się równoległe do drogi, stromy, głęboki na kilka metrów. O tej porze roku płynęło nim niewiele wody.

Potrząsnął głową i spróbował skupić myśli na dwóch rzeczach.

Po pierwsze, ktokolwiek ich staranował, już tu idzie.

Po drugie, musi przeżyć.

Poklepał kieszeń kurtki. Wciąż miał w niej magnuma.

Usłyszał chlupot za plecami. Wykręcił szyję i zobaczył parę przednich łap przesuwających się w wodzie. Ania i Bukołów leżeli nieprzytomni na suficie SUV-a. Noga dziewczyny była zaplątana w pasy.

– Kain – szepnął. – Chodź tu.

Pies przeszedł po nieruchomych ciałach Bukołowa i jego córki.

Tucker rozciął pas i jak najciszej osunął się do zimnej wody. Kain trącił go nosem w policzek i liznął, wyraźnie zmartwiony.

Dobry pies.

Na szczęście z wyjątkiem długiego na dwa centymetry skaleczenia nad okiem Kain wyszedł z wypadku bez szwanku.

– WYJDŹ – polecił Tucker i pchnął go w kierunku otwartego okna po swojej stronie. – UKRYJ SIĘ I OSŁANIAJ.

Malinois przecisnął się przez okno i zniknął w wysokiej trawie porastającej zacieniony brzeg rowu. Tucker wypełzł za nim. Odpychając się łokciami, lazył przez błoto i krzaki. Czołgał się za partnerem przez trzy metry, aż znalazł się u jego boku.

Kain zatrzymał się i leżał na brzuchu. Musiał mieć ku temu powód. Biorąc z niego przykład, Tucker znieruchomiał i wyteżył słuch.

Usłyszał rozmawiających po rosyjsku mężczyzn.

Dwie albo trzy osoby, kawałek dalej po lewej.

– ZOSTAŃ – szepnął zduszonym głosem.

Przeturlał się w prawo – raz, drugi i trzeci – i wślizgnął się tyłem do kanału. Znalazł się po drugiej stronie SUV-a niż Rosjanie. Przykucnął za zderzakiem i zerknął wzdłuż boku samochodu.

Po łagodnie nachylonej skarpie schodziło trzech mężczyzn w cywilnych ubraniach; zmierzali do przewróconego pojazdu. Każdy miał pistolet maszynowy PP-19 Bizon.

Tucker schował się, myśląc gorączkowo.

Coś mu się nie zgadzało, coś budziło niejasne podejrzenia.

Trzech ludzi, pomyślał. Zwykle pracują w parach, co znaczy, że musi być...

Zaryzykował kolejne zerknięcie, tym razem w kierunku drogi.

Czwarty mężczyzna pojawił się na skraju drogi; celując z karabinu w SUV-a.

Tucker z powrotem się ukrył. Gdyby tamten zjawił się kilka sekund wcześniej, przyłapałby go podczas wyłączenia z samochodu.

Dopisało mu piekielne szczęście – ale nie mógł liczyć na to, że go nie opuści.

To będzie wymagać umiejętności.

Zsunął się nad samą wodę i wyciągnął rękę, wierząc, że nikt nie dostrzeże sygnału, który da Kainowi.

Ukrywaj się... ruszaj w prawo.

Miał nadzieję, że Kain go obserwuje; wiedział, że jeśli tak, bystre oczy partnera bez trudu dostrzegą ruch. Tylko w ten sposób mógł się z nim porozumieć, bo pies nie miał na sobie kamizelki taktycznej.

Tucker przesunął się na drugi koniec zderzaka, żeby się znaleźć jak najdalej od mężczyzny na drodze, i opadł na dno kanału. Woda była głęboka niespełna na pół metra. Leżąc na brzuchu, zanurzył się, trzymając się palcami chwastów. Ruszył z prądem, oddalając się od SUV-a. Słońce świeciło nisko na niebie, stromy rów był pogrążony w głębokich cieniach, które przy odrobinie szczęścia ukryją jego zabiegi. Modlił się, żeby mężczyzna skupiał uwagę na SUV-ie. Bał się, że lada chwila poczuje pocisk uderzający w plecy.

Czołgał się po dnie rowu, skręcając ku tej stronie, gdzie był Kain i uzbrojony mężczyzna. Przysunął się do brzegu i przekręcił na plecy. Uniósł głowę i zatrzepotał powiekami, żeby się pozbyć błotnistej wody z oczu.

Dzięki łagodnemu zakrętowi kanału i stromej skarpie znalazł się poza polem widzenia stojącego na poboczu wroga. Bliżej dostrzegł lekko poruszającą się trawę, coraz bliżej, ale tak nieznacznie, że tylko uważny obserwator mógłby spostrzec anomalię.

Kain postępował zgodnie z komendą: trzymając się najwyższych chwastów, podążał za nim.

Jak foka na plażę, Tucker wyślizgnął się z wody, lodowatego błota i zielska. Kain do niego dołączył i razem wspinali się po skarpie, jak najciszej, w najgęstszej trawie. W pewnym momencie trzech mężczyzn doszło do SUV-a i zaczęło głośną rozmowę.

Kiedy Tucker w końcu dotarł na szczyt, spojrzął na drogę i zobaczył czwartego mężczyznę skupiającego uwagę na wywróconym samochodzie.

Tucker cofnął się i szepnął do partnera:

– PUNKT OBSERWACYJNY, OSŁONA, BLISKO, BIERZ ALFA.

Powtórzył skomplikowany ciąg komend.

Kain rozpoznawał imponująco dużo słów, a przy tym miał zdumiewającą zdolność wykonywania poleceń w określonej kolejności. W tym wypadku miał przebiec na drugą stronę drogi, znaleźć osłonę, podkraść się do celu – i zaatakować.

– Kapujesz, brachu? – zapytał.

Pies trącił nosem jego nos. W ciemnych oczach skrzyła się odpowiedź: *Jasne, że kapuję, głupi dupku.*

– No to zasuważ.

Kain bezszelestnie przemyka po zimnej nawierzchni. Po drugiej stronie drogi wciska się w gęste krzaki, zamarzniete i kruche. Dokłada starań, żeby gałęzie nie chrzęściły. Pod łapami ma lód i błoto. Idzie, z początku powoli, ostrożnie stawiając każdą łapę.

Nabiera pewności siebie i przyspiesza.

Wiatr dmie nad drogą, niosąc zapach partnera – znajomy jak jego własny. Jest ciepły, pełen serdeczności i satysfakcji.

Wietrzy również woń zwierzyny, czuje kwaśny zapach potu niemytego ciała, nutę metalu i oleju, smród zepsutych zębów. Rejestruje najcichsze odgłosy, leciutko poruszając uszami: szurniecie buta na nawierzchni, skrzypnięcie skózanego paska, szmer oddechu.

Posuwa się skrajem drogi, w ukryciu, klucząc najmroczniejszą ścieżką.

W końcu zrównuje się z celem. Przypada do ziemi i podkrada się na skraj drogi, obserwując. Mężczyzna stoi plecami do niego, ale obraca się co kilka cuchnących oddechów, nawet cofa się w jego stronę.

Niebezpiecznie.

Ale trzeba wykonać komendę.

Musi zaatakować.

Podkula zadnie łapy, szukając najlepszego oparcia, pręży mięśnie do skoku. Czeką na odpowiednią chwilę...

...przesuwa się w lewo.

Jego partner wychodzi z kryjówki na pobocze. Idzie przechylony, słania się i potyka. Kain wie, że udaje; markuje, że jest ranny. Dostrzega błysk stali przy jego biodrze, niewidoczny dla człowieka na drodze.

Ale ten powoli obraca się w stronę jego partnera i skupia na nim całą uwagę. Kain czuje głęboką do szpiku kości aprobatę i bliskość. Są sforą, jeden związany z drugim, pracują razem.

Mężczyzna jest zdekoncentrowany. I wtedy Kain wyskakuje z kryjówki.

Patrzył wzdłuż lufy karabinu, starając się nie przenosić spojrzenia na Kaina, który pędził po drodze.

Tucker podejmował ogromne ryzyko. Wszystko zależało od tego, czy wróg nie zastrzeli go na miejscu. Kiedy pies dotarł do punktu obserwacyjnego po drugiej stronie drogi, Tucker wygramolił się z kryjówki, idąc z trudem, chwiejnie, z miną oszołomionej ofiary wypadku. Trzymał magnuma przy biodrze i szedł tak, żeby tamten nie mógł zobaczyć broni.

Tak jak się spodziewał, mężczyzna odwrócił się ku niemu, podrywając karabin.

W tej chwili czas zwolnił.

Tucker skoczył, celując z magnuma.

Musiał pokładać wiarę w Kainie. Pracowali razem tak długo, że pies umiał rozpoznać jego ton i mowę ciała lepiej, niż Tucker mógł mu przekazać za pomocą słów czy znaków dawanych ręką. Ale nie tylko to – Kain interpretował również sygnały otoczenia i samodzielnie oceniał, jak najlepiej wykonać rozkaz.

Teraz szkolenie, wrodzone umiejętności i instynkt stworzyły idealne połączenie.

Kain nie zwolnił; susem pokonał ostatnie trzy metry i trzydzieści pięć kilogramów uderzyło w bok mężczyzny – razem runęli na ziemię. Gdy tylko upadli, szczęki Kaina znalazły cel i zacisnęły się na odsłoniętym gardle z siłą ponad stu kilogramów na centymetr kwadratowy.

Tucker wyhamował na kolanie obok mężczyzny, obrócił się i asekuracyjnie wpakował kulę w jego biodro.

Przełożył magnuma do lewej ręki, prawą chwycił karabin Bizon i przeskoczył nad Kainem. Wylądował na pośladkach w trawie i zaczął się zsuwać po stromej skarpie.

Szybkim spojrzeniem ogarnął scenę na dole, rejestrując pozycję trzech pozostałych wrogów.

Jeden z lewej, siedem metrów dalej...

Jeden klęczy przy oknie SUV-a...

Jeden stoi przy zderzaku...

Trawa smagała Tuckera po twarzy, kamienie uderzały w pośladki i uda. Gdy mknął na dół, wycelował z magnuma w mężczyznę przy zderzaku i otworzył ogień. Raz za razem naciskał spust. Najpierw chybił, drugi pocisk trafił w nogę, a trzeci w mostek.

Jeden z głowy.

Przeniósł uwagę na klęczącego mężczyznę znajdującego się wprost pod nim. Chciał strzelić z karabinu, ale zsuwał się zbyt szybko i najpierw uderzył w dno.

W ostatniej chwili odbił się i skoczył, przyciskając drugiego mężczyznę do karoserii SUV-a. Ból wybuchł mu za oczami, ale Tucker skutecznie unieruchomił swoją ofiarę pod wodą. Mężczyzna uniósł rękę i uderzył go na oślep, z palcami

zakrzywionymi jak szpony. Z wody wyłoniła się ubłocona twarz. Gdy zasapany, kaszlący przeciwnik próbował nabrać powietrza, Tucker wcisnął ramieniem jego twarz pod wodę.

Trzymał go, jednocześnie celując z karabinu w kierunku drugiej strony SUV-a. Czwartego zobaczył jakieś trzy metry za samochodem i puścił serię. Strzelał na chybił trafił, ale skutek był taki, że mężczyzna zniknął z pola widzenia.

Ten pod nim przestał się szamotać; nie żył.

Tucker kucnął, pewien, że ostatni przypuścił atak.

Doliczył do pięciu, ale nic się nie stało.

Usłyszał szelest trawy. Spojrzał w górę i zobaczył, że Kain schodzi po skarpie.

Tucker przesunął się i szybko wyjrzał zza zderzaka.

Czwarty mężczyzna oddalał się, plecami do niego. Karabin zwisał luźno z jego prawej ręki. Buty ciężko chlupotały w wodzie. Nie miał się gdzie ukryć i wiedział, że przegrał.

– Cholera – mruknął Tucker.

Nie mógł pozwolić mu odejść, ale nie chciał strzelać ofierze w plecy.

– *Stoj!* – ryknął i puścił serię w powietrze.

Tamten posłuchał, ale się nie odwrócił. Padł na kolana, odrzucił broń na bok i założył ręce za głowę.

Kain ruszył w jego stronę, lecz Tucker go przywołał.

– Zostań, brachu.

Gdy podszedł do klęczącego mężczyzny, zobaczył, że to dziesiętnasto-, może dwudziestoletni chłopak.

– Odwróć się – rozkazał.

– Nikomu nie powiem – obiecał tamten błagalnie. Mówił po angielsku z silnym rosyjskim akcentem.

Jasne, że powiesz, pomyślał Tucker. Nawet jeśli nie będziesz chciał, zmuszą cię do mówienia.

Nagle poczuł się wyczerpany, potwornie zmęczony.

– Odwróć się.

– *Niet.*

– Odwróć się.

– *Niet!*

Tucker z trudem przełknął ślinę i uniósł karabin.

– Przykro mi.

Nad Wołgą, Rosja

15 marca, godzina 10.10 czasu miejscowego

SUV Marussia był brzydki, ale Tucker nie miał powodów narzekać na tego potwora. Przecież ocalił im życie.

Samochód i miękkie błoto na dnie rowu.

Patrzył na przewrócony pojazd, podczas gdy jego towarzysze trzęśli się na poboczu. Po wyciągnięciu Rosjan z SUV-a i szybkiej ocenie ich stanu zdołał ocucić Utkina, a ten pomógł mu z Anią i Bukołowem.

Wszyscy mieli siniaki, skaleczenia i otarcia. Profesor ucierpiał najbardziej – zwichnął ramię i doznał lekkiego wstrząśnienia mózgu. Tuckerowi udało się nastawić rękę, gdy Bukołow był jeszcze nieprzytomny, ale ustąpienie objawów wstrząśnienia wymagało czasu i odpoczynku.

Tyle że nie mieli czasu na odpoczynek. Musieli stąd uciekać.

Zaprowadził ich do ciemnoniebieskiego peugeota 408, który zepchnął ich z drogi. Poza wgniecionym przednim zderzakiem samochód nie miał innych uszkodzeń. Kierowca znalazł się na tej robocie.

Gdy Ania pomagała ojcu wsiąść do samochodu, Utkin pociągnął na stronę Tuckera, który właśnie sprawdził, czy w aucie nie ma nadajników albo GPS.

– O co chodzi? – zapytał Tucker, chcąc jak najszybciej stąd odjechać.

Młody Rosjanin zachowywał się dość tajemniczo.

– Lepiej, żebyś to zobaczył.

Wsunął mu w rękę telefon komórkowy, jedyny, jaki znaleźli wśród rzeczy należących do napastników.

– Spójrz na zdjęcie, które znalazłem w pamięci.

Tucker spod przymrużonych powiek spojrzął na ekran i zobaczył ziarnistą fotografię, na której był on – siedział przed monitorem, z rękami zastygniętymi nad klawiaturą. Rozpoznał to miejsce i poczuł, jak serce zamiera mu w piersi. Była to obskurna kawiarenka internetowa w Dimitrowgradzie.

Ktoś mnie sfotografował.

Nie wiedząc, jak to rozumieć, przesłał zdjęcie na swój telefon, po czym skasował oryginał. Sprawdził kontakty i nie znalazł żadnych numerów; podobnie było z połączeniami. Komórka została wyczyszczona. Sfrustrowany, wyjął baterię i kartę SIM, zmiażdżył jedno i drugie obcasem, przeszedł przez drogę i wyrzucił resztki do rowu.

Próbował zrozumieć, co to wszystko oznacza. Najwyraźniej ktoś ich śledził. Ale jak? I kto? Popatrzył na przewróconego SUV-a. Czy mógł tam być ukryty nadajnik?

Nie wiedział... i nie mógł się tego dowiedzieć.

W całej tej historii było zbyt wiele niewiadomych.

– Pokazałeś innym to zdjęcie? – zwrócił się do Utkina.

– Nie.

– Dobrze. Niech to zostanie między nami.

Kilka minut później pędzili na południe wzdłuż Wołgi.

Poza pragnieniem zjechania z głównej drogi i zwiększeniem odległości od miejsca zasadzki Tucker nie miał planu. Po przejechaniu piętnastu kilometrów skręcił na drogę gruntową, która wiodła do parku nad Wołgą. Zatrzymał się i wszyscy wysiedli.

Utkin i Ania pomogli Bukołowowi dojść do stołu piknikowego.

Tucker poszedł na skaliste urwisko nad szeroką rzeką. Usiadł, zamierzając zebrać myśli. Zwiesił nogi z krawędzi i słuchał szumu wiatru w nagich gałęziach drzew. Kain przytruchtał i przysiadł obok niego.

– Jak się czujesz, brachu? – spytał Tucker, kładąc rękę na jego karku.

Pies zamerdał ogonem.

– Tak, ja też – mruknął Tucker.

Powiedzmy, dodał w myślach.

Wcześniej przemyślał skaleczenie na łbie Kaina, a teraz zastanawiał się nad szkodami psychicznymi, jakich doznał jego partner. Nie było sposobu, żeby się dowiedzieć, co Kain czuł po zabiciu tego człowieka na drodze. Zabijał wcześniej, na polu walki, i wydawało się, że nie miało to żadnego wpływu na jego psychikę. Dla Tuckera nie było to takie proste. Po śmierci Abła i odejściu ze służby przyswoił sobie pewne elementy filozofii buddyjskiej, ale wiedział, że nigdy nie dorówna wyznawanej przez Kaina zasadzie zen, która, gdyby ją ująć w słowa, prawdopodobnie brzmiałaby mniej więcej tak: Co się stało, to się nie odstanie.

Siedział, rozdarty między instynktownym pragnieniem popędzenia do Wołgogradu i zdroworozsądkową chęcią zachowania ostrożności. Trapiło go wiele myśli. Dlatego się tu zatrzymał.

Czterech ludzi, pomyślał. Dlaczego tylko czterech?

W miejscu zasadzki zrewidował ich, szukając dokumentów. Znalazł jedynie prawa jazdy i karty kredytowe, ale tatuaże potwierdzały, że należeli do Specnazu. W takim razie dlaczego wróg nie ruszył z siłą zapewniającą absolutną przewagę? Gdzie pluton ludzi i śmigłowce, jak w Nerczyńsku?

Ta akcja cuchnęła samowolną operacją. Może ktoś w rosyjskim Ministerstwie Obrony próbował pochwycić Bukołowa bez wiedzy swoich szefów. Tucker uznał jednak, że w tej chwili ta kwestia nie jest najbardziej paląca.

Wiedział tylko, że zasadzka nie była kwestią przypadku.

Bo skąd wróg mógł wiedzieć, gdzie ich znaleźć?

Znów pomyślał o zdjęciu znalezionym w telefonie.

W tym momencie dołączył do niego Utkin i też usiadł na krawędzi urwiska.

- Ładny widok, prawda?
 - Wolałbym patrzeć na Statuę Wolności.
- Rosjanin zachichotał.
- Ja też. Nigdy nie byłem w Ameryce.
 - Miejmy nadzieję, że cię tam dostarczę.
 - Obmyśliłeś plan? Dokąd pojedziemy?
 - Wiem, że musimy dotrzeć do Wołgogradu.
 - Ale martwi cię następna zasadzka.

To nie wymagało odpowiedzi.

Utkin machnął ręką, wskazując rzekę i okolice, i zmienił temat.

- Wiedziałeś, że tu się wychowałem?

Owszem, Tucker wiedział; wyczytał to w jego aktach. Nie, odezwał się jednak, ponieważ czuł, że Utkin do czegoś zmierza.

– W maleńkiej wiosce nad rzeką, jakieś sto trzydzieści kilometrów na południe stąd. Kiedy byłem mały, łowiłem z dziadkiem ryby na Wołdze.

- Wygląda na to, że miałeś przyjemne dzieciństwo.

– Tak. Ale nie o tym zamierzałem rozmawiać. Chciałem ci coś zaproponować. Chcesz dotrzeć do Wołgogradu, prawda?

Tucker spojrzał na niego, marszcząc czoło.

– I chcesz się trzymać z dala od głównych dróg – kontynuował Utkin.

- Tak byłoby najlepiej.

– Jest inna droga. – Rosjanin wskazał rzekę. – Wykorzystywano ją od tysiący lat. Więc dlaczego my nie mielibyśmy tego zrobić?

Godzina 11.01

Tucker miał ostatnią sprawę do załatwienia przed ruszeniem w drogę. Poprosił Anię, żeby została z ojcem w parku, i kazał

Kainowi ich pilnować. Do tego ostatniego zadania potrzebował pomocy Utkina.

Kierując się jego wskazówkami, wjechał peugeotem w płataninę nadrzecznych dróg. Po niespełna godzinie znaleźli w lesie porzucone gospodarstwo.

– Kiedyś należało do kołchozu – wyjaśnił Utkin. – Zabudowania mają co najmniej sto pięćdziesiąt lat.

Tucker wziął pilota i otworzył bagażnik.

Obaj spojrzeli na skulonego chłopaka, związanego, z ustami zaklejonymi taśmą – jednego z tych, którzy urządzili na nich zasadzkę.

– Dlaczego zostawiłeś go przy życiu? – zapytał szeptem Utkin.

Tucker właściwie nie był tego pewien. Po prostu nie mógł go zastrzelić z zimną krwią. Ogłuszył chłopaka rękojeścią broni, związał go i wrzucił do bagażnika.

Chłopak wlepił w nich szeroko otwarte oczy. Wyciągnęli go i poprowadzili w kierunku domu. Zawiasy zaskrzypiały, gdy Utkin otworzył drzwi.

Wnętrze było takie, jak Tucker się spodziewał: nieheblowane deski ścian i podłogi, okna zabite na głucho, niska powała i warstwy kurzu na każdej powierzchni.

Wepchnął chłopaka do środka, posadził na podłodze i zdarł taśmę z jego ust.

– Możesz tłumaczyć? – zapytał Utkina.

– Chcesz go przesłuchać?

Tucker skinął głową.

Rudzielec cofnął się o krok.

– Nie chcę brać w tym...

– Nie chodzi o takie przesłuchanie. Zapytaj, jak się nazywa.

Utkin posłuchał i uzyskał odpowiedź.

– Mówi, że Iwan.

Żeby uspić czujność chłopaka, Tucker zadał mu szereg osobistych pytań. Po pięciu minutach Iwan się odprężył, już nie wyglądał na zaszczutego.

Tucker skinął do Utkina.

– Powiedz mu, że nie zamierzam go zabić. Jeśli będzie współpracował, zadzwonię do lokalnej policji i poinformuję ich, gdzie go znaleźć.

– Kamień spadł mu z serca, ale mówi, że musisz go pobić. Dla efektu. W przeciwnym razie jego zwierzchnicy...

– Rozumiem. Zapytaj go o jednostkę.

– To Specnaz, tak jak myślałeś. Ale jego grupa została przydzielona do wywiadu wojskowego.

– GRU?

– Zgadza się.

Tak samo jak Specnaz w Nerczyńsku, pomyślał Tucker.

– Kto oddelegował jego grupę do GRU?

– Generał Charzin. Artur Charzin.

– I na czym polegało ich zadanie?

– Na tropieniu Bukołowa. Jego grupie kazano zatrzymać nasz samochód.

– Zlecił to Charzin?

– Tak, rozkaz przyszedł od Charzina.

Prawdopodobnie chodziło o jednego z tajemniczych generałów z Arzamasu.

– Co mieli zrobić po schwytaniu profesora? – zapytał Tucker.

– Zabrać go do Moskwy.

– Dlaczego generałowi Charzinowi na nim zależy?

– Nie wie.

Tucker wyjął komórkę i pokazał jeńcowi ziarniste zdjęcie z kawiarenki internetowej.

– Jak i kiedy je dostali?

– Poczta elektroniczną – przetłumaczył Utkin. – Wczoraj po południu.

– A skąd wiedzieli, gdzie nas znaleźć?

Utkin pokręcił głową.

– On tylko dostał rozkaz.

– Wierzysz mu?

– Tak, chyba tak.

– Przekonajmy się.

Tucker nagle wyciągnął z kieszeni magnuma i przycisnął lufę do prawej rzepki kolanowej chłopaka.

– Powiedz, że mu nie wierzę. Musi mi zdradzić, dlaczego Charzinowi zależy na Bukołowie.

Utkin przetłumaczył jego żądanie.

Iwan, biały na twarzy i cały roztrzęsiony, zaczął bełkotać.

– Mówi, że nie wie! – krzyknął Utkin, niemal równie przerażony jak on. – Mamrocze coś o roślinie czy kwiecie. O jakimś odkryciu. O broni. Przysięga na życie swojego syna.

Tucker wciąż przyciskał lufę magnuma do kolana chłopaka.

– On ma syna – szepnął rudzielec.

Tucker nie szczędził starań, żeby zachować kamienny wyraz twarzy.

– Nie on jeden. Musi mi podać lepszy powód. Powiedz mu, żeby się głęboko zastanowił. Czy o czymś nie zapomniał?

– Na przykład?

– Czy tropi nas ktoś inny? Ktoś poza GRU?

Utkin wypytywał chłopaka, mocno naciskając. W końcu powiedział:

– Twierdzi, że jest jakaś kobieta, która pomaga Charzinowi.

– Kobieta?

– Blondynka. Widział ją tylko raz. Nie zna jej nazwiska, ale jest przekonany, że Charzin ją zatrudnia jako najemnika czy płatnego zabójcę.

Tucker wyobraził sobie Felice Nilsson. Tylko że ona należała już do przeszłości.

– Dalej. Powiedz mu, że wiem o...

– Mówi, że wyciągnęli ją z rzeki i zabrali do szpitala.

Tucker poczuł się tak, jakby dostał pięścią w brzuch.

– Widział ją od tamtej pory?

– Nie.

Czyżby naprawdę przeżyła?

Wspomniał silny prąd, lodowatą wodę. Wyobraził sobie Felice płynącą albo niesioną przez nurt. Może znalazła miejsce wolne od lodu i przez radio wezwała pomoc. Jeśli Specnaz znalazł ją

dostatecznie szybko, istniał cień możliwości, że rzeczywiście przeżyła.

Odsunął magnuma od kolana i schował go do kieszeni. Chłopak wyprostował się, wydając westchnienie ulgi.

Gdy Tucker się od niego odwracał, wyobrażał sobie, że szczwana łowczyni znowu idzie jego tropem, ale nie czuł strachu, tylko pewność siebie.

Już raz cię zabiłem, Felice. Jeśli będę musiał, zrobię to znowu.

Na północ od Wołgogradu, Rosja

15 marca, godzina 13.15 czasu miejscowego

Tucker jechał peugeotem na południe, z dala od głównej drogi. To, że Utkin znał okolicę, okazało się bardzo przydatne; wskazywał pocięte koleinami szlaki i wiejskie dróżki, których nie było na mapie.

Ania przerwała pełne znużenia milczenie i wyraziła słowami nękające ją obawy.

– Co zrobiłeś z tym chłopakiem z bagażnika?

– Pytasz, czy go zabiłem? – zapytał Tucker.

– Chyba tak.

– Nic mu nie będzie.

Warunkowo, dodał w duchu. Zostawił Iwana przywiązane taśmą do słupa w starym domu. Jego pożegnalne słowa brzmiały jasno: „To twoja jedyna szansa. Wejź mi jeszcze raz w drogę, a cię zabiję”.

– Powiedz mi, że nie zrobiłeś mu krzywdy.

– Nie zrobiłem. – Spojrzał w lusterko wsteczne; patrzyły na niego jej niebieskie oczy.

W końcu odwróciła wzrok.

– Wierzę ci.

Kierując się wskazówkami Utkina, przejechał pięćdziesiąt kilometrów na południe i dotarł do wioski na brzegu Wołgi.

– To Szczerbatowka – oznajmił rudzielec.

Skoro tak mówisz...

Połowa zabudowań została porzucona, okna były zabite deskami. Wąska gruntowa droga biegła zygzakiem z urwiska do przystani nad rzeką.

Wysiedli z peugeota przy rozklekotanym pomoście ze szczerbatych desek na nasączonych ropą słupach.

Utkin pomachał ręką do mężczyzny siedzącego na leżaku. Obok niego kołysało się coś, co wyglądało na żalostną pordzewiałą namiastkę łodzi mieszkalnej. Może lepszym określeniem byłby pływający namiot, bo nad śródkręciem rozpięto niebieską plandekę.

Po kilku minutach rozmowy z mężczyzną Utkin wrócił do samochodu.

– Może nas zabrać do Wołgogradu. To będzie kosztować dwieście rubli, nie licząc paliwa.

Tucker nie przejmował się kosztami.

– Możemy mu zaufać?

– Przyjacielu, ci ludzie nie mają telefonów, telewizji ani radia. Jeśli nasi prześladowcy nie zamierzają osobiście odwiedzić każdego rybaka pomiędzy Saratowem i Wołgogradem, to jesteśmy dość bezpieczni. Poza tym tutejsi nie przepadają za rządem. Za żadnym rządem.

– Niech będzie.

Po przeniesieniu ekwipunku na statek Wadima Tucker pojechał w kierunku Szczerbatowki. Kilka kilometrów za wioską, korzystając z prymitywnej mapy nakreślonej przez Utkina, znalazł głęboki dopływ Wołgi. Podjechał do brzegu, wrzucił na luz, wyłączył silnik i wysiadł.

Kain wyskoczył za nim, przeciągnął się i lustrował las po obu stronach, podczas gdy jego partner cisnął kluczyki do rzeki, stanął za samochodem i zepchnął go do wody. Czekał, aż peugeot zanurzy się z ponurym bulgotem. Kiedy auto zniknęło pod wodą, zwrócił się do Kaina:

– Masz ochotę na spacer?

Godzina 20.30

Kapitan Wadim stał na pomoście, ściskając w zębach żarzący się niedopalek cygara. Krępy twardziel z tygodniowym zarostem i niewiele dłuższą szczecina na głowie był niższy nawet od Bukołowa. Choć po zachodzie słońca robiło się coraz chłodniej, miał na sobie tylko koszulę i poplamione dżinsy.

Pomachał do Tuckera i pozostałych, wskazując deskę łączącą pomost z jego łodzią. Wyburczał coś, co Tucker uznał za „Witam na pokładzie”.

Ania pomogła ojcu przejść po trapie, Kain potruchtał za nimi, a za nim podążyli Tucker i Utkin.

Wadim odwiązał cumy, wskoczył na pokład i wciągnął trap, po czym wskazał schodnię wiodącą na dół do kabin i szybko coś powiedział.

Utkin wyszczerzył zęby.

– Mówi, że na dole wszystko jest pierwsza klasa. Ma poczucie humoru.

Jeśli tak to można nazwać, pomyślał Tucker.

– Zabiorę tatę do kabiny – powiedziała Ania. – Potrzebuje odpoczynku.

Profesor wyglądał na wyczerpanego; wciąż cierpiał wskutek wstrząśnienia mózgu. Odtrącił ręce córki, gdy chciała mu pomóc.

– Tato, zachowuj się.

– Przestań mnie tak nazywać! Czuję się jak inwalida. Dam sobie radę.

Zrzędził, ale w końcu pozwolił sobie pomóc.

Tucker odwrócił się i zobaczył swojego partnera stojącego na zaokrąglonym dziobie i wietrzącego.

Oto szczęśliwy pies.

Na zachodzie słońce schowało się za urwiskami. Rześki popołudniowy wiatr ścichł do szeptu, powierzchnia Wołgi się wygładziła. Jednak pod powierzchnią brązowa woda wirowała i kłębiła się ospale.

Wołga słyńie z niebezpiecznych wirów.

Utkin spostrzegł, na co Tucker patrzy.

– Uważaj, żeby nie wypaść za burtę. Wadim nie ma kół ratunkowych. I nie umie pływać.

– Dobrze wiedzieć.

Kapitan wskoczył na rufę i stanął za kołem sterowym. Zadudnił diesel. Czarny dym buchnął z rur wydechowych i Wadim wyprowadził statek na rzekę.

– Kiedy będziemy w Wołgogradzie? – zapytał Tucker.

Utkin zerknął na Wadima.

– Mówi, że prąd jest bardziej rwący niż zwykle, więc za jakieś dziesięć godzin.

Tucker poszedł na dziób do Kaina.

Dwadzieścia minut później podeszła do niego Ania, która wróciła na pokład.

Przemarznięta, szczerzej otuliła się wełnianą kurtką, nieświadomie eksponując krągłości figury.

– Jak się ma twój ojciec? – zapytał.

– W końcu zasnął.

Razem patrzyli na przesuwającą się ciemną linię brzegu. Jasne gwiazdy połyskiwały na czystym niebie. Coś musnęło jego rękę. Spojrzał i zobaczył, że palec wskazujący Ani dotyka grzbietu jego dłoni.

Spostrzegła to, odsunęła rękę i przycisnęła ją do piersi.

– Przepraszam, nie chciałam...

– Nic nie szkodzi. – Tucker usłyszał kroki na pokładzie, odwrócił się i zobaczył Utkina.

– Tam się wychowałem – powiedział młody Rosjanin, wskazując w dół rzeki, w kierunku skupiska świateł płonących na zachodnim brzegu. – To wioska Koliszkino.

Ania popatrzyła na niego zaskoczona.

– Twój rodzice byli rolnikami? Naprawdę?

– Ściślej mówiąc, rybakami.

– Hm – mruknęła.

A jednak Tucker usłyszał – i był pewien, że Utkin także – nutkę lekceważenia w jej pytaniu i wymruczanym komentarzu. Było to

echo cechującej Bukołowa protekcyjności bogatych wobec biednych. Tak właśnie profesor postrzegał swojego asystenta. Tucker nie miał pewności, czy Ania podziela zapatrywania ojca, ale rodzice często przekazują dzieciom swoje podejście do innych.

Pomyślał o swoim pochodzeniu. Jego rodzice zmarli przedwcześnie i przez pewien czas wychowywał go dziadek. Prawdopodobnie skłonności społeczne odziedziczył po nim, po człowieku, który mieszkał samotnie na ranczu, surowy i chłodny jak zima w Dakocie Północnej. Ale ze swoim bydłem dziadek obchodził się zaskakująco po ludzku. Przeprowadził z wnukiem wiele poważnych rozmów o odpowiedzialnym traktowaniu zwierząt i Tucker wziął sobie te lekcje do serca.

Może podążanie ścieżką wydeptaną przez tych, którzy szli przed nami, jest zupełnie naturalne, ale...

Po jakimś czasie Ania ich zostawiła i zeszła pod pokład do ojca.

– Przykro mi – mruknął Tucker.

– Nie twoja wina – rzucił cicho Utkin.

– Mimo to przepraszam.

Godzina 21.22

Tucker rozsiadł się w czymś, co uchodziło za mesę łodzi. Pomieszczenie było skromne i schludne, jasno oświetlone przez kinkiety na polakierowanej sosnowej boazerii, z kilkoma kanapami krytymi zieloną sztuczną skórą i z małym aneksem kuchennym.

Z wyjątkiem kapitana wszyscy w końcu tu przyszli, szukając pociechy, jaką niesło przebywanie w towarzystwie. Nawet Bukołow do nich dołączył, ożywiony po drzemce, ale naburmuszony jak zwykle.

Tucker podał przekąski i napoje, a Kaina poczęstował nieznaną suszoną wołowiną. Pies siedział przy schodkach,

z zadowoleniem gryząc paski mięsa.

W końcu Tucker zajął miejsce naprzeciwko Bukołowa i położył dłonie płasko na stole.

– Panie profesorze, najwyższy czas na kolejną pogawędkę.

– O czym? Nie będziesz znowu nam grozić. Nie pozwolę na to.

– Co panu wiadomo o Arturze Charzinie, generale powiązanym z rosyjskim wywiadem wojskowym?

– Nic mi o nim nie wiadomo. A powinienem coś wiedzieć?

– To on na nas poluje. Charzin najwyraźniej uważa, że pańska praca dotyczy broni biologicznej. Ściślej mówiąc, jest o tym głęboko przekonany i dlatego rozkazał nas wszystkich zabić... oczywiście z wyjątkiem pana. – Zwrócił się do Ani: – Co ty o tym wiesz?

– Musisz spytać tatę. – Skrzyżowała ręce na piersi. – To jego odkrycie.

– Zacznijmy zatem od prostszego pytania. Kim jesteś?

– Wiesz, kim jestem.

– Wiem, za kogo się podajesz, ale wiem także, że od chwili spotkania próbujesz wyciągnąć ze mnie informacje. Jesteś w tym bardzo dobra, lecz nie dość dobra.

Tucker starał się mówić z dużą pewnością siebie, której tak naprawdę nie odczuwał. Ania zadawała wprawdzie mnóstwo pytań, ale mogły one wynikać z niewinnej ciekawości i troski o ojca.

– Dlaczego to robisz? – zapytała. – Myślałam, że wszelkie podejrzenia zostały rozwiane w Dimitrowgradzie.

– Ale później wpadliśmy w zasadzkę. Dlatego powiedz mi to, co chcę wiedzieć, bo inaczej porozmawiam o tym z twoim ojcem na osobności. Nie będzie z tego zadowolony, możesz mi wierzyć.

Spojrzała na Bukołowa z niepokojem i miłością. Pokręciła głową, położyła rękę na jego przedramieniu i przesunęła na dłoń. Scisnęła ją mocno, zaborczo.

Profesor nakrył drugą ręką jej palce.

– W porządku. Powiedz mu.

Ania spojrzała na Tuckera oczami szklistymi od łez.

– Nie jestem jego córką.

Tucker dołożył wszelkich starań, żeby nie zdradzić szoku. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Nazywam się Ania Malinow, ale nie jestem córką profesora Bukołowa.

– Dlaczego kłamałaś? – zapytał Tucker.

Wyraźnie zawstydzona, odwróciła wzrok.

– Podsunęłam ten pomysł Awramowi. Uznałam, że jeśli powie, że jestem jego córką, będziesz bardziej skłonny mnie zabrać.

– Musisz zrozumieć, że współpraca z Anią jest dla mnie niezwykle ważna – wtrącił Bukołow. – Nie mogłem ryzykować, że odmówisz i ją zostawisz.

Nic dziwnego, że tę część planu chował w tajemnicy przed Harper, pomyślał Tucker.

– Ale mówiłem poważnie – dodał profesor z naciskiem. – Obecność Ani jest nadzwyczaj istotna dla mojej pracy.

– Co to za praca? Mam dość kłamstw. Chcę usłyszeć szczerą odpowiedź.

Bukołow w końcu ustąpił.

– Przypuszczam, że zasłużyłeś na wyjaśnienia. Tylko że to bardzo skomplikowane. Możesz nie zrozumieć.

– Proszę spróbować.

– Dobrze. Co wiesz o historii Ziemi? Konkretnie o roślinach, które istniały, powiedzmy, siedemset milionów lat temu?

– Absolutnie nic.

– Tak myślałem. Przez wiele dziesięcioleci w środowiskach naukowych krążyła hipoteza o czymś zwanym LUCA, czyli ostatnim uniwersalnym wspólnym przodku. W tym wypadku mówimy o pierwszej wielokomórkowej roślinie na Ziemi. Innymi słowy, o genezie wszystkich roślin, jakie kiedykolwiek rosły na naszej planecie. Jeśli LUCA naprawdę istniała, a ja w to wierzę, od niej pochodzi cała współczesna flora, od pomidorów i orchidei po muchołówki.

– Użył pan słowa „hipoteza”, nie „teoria” – zauważył Tucker. – Nikt nie znalazł tej LUKI?

– Tak i nie. Zaraz do tego dojdę. Ale najpierw weźmy pod rozwagę komórki macierzyste, potencjalnie zdolne do przemieniania się w komórki każdego rodzaju przy odpowiednim traktowaniu. Niezapisana genetyczna tablica, można by rzec. Manipulując komórkami macierzystymi, naukowcy zdołali wyhodować ucho na grzbiecie myszy. Wyhodowali w laboratorium całą wątrobę właściwie z niczego. Sądzę, że doceniasz znaczenie takiego kierunku badań. Badania nad komórkami macierzystymi są już przemysłem wartym miliardy dolarów. I będą się rozwijać. To przyszłość medycyny.

– Proszę mówić dalej.

– Upraszczając zagadnienie do podstaw, jestem przekonany, że LUCA jest dla roślin tym, czym komórki macierzyste dla zwierząt. Ale dlaczego to takie ważne? Podam ci przykład. Powiedzmy, że ktoś odkrywa w Brazylii nieznanego dotąd gatunek kwiatów, które znajdują zastosowanie w leczeniu raka prostaty. Ale lasy deszczowe prawie zniknęły. Albo kwiaty wymierają. Albo może produkcja leku jest niewspółmiernie droga. Mając LUCĘ, eliminujemy te problemy. Po prostu tworzymy wierną kopię tej rośliny.

Bukołów stawał się coraz bardziej ożywiony i pompatyczny.

– Albo, jeszcze lepiej, używamy LUKI do odtworzenia samego lasu deszczowego. Albo w połączeniu, powiedzmy, z soją, do przeobrażenia jałowych ziem w żyzne grunty rolne. Czy teraz dostrzegasz potencjał?

Tucker się wyprostował.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. Jeśli ma pan rację, LUCA może replikować każdą roślinę, ponieważ na początku była jedynym istniejącym organizmem roślinnym. Jest, jak komórki macierzyste, niezapisaną tablicą genetyczną.

– Tak, tak! Wierzę również w to, że może przyspieszać wzrost. LUCA jest nie tylko organizmem zdolnym do replikowania gatunków, ale także przyspieszaczem wzrostu.

Ania pokiwała głową.

– Możemy sprawić, że rośliny staną się odporniejsze – wtrąciła. – Wyobraź sobie ziemniaki albo ryż, które będzie można uprawiać tam, gdzie wcześniej rosły tylko kaktusy.

– Wszystko to brzmi pięknie, ale czy pan nie powiedział, że to tylko nieudowodniona hipoteza?

– Owszem – odparł Bukołów z błyskiem w oczach. – Ale już niedługo. Mam zamiar zmienić świat.

Rzeka Wołga, Rosja

15 marca, godzina 21.50 czasu miejscowego

Tucker skierował rozmowę ze zmieniających świat odkryć naukowych na kwestie bardziej praktyczne. Na przykład, dlaczego ktoś chce ich zabić?

– Wróćmy do tego generała Charzina – zaproponował.

– Skoro skończyliśmy z kłamstwami, to przyznam, że go znam – powiedział Bukołow. – Nie osobiście, tylko ze słyszenia. Proszę o wybaczenie. Z reguły nie ufam ludziom. Minęło wiele miesięcy, zanim powiedziałem Ani o LUCE.

– Co pan o nim wie? Co pan o nim słyszał?

– Jednym słowem, to potwór. W latach osiemdziesiątych Charzin kierował miastem Arzamas-szesnaście pod Kazaniem. Po zamknięciu wojskowych zakładów prowadzących badania nad bronią atomową tamtejsze archiwa zostały przewiezione do Instytutu Biochemii i Biofizyki w Kazaniu.

– A później, lata później, trafiły do magazynów w podziemiach kazańskiego Kremla – dodała Ania.

– Charzin od początku wierzył w LUCĘ, choć wówczas jego naukowcy stosowali inną nazwę. Ale on widział tylko destrukcyjny potencjał ostatniego wspólnego przodka.

– Czyli?

– Otóż pierwotny świat był znacznie bardziej surowy niż współczesny. W ówczesnym habitacie taka forma życia musiała być nadzwyczaj agresywna, żeby przetrwać. Jestem przekonany, zresztą podobnie jak Charzin, że gdyby dzisiaj, kiedy nie ma

przed nią żadnej obrony, wydostała się na swobodę, nie dałoby się jej powstrzymać.

Tucker zaczynał dostrzegać niebezpieczeństwo.

– Nadrzędnym celem LUKI – kontynuował profesor – jest przejęcie pobliskich komórek roślinnych i zmodyfikowanie ich w taki sposób, żeby pasowały do jej własnych, żeby się reprodukować, i to szybko, podobnie jak wirus. Ma potencjał, żeby zostać najgroźniejszym, nieubłagane inwazyjnym gatunkiem na świecie.

Tucker zrozumiał, jak łatwo LUCA może stać się bronią. Uwolniona na terytorium wroga, mogłaby zniszczyć całe rolnictwo, dewastując kraj bez jednego strzału.

– Jak bardzo są zaawansowane wasze badania? – zapytał. – Pana i Charzina?

– Gdy stosowaliśmy coś w rodzaju inżynierii odwrotnej, żeby stworzyć w laboratorium LUCĘ albo podobny do niej organizm, moje i jego badania biegły równolegle. Moim celem było ulepszenie świata. On chciał obrócić LUCĘ w broń. Obaj natknęliśmy się na dwa problemy.

– Jakie?

– Po pierwsze, żaden z nas nie zdołał wyhodować zdolnego do życia stabilnego okazu. Po drugie, żaden z nas nie umiał wymyślić sposobu, jak kontrolować taką formę życia, jeśli uda się ją stworzyć.

Tucker pokiwał głową.

– Charzin potrzebował wyłącznika do swojej bomby biologicznej – powiedział.

– Bez niego nie byłby w stanie kontrolować LUKI. Nie mógłby używać jej jako broni. Uwolniona bez zabezpieczeń, rozprzestrzeniłaby się na cały świat, niszcząc ekosystemy jeden po drugim. W końcu stanowiłaby dla Rosji takie samo zagrożenie jak wrogowie Charzina.

– Więc co się nagle zmieniło? Co wprowadziło w ruch tę obławę? Dlaczego musi pan tak nagle opuścić Rosję?

– Jestem przekonany, że wiem, gdzie znaleźć LUCE... albo przynajmniej najbliższego jej potomka.

Tucker skinął głową.

– A Charzin dowiedział się o pańskim odkryciu. I dlatego pana szuka.

– Nie mogłem pozwolić, żeby on odkrył to pierwszy. Rozumiesz, prawda?

Jasne, że rozumiał.

– Więc gdzie może ją pan znaleźć? I skąd się pan tego dowiedział?

– Od Paulosa De Klerka. Odpowiedź od ponad stu lat leżała przed naszym nosem.

Tucker przypomniał sobie opowieść Bukołowa o burskim botaniku i jego cenionych w świecie naukowym dziennikach.

– Widzisz, przez lata zbierałem pisma De Klerka, w największej tajemnicy. Nie było to łatwe zadanie, bo ten człowiek mnóstwo pisał i jego zapiski rozproszyły się, zaginęły albo zostały zagrzebane w nieskatalogowanych archiwach. Ale powoli scalałem interesujące mnie części, jak ta ostatnia, wykradziona przez Anię z Kremla.

Tucker przypomniał sobie wielką torbę, którą dziewczyna przyciskała w Kazaniu do piersi.

– Prowadził dziennik przez dziesiątki lat, od czasu, gdy był nastolatkiem, do śmierci. Większość zapisków dotyczy spraw codziennych, ale w tomie pochodzącym z czasów drugiej wojny burskiej zawarł fascynujące i przerażające obserwacje. Na podstawie kilku rysunków, które udało mi się znaleźć, i szczegółowych notatek doszedłem do przekonania, że odkrył albo skupisko żywych organizmów LUCA, albo coś do nich bardzo zbliżonego.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Nie tylko ja. Na kartce, którą znalazłem w Amsterdamie, De Klerk opisał swoje odkrycie jako *die oorsprong van die lewe*. W języku afrykanerskim to oznacza „pochodzenie życia”.

– Gdzie to znalazł?

– W jakiejś jaskini w Transwalu. W miejscu, gdzie się ukrywał wraz z innymi Burami. Zostali przyparci do muru przez brytyjskie wojsko. Podczas oblężenia De Klerk znalazł skupisko LUKI. Jako botanik i doktor medycyny był oczywiście niesłychanie zaintrygowany. Nie mam kompletnej relacji o tym, co się wydarzyło w tamtej jaskini. To trochę tak jak czytanie powieści z połową brakujących kartek. Ale De Klerk daje do zrozumienia, że spadło na nich wielkie nieszczęście.

– Co się z nim stało?

– Niestety, zginął w tej jaskini, gdy wdarli się do niej Brytyjczycy. W końcu oddali wdowie jego rzeczy, łącznie z dziennikami, i to wszystko, co wiemy. Wciąż studiuję dokumenty, które znalazła Ania. Może pomogą mi wypełnić kilka luk.

– Czy coś wskazuje na to, że De Klerk w pełni rozumiał, co znalazł?

– Nie, nie w pełni – odparła Ania. – Ale w papierach, które zabrałam, gdy przyszedłeś po mnie na Kreml, wreszcie nazwał swoje odkrycie: *Die Apokalips Saad*.

– Nasiono apokalipsy – przełożył Bukołow. – Znalezisko go przeraziło, ale też ogromnie zaintrygowało. Więc narysował mapę.

– Jaką mapę?

– Z lokalizacją jaskini. Jest zaszyfrowana w jego dzienniku. Przypuszczam, że De Klerk miał nadzieję przeżyć oblężenie i wrócić tam później, żeby kontynuować badania. Niestety, nie było mu to pisane.

– I ma pan tę mapę?

– Owszem.

– Gdzie?

Profesor poklepał się po głowie.

– Tutaj. Spaliłem oryginał.

Tucker wlepił w niego wzrok.

Nic dziwnego, że wszyscy cię szukają.

Godzina 22:18

Po rozmowie Tucker uznał, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza, żeby przejaśniło mu się w głowie.

Wyszedł z Kainem na pokład i pomachał ręką do Wadima, który stał za kołem sterowym. Kapitan w odpowiedzi zasalutował rozżarzonym koniuszkiem cygara.

Tucker siedział na dziobie, słuchając pluskania fal i tęsknie patrząc na punkciki świateł w oknach domów, gdzie ludzie wiedli proste życie. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Ruth Harper. Po tym, co się dotąd stało, postanowił mieć się na baczności. Jego telefon satelitarny powinien być bezpieczny, ale czy jakakolwiek łączność naprawdę jest bezpieczna? Uznał, że lepiej zachować ostrożność, dopóki nie dotrą do Wołgogradu.

Usłyszał kroki za plecami. Kain drgnął, ale po chwili się uspokoił.

– Mogę ci potowarzyszyć? – zapytała Ania.

Tucker wskazał miejsce obok siebie. Usiadła na pokładzie i odsunęła się o kilka centymetrów.

– Przepraszam, że cię okłamałam.

– Było, przepłynęło.

– Nie „było, minęło”?

– Kontekst sytuacyjny – powiedział Tucker, wskazując na rzekę, a ona zaśmiała się nerwowo. – Miło to widzieć.

– Mnie roześmiana? Musisz wiedzieć, że często się śmieję. Po prostu ostatnio nie jestem w najlepszej formie. – Zawahała się. – I, niestety, czuję, że będzie gorzej.

Spojrzał na nią.

– Z jakiego powodu?

– Obiecasz, że mnie nie zastrzelisz ani nie wyrzucisz za burtę?

– Tyle mogę obiecać. Chociaż miałem dość niespodzianek jak na jeden dzień.

– Pracuję dla SWR.

Tucker powoli wypuścił powietrze, próbując jakoś to objąć rozumem.

– To znaczy... – zaczęła, ale jej przerwał.

– Wiem, co oznacza ten skrót.

Służba Wnieszniej Razwiedki, czyli rosyjska Służba Wywiadu Zagranicznego, odpowiednik CIA.

– Agentka czy oficer? – zapytał.

– Agentka. Od sześciu lat. Ale naprawdę skończyłam biochemię. Dlatego mnie przysłali.

– Przysłali, żebyś była blisko Bukołowa.

– Tak.

– I jesteś ładna – dodał. – Idealna przynęta dla starszego wiekiem owdowiałego profesora.

– Wcale nie – warknęła. – Kazali mi go uwieść w razie konieczności, ale... nie mogłabym. Poza tym okazało się to niepotrzebne. On jest całkowicie pochłonięty pracą. Moje zainteresowanie i pomoc wystarczyły, żebyś zyskała jego zaufanie.

Tucker postanowił jej uwierzyć.

– Czym interesuje się SWR? LUCĄ?

– Nie, niezupełnie. Wiedzieliśmy, że Awram pracuje nad czymś ważnym. Że jest bliski jakiegoś przełomu. I biorąc pod uwagę to, kim jest, chcieli dowiedzieć się czegoś więcej.

– I teraz wiedzą. Kiedy się zjawią? Gdzie urządzili zasadzkę?

– W tym rzecz. Nie zjawią się. Wodzę ich za nos. Wierz mi albo nie, ale ja wierzę w to, co robi Bukołow. Kiedy się dowiedziałam, co próbuje osiągnąć, zmieniłam front. W głębi duszy wciąż jestem naukowcem. On naprawdę chce wykorzystać LUCĘ w dobrym celu. Kilka miesięcy temu zdecydowałam, że nie przekażę zwierzchnikom czegoś tak ważnego. Od tamtej pory podaję im fałszywe informacje.

– Czy Bukołow o tym wie?

– Nie. Nie chcę, żeby to go dekoncentrowało. Najpierw musi skończyć pracę.

– Co wiesz o Charzinie?

– Tutaj po raz pierwszy usłyszałam, że też prowadzi takie badania, ale znam jego reputację. Jest bezlitosny, pochodzi ze

starej komunistycznej szkoły i otacza się ideologami, którzy podzielają jego zapatrywania. To twardogłowi sowieccy dogmatycy.

– A co z twoimi bezpośrednimi przełożonymi? Kontaktowałaś się z nimi od czasu, kiedy wyprowadziłem cię z Kremla?

– Nie. Zabrałeś nam telefony.

– A w Dimitrowgradzie... wtedy, kiedy zniknęłaś?

– Poszłam po herbatę – odparła. – Naprawdę tylko po to. Nie nawiązałam łączności, przysięgam.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć? W czymkolwiek?

– Nie mogę ci dać żadnego konkretnego dowodu. Zadaż sobie następujące pytanie: jeśli wciąż jestem w kontakcie z SWR, wciąż wobec nich lojalna, to dlaczego ich tu jeszcze nie ma?

Uznał, że jej argument jest trudny do odparcia.

– Naprawdę nazywam się Ania Awerin. Możesz to sprawdzić u swoich zwierzchników. Kiedy dotrzemy do Wołgogradu, wydaj mnie im. Niech mnie przesłuchają. Powiedziałam ci prawdę! – W jej głosie zabrzmiała błagalna nuta, ale słyhać też było determinację. – Tylko Awram wie, gdzie jest jaskinia De Klerka. Nigdy mi tego nie powiedział. Zapytaj go. Kiedy wydostaniesz go z Rosji i znajdzie się pod ochroną Stanów, LUCA będzie bezpieczna przed nimi wszystkimi, przed SWR, generałem Charzinem.

Tucker patrzył nad wodą na małe gospodarstwa drzemzące na brzegu, wolne od tego rodzaju machinacji. Jak szpiedzy mogą żyć w takim świecie i zachowywać zdrowe zmysły?

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała.

– Na razie dochoвам sekretu i niczego nie powiem Bukołowowi, ale tylko do granicy.

Skinęła głową na znak podziękowania. Przez sekundę zastanawiał się, czy rzeczywiście nie wyrzucić jej za burtę, ale zdusił ten impuls.

Gdy odeszła, zabrał śpiwór i koc i znalazł sobie przytulny zakamarek na dziobie. Kain zwinął się na kocu, zamknął oczy i zasnął. Tucker bez powodzenia próbował zrobić to samo.

Patrzył na przesuwane się brzegi, nad którymi wschodził księżyc. Kainowi coś się śniło, bo popiskiwał i przebierał zadnimi łapami.

Tucker próbował wyobrazić sobie cel ich podróży.

Wołgograd.

Znał tragiczną historię miasta, które wtedy nazywało się Stalingradem. Podczas drugiej wojny światowej toczyła się tam wielka bitwa pomiędzy Wehrmachtem i Armią Czerwoną. W trakcie trwających ponad pięć miesięcy zmagania straciło życie lub odniosło rany dwa miliony ludzi, a z miasta zostały ruiny.

I to tam mam nadzieję znaleźć wybawienie.

Nic dziwnego, że nie mógł zasnąć.

Rzeka Wołga, Rosja

16 marca, godzina 6.05 czasu miejscowego

Słońce miało wzejść dopiero za dwie godziny i łąty mgły wisiały nad ciemną rzeką, ale daleka łuna nad linią horyzontu oznaczała, że zbliżają się do Wołgogradu. Płynęli dalej z prądem i powoli pojawiły się światła miasta leżącego na obu brzegach, rozciągniętego na otaczające je stepy.

Tucker sprawdził godzinę, wyjął telefon satelitarny i zadzwonił do Sigmy. Kiedy Harper się zgłosiła, opowiedział jej o wszystkim, łącznie z wyznaniem Ani.

– Przyjrzę się jej – obiecała Harper.

– Mniej więcej za godzinę powinniśmy być w mieście. Co tam na nas czeka?

Harper wahała się przez chwilę.

– Staraj się mieć otwarty umysł.

– Za każdym razem, kiedy słyszę zdanie zaczynające się w ten sposób, robię się nerwowo.

– Co wiesz o ekoturystyce?

– Tyle co nic.

– Ta część Rosji stała się jej mekką, szczególnie Wołga. Najwyraźniej ta wielka rzeka jest rezerwatem flory i fauny występującej w niewielu innych miejscach. W konsekwencji w Wołgogradzie kwitnie wynajem kwater i organizowanie podwodnych wycieczek ekologicznych.

– Żartujesz. Rosjanie nie zrobili na mnie wrażenia obrońców środowiska naturalnego.

– Istnieje jednak jedenaście firm, które oferują takie wycieczki. Mają flotę złożoną z około czterdziestu elektrycznych miniaturowych łodzi podwodnych. Każda zabiera do sześciu pasażerów i pilota. Schodzą na maksymalną głębokość dziesięciu metrów. Poza przeprowadzaniem comiesięcznych kontroli bezpieczeństwa władze trzymają od tego ręce z daleka. Łodzie pływają, dokąd chcą.

– To mi się podoba.

Mógł odgadnąć ciąg dalszy. Sigma znalazła splukaną firmę, chętną zabrać prywatną grupę na długą wycieczkę po Wołdze.

Gdy Harper przekazała szczegóły, rozłączył się i poszedł na rufę porozmawiać z Wadimem.

– Mówisz po angielsku? – zapytał.

– Tak. Trochę. Jak mówić powoli.

Tucker najlepiej, jak mógł, wytłumaczył, o co mu chodzi, często uciekając się do pantomimy. Żałował, że nie zbudził Utkina, żeby tłumaczył.

Ale w końcu Wadim wyszczerzył zęby i pokiwał głową.

– Aha! Kanał Wołga–Don. Tak, znam. Znajdę łódź, która wy spotkać. Trzy godziny, *da*?

– Tak.

– Damy radę. Nie bać nic. Ty i pies teraz iść.

Z wrażeniem, że został odprawiony, Tucker zszedł na dół, gdzie wszyscy jedli skromne śniadanie złożone z herbaty, czarnego chleba i twardego sera.

– Więc jaki jest twój plan? – zapytał Bukołow. – Jak zamierzasz wydostać mnie z kraju?

– Wszystko zostało ustalone. – Tucker nie wspomniał o niezwykłym środku transportu wcale nie z obawy, że informacja wycieknie do niepowołanych uszu, ale po prostu po to, żeby uniknąć buntu na pokładzie. Z takim przekonaniem, na jakie mógł się zdobyć, dodał: – Jesteśmy prawie wolni.

Godzina 8.13

– Jesteśmy! – zawołał z pokładu Wadim półtorej godziny później.

Tucker wyprowadził wszystkich z mesy i ujrzeni wybielony świat, pochłonięty przez gęstą mgłę. Na wschodzie słońce było mętną tarczą na zachmurzonym niebie. Wszędzie wokół we mgle dzwoniły boje i buczały rogi mgłowe. Niewyraźne cienie oznaczały statki przepływające w górę i w dół Wołgi.

Kapitan rzucił kotwicę; silnik łodzi pracował na jałowym biegu.

– W tej mgle jest niesamowicie – powiedziała Ania.

– Ale dobrze dla nas, prawda? – zapytał Bukołow.

Tucker pokiwał głową.

Wadim zajął miejsce za kołem i powiedział coś do Utkina.

– Mówi, że twoi przyjaciele się spóźniają – przetłumaczył rudzielec.

– Niewiele – rzucił Tucker, spojrzawszy na zegarek. – Zjawia się.

W milczeniu stali na pokładzie, czekając.

Nagle usłyszeli gniewne powarkiwanie silnika i po chwili z mgły po prawej wyłonił się ostry dziób motorówki. Łódź ustawiła się bokiem do nich i bosak zahaczył o nadburcie.

Zaciskając rękę na ukrytym w kieszeni magnumie, Tucker przeszedł na lewą burzę i ostrożnie spojrzął nad relingiem.

Łysy, pызaty mężczyzna pokazał w uśmiechu dwa złote zęby i podał mu kartkę. Widniało na niej dziewięć nabazgranych znaków alfanumerycznych. Tucker uważnie im się przyjrzał, potem przekazał karteczkę z podobnym ciągiem symboli. Nieznajomy je porównał i pokiwał głową.

Był to obmyślony przez Harper sposób na potwierdzenie tożsamości.

– Jesteś Tucker, tak? – zapytał mężczyzna.

– Tak. A ty Misza.

Mężczyzna błysnął złotem, cofnął się i wskazał ręką motorówkę.

– Dzięki za wybranie agencji turystycznej Dzika Wołga.

Tucker zebrał pozostałych, zapłacił Wadimowi i kazał trzem swoim towarzyszom przesiąść się na motorówkę.

Misza sceptycznie zmierzył wzrokiem Kaina.

– Wilk?

– Czasami tak myśli. Ale jest dobrze wyszkolony – uspokoił go Tucker.

I właśnie dlatego tym bardziej niebezpieczny, dodał w duchu.

Jego zapewnienie chyba zadowoliło przewoźnika.

– No to w drogę.

Ruszyli we mgle i zważywszy na ograniczoną widoczność, płynęli znacznie szybciej, niż nakazywał rozsądek. Gdy kluczyli pomiędzy innymi jednostkami, nawet Tucker zdał sobie sprawę, że trzyma się mocno uchwytu.

Wreszcie ton silnika się zmienił i motorówka zwolniła. Misza skręcił do brzegu i z oparów wyłoniła się przystań. Kiedy zatrzymał łódź przy odbijaczach z opon, z mgły wyłonili się jacyś ludzie i zawiązali cumy.

– Idziemy – zarządził Misza, wskazując na pomost.

Tucker poprowadził swoich towarzyszy po szerokim pomoście nad podmokłym brzegiem. Na końcu stał bladożółty blaszak z dachem pokrytym smugami rdzy do tego stopnia, że wyglądał jak abstrakcyjne malowidło.

Weszli do środka. Po lewej stronie na rusztowaniu stały dwie czerwono-niebieskie miniaturowe łodzie podwodne. Miały po dziewięć metrów długości i siedem szerokości, z bulajami rozmieszczonymi wzdłuż kadłuba i na dnie. Na śródokręciu wznosił się kiosk zwieńczony klapą z pokrętkiem, niżej z burt sterczały dwie płetwy sterowe, a na dziobie znajdował się przejrzysty bąbel – Tucker się domyślił, że tam jest kokpit.

– Wasze rydwany – zwrócił się do swoich towarzyszy, którzy z otwartymi ustami wlepiali oczy w łodzie.

Nikt się nie odezwał.

– Robią wrażenie, *da?* – rzucił wesoło Misza.

– Żartujesz, prawda? – zapytał Utkin. – Tak opuścimy Wołgograd?

I mówi to najbardziej ustępliwy z tej trójki, przemknęło Tuckerowi przez głowę.

Bukołow i Ania milczeli, jakby odebrało im mowę.

– Są bardzo małe – dodał Utkin.

– Ale wygodne i dobrze zaopatrzone – sparował Misza. – I niezawodne. Rejs może trochę potrwać, ale na pewno dotrzecie do celu. Do dnia dzisiejszego mieliśmy tylko trzy wypadki.

Ania w końcu odzyskała głos.

– Wypadki? Jakie wypadki?

– Bez obrażeń czy ofiar śmiertelnych. Utrata mocy. – Misza wzruszył ramionami. – Musieliśmy wyciągać je dźwigami, żeby nie zassał ich muł.

Spojrzała błagalnie na Tuckera.

– To twój plan? Nie jestem...

O dziwo, to Bukołow stał się reprezentantem głosu rozsądku. Podszedł do Ani, położył dłonie na jej ramionach i powiedział:

– Aniu, jestem pewien, że to całkowicie bezpieczne.

Nie wyglądała na przekonaną.

Zostawiwszy pozostałych w hangarze, żeby obejrzeni łodzie, Misza zabrał Tuckera do biura. Tam jego życzliwy uśmiech zniknął.

– To, o co prosili twoi ludzie, jest bardzo trudne. Wiesz, jak daleko stąd do Morza Kaspijskiego?

– Czteryście pięćdziesiąt kilometrów. Biorąc pod uwagę prędkość rejsową twoich łodzi, średni czas ładowania akumulatorów i nurt Wołgi o tej porze roku, powinniśmy tam dotrzeć za osiemnaście do dwudziestu czterech godzin.

– Rozumiem – burknął Misza. – Jesteś dobrze poinformowany.

– A ty dobrze opłacany. – Zanim Rosjanin mógł się odezwać, Tucker dodał: – Rozumiem, że podejmujesz ryzyko, i jestem ogromnie wdzięczny. Dam ci premię w wysokości dziesięciu

tysięcy rubli, jeśli dostarczysz nas tam całych i zdrowych. Pod jednym warunkiem.

– Tak?

– Ty będziesz naszym pilotem. Osobiście. Wóz albo przewóz.

Chciał, żeby właściciel Dzikiej Wołgi ryzykował nie tylko finansowo. Chciał, żeby jego skóra też weszła do gry.

Misza przeszył go twardym spojrzeniem, po czym wyciągnął rękę.

– Stoi. Ruszamy za godzinę.

Rzeka Wołga, Rosja

16 marca, godzina 9.34 czasu miejscowego

Misza zaprowadził wszystkich po pomoście nad bagnistym brzegiem tam, skąd przyszli – do motorówki. Popłynął w dół rzeki do miejsca, gdzie jego pasażerowie wsiadali do łodzi podwodnych. Mgła wciąż była gęsta, nikłe poranne słońce jeszcze jej nie wypaliło.

– Co tak śmierdzi? – zapytał Utkin po kilku minutach.

Tucker też to czuł, ciężki zapach siarki w powietrzu.

– Tam jest rafineria Łukoilu – odparł Misza, wskazując nad sterburtą. – Nad rzeką jest mnóstwo rafinerii i ropa spływa do rzeki.

– Są zlokalizowane tak blisko Wołgi? – zdziwił się Bukołow. – To się prosi o katastrofę ekologiczną.

Misza wzruszył ramionami.

– Wiele stanowisk pracy. Nikt się nie skarży.

Motorówka powoli przybliżała się do brzegu, klucząc w labiryncie łąch w ujściu dopływu. Potem wpłynęła do wąskiej zatoczki z zalesionym brzegiem i dobiła do drewnianego pomostu, przy którym cumowała łódka. Na drugim końcu, na falach ich kilwateru, uderzając w odbijacze z opon, podskakiwała jedna z łodzi podwodnych Miszy.

– *Olga* – oznajmił. – Nazwana na cześć mojej babci. Kochana kobieta, chociaż bardzo gruba. Też podskakuje w wodzie. Ale nigdy nie tonie.

Misza zaprowadził ich do *Olgi*. Pracownik w niebieskim kombinezonie, który wyszedł z kiosku i zsunął się po drabinie, potrząsnął ręką Miszy. Zamienili kilka słów, szef poklepał go po ramieniu i wrócił do grupy.

– Sprawdzona, zaopatrzona i przygotowana do rejsu. Kto pierwszy?

– Ja. – Ania zacisnęła zęby i wystąpiła do przodu.

Tuckera zalała fala współczucia i szacunku. Choć była przerażona, postanowiła stawić czoło strachowi.

Bez słowa weszła po drabinie, spuściła nogę do wjazdu, potem drugą i zniknęła w kiosku. Utkin był następnym. Za nim wsiadł Bukołów, mruczając pod nosem:

– Fascynujące... ale frajda.

Kiedy przyszła kolej na Kaina, Tucker dwa razy klepnął ręką w szczebel. Niezdarnie, ale szybko, Kain wspiął się po drabinie i wskoczył przez luk.

– Robi wrażenie – skomentował Misza. – Artysta!

Nie masz pojęcia jaki, pomyślał Tucker.

Wsiadł do łodzi przed Miszą, który zamknął właz, dociskając go do gumowych uszczelek, a potem kręcił kołem, aż umieszczone obok niego światelko zapaliło się na zielono. Po uszczelnieniu łodzi Misza zeskoczył na pokład i przeszedł do kokpitu.

Wnętrze łodzi nie było tak ciasne, jak Tucker się obawiał. Grodzie, pokład i strop były pomalowane na kojący kremowy kolor, podobnie jak kable i rury. Pośrodku stała obita jasnoniebieską sztuczną skórą szeroka ławka, na tyle długa, że w razie potrzeby każde z nich mogło się położyć.

Tucker spojrział przez bulaj i zobaczył, że słońce zaczyna wyzierać zza chmur, pomiędzy którymi widniały skrawki błękitnego nieba. Zielona woda od czasu do czasu zasłaniała widok, gdy łódź się kołysała. Wyprostował się i głęboko odetchnął, czując w powietrzu lekki metaliczny zapach.

– Jeśli ktoś zgłodniał, z tyłu jest jedzenie i picie! – zawołał Misza z kokpitu.

Tucker odwrócił się. W grodzi na rufie były drzwi schowka.

– Znajdziecie tam aspirynę, tabletki na chorobę morską i tak dalej – dodał Misza. – Będziemy się zatrzymywać co cztery godziny, żeby skorzystać z toalety. Jakies pytania?

– Jak głęboko zejdziemy? – Bukołów przyciskał nos do bulaja, zachowując się jak chłopiec, którego wzywa przygoda.

– Średnio pięć i pół metra. Koryto Wołgi jest dwa razy głębsze. Mnóstwo miejsca na manewrowanie w razie potrzeby. Poza tym mam w kokpicie hydrofon. Usłyszę każdy statek płynący w naszą stronę. Jak tylko zajmiecie miejsca, ruszamy.

Tucker usiadł na ławce najbliżej dziobu, a Kain usadowił się pod nią. Inni zajęli miejsca przy bulajach. Z cichym mruzeniem silników elektrycznych łódź odbiła od pomostu, zakołysała się kilka razy i zaczęła opadać. Woda Wołgi wznosiła się; zasłoniła bulaje i pograżyła wewnątrz w miękkim zielonym blasku.

Misza manipulował przyrządami, wyprowadzając *Olę* z ujścia do głównego nurtu rzeki. Jeszcze nie płynęli w pełnym zanurzeniu.

– Załoga, przygotować się do zanurzenia – powiedział ze śmiechem Misza. – Albo siedzieć i podziwiać widoki.

Ze stłumionym szumem pęcherzyków powietrza łódź wsunęła się pod powierzchnię. Światło wpadające przez bulaje powoli ciemniało, przechodząc z miętowej zieleni w mroczniejszy szmaragd. Pod ławkami zapaliły się przyćmione halogeny i na grodziach zatańczyły dramatyczne cienie.

– Jesteśmy na głębokości rejsowej – oznajmił w końcu Misza tonem przewodnika wycieczkowego. – Czeka nas przyjemna podróż.

Tucker uznał, że nie mija się z prawdą. Sunęli głęboko, prawie nie czując ruchu. Zauważył ławicę ryb przepływającą za bulajami.

Po godzinie wszystkich opadło zmęczenie – w końcu od kilku dni nie dosypiali. Zapadali w sen jedno po drugim, ułożeni na ławkach, każde z wełnianym kocem i nadmuchiwaną poduszką.

Tucker wytrzymał najdłużej, ale po cichej rozmowie z Miszą, który zapewnił go, że wszystko jest w porządku, skulił się do snu. Zwiesił rękę i położył ją na boku Kaina. Jego partner cicho posapywał, leżąc obok bulaju w podłodze i obserwując każdy bąbel i drobinę przemykające za szybą.

Godzina 13.00

Tucker przebudził się i potrząsnął głową, gdy z głośnika dobiegł głos Miszy:

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale zaraz będzie pierwszy przystanek.

Wszyscy jęknęli.

Tucker usiadł i zobaczył, że Kain leży skulony na ławce. Pies wstał, wygiął grzbiet, zeskoczył i potruchtał do kokpitu.

– Powiedz swojemu przyjacielowi, że nie może sterować! – krzyknął dobrodusznie Misza.

– Po prostu podoba mu się widok – odparł Tucker.

Bukołow usiadł obok niego.

– Muszę przyznać, że zrobiłeś na mnie wrażenie – powiedział.

– Czym?

– Miałem wątpliwości co do tego, czy naprawdę zdołasz mi... nam pomóc w ucieczce z Rosji. Teraz widzę, że się myliłem.

– Jeszcze nie uciekliśmy.

– Nie tracę wiary. – Profesor uśmiechnął się i dobrotliwie poklepał go po ramieniu, po czym wrócił na swoje miejsce.

Cuda się zdarzają, pomyślał Tucker.

Pyknęło mu w uszach, gdy *Olga* zaczęła się wynurzać. Świat za bulajami zmieniał się dokładnie odwrotnie niż wtedy, kiedy się zanurzali – ciemna zieleń ustąpiła oślepiającym blaskowi. Światło słońca wpadało przez szkło. Kiedy kadłub zaczął szorować po piasku, łódź zwolniła, skarżąc się grzytliwie.

Misza wyszedł z kokpitu, wspiął się po drabince i otworzył właz.

– Na brzeg!

Po mistrzowsku dobił do starego drewnianego pomostu. Małą zatoczkę otaczała bagienna trawa. Dalej, na niewysokiej skarpie, rosły drzewa.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Utkin, gdy wyszli na brzeg; mrugał w słońcu i wodził wzrokiem dokoła.

– Kilkanaście kilometrów na południe od Achtubińska – odparł Misza. – Wyprzedziliśmy rozkład jazdy. Możecie pospacerować. Macie pół godziny. Podładuję akumulatory parasolem solarnym.

Tucker wyszedł z Kainem z łodzi i sprawdził teren przy przystani. Kazał swojemu partnerowi zrobić szybki zwiad, żeby upewnić się, że są tu sami. Kiedy pies wrócił, merdając ogonem, Tucker pomachał ręką do swoich towarzyszy na znak, że mogą rozprostować nogi.

– Trzymajcie się blisko – polecił. – Jeśli kogoś zobaczycie, nawet z daleka, natychmiast wracajcie.

Gdy przytaknęli, wrócił na łódź. Misza już rozpostarł parasol do ładowania akumulatorów.

– Powiedz mi, przyjacielu, czy jesteście przestępcami? – zapytał. – Nie osądzam. Wy płacicie, mnie nic nie obchodzi.

– Nie, nie jesteśmy – odparł Tucker.

– W takim razie przed kim uciekacie? Kto was ściga?

– Już nie ściga.

Mam nadzieję, dodał w myśli Tucker.

Misza skinął głową i zaprezentował szeroki uśmiech; złote zęby błysnęły w słońcu.

– Doskonale. Jesteście w dobrych rękach.

Tucker naprawdę mu wierzył.

Ania wróciła sama, gotowa do zejścia pod pokład.

– Gdzie pozostali? – zapytał.

– Załatwiłam, co musiałam, i zostawiłam chłopaków, żeby mogli na osobności zrobić to samo – odparła z lekkim

rumieńcem.

Tucker spojrział na Kaina. To nie był zły pomysł. Miną kolejne cztery godziny, zanim znowu dobiją do brzegu.

– Co ty na to, Kain? Chcesz zobaczyć, czy nas tam nie ma?

Godzina 14.38

Gdy *Olga* sunęła w dół Wołgi, pasażerowie drzemali, patrzyli w bulaje albo czytali. Co jakiś czas Misza cicho nazywał miejsca, których nikt nie mógł zobaczyć: dobre miejsca na łowienie jesiotrów... mekka dla poławiaczy raków... wioska, która odegrała ważną lub drobną rolę w historii Rosji...

Utkin i Ania wymieniali się naukowymi dziennikami i nad nimi ślęczeli. Bukołów wertował swoje notatki, od czasu do czasu zapisując jakąś nową myśl albo koncepcję.

Nie mając nic do roboty, Tucker na wpół drzemał – dopóki Bukołów nie usiadł obok niego i nie trącił go łokciem.

– Co z tego rozumiesz? – zapytał profesor.

– Słucham?

Bukołów wsunął mu w rękę cienki dziennik, stary, z porysowaną skórzaną okładką i pożółkłymi kruchymi kartkami.

– To jeden z ostatnich dzienników De Klerka.

– No i?

Profesor spojrział na niego gniewie, zabrał mu dziennik i wskazał jego grzbiet.

– W ostatnim dzienniku De Klerka brakuje kartek – powiedział. – Spójrz tutaj... zwróć uwagę na ślady cięcia przy grzbiecie.

– Dopiero teraz pan to zauważył?

– Tak, bo kolejne wpisy do siebie pasowały... tak mi się przynajmniej wydawało. Nie brakuje dat, narracja jest spójna. Tutaj, tuż przed brakującymi kartkami, pisze, że jeden z żołnierzy

skarży się na dziwne bóle brzucha. A zaraz potem zaczyna o swoim nasionie apokalipsy, opisuje, gdzie je znalazł, jakie są jego właściwości i tak dalej.

Nie znając afrykanerskiego, Tucker musiał uwierzyć profesorowi na słowo, ale poza tym zobaczył ślady cięcia.

– Dlaczego miałyby wycinać kartki? – zapytał.

– Przychodzi mi na myśl tylko jeden powód – odparł Bukołów. – Paulos De Klerk próbował coś ukryć. Ale co i przed kim?

Godzina 19.55

Misza zapowiedział następny przystanek i podprowadził *Olę* do brzegu. Był to trzeci postój tego dnia, niedługo przed zachodem słońca. Misza chciał przed nocą podładować akumulatory. Dobił do kolejnego porzuconego pomostu rybaków. Najwyraźniej starannie zaplanował trasę, wybierając odludne miejsca.

Gdy otworzyli właz, Tucker natychmiast poczuł obrzydliwy zapach zgniłych jaj przemieszany z intensywną wonią ropy naftowej.

– Fuj! – parsknęła Ania, zaciskając nos palcami. – Zostaję tutaj. Aż tak bardzo mi nie zależy na skorzystaniu z toalety.

Tucker musiał wysiąść, Kain też. Wyszli z Utkinem i Bukołowem.

Wokół zatoczki rozciągało się bagno gęsto porośnięte trawą i trzcinami; tu i ówdzie stały martwe karłowate sosny. Równoległe do biegnących nad ziemią rur ciągnęły się tworzące istny labirynt kładki. Przy kilku skrzyżowaniach z zanieczyszczonej ropą wody wyrastały stalowe stożki wielkości samochodów.

– Przepraszam za brzydką scenerię! – krzyknął Misza. – To stacja Łukoilu. Zdaje się, że to propan. Te metalowe kominy są

zaworami bezpieczeństwa. Smutne. Zanim Łukoil kupił ten teren, była tu wioska rybacka, Saraj. Słynęła z bardzo dobrych jesiotrów. Ale to dawne czasy.

Spacerowali w pobliżu pomostu, od którego odbiegało kilka ścieżek, wszystkie w głąb lądu, w kierunku miasta duchów, jakim się stał Saraj.

– Tucker, spójrz na to! – krzyknął Utkin gdzieś z prawej strony.

Z Kainem za plecami Tucker ruszył ścieżką do miejsca, w którym profesor i jego asystent stali przy zanurzonej rurze. Gdy tam dotarł, zobaczył bulgoczącą wodę. Zanurzył w niej rękę i przesuwał palce po śliskiej od szlamu powierzchni rury, aż znalazł to, czego szukał – otwarty zawór. Sięgnął niżej i namacał łańcuch. Na końcu zwisała kłódka... przecięta.

Sabotaż.

– Jazda! – wrzasnął. – Wracać do łodzi!

– Co się stało? – zapytał Utkin – O co...

Tucker popchnął go ramieniem.

– Zabierz Bukołowa do łodzi! – Wciąż klęcząc, ryknął: – Misza!

– Czego?!

– Wyciek gazu! Odpływamy!

Zduślił klębiące mu się w głowie pytania – kto, jak i kiedy – i wyciągnął pistolet. Spojrzał na wodę i dostrzegł przepływającą w pobliżu sosnową gałąź grubości kciuka. Sięgnął po nią wolną ręką i wcisnął ją w otwór zaworu jak korek w butelkę. Bulgotanie przycichło; słyszał tylko szmer bąbelków.

Nad moczarami poniosło się złowieszcze dudnienie; miał wrażenie, że dochodzi ze wszystkich stron.

Śmigłowiec.

Poderwał się i popędził w kierunku łodzi; Kain biegł u jego boku.

Oświetlony przez zachodzące słońce Misza wsuwał się do luku. Pozostali byli już na pokładzie. Misza znieruchomiał, kiedy zobaczył biegnącego Tuckera.

– Schodź, odpływaj! – krzyknął Tucker, machając ręką.

– Fabryka konserw! – ryknął Misza. – Sześć i pół kilometra stąd! Będę tam na ciebie czekał!

I zniknął, zatrzasnąwszy właz.

Śmigłowiec wyskoczył z za skarpy na drugim brzegu i leciał tuż nad powierzchnią rzeki. Przemknął nad łodzią podwodną, ostro skręcił, zwolnił i zawisnął nad moczarami. Była to cywilna maszyna, nie szturmowy havoc. Wyglądało na to, że generał Charzin ma wpływy i ręce sięgające daleko poza jego terytorium.

Boczne drzwi śmigłowca otworzyły się i stanęła w nich szczupła postać trzymająca w ręce ogniście czerwoną laskę. Wychyliła się; długie jasne włosy łopotały w podmuchu.

Tuckerowi krew ścięła się w żyłach.

Felice Nilsson.

Zmartwychwstała.

Uniósł pistolet i strzelił z odległości pięćdziesięciu metrów. Kula uderzyła w kadłub obok głowy Felice. Kobieta zniknęła w kabinie, ale było za późno. Płonąca flara wypadła z jej ręki i jakby w zwolnionym tempie poszybowała w dół.

Tucker popędził sprintem, z Kainem za plecami.

Usłyszał szum, a ułamek sekundy później stłumiony wybuch. Bez oglądania się za siebie wiedział, co się stało. Cięższy od powietrza propan zalegał w trzcinach i gęstej bagiennej trawie, tworząc przylegający do ziemi koc gazu.

Flara go zapaliła.

Pomarańczowo-niebieskie płomienie pędziły za nim przez trawę. Poczul żar na plecach. Dotarł do skrzyżowania kładek i skoczył w lewo w kierunku rzeki, gdzie powinna być łódź. Ale łódź już się zanurzyła i odpłynęła.

Płomienie go dopędziły i wyprzedziły, zniknęły pod kładką. Jęzory ognia strzelały w górę między deskami.

Przed sobą miał koniec pomostu.

Skulił głowę, przebiegł kilka ostatnich metrów i skoczył. Kain musnął go, gdy razem lecieli w powietrzu... a potem zaatakowała ich ściana wody.

Rzeka Wołga, Rosja

16 marca, godzina 20.18 czasu miejscowego

W ostatniej chwili Tucker otoczył ręką szyję partnera. Razem przelecieli przez ogień i wpadli do rzeki. Kain był wyszkolony do takich skoków, ale instynkt nakazałby mu natychmiastowe wynurzenie. Choć mogło się to wydawać okrutne, Tucker musiał temu zapobiec.

Gdy opadali, wysunął rękę i macał, aż znalazł pęk korzeni. Zacisnął na nich palce i pociągnął psa na dno. Z powodu napięcia ciało partnera było twarde jak kamień, ale Kain się nie szamotał.

Tucker wykręcił szyję i patrzył, jak powierzchnia rzeki płonie. Koc propanu szybko się wypalił, ale nie bagienna trawa. Widziane przez warstwę wody płonące łądygi na skraju moczarów wyglądały jak pomarańczowe pochodnie na tle ciemniejącego nieba.

Jeden problem z głowy, drugi – większy – przed nami, pomyślał.

Śmigłowiec wciąż tam był. Tucker wiedział, że Felice jest zbyt uparta, by założyć, że płomienie załatwiły sprawę.

Pozostawał przy dnie rzeki, sunąc od jednego pęku korzeni do następnego. Kiedy płuca dłużej nie mogły wytrzymać, puścił się i wynurzył na powierzchnię.

Natychmiast usłyszał dudnienie wirników nad pomostem.

Felice wciąż na nich polowała; krążyła niczym jastrzęb.

Gdy obaj z Kainem łapczywie chwyтали powietrze, trawa trzaskała i dymiła. Iskry syczały na powierzchni wody. Tucker

spojrzał na swojego partnera. Ogromne oczy psa śmigały w lewo i w prawo. Jego zwierzęcy instynkt wrzeszczał: „Ogień! Uciekaj!”. Zaufanie do partnera i szkolenie nie pozwoliły mu tego zrobić.

Tucker przytulił go i szepnął mu do ucha:

– Już dobrze, dobrze... spokojnie... wytrzymaj...

Same słowa nie miały znaczenia – liczył się ton i bliskość. Byli razem. Kain trochę się odprężył.

Na łądzie ogień strawił suche łądygi trzciny i przygasał, ale kłęby dymu wciąż snuły się w powietrzu.

Tucker puścił partnera i razem poczołgali się po płyciźnie, zmierzając do brzegu. Choć paliło go w płucach i piekły oczy, dokładał starań, żeby kryć się pod grubym całunem dymu.

Tutaj woda miała zaledwie trzydzieści centymetrów głębokości. Trzciny były bardziej zielone, ale wciąż się tliły. W głowie Tuckera zabręczały dzwonki ostrzegawcze. Dymiące trzciny zapewniały osłonę, ale też służyły jako drogowskaz. Gdy przemieszczali się, rozsuwali łądygi, co sprawiało, że przesuwali się również dym.

Felice z góry na pewno dostrzeże tę nieregularność.

Więc powoli położył się na brzuchu i wcisnął głębiej w błoto. Przytulił do siebie Kaina.

Czekamy.

Nie trwało to długo. O zachodzie słońca śmigłowiec, wzniesając dym, przeleciał wzdłuż i wszerz nad bagnem, i w końcu zawisł nad bagnistą zatoczką. Tucker widział jego sylwetkę.

Skoro on mógł go zobaczyć...

Ani drgnij, przykazał sobie w duchu. Jesteś częścią bagna... jesteś błotem.

Wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim śmigłowiec odleciał w zapadającym zmierzchu. Dudnienie wirników powoli ucichło, ale Tucker wciąż trwał w bezruchu. Po zachodzie słońca temperatura szybko spadała. Chłód wody wsączał się w kości. Tucker zacisnął zęby.

Czekaj, nakazał sobie.

I tak, jak się spodziewał, śmigłowiec wrócił kilka minut później. Felice, urodzona łowczyni, miała nadzieję, że jej zwierzyna skorzysta z zaproszenia do ucieczki, ale Tucker wiedział swoje.

Usłyszał ostry trzask. Wzdrygnął się przestraszony, że ich wypatrzyła, ale zaraz zrozumiał, że nie o to chodzi.

Ona by nie spudłowała.

Chciała ich wypłoszyć.

Trzask!

Następny strzał, bliżej i gdzieś na lewo od nich.

Tucker położył rękę na łapie partnera. Kain spiął się i po sekundzie się odprężył, no bo skoro jego partner zachowuje spokój, to on też.

Trzask! Trzask!

Pociski uderzały w ziemię coraz bliżej. Całkowita bezradność doprowadzała do szału. Strzały padały w nieregularnych odstępach, w coraz mniejszej odległości. Tucker zamknął oczy i skoncentrował się na oddychaniu. Jego przetrwanie zależało od ślepego trafu: przypadkowe naciśnięcie spustu, drgnienie ręki pilota na dźwigni skoku ogólnego, kapryśny podmuch wiatru...

Trzask!

Ten strzał padł po prawej stronie.

Felice w końcu przeleciała nad nimi.

Nie chcąc kusić losu, Tucker czekał ze wstrzymanym oddechem, aż padł następny strzał – znowu na prawo od nich, tyle że dalej.

Po kolejnych dręczących minutach śmigłowiec skręcił i łoskot wirników powoli ucichł.

Bojąc się, że wróci, Tucker leżał w lodowatej wodzie jeszcze przez dziesięć minut. Dygotał i szczął zębami. Zapadła noc. Niebo było czyste i usiane jasnymi gwiazdami.

Usiadł, podparł się na rękach i kolanach, poklepał Kaina po grzbiecie i razem dobrnęli do rzeki.

Ruszyli na południe, trzymając się brzegu tam, gdzie drzewa zapewniały osłonę, i oddalali się od niego, kiedy jej nie było.

Wciąż mieli się na baczności i nasłuchiwali, czy śmigłowiec nie wraca.

Tucker zastanawiał się nad tym, co się stało. Jak Felice ich znalazła? Pierwszym podejrzanym był Misza. Mógł ich sprzedać podczas krótkiego pobytu w siedzibie biura Dzika Wołga albo kiedy już płynęli – przecież korzystał z radia. A tak naprawdę wszyscy pozostali – Utkin, Ania, nawet Bukołow – mieli na łodzi dostęp do radia. Każde z nich mogło z niego skorzystać w czasie postoju. Wzdrygnął się na myśl o tym, ale musiał wziąć pod rozwagę możliwość, że któryś z jego towarzyszy jest zdrajcą.

To paranoja! Każdy był i nie był podejrzany. Ale prawda była taka, że wyłącznie on i Ruth Harper znali końcówkę ich planu ewakuacji. Wszyscy inni wiedzieli tylko tyle, że celem podróży jest Morze Kaspijskie.

A druga prawda była taka, że jeśli Felice zechce ponownie urządzić zasadzkę, będzie musiała porządnie nad tym popracować.

Godzina 22.37

Stojąc na skraju zagajnika i spoglądając nad oświetloną przez gwiazdy szeroką łąką, Tucker wypatrył na brzegu Wołgi obity deskami budynek wielkości hangaru lotniczego. Pamiętał ostatnie słowa Miszy:

„Fabryka konserw! Sześć i pół kilometra stąd! Będę tam na ciebie czekał!”

– Co sądzisz? – szepnął do Kaina. – Według ciebie wygląda to na fabrykę konserw?

Jego partner tylko na niego patrzył.

Tucker skinął głową.

– Tak, ja też.

Podchodzili ostrożnie, szli kilkaset metrów na zachód, zataczając łuk, tak by osłaniały ich drzewa. Dotarli do wąskiego

kanalu prowadzącego od rzeki do zabudowań. O tej porze roku na dnie pomiędzy jego rozkruszającymi się betonowymi brzegami było niewiele wody. Tucker zeskoczył i stąpając po kawałkach betonu i kamieniach, doszedł do fabryki konserw.

Z zardzewiałego dźwigu nad kanałem wisiała lina z hakiem, jak żyłka z wędki olbrzyma. W powietrzu unosił się lekki zapach gnijących ryb.

Tucker doszedł do kamiennych stopni i ruszył na górę. Wspiął się po nich, przykucnął u szczytu i rozejrzał się. Panowała absolutna cisza. Wyczulone zmysły Kaina nie rejestrowały żadnego zagrożenia.

Podniósł kilka kamyków i rzucił jednym w ścianę fabryki. Kamyk zagrzechotał o drewno. Wciąż panowała cisza i spokój.

Czy Misza tu dotarł? A może przypłynęli i odpłynęli?

Tucker cisnął następny kamyk, potem trzeci.

W końcu usłyszał szuranie dobiegające z wnętrza budynku – kroki na betonie. Kain natychmiast się sprężył. Tucker już miał wysłać partnera w ciemność na zwiad, ale drzwi się uchyliły i ktoś wyjrzał.

– Tucker? – zapytał Misza.

Nie odpowiedział.

– To ty?

Podejmując ryzyko, Tucker wyprostował się i ruszył przed siebie. Kain szedł za nim na sztywnych łapach, wyczuwając jego niepokój.

– Dobrze cię widzieć, przyjacielu – powiedział Misza, odetchnąwszy z ulgą.

Mimo serdecznego powitania Tucker słyszał napięcie w głosie Rosjanina. Nic dziwnego, zważywszy, że Misza o włos uniknął upieczenia żywcem we własnej łodzi podwodnej, tłumaczył sobie Tucker, ale zachował czujność, niepewny, na ile może ufać temu człowiekowi.

– Udało ci się – powiedział Misza, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

– Lekko przysmażony na skrajach, ale w porządku. – Tucker zajrzał do środka. Ciemna fabryka wydawała się pusta. – Pozostali czekają na łodzi?

– *Da*.

– Jak *Olga*?

– Wszystko w porządku. Zanurzyliśmy się przed wybuchem.

– Nie strzelali do was?

– Nie.

– Radio działa?

– Jasne. Zaraz, zaraz... – Misza pogroził mu palcem. – Rozumiem, przyjacielu, o co naprawdę pytasz. Zastanawiasz się, jak nas znaleźli, *da*? Myślisz, że mogłem was zdradzić.

Tucker wzruszył ramionami.

– Na moim miejscu byłbyś mniej podejrzliwy? – spytał.

– Pewnie nie. – Misza spojrzał mu prosto w oczy. – Ale niczego takiego nie zrobiłem. Gdybym wiedział, że ktoś zamierza rzucić bombę zapalającą na moją łódź, nie przyjąłbym twojej propozycji, żebym to ja pilotował *Olę*. Mam kilku pracowników, których szczególnie lubię, na przykład mojego leniwego szwagra. Ale wziąłem pieniądze i jestem. I poważnie traktuję umowy. Uścisnęliśmy sobie ręce.

Tucker mu uwierzył. Choć nie do końca... czas pokaże.

– Jak mam tego dowieść? – zapytał Misza.

– Pokaż, jak dobrym możesz być aktorem.

Rzeka Wołga, Rosja

16 marca, godzina 23.13 czasu miejscowego

Misza zacumował *Olgę* w zalanym ujściu kanału. Tylko kiosk wystawał z wody, zakamuflowany gałęziami ściętymi z pobliskich drzew.

Z Kainem przy nodze Tucker wszedł za Miszą do łodzi.

– Żyjesz! – zawołała Ania na jego widok.

Utkin i Bukołów, uśmiechnięci, energicznie uścisnęli mu rękę, mocno nią potrząsając z entuzjazmem, który wydawał się szczery.

– Jeśli skończyliście świętować, czas na rozmowę – warknął Misza.

Tucker spojrzał na niego zdziwiony.

– O czym?

– Okłamałeś mnie. Zapewniałeś, że będzie bezpiecznie, że nikt was nie ściga. Mam tego dość! Zawracam. Odstawię was do Wołgogradu. Nikomu o was nie powiem, ale już się w to nie bawię!

Tucker zrobił krok w jego stronę.

– Mieliśmy umowę.

– Wygasła.

Wyjął z kieszeni magnuma i wycelował w pierś Miszy.

– Nie! – krzyknęła Ania.

– Dowiesz nas tam, gdzie chcemy – powiedział Tucker.

– Możesz mnie zastrzelić. – Misza wzruszył ramionami. – Zrób to, a utkniesz tu na dobre. Na pustkowiu. Myślisz, że umiesz

sterować *Olgą*? Myślisz, że znasz Wołgę? Ugrzęzniesz w mule i zdechniesz!

Mężczyźni gniewnie mierzyli się wzrokiem przez dziesięć długich sekund, zanim Tucker opuścił i schował broń.

– Ten łajdak ma rację.

– Nie możemy wrócić do Wołgogradu – jęknęła Ania. – Tucker, powiedz mu!

– To obłąd – wtrącił Bukołów.

– To drobna komplikacja – sprostował Tucker z napięciem w głosie. – Zadzwoń i załatwię inny środek transportu, żeby wydostać się z Wołgogradu. – Następne słowa skierował do Miszy, pełnym groźby tonem mówiąc: – Jeśli ktoś czeka na nas w Wołgogradzie, pierwszą kulę wpakuję w twój łeb. Rozumiemy się?

– Tak – mruknął Misza i ruszył do kokpitu. – A teraz wszyscy siadać, ruszamy w drogę.

Gdy wyprowadził łódź w główny nurt rzeki, Tucker zebrał wszystkich na rufie.

– Jak mówiłem, to drobna komplikacja, nic więcej – zaczął ściszym głosem.

Bukołów jęknął.

– Nigdy nie opuszczę tego kraju żywy. Moje odkrycie umrze razem ze mną.

– Nie ma obawy – uspokoił go Tucker. – Na następnym przystanku skontaktuję się z moimi przyjaciółmi. A teraz spróbujcie się przespać. – Zerknął w stronę kokpitu. – Zamierzam nad nim popracować. Może mi się uda go nakłonić do zmiany zdania.

Kiedy pozostali, przybici i pokonani, usadowili się na ławie, poszedł na dziób i wcisnął się obok Miszy. Wyjąwszy pomarańczowy blask bijący z tablicy przyrządów, kokpit był pogrążony w ciemności. Za szybą płynęły ciemne wody Wołgi.

Tucker zostawił Kaina dwa metry za sobą, na drodze każdego, kto chciałby przyjść do kokpitu.

– Jak mi poszło? – zapytał szeptem Misza.

– Przedstawienie warte nagrody – odparł Tucker. – Jesteś pewien, że nie zauważą, że nie płyniemy na północ w kierunku Wołgogradu?

Misza wskazał okno, za którym kotłowała się Wołga.

– Niby skąd mogliby wiedzieć?

Prawda. Nawet on był zdezorientowany. Pochylił się, patrząc na zewnątrz.

– Jak sterujesz w tym mule, zwłaszcza w nocy?

Misza sięgnął nad głowę, wyjął ze schowka arkusz laminowanego papieru i podał go Tuckerowi.

– Mapa nawigacyjna Wołgi. Widzisz czerwone kwadraty wzdłuż brzegu? To były nasze przystanki, chociaż zwykle stosuję nawigację zaliczeniową. Większość Wołgi mam tutaj. – Postukał się po głowie. – Jak kobiece ciało w ciemności, znam każdą krzywiznę i niedoskonałość. Ale kiedy jestem półtora kilometra od miejsca postoju, zawsze wychodzę na powierzchnię, żeby wysunąć antenę i ustalić pozycję GPS.

– Jak sądzisz, ile czasu zajmie ci droga do Astrachania? – Cel ich podróży leżał w delcie Wołgi, gdzie rzeka wpada do Morza Kaspijskiego.

– Powinniśmy dotrzeć do miasta jutro po południu, ale przypuszczam, że chciałbyś do nocy pozostać w zanurzeniu.

– Zgadza się.

– W takim razie masz odpowiedź.

– I ograniczymy kolejne przystanki do nie więcej niż pięciu minut.

– W porządku. Ale rano będę musiał zacumować na ponadpółgodzinne ładowanie akumulatorów.

– Rozumiem – powiedział Tucker i zamilkł. – Głupio mi o to prosić, Misza – odezwał się po chwili – ale mam jeszcze jedną prośbę. Dopóki nie dotrzemy do celu, nie korzystaj z radia.

Rosjanin wzruszył ramionami, najwyraźniej rozumiejąc tę konieczność. Odkręcił mikrofon i podał go z uśmiechem.

– Przez dwadzieścia cztery godziny będę wolny od utyskiwań żony.

17 marca, godzina 6.04

Nazajutrz rano znowu rozpoczęło się przedstawienie.

Przez siedem godzin płynęli na południe tak długo, jak tylko było to możliwe, bez zatrzymania się w celu skorzystania z toalety. Potem Misza znalazł spokojną zatoczkę i zacumował.

Tucker polecił wszystkim wysiąść, łącznie z Miszą, który dał kolejny pokaz oburzenia.

– Uszkodziłeś radio. Jak sądzisz, co mógłbym tu zrobić sam przeciwko wam wszystkim?

– Na przykład odpłynąć i nas zostawić. Ruszaj na brzeg.

– No dobrze, dobrze...

Wysiedli. Tu nie było przystani, więc Misza wprowadził łódź na płytką ławicę. Wszyscy narzekali, zmuszeni w zimnie przed wschodem słońca przejść przez głęboką do połowy łydki wodę, żeby poszukać odosobnionych miejsc w krzakach na brzegu.

Misza, który został ze stojącym na straży Tuckerem, szepnął:

– Czy ktoś z nich zna się na astronomii? – Wskazał kciukiem rozgwieżdżone niebo.

Tucker nie wziął tego pod uwagę. Nie wiedział, czy któreś z trójki jego towarzyszy ma jakieś pojęcie o astronawigacji, ale prawdopodobnie nie miało to znaczenia.

– Miej oko na wszystko – powiedział do Miszy i zaprowadził Kaina w ustronne miejsce. Kucając, zadzwonił do siedziby Sigmy.

Kiedy Harper się zgłosiła, szybko, wypowiadając zaledwie kilka słów, przekazał prośbę:

– Dyskretne lotnisko w pobliżu Astrachania. Zadzwonię.

Rozłączył się i wyprostował. Odegrał dramatyczną pantomimę szukania zasięgu, podkreśloną przez stłumione przekleństwa. Nagle Kain cicho warknął.

Tucker się odwrócił i zobaczył Utkina stojącego w krzakach trzy metry dalej.

– Problem z telefonem? – zapytał rudzielec, zapinając rozporek.

– Zakłócenia satelitarne.

Utkin wyszedł z cienia.

– Chyba słyszałem, jak do kogoś mówiłeś.

– Do Kaina. Stare przyzwyczajenie. Jak się trzymasz?

– Jestem zmęczony. Bardzo zmęczony. Chyba nie nadaję się na poszukiwacza przygód. – Rosjanin uśmiechnął się, ale ze znużeniem. Takiej miny Tucker jeszcze u niego nie widział.

Utkin wepchnął ręce w kieszenie spodni i zrobił kolejny krok w jego stronę.

Kain ustawił się pomiędzy nimi.

Tucker stwierdził, że jego palce jakby same zaciskają się na chwycie magnuma.

Utkin dostrzegł napięcie.

– Po tym ataku podejrzewasz nas wszystkich, prawda? – spytał.

– To wchodzi w zakres moich obowiązków.

– Hm...

– Gdybyś był na moim miejscu, kogo byś podejrzewał?

– Każdego z nas – odparł Utkin.

– Łącznie z tobą?

– Łącznie ze mną.

– A co z Bukołowem i Anią? Są twoimi przyjaciółmi, prawda?

Młody człowiek wbił wzrok w ziemię i kopnął kamień.

– Może kiedyś tak myślałem. Zmieniłem zdanie. Byłem naiwny, a może to były tylko pobożne życzenia. Jak mogłem się spodziewać, że uznają syna biednego rybaka za równego sobie? – Odwrócił się i odszedł.

Tucker odprowadził go wzrokiem.

Cholera! Co tu się dzieje?

Godzina 10.46

Słońce późnego poranka świeciło na zaciszną zatoczkę, gdzie na płyciźnie leżała łódź podwodna. Idealne miejsce do

podładowania akumulatorów.

Rozłożony parasol solarny chwycił fotony energii. Tucker stał na brzegu ze współpasażerami.

– Mamy pół godziny – oznajmił. – Wykorzystajcie ten czas jak najlepiej. Niedługo będziemy w Wołgogradzie i powinniśmy być gotowi na każdą ewentualność.

Ruszyli ku kępie nagich wierzb. Siedzące na gałęziach wrony głośno się na nich skarżyły.

– ZWIAD, PILNUJ STADA – wydał komendę Tucker, przyklękawszy obok partnera.

Przez całą przerwę w podróży Kain miał dyskretnie okrążyć teren, pilnując, żeby żadna z jego owieczek się nie zabłąkała ani nie podeszła za blisko. Gdyby wyniknął problem, pies miał szczeknąć ostrzegawczo.

Tucker niepostrzeżenie wrócił na pokład *Olgi* i zabrał się do przeszukiwania bagaży swoich towarzyszy. Musiał być pewien, że w drodze do Astrachania nikt nie zdradzi ich pozycji.

Przetrzęsął torby, sprawdził ubrania, przewertował notesy, wszystko. Doświadczonymi palcami zbadał szwy spodni i koszul, nawet podeszwy butów. Posunął się do przejrzania rzeczy osobistych, takich jak romansidło Ani czy pudełka z kartami do gry Utkina – okazało się, że jedno jest puste, drugie pełne podniszczonych kart. Zajrzał nawet do kapciucha Bukołowa. Robił to z poczuciem winy, jakby gwałcił ich prywatność.

Niczego nie znalazł.

Na koniec wcisnął się do kokpitu i poddał dokładnym oględzinom tablicę przyrządów; przeciągnął po niej dłońmi, ale nie znalazł niczego nietypowego.

Był skołowany.

Pozostała tylko jedna możliwość. Ktoś musiał użyć radia łodzi, żeby przekazać ich pozycję, co pozwoliło urządzić ostatnią zasadzkę. Bo jak inaczej mogła zostać wysłana wiadomość? Cieszył się, że poprosił Miszę o rozmontowanie radia, zanim ruszyli do Astrachania. Z niesprawnym radiem prześladowcy nie będą znać ich pozycji.

Spojrzał na zegarek, świadom, że czas ucieka. Skończył poszukiwania, wyszedł przez kiosk i wrócił na brzeg. Zagwizdał, co spowodowało kolejny wybuch krakania wron, i pomachał ręką, nakazując wszystkim powrót na łódź. Gdy weszli na pokład, Misza rozmontował i schował parasol.

Tucker kazał Kainowi wskoczyć do łodzi, a sam poszedł do Miszy.

– Daj mi minutę – poprosił i odszedł o kilka metrów od brzegu. Wyjął telefon i zadzwonił do Sigmy.

Harper zgłosiła się natychmiast.

– Zostawiłeś mi cholernie tajemniczą wiadomość – powiedziała. – Strasznie się zdenerwowałam.

– Nie wiem, czy wiesz, ale nie jestem na wakacjach.

– Ja też nie. Zakładam, że wbrew temu, co zaplanowano, nie chcesz udać się prosto do miejsca spotkania?

Tucker opowiedział o ataku śmigłowca.

– Nie dam sobie głowy uciąć, ale przypuszczam, że Felice pozwoliła łodzi odpłynąć. Jej atak był skupiony wyłącznie na mnie i Kainie.

– Gdyby cię wyeliminowała, z innymi poszłoby jak po maśle. Poza tym najważniejszy jest Bukołów. Nie podejmą ryzyka, które naraziłoby go na śmierć.

– Odkąd zająłem się radiem, panuje cisza, ale nie chcę kusić losu. Lepiej zejść na ląd w chwili, gdy tylko zobaczymy Astrachań.

– Zgadzam się. Znalazłam lotnisko, które odpowiada naszym potrzebom. – Podała współrzędne. – Należy do firmy zajmującej się rybołówstwem. Regularnie przewożą klientów na południe na deltę Wołgi. Wystarczy mała zachęta, a pilot zabierze was do nowego miejsca spotkania.

– Czyli gdzie?

– Na wyspę. Tuż za wodami terytorialnymi Rosji albo czymś, co uchodzi za granicę na Morzu Kaspijskim.

– Kto się tam z nami spotka?

- Ludzie godni zaufania. Osobiście pracowałam z nimi w terenie. Kiedy do nich dotrzesz, twoje zmartwienia się skończą.
- Słowa kobiety, która opisała tę misję jako proste eskortowanie.

Astrachań, Rosja

17 marca, godzina 15.33 czasu miejscowego

Zgodnie z obietnicą, Misza po południu dotarł na przedmieścia Astrachania. Gdy łódź nadal była w zanurzeniu, powiedział o tym Tuckerowi, który się wcisnął do kokpitu. Razem przeanalizowali mapę.

Sprawdzając współrzędne, Tucker postukał w miejsce, gdzie główna odnoga Wołgi przepływała przez Astrachań.

– Tu się zatrzymamy? – zapytał Misza.

– Tu skręcisz – sprostował Tucker. – Zawołaj mnie, jak przepłyniemy jeszcze pięć kilometrów.

Zajęło to czterdzieści minut.

Tucker wrócił do kokpitu i wskazał miejsce leżące półtora kilometra dalej na zachód.

– Ależ jesteś ostrożny – skomentował Misza. – Widzę małą zatoczkę. To nasz cel podróży?

– Nie. Zawołaj mnie, kiedy tam dotrzesz.

Misza wezwał go po kolejnych dwudziestu minutach.

Tucker z uśmiechem położył palec na zatoczce wcześniej wspomnianej przez Miszę.

– To nasz cel.

– Ale mówiłeś... aha, rozumiem. Wciąż mi nie ufasz.

– To świeża zmiana planu. Nie bierz tego do siebie. Ile czasu zostało do zmroku?

– Dwie godziny. Wprowadzę łódź pod krzaki na brzegu. To powinno zapewnić nam osłonę, kiedy będziemy czekać.

Były to najdłuższe dwie godziny w życiu Tuckera. Jego towarzysze próbowali go wypytywać, co się dzieje, ale udzielał tylko enigmatycznych zapewnień, pozwalając im wierzyć, że łódź cumuje w jakimś miejscu niedaleko Wołgogradu.

W końcu polecił, żeby wszyscy wzięli swoje rzeczy i wysiedli. Zebrał ich w kępie krzaków na brzegu zatoczki.

Przez niskie chmury, które zasnuwały ciemne niebo, przezierająca blada tarcza księżyca. Panowała absolutna cisza.

Po drugiej stronie zatoczki, kilkaset metrów dalej, stały nad wodą trzy chaty. Obok drzwi jednej z nich paliło się samotne światło. Przy pomoście kołysały się dwa hydroplany.

Ich transport.

– To nie Wołgograd – szepnął Utkin, krzywiąc się. – Powietrze pachnie za czysto.

Tucker zignorował go i podszedł do Miszy. Wymienili uścisk dłoni.

– Tutaj się pożegnamy – powiedział Misza. Puścił rękę Amerykanina, ale nie cofnął otwartej dłoni.

Tucker zrozumiał i rozciągnął usta w uśmiechu. Wyjął plik rubli z kieszeni i odliczył tyle, ile był winien pilotowi, a potem dodał dziesięć tysięcy.

– Premia za ryzyko.

– Wiedziałem, przyjacielu, że polubiłem cię nie bez powodu.

– Dasz radę bezpiecznie wrócić do Wołgogradu?

– Tak, chyba tak. I mam nadzieję, że tobie też się uda, bez względu na to, dokąd zmierzasz.

– Ja też mam taką nadzieję.

– Skoro dostałem premię, zaczekam tutaj, dopóki nie odejdziecie, tak na wypadek, gdybyś mnie znowu potrzebował.

– Dziękuję, Misza. Jeśli więcej się nie zobaczymy, życzę bezpiecznej żeglugi.

Z Tuckerem na czele i Kainem na tyłach ruszyli brzegiem zatoki, trzymając się drzew i wyższych krzaków.

Gdy znaleźli się blisko chat, Tucker kazał im się zatrzymać, przykląkł przy Kainie i wskazał do przodu.

– ZWIAD I POWRÓT.

Pies przepadł do ziemi i zniknął w mroku.

Minęło kilka minut. Z ciemności za nimi napłynęło szeptane wołanie:

– Tucker!

To był Misza.

Z sercem zamierającym ze strachu Tucker kazał wszystkim się schować.

– O co chodzi?

– O to.

Misza podał mu czarny plastikowy przedmiot wielkości kostki mydła. Z boków zwisały dwa izolowane przewody zakończone krokodylkami.

– Sprzątałem po waszym wyjściu – wyjaśnił Misza. – Robiłem kontrolę systemu, czekając zgodnie z obietnicą. Znalazłem to pod moim fotelem w kokpicie. Zaciski były przypięte do przewodów anteny.

– Generator sygnału – mruknął Tucker, czując kamień ciężący mu w brzuchu. – Wysyła impulsy w regularnych odstępach czasu.

– Jak radiolatarnia.

– Tak. – Lodowate palce rozpaczy zaciskały się wokół jego serca. – W ten sposób nas śledzili.

Pamiętał, jak Misza mówił, że co jakiś czas wychodzi na powierzchnię, żeby przez GPS ustalić pozycję, zwłaszcza gdy zbliżali się do przystanków. Za każdym razem, gdy to robił, generator podawał ich położenie, dzięki czemu wrogowie rozpracowali ich trasę i mieli mnóstwo czasu na urządzenie zasadzki.

– Kto go tam umieścił? – zapytał Misza.

Tucker spojrzał na swoich towarzyszy ukrytych przy chatach.

No właśnie. Kto?

Przemyślał wszystko, co wiedział – i nagle jego mięśnie się napięły.

To może być...

Misza spostrzegł jego reakcję.

– Wiesz, kim jest zdrajca?

– Chyba tak. – Tucker schował generator sygnału do kieszeni. – Proponuję, byś natychmiast odpłynął, żeby się od nas oddalić.

– Rozumiem. Powodzenia, przyjacielu.

Tucker zawrócił do trójki Rosjan siedzących w ciemności. Kain już na niego czekał. Postawa psa, nachylenie uszu i łagodność oczu wskazywały, że wszystko jest w porządku.

Akurat!

Kucnął i zarzucił rękę na kark partnera, starając się zachować zimną krew.

Co teraz?

Ile informacji już zostało przekazanych generałowi Charzinowi?

Od chwili, kiedy się tu wynurzyli, wróg wie, gdzie są. Teraz Felice z pewnością już była w drodze.

Nie miał czasu, żeby jak należy przesłuchać i złamać zdrajcę. To musi poczekać. Na razie, ukrywając swoją wiedzę, wciąż miał lekką przewagę.

Spojrzał na hydroplany. Wrogowie nie chcą zabić Bukołowa, a z ich agentem siedzącym obok profesora na pokładzie prawdopodobieństwo zestrzelenia samolotu w powietrzu będzie jeszcze mniejsze. W ten sposób obaj mogą służyć jako niczego nieświadome ludzkie tarcze, zwiększając szanse pozostałych na bezpieczne dotarcie do miejsca spotkania. Ale najpierw wszyscy muszą się znaleźć w powietrzu.

Tucker zamierzał mieć zdrajcę na oku, na oku bystrzejszym niż jego własne. Przysunął się do Kaina, po czym dyskretnie dotknął palcem kącika swojego oka.

Obserwuj cel.

Dopóki Tucker nie odwoła rozkazu, jego partner będzie pilnie strzegł celu – wypatrując agresywnych ruchów czy wrogich poczynań, osądzając ton głosu, nasłuchując szczęku kurka czy szmeru ostrza wysuwanego z pochwy. Było to trudne zadanie,

ale Tucker miał zaufanie do instynktu partnera. Jeśli cel wykona niewłaściwy ruch, Kain natychmiast go zaatakuje.

– O co chodziło Miszy? – zapytała szeptem Ania, przyciągając jego uwagę.

– Chciał więcej pieniędzy. Za milczenie.

– Zapłaciłeś mu? – zapytał Bukołów w osłupieniu.

– To było łatwiejsze niż zabicie go. Poza tym i tak zaraz odlatujemy.

Tucker się podniósł i gestem kazał im zostać w ukryciu. Podszedł do chaty, w której paliło się światło, i zapukał do drzwi.

Otworzyły się po dłuższej chwili. W prostokącie żółtego blasku stanęła młoda kobieta w drelichowym kombinezonie. Miała ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu i czarne włosy ścięte na chłopaka.

Zacisnął dłoń na magnumie ukrytym w kieszeni, przygotowując się do odparcia ataku.

– Ty jesteś Bartok? – zapytała zaskakująco śmiało jak na tak niską osobę.

Bartok?

Przez chwilę był skonsternowany, dopóki sobie nie przypomniał, że Harper podała taki pseudonim.

– Tak, jestem Bartok.

– A ja Elena. – Nie tracąc czasu, od razu przeszła do interesów. – Ilu z tobą leci? Cena wynosi tysiąc rubli za pasażera.

– Cztery osoby i pies.

– Pies kosztuje więcej.

– Dlaczego?

– Sra... Muszę sprzątać.

Nie miał zamiaru dyskutować, nie z tą małą zadziorną dziewczyną. Można powiedzieć, że budziła w nim lęk.

– Dobrze.

– Idź po pozostałych – poleciała mu. – Samolot jest przygotowany. Jesteśmy gotowi do startu – dodała i pomaszerowała na przystań.

Tucker ruchem ręki przywołał pozostałych i pospieszył za Kainem. Pilotka zatrzymała się przy jednym z samolotów, z nogą na pływak, otworzyła drzwi i opuściła je jak trap na pomost.

Pomalowany na lazurowo dwusilnikowy hydroplan miał około dwudziestu metrów długości, skrzydła łamane do dołu i owalne stabilizatory na ogonie. Kadłub był pękaty, z cebulastą kabiną pilota.

– Nie rozpoznaję modelu – powiedział do niej.

– To Beriew B-sześć – wyjaśniła z dumą, kładąc ręce na biodrach. – Wasze NATO nazwało go Madge. Skonstruowany w roku śmierci Stalina.

– To jakieś sześćdziesiąt lat temu – zauważyła z niepokojem Ania.

– Pięćdziesiąt dziewięć – sprecyzowała Elena, wyraźnie urażona. – Jest stary, ale jary. Dobrze utrzymany. Na pokład.

Nikt nie ośmielił się nie posłuchać.

Kiedy wszyscy znaleźli się w hydroplanie, Elena zdjęła cumy z knag, z głośnym trzaśnięciem zamknęła drzwi i pospieszyła do kokpitu.

– Siadać! – krzyknęła. – Zapiąć pasy!

Była to cała odprawa przed startem.

Bukołów i Ania przypięli się do ławki po prawej stronie, a Utkin i Tucker po lewej. Kain skulił się pomiędzy stopami partnera, ani na chwilę nie spuszczał oka z celu.

Samolot odbił od pomostu.

– Tucker, zdaje się, że masz skłonności do korzystania z nieszablonowych środków transportu! – zawołał Bukołów.

– To jedno z moich licznych dziwactw.

– W takim razie zakładam, że do Stanów polecimy zeppelinem.

– Niech to będzie niespodzianką.

Z kabiny dobiegła seria pisków i buczenie, wraz z krótkim przekleństwem Eleny, a potem trzask, gdy mocno uderzyła w coś pięścią. Nagle silniki z rykiem zbudziły się do życia i kadłub zadygotał.

– No to ruszamy! – zawołała Elena.

Hydroplan wypłynął z zatoczki na otwarte wody i chwilę później wznieśli się w powietrze.

Godzina 19.44

– Bartok! – wrzasnęła Elena, gdy osiągnęli wysokość rejsową. – Chodź tutaj!

Tucker rozpiął pas, przestąpił nad Kainem i poszedł do kokpitu. Przykląkł obok jej fotela. Miejsce drugiego pilota było wolne. Za owiewką widział tylko ciemność.

– Powiedz mi, dokąd mam lecieć. Ten ktoś, kto do mnie dzwonił, powiedział, że mam obrać kurs na południowy wschód, a dokładne miejsce docelowe podasz mi po starcie.

Podał współrzędne.

Zapisała je na podkładce, po czym coś szybko obliczyła.

– Piętnaście minut – rzuciła. – Wiesz, czego szukamy? Jakiegoś sygnału, *da*? Morze Kaspijskie jest duże, szczególnie w nocy.

– Kiedy będziemy na miejscu, dam ci znać.

Wrócił do kabiny. Ryk silników ścichł do niskiego pomruku. Poza zdarzającymi się od czasu do czasu turbulencjami lot przebiegał gładko.

Ten moment jest równie dobry jak każdy inny, pomyślał Tucker i stanął pomiędzy ławkami.

– Czas na rodzinne spotkanie.

– Co takiego? – zapytał Bukołów.

Tucker przeszedł do rzeczy.

– Generał Charzin czekał na nas na każdym etapie podróży. Do tej pory nie miałem pojęcia, jak mógł to robić.

Umilkł i przyjrzał im się po kolei.

Ania poruszyła się niespokojnie.

– Do czego właściwie zmierzasz? – spytała.

Wyjął z kieszeni generator sygnału i uniósł, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

– Co to takiego? – zapytał Bukołów, pochylając się, żeby lepiej widzieć.

Tucker zwrócił się do Utkina:

– Zechcesz wyjaśnić?

Młody człowiek wzruszył ramionami i pokręcił głową, nie mówiąc ani słowa.

– To generator sygnału, urządzenie naprowadzające – powiedział Tucker. – Było przymocowane do anteny *Olgi*. Od czasu opuszczenia Wołgogradu regularnie wysyłało sygnał, dopóki nie uszkodziłem go kilka minut temu. Sygnał, którego nasłuchiwał Charzin.

– Myślisz, że ktoś z nas je tam umieścił? – zapytał Utkin.

– Owszem.

– To mógł być Misza – zasugerowała Ania. – Wiedzialaby, jak je zamontować. To jego łódź.

– Nie, Misza mi to przyniósł.

Ania zrobiła wielkie oczy.

– Przerażasz mnie – rzuciła. – Co jeszcze wiesz?

– Czy pod siedzeniem leży twoja torba? – zapytał Tucker Utkina.

– Tak.

– Wyciągnij ją.

– Dobrze... ale po co?

– Wyciągnij.

Młody człowiek to zrobił.

– Pokaż mi swoje karty do gry.

– Co? Nie rozumiem, dlaczego...

– Pokaż.

Słyszając twardą nutę w tonie partnera, Kain wstał i wbił spojrzenie w Utkina.

– Tucker, przyjacielu, o co chodzi? Nie rozumiem, ale dobrze, pokażę.

Rudzielec rozpiął torbę i zaczął w niej grzebać. Po kilku sekundach zamarł, spojrzął na Tuckera i wyjął dwa pudełka do kart. Jedno puste, jedno pełne. Podniósł to puste.

– Ale to... to nie moje – wyjąkał.

Tucker wziął pudełko, wsunął do niego generator i zamknął pokrywkę. Urządzenie pasowało idealnie. Rano, w czasie przetrząsania rzeczy, znalazł puste pudełko w torbie asystenta profesora.

Utkin wciąż kręcił głową.

– Nie, to nie moje.

Ania zasłoniła ręką usta.

– To prawda? – zapytał Bukołów. – Tucker, to prawda?

– Jego spytaj.

Zszokowany profesor pobladł.

– Utkin... spędziliśmy razem tyle czasu, a ty zrobiłeś coś takiego?! Dlaczego? Czy ma to związek z twoimi dawnymi problemami z hazardem? Myślałem, że zerwałeś z nałogiem.

Rudzielec poczerwieniał ze wstydu.

– Nie! To jakaś pomyłka! – zwrócił się do Tuckera, patrząc na niego bezradnie, z rozpaczą w oczach. – Co ty ze mną zrobisz?

Zanim Tucker zdołał odpowiedzieć, Ania wybuchła:

– Nie zabijaj go, proszę. Popełnił błąd. Może ktoś go do tego zmusił. Pamiętaj, znam tych ludzi. Może go szantażowali. Czy nie mam racji, Utkin? Nie miałeś wyboru. On nie miał wyboru!

Tucker spojrzął na Bukołowa.

– Jak pan głosuje, profesorze?

Starszy pan pokręcił głową. Nie patrząc na asystenta, lekceważąco machnął ręką.

– Nie dbam o to. Tak czy inaczej, dla mnie jest martwy.

Słyszając te słowa, Utkin się załamał. Skulił się, dotykając głową kolan, i zaczął szlochać.

Tucker mu współczuł, ale zachował obojętny wyraz twarzy. Przez niego o mało nie stracili życia – i nadal mogli stracić. Felice już była w drodze.

Gnany strachem, poszedł do kokpitu, zostawiając Kaina, żeby pilnował Utkina.

– Możemy zatoczyć koło? – zapytał Elenę. – Sprawdzić, co mamy za ogonem?

Spojrzała na niego spod uniesionych brwi.

– Myślisz, że ktoś nas śledzi?

– Możesz to zrobić?

Elena westchnęła.

– Dwieście rubli ekstra za paliwo.

– Stoi.

– W porządku. Trzymaj się.

Przekręciła wolant i hydroplan łagodnie się przechylił.

Po dziesięciu minutach leniwego krążenia nad deltą Wołgi Elena powiedziała:

– Nikogo nie widzę. W ciemności łatwo zauważyć. Ale będę obserwować niebo.

– Ja też. – Tucker zajął miejsce drugiego pilota.

W zielonym blasku przyrządów przy dolnej tablicy dostrzegł pomiędzy fotelami ciemny kształt. Był to pistolet maszynowy, przypięty do tablicy rzepami. Miał drewnianą kolbę i krótką lufę. Tuż przed spustem znajdował się duży magazynek bębnowy.

– To stary rozpylacz Thompson?

– Pistolet maszynowy Szpagina. Pepesza – wyjaśniła Elena. – Z czasów wielkiej wojny ojczyźnianej. Należał do mojego ojca. Amerykańscy gangsterzy ukradli projekt.

– Jesteś interesującą kobietą, Eleno.

– *Da*, wiem – odparła, śmiejąc się z pewnością siebie. – Ale nie rób sobie nadziei. Mam chłopaka. No dobra, trzech chłopaków. Ale żaden z nich nie wie o pozostałych, więc wszystko w porządku.

Gdy zbliżali się do miejsca wyznaczonego przez współrzędne, niebo wokół nich było ciemne i ciche.

– Co teraz, Bartok? – zapytała Elena.

– Wprost przed nami leży wyspa. Mamy się spotkać z kimś po wschodniej stronie, gdzie jest wąska plaża. Kiedy wylądujesz,

podpłyniesz jak najbliżej, my wysiądziemy i pójdziemy na brzeg, a ty będziesz wolna.

– Jak sobie życzysz. Teraz lepiej zapnijcie pasy. Wodowanie za dwie minuty.

Przekazał wiadomość pozostałym i sam przypiął się do fotela.

– Zaczynamy schodzenie – powiedział.

Dziób samolotu pochylił się ku ciemnej wodzie.

Podczas gdy opadali, Elena przygotowywała się do wodowania: pstrykała przełącznikami, sprawdzała wskazania wysokościomierza, przesunęła manetkę przepustnicy. W końcu samolot wyrównał, pędząc nad wodą, aż pływaki zetknęły się z powierzchnią. Beriew lekko zadygotał, podskoczył i opadł. Szybko wytracał prędkość, płynnie sunąc po wodzie.

Tucker sprawdził, która godzina; zjawili się dwadzieścia minut przed wyznaczonym czasem.

– Tu jest bardzo płytko. – Elena manewrowała, kierując samolot ku brzegom wyspy.

– Powtarzam, podejdź jak możesz najbliżej. – Odpiął pasy i wstał. – Dzięki za przewiezienie. Ja...

Nad ramieniem Eleny, za bocznym oknem, znikąd pojawił się ciemny kształt. Zdezorientowany Tucker pomyślał, że to skała albo wybrzuszenie ławicy.

W powietrzu błysnęły światła nawigacyjne i wtedy rozpoznał kształt.

Śmigłowiec.

– Eleno... schyl się!

– Co...?

Gdy odwróciła głowę w jego stronę, jej czoło zniknęło w chmurze czerwonej mgły.

Morze Kaspijskie

17 marca, godzina 20.47 czasu miejscowego

Tucker padł na kolana, potem na brzuch. Poczuł ciepłą wilgoć ściekającą mu po twarzy i starł ją ręką.

Krew.

Odwrócił głowę i ryknął przez drzwi kabiny:

– Wszyscy padnij!

Kain ruszył w jego stronę, ale Tucker uniósł rękę i partner się zatrzymał.

– Co się dzieje? – krzyknęła przerażona Ania.

– Pilot nie żyje. Mamy towarzystwo.

Przekręcił się i podniósł na kolana za fotelem pilota. Wyciągnął szyję nad martwą Eleną i zerknął przez okno.

Śmigłowiec zniknął.

Sprytnie, Felice... zabij pilota, a samolot będzie uziemiony.

Teraz ona i jej ludzie będą mieli doskonałą zabawę, chwytając ich albo zabijając.

Spojrzał przez owiewkę. Sto metrów dalej gwiazdy przysłaniała czarna sylwetka wyspy. U jej stóp leżała łąka białego piasku w kształcie półksiężyca.

Nagle Tucker zorientował się, że beriew wciąż płynie w kierunku wyspy. Spojrzał na tablicę przyrządów, szukając... Jest! Podświetlony piktogram obracających się śmigieł jaśniał pomiędzy znakiem plusa i minusa.

Nietrudne do zinterpretowania.

Tucker sięgnął do bliźniaczych dźwigni przepustnicy i pchnął je do przodu. Silniki ryknęły i dziób lekko się uniósł, potem opadł, gdy hydroplan nabrał prędkości. Płynął ku wyspie, muskając wodę i szybko zmniejszając odległość od brzegu. Tucker wiedział, że w powietrzu nie zdołałby uciec bardziej zwrotnemu śmigłowcowi.

I wcale nie zamierzał tego robić.

Przekręcił wolant, kierując beriewa prosto w stronę plaży.

– Przygotować się na zderzenie! – krzyknął. – Kain, do mnie!

Pies skoczył ku niemu. Tucker lewą ręką objął jego pierś i trzymając go mocno, obrócił się, żeby przycisnąć się do grodzi. Zaparł się nogami o fotel pilota i mocno zacisnął powieki.

Za jego plecami kadłub zadrżał, gdy hydroplan wszedł na mieliznę. Rozległ się zgrzyt i chrzęst metalu o piasek.

Samolot gwałtownie skręcił w lewo, kiedy pływak o coś zahaczył – może o skałę – po czym stanął na dziobie i przekoziółkował.

Trzasnęło szkło.

W kabinie zabrzmiały krzyki.

Fotel pilota wyrwał się z umocowań i jakby płynął w powietrzu, zanim spadł na boczne okno nad głową Tuckera.

Beriew wpadł między drzewa i stracił jedno skrzydło, po czym zatrzymał się i spoczął na burcie, z drugim skrzydłem uniesionym ku niebu.

Tucker się rozejrzał. Z dwóch świateł awaryjnych w suficie sączył się posępny blask. Gałęzie drzewa wdarły się przez boczne okno. Nad swoim lewym ramieniem zobaczył przez owiewkę skrawek ciemnego nieba.

Sprawdził, czy nie został ranny, po czym przeciągnął rękami po bokach i łapach Kaina, na co partner polizał go pokrzepiająco po twarzy.

Myśl, rozkazał sobie w duchu Tucker.

Felice wciąż tam była, ale jej śmigłowiec nie miał pływaków, więc nie mógł się na wodzie. Tucker wyobraził sobie obrzeżoną

przez drzewa plażę. Nie sądził, że jest na tyle szeroka, żeby śmigłowiec mógł na niej wylądować.

Mamy czas, ale niewiele, przemknęło mu przez głowę.

Muszą przetrwać do przybycia samolotu wezwanego przez Harper.

– Nic wam nie jest?! – zawołał.

Cisza.

– Odpowiedzcie!

– Jestem... wiszę w powietrzu – odparł Bukołów słabym głosem. – Ania i ja. Zraniła się w rękę.

– Utkin!

– Jestem przypięty pod siedzeniem.

– Niech nikt się nie rusza. Już do was idę.

Tucker kazał Kainowi zostać i zaczął się gramolić w kierunku trójki Rosjan. Podciągnął się i usiadł na obramowaniu wejścia do kokpitu. Samolot leżał na boku, więc boczna część kadłuba stała się podłogą. Znalazł przypiętą do ściany latarkę. Wziął ją, zapalił i poświecił chwilę, żeby zorientować się w sytuacji.

Utkin był przypięty do ławki, która pękła i spadła razem z nim. Bukołów i Ania wisieli w powietrzu.

Nikt nie wydawał się poważnie ranny, tylko Ania przytulała rękę do piersi i miała oczy szkliste z bólu. Na razie nie mógł nic zrobić, żeby jej pomóc.

– Utkin, odepnij się i chodź do mnie.

Gdy młody Rosjanin to zrobił, Tucker zeskoczył z obramowania wejścia do kabiny i przygarbiony ruszył do ławki Bukołowa i Ani.

– Ty pierwsza. Naciśnij zdrową ręką klamrę pasa, a ja cię złapię. Nie jest tak wysoko, jak się wydaje.

Po chwili wahania rozpięła pasy i spadła. Chwycił ją i postawił na nogach.

To samo zrobił z Bukołowem.

Profesor wycelował palcem w twarz Utkina.

– Wszystko przez ciebie! O mało nas nie zabiłeś. Znowu.

– Awramie, nie... – próbowała go uspokoić Ania.

– Cisza! – warknął Tucker. – Mamy tylko pięć minut, zanim tamci znajdą sposób, żeby do nas dotrzeć. Musimy się stąd wydostać, najlepiej niepostrzeżenie.

– Jak? – zapytała Ania, krzywiąc się. Wyglądało na to, że albo zwichnęła, albo złamała nadgarstek.

– Okno w kokpicie jest wybite. Wyjdziemy tamtędy. – Odwrócił się i z powrotem usiadł na ościeżnicy wejścia do kokpitu. – Zabierzcie plecaki. Ania wychodzi pierwsza.

Pomógł wszystkim przedostać się do kokpitu i wygramolić przez wybite okno. Było ciasne i pełne gałęzi, ale wyszli prosto do gęstego lasu, bez konieczności przechodzenia przez otwartą plażę.

Utkin opuścił hydroplan ostatni.

– Mylisz się co do mnie. – Popatrzył na Tuckera. – Uwierz mi.

– Żałuję, że nie mogę.

Gdy Rosjanin odszedł, Tucker zwrócił się do partnera:

– Gotów, brachu?

Kain machnął ogonem i poczołgał się za innymi. Tucker ruszył za nimi, ale najpierw zabrał pepeszę Eleny. Zarzucił ją na ramię, patrząc na nieruchome ciało młodej kobiety.

– Wybacz...

Słowa zabrzmiały idiotycznie w jego uszach.

Przykro mi, że nie żyjesz. Przykro mi, że cię w to wciągnąłem.

Zawrzał w nim ślepy gniew. Wykorzystał go, żeby zapanować nad rodzącą się paniką i wyostrzyć zmysły.

Jesteś trupem, Felice.

Złożył w duchu przysięgę, że tego dopilnuje.

Za Elenę.

Odwrócił się, wypełził z hydroplanu i dołączył do pozostałych skulonych w ciemności lasu. Pobliska plaża lśniła jak wypolerowane srebro w poświacie przezierającego zza chmur księżyca.

– Co teraz? – zapytał Bukołów. – Nie widzę śmigłowca. Może uznali, że zginęliśmy.

– To możliwe, ale zależy im na panu, profesorze. Nie odejdą, nie poznawszy pańskiego losu.

– Co z twoimi ludźmi? – zapytała Ania.

Tucker spojrział na zegarek. Wciąż było kilka minut do umówionego czasu spotkania.

Sięgnął do plecaka i musnął palcami telefon satelitarny. Bez patrzenia wiedział, że został rozbity. Pokrywka pękła, wewnętrzne części leżały w kawałkach na dnie.

– Zostańcie tutaj – rozkazał i poczołgał się na skraj plaży. Omiótł wzrokiem niebo, jednocześnie wytężając słuch. Wydawało mu się, że słyszy dalekie dudnienie wirników, ale kiedy obrócił głowę, dźwięk ucichł.

Możliwości... Jakie są możliwości? – myślał gorączkowo.

Felice ich unieruchomiła.

Znowu usłyszał łoskot.

Zdecydowanie gdzieś tam był śmigłowiec, lecący bez świateł jak wcześniej, czyhający.

I nie tylko na nas, uprzytomnił sobie.

Nic dziwnego, że nie ruszył od razu na nich.

Tucker wrócił do swoich towarzyszy.

– Charzin wie, że tu jest miejsce spotkania, że nadciągają nasi. Felice na nich czeka, żeby ich zaskoczyć. Jak już się z nimi rozprawi, będzie mogła bez przeszkód zająć się nami.

– Co zrobimy? – zapytała Ania.

– Nie wiem...

Utkin nagle przemknął obok niego; jego obcasy wzbijały piasek, gdy wypadł z lasu na otwartą plażę.

W pierwszym odruchu Tucker poderwał pepeszę, ale się pohamował. Nie mógł strzelić nieuzbrojonemu człowiekowi w plecy.

– Stój! – zawołał. – Nie masz dokąd uciec!

Śmigłowiec wyskoczył znad czubów drzew na północnym przylądku wyspy. Błysnął reflektor, stożek światła opadł na plażę. Śmigłowiec leciał w ślad za nim, nabierając prędkości. Utkin

wpadł w krąg światła i zahamował z poślizgiem. Uniósł rękę w oślepiający blask i pomachał.

– Co ten idiota robi? – zapytał Bukołów. – Myśli, że go zabiorą?
– Ucieknie! – krzyknęła Ania.

Niemal muskając czuby drzew, śmigłowiec w kilka sekund dotarł nad plażę i zawisł nad rozbitym beriewem. Przez cały czas reflektor oświetlał Utkina.

Nagle w otwartych drzwiach kabiny błysnął ogień.

Seria z karabinu poderwała gejzery piasku i pocisk utkwiał w nodze młodego asystenta. Utkin przewrócił się, przez chwilę leżał oszołomiony, a potem, odpychając się zdrową nogą, zaczął się czołgać w kierunku drzew.

Tucker znów dostrzegł błysk z lufy w drzwiach śmigłowca.

Pocisk trafił w drugą nogę i Utkin padł płasko na piasek. Wymachiwał rękami, próbując się podnieść.

Wnosząc z precyzji strzałów, oddawała je Felice.

Tucker odgadł, co robi – zabawiała się z Utkinem z rozmyślnym okrucieństwem, żeby wyciągnąć go na otwartą przestrzeń. Nie miała pojęcia, że zdrajca został zdemaskowany, a może jej to nie obchodziło.

W głębi duszy wiedział, że ten młody człowiek sam zgotował sobie taki los. Mimo to buntował się przeciwko takiej brutalności.

Poczuł pyknięcie w uszach i pęd gorącego powietrza... wrzaski rangerów wypełniły mu głowę... zobaczył kuśtykającego psa, zakrwawionego, cierpiącego...

Nie, dość! Nigdy więcej...

Wyskoczył spod osłony, przebiegł obok wraku hydroplanu i popędził przez piasek. Biegł, zmniejszając odległość, aż znalazł się dwadzieścia metrów od śmigłowca. Upadł na kolano, poderwał pepeszę i wycelował.

Oddał serię trzech strzałów. Pistolet podskoczył mu w rękach. Pociski poszły z dość dużym rozrzutem. Mocniej przycisnął kolbę do ramienia i znowu puścił serię, pewnie trzymając broń. Trafił w ogon.

Buchnęły kłęby dymu.

Śmigłowiec obrócił się wokół osi i Tucker zobaczył samotną postać stojącą w otwartych drzwiach. Choć twarz miała ukrytą pod szalikiem, wiedział, że to Felice.

Otworzył ogień, strzelając od ogona w stronę dziobu.

Felice zniknęła z pola widzenia.

Nagle śmigłowiec ostro skręcił w lewo, nad morze, i zwiększając prędkość, oddalał się, wlokąc za sobą oleistą smugę dymu.

Zaślepiiony wściekłością Tucker strzelał, dopóki cel nie zniknął w mroku. Wiedział, że poważnie uszkodzona maszyna nieprędko wróci.

Podbiegł do Utkina, padł obok niego na kolana.

W czasie strzelaniny młody człowiek przekręcił się na plecy. Lewe udo miał czarne od krwi. Przy prawej nodze na piasku szybko rosła ciemna szkarłatna plama, świadcząca o uszkodzeniu tętnicy.

Tucker przycisnął dłonie do rany.

Utkin głośno jęknął. Uniósł rękę, żeby dotknąć gorącej lufy pistoletu maszynowego.

– Wiedziałem, że możesz to zrobić...

– Cicho. Leż spokojnie.

– Ktoś... ktoś musiał wywabić tę sukę, zanim urządzi zasadzkę na twoich przyjaciół...

Młody Rosjanin spojrzał mu w oczy.

– Tucker... wybacz... przyjacielu... – szepnął.

I wyzionął ducha.

Godzina 21.02

Tucker siedział na piasku, rękami obejmując kolana. Kain, wyczuwając rozpacz partnera, mocno przytulał się do jego boku. Na plaży płonęło niewielkie ognisko. Rozpalili je, wykorzystując wyrzucone na brzeg kawałki drewna i trochę paliwa

wyciekającego ze zbiornika rozbitego hydroplanu. Ognisko było sygnałem dla tych, którzy mieli się zjawić.

Wyglądało na to, że spełniło swoją rolę.

Nad wodą poniosło się brzęczenie silnika i chwilę później nad plażą przeleciał hydroplan. Ania pomachała zdrową ręką. Z bocznego okna samolotu mrugnęła do niej latarka, potwierdzając tożsamość ratowników.

Gdy samolot krążył nad wodą, podchodząc do lądowania, Bukołów zwrócił się do Tuckera.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego to zrobił.

Niedaleko leżało nakryte plandeką ciało Utkina.

– Odkupienie – powiedział Tucker. – Rozmyślnie ściągnął na siebie uwagę, żebym miał okazję ostrzelać śmigłowiec, zanim przybędą inni.

– Ale dlaczego? Zrobił to z poczucia winy?

Tucker wspomniał ostatecznie słowa Utkina.

...przyjacielu...

Położył rękę na boku Kaina.

– Zrobił to z przyjaźni.

CZĘŚĆ TRZECIA
SUROWY KRAJ

Stambuł, Turcja

18 marca, godzina 8.00 czasu miejscowego

Tucker wszedł za urzędnikiem konsulatu do pokoju konferencyjnego. Wnętrze wyglądało dość zwyczajnie: białe ściany, ciemnoczerwony dywan, klonowy stół. Ktoś postawił na blacie szklanki i dzbanki z wodą i lodem. W powietrzu unosił się aromat kawy, jednego z artykułów pierwszej potrzeby o tej wczesnej porze po jakże długiej nocy.

Bukołow i Ania dołączyli do niego, gdy padł na jedno z obitych skórą krzesel. Wszyscy zajęli miejsca.

Ania miała założony gips od połowy przedramienia po kostki palców lewej ręki. W czasie katastrofy hydroplanu złamała dwie kości w nadgarstku. Oczywiście wciąż miała szkliste od środków przeciwbólowych.

W tej telekonferencji mieli uczestniczyć wszyscy troje; siedzieli wokół zestawu głośnomówiącego.

– Łączymy rozmowę – powiedział urzędnik, młody człowiek w garniturze jak spod igły. Wszedł, zamykając za sobą drzwi.

Tucker wiedział, że mimo skromnego wystroju to pomieszczenie w amerykańskim konsulacie jest dźwiękoszczelne i zabezpieczone przed podsłuchem elektronicznym. Nikt inny niczego nie usłyszy.

Spojrzał nad stołem na towarzyszącą mu parę.

Ania miała ponurą minę.

Bukołow wyglądał na pokonanego.

Z wyspy na Morzu Kaspijskim polecili prosto do Turcji i wylądowali jakiś czas po północy. Przydzielono im pokoje, ale wyglądało na to, że żadne z nich nie spało zbyt dobrze. Tucker zostawił Kaina w pokoju, żeby chociaż on mógł się porządnie wyspać.

Zadzwoił telefon konferencyjny na stole i z głośnika popłynął głos:

– Rozmówca jest na linii.

Po serii pisków i wybuchu szumu usłyszeli głos Ruth Harper:

– Tucker, jesteś tam?

– Tak. – Jej znajomy śpiewny ton jak zwykle podziałał na niego pokrępiająco. – Jest ze mną profesor Bukołow i Ania.

– Doskonale.

W typowy dla siebie obcesowy sposób Harper od razu przeszła do rzeczy.

– Zacznijmy od najbardziej naglącej kwestii. Stanimir Utkin. Jak sądzisz, iloma informacjami ten kret podzielił się z przełożonymi? Z tym generałem Arturem Charzinem?

Wcześniej przekazał jej skondensowaną relację z ostatnich dwudziestu czterech godzin, łącznie ze zdradą i „odkupieniem” Utkina.

– Iloma informacjami?! – rzucił ze złością Bukołow. – Może wszystkim? Miał dostęp do całego mojego materiału badawczego. Nigdy nie żywiłem wobec niego podejrzeń. – Zerknął na Anię; jego głos przycichł, gdy opadło go poczucie porażki. – Nigdy nikogo nie podejrzewałem.

Tucker przenosił spojrzenie z jednego na drugie.

Ania spuściła oczy i wbiła wzrok w stół.

– W nocy powiedziałam Awramowi. O mojej pracy dla SWR. O moim zadaniu. Uznałam, że powinien dowiedzieć się o tym ode mnie.

– Ania Awerin – mruknął Bukołow. – Nawet nie znałem twojego prawdziwego nazwiska.

Harper przerwała ciszę, która zapadła po jego ostatnich słowach.

– Przeprowadziłam dyskretne dochodzenie. Na ile mi wiadomo, zapewnienia Ani zostały potwierdzone. Przekazywała zwierzchnikom fałszywe informacje.

Ania spojrzała na profesora.

– Żeby cię chronić, Awramie, żeby chronić twoje badania. Nie chciałam, żeby zrobiono z nich niewłaściwy użytek. – Wyciągnęła do niego rękę. – Przepraszam. Powinnam powiedzieć ci wcześniej.

Lekko się od niej odwrócił.

– Czy ona musi tu być? Teraz nie jest mi do niczego potrzebna. Mam dziennik De Klerka. Z resztą dam sobie radę na własną rękę.

– Decyzja nie należy do pana, profesorze – oznajmił Tucker.

– Nie do mnie? Jak możesz tak mówić? Ona mnie zdradziła!

– Awramie, proszę... Nie przekazałam im niczego, co mogłoby zaszkodzić twojej pracy. Chroniłam...

– Skończyłem z tobą! Panie Wayne, nie zgadzam się, żeby nam dłużej towarzyszyła.

Harper odchrząknęła.

– Przestańmy o tym mówić, profesorze, i wróćmy do Stanimira Utkina. Na razie musimy założyć, że przekazał Charzinowi wszystko, co było mu wiadomo. Łącznie z informacjami zawartymi w dzienniku Paulosa De Klerka. Czy pan się z tym zgadza, profesorze?

– Niestety, tak.

– Więc przejdźmy do zagrożenia, jakie wiąże się z wykorzystaniem tych informacji. Co nam grozi, jeśli LUCA wpadnie w ręce Charzina?

– Musi pani zrozumieć – zaczął Bukołów obronnym tonem – że LUCA, jeśli będzie odpowiednio traktowana, może się stać bezprecedensowym dobrodziejstwem dla ludzkości. Będziemy mogli przemienić pustynie w...

– Tak, rozumiem – przerwała mu Harper. – Martwi mnie określenie „odpowiednio traktowana”. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale nawet zakładając, że znajdziemy zdolne do

życia okazy LUKI, nikt nie wie, jak ją kontrolować, ani pan, ani ludzie Charzina. Czy mam rację?

Bukołow zawahał się; ściągnął brwi.

– Tak – odparł powoli. – Nikt nie opracował wyłącznika awaryjnego. Ale jestem pewien, że mechanizm kontrolowania LUKI istnieje. Charzin podziela moje przekonanie. Wystarczyłoby, żeby generał umieścił po kilkadziesiąt gramów LUKI w kilku strategicznych miejscach, a bez wyłącznika organizm rozprzestrzeni się z szybkością błyskawicy, niszcząc całe życie roślinne. Powstrzymanie procesu nie byłoby możliwe. Ale większym zagrożeniem jest, nazwijmy to umownie, uzbrojenie LUKI.

– Proszę to wyjaśnić, profesorze – powiedziała Harper.

– Weźmy, na przykład, ospę. Jest jedną z najgroźniejszych broni biologicznych znanych człowiekowi, ale aby mieć pewność, że zostanie zarażona maksymalna liczba ofiar, należy ją uzbroić, czyli strategicznie uwolnić na dużej przestrzeni w krótkim czasie, żeby zaatakowała całą populację i zdeorganizowała pracę służby zdrowia. Charzin widzi LUCĘ właśnie w takim świetle. Jest wojskowym. Oni tak myślą. Uzbrojona LUCA mogłaby w kilka godzin osiągnąć masę krytyczną. Tak, tak, LUCA w surowej postaci jest niebezpieczna, ale niekoniecznie katastrofalna. Byłaby szansa, żeby ją powstrzymać. Po uzbrojeniu... To byłby koniec.

– Koniec? – zapytała Harper. – Jak koniec świata?

– Bez wyłącznika, bez sposobu na kontrolowanie tego, co zostało uwolnione, tak. Mówimy o całkowitym zniszczeniu ekosystemu Ziemi.

Harper milczała, przyswajając sobie te informacje. Tucker wyobraził ją sobie, jak zdejmuje grube okulary bibliotekarki i przeciera oczy. Wreszcie znowu się odezwała:

– Na ile jest pan pewien tego wyłącznika awaryjnego, profesorze?

– Jestem przekonany, że mogę go opracować. Nawet De Klerk w swoim dzienniku zasugerował taką możliwość. Potrzebuję

tylko próbki LUKI.

– Z jakiejś zapomnianej jaskini w RPA?

– Tak.

– I myśli pan, że zdoła ją pan znaleźć?

– Jestem o tym przekonany. Zanim spaliłem kartkę z opisem jej położenia, zapamiętałem wszystkie wskazówki. De Klerk wyraźnie obawiał się tego organizmu, nawet opatrzył go złowieszczą nazwą: *Die Apokalips Saad*. Był przerażony do tego stopnia, że zaszyfrował opis trasy do jaskini.

– Mógłby pan zacytować jego słowa? Podać jakiś przykład?

– Oto jak się zaczyna. – Bukołow złączył czubki palców, gdy się koncentrował. – „Dwadzieścia pięć stopni od Studni Grietje w Melkboschkuil... odległość dwieście osiemdziesiąt dziewięć tysięcy sto osiemdziesiąt dwa kragi... tam znajdziesz to, co jest ukryte pod wodospadem Głowa Dzika”.

Harper nie odezwała się od razu. Tucker niemal czuł frustrację wylewającą się z głośnika telefonu.

– Czy rozumie pan coś z tego?

– Nic a nic – odparł Bukołow. – Próbowałem to rozgryźć przez bity tydzień po znalezieniu tej kartki. Żadnego z wymienionych miejsc nie ma na żadnej mapie. Ani Studni Grietje, ani Melkboschkuil. Ani wodospadu Głowa Dzika. I o ile wiem, nie ma jednostki miary zwanej krag.

Wyrzucił ręce w powietrze.

– Między innymi dlatego z panią o tym rozmawiam. Z pewnością macie kartografów i ekspertów od map, którzy zdołają to odszyfrować. Wskazać nam właściwą drogę do tej jaskini.

– Zobaczę, co się da zrobić – obiecała Harper. – Dajcie mi trochę czasu, zrobię rozeznanie i porozmawiamy.

Przerwała połączenie.

Gdy ruszyli do wyjścia, Ania wyciągnęła rękę do profesora, wyraźnie chcąc załagodzić konflikt między nimi. Kiedy ją zignorował, Tucker wyczytał ból na jej twarzy; ramiona jej opadły. Stała w korytarzu, patrząc za odchodzącym naukowcem.

Kiedy się odwróciła, Tucker spostrzegł łzę spływającą po idealnie wyrzeźbionej kości policzkowej.

Wyglądało na to, że zdrada ma wiele twarzy.

Godzina 10.22

Tucker wykorzystał przerwę, żeby pospacerować z Kainem po dziedzińcach konsulatu. Obowiązywał go zakaz wychodzenia za bramę. Wielopoziomowy kompleks – z białymi murami i rzędami okien podobnych do więziennych – bardziej przypominał zakład karny o zaostrożnym rygorze niż placówkę dyplomatyczną.

A jednak niewielkie ogrody w jego obrębie były przyjemne, pełne fioletowych krokusów i róż. Co najlepsze, ciepłe tureckie słońce pomogło wytopić resztki rosyjskiego lodu z jego kości i myśli.

Nawet Kain poruszał się raźniej, gdy obwąchiwał kolejne narożniki i krzaki.

Po kilku minutach Tucker wrócił do sali konferencyjnej.

– Rozpracowałam kilka kawałków układanki – oznajmiła Harper, gdy tylko nawiązała łączność. – Ale obawiam się, że dopóki nie wylądujemy w RPA, lokalizacja jaskini pozostanie tajemnicą. Domyślam się, że De Klerk używał nazw, które miały sens tylko dla Burów żyjących w jego czasach.

Bukołow pochylił się nad stołem.

– To zrozumiałe. Burowie byli znani z ksenofobii, podejrzliwości wobec innych nacji i ras, szczególnie wobec Brytyjczyków. Ale powiedziała pani, że kilka zagadek zostało rozwikłanych. Czego się dowiedzieliście?

– Wymagało to konsultacji z historykami ze Smithsonian Institution, rozpracowaliśmy jednak, co De Klerk mógł rozumieć przez krag jako jednostkę miary.

– Co to jest? – zapytała Ania.

– Podczas ówczesnych walk powszechnie używaną przez Burów bronią był norweski karabin M-tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt cztery Krag-Jørgensen. Z czasem zaczęto go nazywać po prostu kragiem. Karabin miał metr długości. Jeśli założymy, że była to jednostka miary De Klerka, to podana przez niego odległość wynosi około dwustu osiemdziesięciu dziewięciu kilometrów.

Bukołow wyprostował się; najwyraźniej odzyskał część dawnej ikry.

– Więc znamy już odległość od Studni Grietje do wodospadu Głowa Dzika!

– I wiemy niewiele więcej. – Harper szybko zgasła jego entuzjazm. – Podejrzewam, że wodospad Głowa Dzika, gdzie jest ukryta ta jaskinia, jest nie tyle nazwą, ile opisem miejsca, jakiegoś lokalnego znaku orientacyjnego, który trzeba zobaczyć, żeby go rozpoznać.

– Więc oczywiście chodzi o coś, co przypomina z wyglądu głowę dzika – podsumował Tucker.

– I właśnie dlatego trzeba się tam udać. Potrzebujemy kogoś, kto przeczesa tę okolicę, najlepiej pieszo albo konno.

– Żeby widzieć wszystko z perspektywy De Klerka – dodała Ania.

– Właśnie. – Harper zmieniła temat. – Ale najpierw musimy wiedzieć, gdzie zacząć, skąd wyruszyć. Bez tej informacji nigdzie nie trafimy.

Bukołow pokiwał głową.

– Musimy rozgryźć, co De Klerk rozumiał przez Studnię Grietje w Melkboschkuil.

– I to jest właśnie drugi element układanki, który zdołaliśmy znaleźć. Historycy odkryli, że w byłej RPA istniała kiedyś farma zwana Melkboschkuil należąca do rodziny Cloete. Znajdowała się w prowincji Przylądkowej Północnej. To znaczące z punktu widzenia historyka, ponieważ wokół tej farmy powstało dzisiejsze miasto Springbok.

– W takim razie musimy tam jechać! – Bukołów uderzył dłonią w stół. – Do Springbok... żeby znaleźć tę Studnię Grietje. Następnie odmierzymy dwieście osiemdziesiąt dziewięć kilometrów przy wskazaniu kompasu dwadzieścia pięć stopni, jak napisał De Klerk, i poszukamy tej Głowy Dzika w pobliżu wodospadu. Właśnie tam znajdziemy jaskinię!

– Tylko tyle mamy do zrobienia? – zapytał cierpko Tucker.

Harper też nie wykrzesła z siebie entuzjazmu, jakim w tej chwili tryskał profesor.

– Problem polega na tym, że nie znalazłam żadnych informacji dotyczących miejsca zwanego Studnią Grietje. Prawdopodobnie było ono znane tylko miejscowym z czasów De Klerka. Zdołaliśmy ustalić, że holenderskie imię Grietje jest odpowiednikiem Wilmy.

– Będziemy zatem szukać Studni Wilmy – zasugerował Tucker.

– Otóż to – zgodziła się z nim Harper. – Jak mówiłam, trzeba zbadać wszystko na miejscu.

– Zamierzam w tym uczestniczyć – oświadczył stanowczo Bukołów. – Moja wiedza o De Klerku może się okazać nieodzowna.

Ania drgnęła; wyraźnie pragnęła wziąć udział w wyprawie. Zapiski De Klerka znała równie dobrze jak profesor, a przy tym była bardziej zrównoważona niż on.

– To zrozumiałe – powiedziała Harper. – Ale z tym wszystkim wiąże się jeszcze jeden problem.

Tuckerowi nie spodobała się ostrzegawcza nuta w jej tonie; nawet południowy zaśpiew stał się mniej uroczy.

– Linia pociągnięta od Springbok zgodnie ze wskazaniem De Klerka prowadzi prosto w góry Groot Karas, które leżą na terenie Namibii.

Tucker wziął głęboki oddech i ze świstem wypuścił powietrze.

– O co chodzi? – zapytała Ania. – Coś jest nie tak?

– W Namibii trwa krwawa wojna domowa – wyjaśnił. – Pomiędzy siłami rządowymi i partyzantami.

– A te góry są w rękach partyzantów, którzy uwielbiają porywać cudzoziemców dla okupu – dodała Harper.

Sfrustrowany Bukołów głośno sapnął.

– Musi być jakiś sposób. Nie możemy zrezygnować z poszukiwań.

– Nie zrobimy tego, ale jeśli pan tam pojedzie, musi pan wiedzieć, co może pana czekać. Zapewnię wam pomoc miejscowych, lecz ta wyprawa nie będzie bezpieczna.

Profesor pokręcił głową.

– Muszę tam być! Trzeba spróbować! Zanim Charzin znajdzie jakiś inny sposób, żeby znaleźć tę jaskinię. Utkin tylko przez chwilę widział kartkę ze wskazówkami, zanim ją spalił. Nie mam pojęcia, ile zrozumiał albo przekazał. Może zresztą nieumyślnie sam coś mu powiedziałem. Po prostu nie wiem.

– Wiem tylko tyle, że generał Charzin nie odpuści. – Ania odezwała się z większą pewnością siebie. – Prawie wszyscy w SWR go nie cierpią. Jest wojowniczym przeżytkiem z epoki zimnej wojny, prawdziwym dinozaurem. Wierzy, że najbardziej świetlane dni Rosji umarły ze Stalinem. Jeśli Utkin od początku przekazywał mu informacje, to rozumie potencjał LUKI jako broni. Wie, że odrobina, odpowiednio wprowadzona do ekosystemu, na przykład na ryżowisko w Japonii, systematycznie je zniszczy. I nie tylko to jedno ryżowisko, ale wszystkie.

– Nie wolno do tego dopuścić – oświadczył z naciskiem Bukołów.

– Zgadzam się – powiedziała Harper. – Rozpocznę przygotowania.

Godzina 11.10

Po omówieniu kilku drobnych kwestii Harper poprosiła o rozmowę w cztery oczy z Tuckerem.

– Zawiązaliśmy pakt z diabłem, co? – zaczęła. – W głębi duszy myślę, że jeśli znajdziemy tę jaskinię, powinniśmy na nią zrzucić bombę zapalającą.

– Być może do tego dojdzie. Ale muszę przyznać, że przyjęłaś dość zaskakujące założenie.

– To znaczy?

– Że Kain i ja polecimy do Afryki.

– Co?! Po wszystkim, co właśnie omówiliśmy, chcesz się wycofać?

Roześmiał się.

– Nie, ale dziewczyna lubi być proszona do tańca.

Zachichotała.

– Uznaj, że zostałeś poproszony. Mów, jak oceniasz Bukołowa i tę Anię. On wyraźnie nie chce, żeby wam towarzyszyła.

– To już jego problem. Zasłużyła na miejsce w tej ekspedycji.

– Zgadza się z tobą. Zdaje się, że wie o LUCE tyle samo co on. A biorąc pod uwagę, o co toczy się gra, nie zaszkodzi mieć kogoś, kto będzie spoglądać na wszystko z innej perspektywy. Tyle że profesorkowi to się nie spodoba.

Tucker westchnął.

– Im szybciej się dowie, że jego humory prowadzą donikąd, tym lepiej dla wszystkich, gdy dotrze do Stanów Zjednoczonych.

– Kiedy przekażesz mi listę potrzebnych rzeczy?

– Za kilka godzin. Wieczorem chcę być w drodze. Jutro przed południem w Springbok.

– Rozumiem.

– Muszę cię poprosić o parę przysług.

– Mów.

– Po pierwsze, znajdź bliskich pilotki beriewa, Eleny. Dopilnuj, żeby znaleźli jej ciało, i wypłać odszkodowanie za samolot.

– Coś jeszcze?

– Dopilnuj, żeby ciało Utkina przekazano rodzinie. Mieszkają w wiosce Kołyszki nad Wołgą.

– Dlaczego? Ten człowiek cię zdradził... przez niego o mało wszyscy nie zginęliście.

– Ale na koniec nas ocalił. I za to go szanuję.

Naiwny czy nie, Tucker chciał wierzyć, że, być może, Ania miała rację. Że Utkina zmuszono do zdrady wbrew jego woli. Nigdy nie pozna prawdy. I może tak będzie lepiej.

– Mówisz tak, jakbyś go lubił. – Głos Harper brzmiał nietypowo łagodnie, jak gdyby wyczuła głębię jego żalu.

– Chyba tak. Trudno to wyjaśnić.

Na szczęście nie kontynuowała tematu.

– W porządku, zajmę się wszystkim. A co sądzisz o zorganizowaniu wsparcia w Afryce, kogoś poza miejscowymi?

– Sądzę, że im mniej, tym lepiej.

Poza tym miał całą potrzebną mu pomoc w postaci swojego czworonożnego partnera.

– Być może masz rację – zgodziła się Harper. – Agencje bezpieczeństwa w RPA dbają o porządek. Jeśli narozrabiasz, z miejsca się na ciebie rzucą.

– Nie będę z tym polemizował.

– A teraz muszę cię prosić o coś trudnego.

– Wal.

– Jeżeli znajdziesz tę jaskinię i sytuacja stanie się poważna, dopilnuj, żeby LUCA nigdy nie ujrzała światła dziennego. Za wszelką cenę. Bez względu na liczbę ofiar. Czy to rozumiałe?

Tucker westchnął ciężko.

– Dopilnuję.

Godzina 15.34

Ciche pukanie do drzwi wyrwało go z lekkiej drzemki. Kain podniósł łeb z jego piersi. Obaj leżeli na łóżku, przesypiając najgorętszą porę dnia.

Tucker, w pełni ubrany, spuścił nogi na podłogę i zasłonił dłońmi twarz.

Kto, do cholery...

Kain zeskoczył z łóżka, podbiegł do drzwi i powęszył wzdłuż szczeliny pod nimi. Po chwili zaczął machać ogonem. Przyszedł ktoś, kogo znał.

– Nie śpisz? – zapytała Ania.

Jęknął, podszedł do drzwi i otworzył. Przetarł zaspane oczy.

– Coś się stało? – Bo jak nie, to... Nie dokończył myśli.

Ania stanęła w progu ubrana w brzoskwiniovą sukienkę na ramiączkach. Jakby nieświadomie wygładziła ją zdrową ręką.

– Dostałam od czyjejś żony z konsulatu – powiedziała. – Przepraszam, spałeś, prawda? – Cofnęła się o krok.

– Nie, w porządku. Wejdz.

– Pewnie też powinnam spać, ale za każdym razem, jak się kładę... – Podeszła do fotela stojącego naprzeciwko łóżka i usiadła. – Boję się, Tucker.

– Wyprawy do RPA?

– Oczywiście... ale głównie tego, co będzie później. Kiedy będziemy w Ameryce.

– Aniu, rząd da ci nową tożsamość i nowe miejsce do życia. Z twoim wykształceniem nietrudno ci będzie znaleźć pracę. Wszystko jakoś się ułoży.

– Będę sama. Straciłam wszystko, co znam. Nawet Bukołowa. Słyszałeś, co powiedział. Prawie się do mnie nie odzywa.

– Może ochłonie i w końcu zrozumie.

Lekko postukała w gips.

– Nie zrozumie – rzuciła zbolalym głosem. – Znam go.

Wiedział, że co do tego Ania się nie myli. Profesor był zdeterminowany i mało wyrozumiały. Teraz, gdy miał w rękach dziennik De Klerka, Ania przestała być dla niego niezastąpiona, co gorsza, okazała się niegodna zaufania. A dla niego oba te grzechy były niewybaczalne.

Miała rację. W Stanach będzie sama, zdana wyłącznie na siebie. Będzie potrzebować przyjaciół.

Tucker westchnął i ścisnął jej rękę.

– Będiesz miała przynajmniej jedną bliską istotę – zapewnił ją. Kain zamerdał ogonem. – A właściwie dwie – dodał.

Kapsztad, RPA

19 marca, godzina 12.02 czasu miejscowego

Wylądowali na międzynarodowym lotnisku w Kapsztadzie przy prywatnym terminalu. Przylecieli na pokładzie załatwionego przez Harper prywatnego odrzutowca, gulfstreama V. Gdy Tucker zszedł po schodkach na gorący asfalt, usłyszał okrzyk:

– Panie Wayne! Tutaj!

Odwrócił się i zobaczył zmierzającego w jego stronę wysokiego, chudego, około dwudziestopięcioletniego czarnoskórego mężczyznę, ubranego w grafitowe spodnie i wykrochmaloną białą koszulę. Nieznajomy obdarzył go szerokim uśmiechem i wyciągnął rękę.

– Pan Tucker Wayne, jak przypuszczam.

Tucker uścisnął jego dłoń.

– A pan?

– Christopher Nkomo.

Kain prześlizgnął się obok swojego partnera i podbiegł do nieznajomego, żeby go obwąchać i zmierzyć wzrokiem.

– Na Boga, jak się wabi to piękne zwierzę? – zapytał Christopher.

– Kain.

– Jest wspaniały!

Nie będę się spierał.

Dołączyli do nich Bukołow i Ania; oboje przesłaniali dłońmi oczy przed rażącym blaskiem słońca. Tucker dokonał

prezentacji.

– Z jakiego plemienia pochodzisz? – zapytała Ania i natychmiast się zreflektowała. – Może niegrzecznie o to pytać? Przepraszam.

– Ależ skąd. Należę do plemienia Ndebele.

– A twój ojczysty język...?

– Mówimy językiem xhosa. – Machnął ręką i poprowadził ich w kierunku zaparkowanych cessn i innych mniejszych awionetek. – Ale skończyłem tutejszy uniwersytet. Studiowałem zarządzanie i anglistykę.

– Widać – zauważył Tucker.

– Miło mi to słyszeć. – Christopher zatrzymał się przed jednosilnikowym samolotem, cessną grand caravan, już przygotowywanym do lotu. – Proszę o chwilę cierpliwości, zaraz zapakuję bagaże.

Dotrzymał słowa – uwinął się w kilka minut.

– Pilot zaraz się zjawi – zapowiedział, wchodząc po niskiej drabinie do bocznych drzwi cessny. Po chwili wyskoczył w niebieskiej czapce pilota na głowie. – Witamy na pokładzie. Nazywam się Christopher Nkomo i będę państwa pilotem.

Tucker odwzajemnił jego szeroki uśmiech.

– Ty nas przierzucisz?

– Ja i mój starszy brat, Matthew.

Z okna przy fotelu drugiego pilota wysunęło się chude ramię.

– Nie ma obawy – uspokoił ich Christopher. – Jestem doświadczonym pilotem, a poza tym znam ten kraj i jego historię jak własną kieszeń. Słyszałem, że jesteście historykami zainteresowanymi wojnami burskimi, i mam wam udzielić wszelkiej możliwej pomocy.

Po tonie tego młodego człowieka Tucker poznał, że wie, że wcale nie są historykami. Najwyraźniej Harper zaznajomiła go z celem misji.

– Doskonale znam Springbok. Mój kuzyn ma tam dom. Jeśli wszyscy jesteśmy gotowi, zapraszam na pokład.

Bukołow i Ania nie potrzebowali dalszej zachęty, żeby uciec ze słońca do przyciemnionego klimatyzowanego wnętrza. Profesor zajął miejsce jak najdalej od niej. Nie był zadowolony, że mu towarzyszy, ale w Stambule Tucker nie pozostawił mu wyboru.

Teraz został na płycie lotniska, żeby porozmawiać z Christopherem.

– Co z ekwipunkiem, o który prosiłem?

– Proszę spojrzeć.

Christopher otworzył schludnie załadowany luk. Wyjął podkładkę z klipsem i podał ją Tuckerowi. Na kartce była cała lista: woda pitna, liofilizowana żywność, apteczki pierwszej pomocy, mapy i kompasy, noże, siekiery, niewielka, ale dobrze wyposażona skrzynka z narzędziami.

– Co do broni i amunicji, to nie udało mi się dostarczyć dokładnie takich modeli, o jakie pan prosił. Pozwoliłem sobie zdać się na własną ocenę.

Z tylnej kieszeni wyjął kartkę.

Tucker przebiegł ją wzrokiem i pokiwał głową.

– Dora robota. Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli z tego korzystać.

– Daj Boże – powiedział Christopher.

Przestrzeń powietrzna nad RPA

Godzina 13.38 czasu miejscowego

Tucker patrzył na przemykający w dole krajobraz, gdy cessa mknęła w kierunku ich miejsca przeznaczenia. Siedzący naprzeciwko niego, przypięty pasami Kain naśladował jego pozę, przyciskając nos do szyby.

Tereny na północ od Kapsztadu były hipnotyzująco piękne: księżycowy krajobraz czerwono-brązowej ziemi i sawanna

poprzecinana skalistymi zębatymi wzgórzami. Gdzieniedzie, między jaśniejszymi łąkami zielonego buszu, leżały maleńkie osady.

Wreszcie Christopher łagodnie skręcił i przelecieli nad Springbok. Liczące dziewięć tysięcy mieszkańców miasteczko usadowiło się w dolinie otoczonej przez faliste granitowe szczyty zwane Klein Koperberge, czyli Małymi Górami Miedzianymi.

Cessna zaczęła schodzić do lądowania. Opony dotknęły ziemi bez jednego podskoku. Na końcu pasa skręcili w prawo w kierunku terminalu, biur administracyjnych i hangarów.

Gdy maszyna zatrzymała się łagodnie przy jasnoniebieskim SUV-ie marki Toyota, z fotela kierowcy pomachał do nich mężczyzna uderzająco podobny do Christophera i jego brata.

– Jeszcze jeden brat? – spytał Tucker.

– Owszem, panie Wayne. Najmłodszy, Paul. Przyleciał tu w nocy, żeby wszystko przygotować i zasięgnąć języka.

Kiedy silniki ucichły, Christopher wyszedł z kokpitu, otworzył boczne drzwi i pomógł wysiąść pasażerom.

Żar uderzył Tuckera w twarz jak pięść.

Ania ze świstem wypuściła powietrze.

Bukołów nie krył niezadowolenia.

– Kolejne piekło, do którego nas przywiozłeś, Tucker – wyburczał.

Christopher się roześmiał.

– Nie ma powodu do obaw. Przywykniecie do temperatury. – Odszedł, żeby uściskać Paula, i gestem zaprosił ich do SUV-a. – Mój brat wynajął pokoje w niedalekim pensjonacie.

– Dlaczego? – zapytał Bukołów. – Na jak długo się tu zatrzymamy?

– Co najmniej na noc. Matthew tu zostanie i będzie pilnować waszego ekwipunku. Proszę wsiadać.

Ruszyli na północ drogą R355. Po obu stronach rozciągały się jałowe podnóża gór, zerodowane rdzawopomarańczowe zbocza otulały czarne granitowe kopuły.

– Tu jest jak na Marsie – zauważył Bukołów. – Nie widziałem źródła wody w tym zapomnianym przez Boga kraju. I tu mamy znaleźć studnię?

– Cierpliwości, profesorze – powiedział Tucker.

Wreszcie dotarli na przedmieścia Springbok, które ze swoimi wąskimi, krętymi ulicami i nowoczesnymi domami w stylu ranczerskim przypominało miasteczka w Arizonie.

Paul skręcił na półkolisty podjazd między gęstymi żywopłotami. Ręcznie malowana tablica na słupku głosiła, że znajduje się tu PENSJONAT KLEINPLASIE. SUV zatrzymał się pod markizą, przy kamiennych schodach wiodących do przeszklonych drzwi.

Po rozmowie z boyem w białych szortach i idealnie czystej koszulce polo Christopher zaprowadził swoich podopiecznych, łącznie z Kainem, do holu.

Stały tam wygodne fotele, na podłodze leżały skóry i sizalowe chodniki, a na ścianach wisiały ryciny sławnych badaczy Afryki. Z belek sufitu zwisały duże wentylatory o rattanowych śmigłach, młójące chłodne już powietrze.

Christopher zameldował ich i zaprowadził do prywatnej sali w głębi korytarza. Na mahoniowym stole czekały dzbanki pełne wody z plasterkami cytryny. Przez szczeliny w drewnianych żaluzjach wpadały promienie słońca.

Po chwili dołączył do nich Paul i stanął u szczytu stołu.

– Panie Wayne, Christopher powiadomił mnie, że jest pan zainteresowany miejscem zwanym Studnią Grietje. Przeprowadziłem dyskretne dochodzenie i, niestety, coś takiego nie istnieje.

– Musi istnieć – warknął Bukołów, wciąż nie w sosie z powodu długiej podróży i skwaru.

– Hm – mruknął Paul, zbyt uprzejmy, żeby z nim polemizować. – Związek Springbok z wodą ma długą i krwawą historię. Woda jest tu niezwykle cenna i w przeszłości toczono o nią walki, co zważywszy na panujące tutaj upały, nietrudno sobie wyobrazić. Dlatego naturalne źródła często ukrywano. Co

więcej, pierwotna afrykanerska nazwa miasta to Springbokfontein.

– Co oznacza? – zapytała Ania.

– *Springbok* to miejscowa antylopa. Jeśli macie dobry wzrok, zobaczycie je w tej okolicy. *Fontein* oznacza fontannę, ale tutaj tą nazwą określa się po prostu naturalne źródło albo wodopój.

– A może studnię? – wtrącił Tucker.

– Owszem, tylko że pierwsze wykopane przez człowieka studnie powstały w Springbok stosunkowo niedawno, dopiero w dwudziestym wieku. W dziewiętnastym miejscowa ludność czerpała wodę z *fonteins*, naturalnych źródeł. Dlatego ja i mój brat uważamy, że tym, czego szukacie, jest nie studnia, lecz źródło.

– Czy to nam jakoś pomoże? – zapytał Tucker.

– Hm... trudno powiedzieć – odparł Christopher. – Ale jest pewien człowiek, który, być może, zna odpowiedź. Wielebny Manfred Cloete.

Tucker uznał, że to nazwisko brzmi znajomo, i zaraz potem przypomniał sobie słowa, które padły podczas telekonferencji w Stambule.

– Cloete – powtórzył. – To nazwisko rodziny, do której kiedyś należała farma Melkboschkuil. Ta, wokół której rozrósł się Springbok.

Christopher pokiwał głową.

– Zgadza się. Manfred rzeczywiście pochodzi z tego znanego rodu. Jest nie tylko pastorem, ale również skarbnicą wiedzy o historii miasta.

– I już na nas czeka – dodał Paul, spoglądając na zegarek.

Godzina 14.15

W zabytkowym centrum Springbok Christopher skręcił na brukowany parking otoczony niskim otynkowanym murkiem,

przy którym rosły bujne zielone akacje. W obrębie murów stał kamienny kościół z kwadratową wieżą i dużym rozetowym oknem od frontu. Przypominał miniaturowy normański zamek.

– *Klipkerk* – oznajmił Christopher. – Holenderski Kościół Reformowany. Obecnie w budynku mieści się muzeum.

Pomachał ręką do trojga pasażerów.

Tucker i Kain wygramolili się z tylnego siedzenia. Ania wysiadła z przodu. Wyczerpany podróżą i upałem Bukołów został w pensjonacie pod troskliwą opieką Paula – tak na wszelki wypadek.

Ania zaczęła na Tuckera i poszli za Christopherem w kierunku kościoła. Uśmiechnęła się, lekko podtrzymując rękę w gipsie. Z pewnością odczuwała dyskomfort, ale nie skarżyła się – może z obawy, żeby jej nie zostawili. Tak czy owak, okazała się prawdziwą twardzielką.

Christopher poprowadził ich ścieżką przecinającą rozległy wypielęgnowany trawnik na tyły kościoła.

Po jednej stronie ścieżki przy rabatce pustynnych kwiatów klęczał brodaty mężczyzna o rozwichrzonych białych włosach, ubrany tylko w bermudy. Miał tors pękaty jak beczka, mocno opalony i porośnięty kędzierzawymi białymi włosami.

– Manfred! – zawołał Christopher.

Mężczyzna spojrział przez ramię i uśmiechnął się. Podniósł się i wytarł zabrudzone ziemią dłonie w ręcznik zatknięty za pasek. Christopher dokonał prezentacji.

– Aha, dwoje historyków – powiedział Manfred Cloete, wymieniając uściski dłoni. W jego jasnoniebieskich oczach pojawił się błysk. – Witamy w Springbokfontein.

Mówił z południowoafrykańskim akcentem, z naleciałościami brytyjskimi i australijskimi, z tajemniczo brzmiącą nutą.

– Dziękuję, że zgodził się pan z nami spotkać, wielebny – powiedział Tucker.

– Manfred, proszę. Na Boga, to twój pies?

Kain przemknął w podskokach, szybko obiegając dziedziniec.

– Tak. Wabi się Kain.

– Może mu powiedz, żeby uważał. Tu nie brakuje węży. Nie można się ich pozbyć.

Tucker zagwizdał, a Kain przybiegł i usiadł przy jego nodze.

– Chodźcie ze mną – powiedział Manfred. – Mam w cieniu trochę lemoniady.

Poprowadził ich do stołu piknikowego i wszyscy usiedli.

Manfred nalał lemoniady z lodem do szklanki Ani i zagadnął:

– Więc, panno Awerin...

– Ania, proszę.

– Oczywiście, zawsze z przyjemnością spełniam prośbę damy. Zwłaszcza damy ze zranionym skrzydłem. – Wskazał jej rękę w gipsie. – Skąd to zainteresowanie wojnami burskimi?

Zerknęła na Tuckera, pozwalając mu pokierować rozmową.

Tucker odchrząknął.

– Szczerze mówiąc, to ja jestem zainteresowany, osobiście. Niedawno dowiedziałem się, że jeden z moich przodków brał udział w drugiej wojnie burskiej. Był lekarzem. Wiem o nim tylko tyle, że służył w forcie, który znajdował się gdzieś w pobliżu.

– Jeśli był lekarzem, to najprawdopodobniej chodzi o fort Klipkoppie. Tam stacjonowała lokalna jednostka medyczna. Fortem dowodził generał Manie Roosa, doświadczony żołnierz, choć moim zdaniem odrobinę szalony. Brytyjczycy nienawidzili z nim walczyć. Ruiny fortu znajdziecie niedaleko za miastem.

Tucker ściągnął brwi. Gdy tu lecieli, analizował lokalizację starych fortów, mając nadzieję na znalezienie jakiejś wskazówki.

– Za miastem? – zapytał. – Z moich badań wynika, że ruiny fortu Klipkoppie są w centrum miasta.

– Ha! Ten kopiec kamieni obok centrum handlowego? To była tylko placówka, nic więcej. Ruiny prawdziwego Klipkoppie znajdują się jakieś dwadzieścia kilometrów na północny zachód stąd. Christopher wie gdzie.

– Więc dlaczego...?

– Łatwiej zwabić turystów do sklepów z pamiątkami i restauracji. Poza tym w prawdziwym forcie Klipkoppie nie ma

co oglądać i trudno się tam dostać. Turyści by się pozabijali. – Klepnął się dłońmi po udach. – No dobrze, powiedz mi, jak nazywał się twój przodek.

– De Klerk. Paulos De Klerk.

Manfred, wyraźnie rozpoznając to nazwisko, wyprostował się i spojrzał na Tuckera nowymi oczami.

– Ten sławny botanik?

– Słyszałeś o nim.

– Oczywiście, choć niewiele mogę o nim powiedzieć. W zasadzie dopiero teraz, gdy wymieniłeś jego nazwisko, przypomniałem sobie, że był lekarzem wojskowym. Znacznie lepiej jest znany ze swoich rysunków kwiatów.

– Skoro o tym mowa, przyciągnął nas tutaj jeden z jego dzienników. Kilka razy wspomniał w nim o Studni Grietje i wydaje mi się, że to miejsce było dla niego ważne.

– W tamtych czasach brakowało wody. Woda decydowała o życiu lub śmierci, zwłaszcza podczas wojen. Kiedy Brytyjczycy oblegali burski fort, jednym z pierwszych działań była próba odcięcia dostępu obleganych do wody. Człowiek może tygodniami obejść się bez jedzenia, ale bez wody przeżyje tylko kilka dni. Dlatego też Burowie zaczęli budować forty wokół naturalnych źródeł, które były dla nich tak ważne. Żołnierze nadawali im nazwy od imion swoich ukochanych, zwykle kobiet: żon, córek, kochanek.

Ania drgnęła.

– Grietje to afrykanerska Wilma.

Manfred pokiwał głową.

– Ten, kto jej imieniem nazwał źródło, naprawdę musiał ją kochać. Ale jak mówiłem, źródła w większości fortów nosiły kobiece imiona. Pytanie tylko, który to był fort. Skoro jednak twój przodek był lekarzem, zacząłbym od ruin Klipkoppie.

Ania spojrzała ku dalekim suchym wzgórzom na linii horyzontu.

– Wie pan, czy są tam jakieś studnie albo źródła?

– Nie, ale jeśli to źródło nie wyschło, na powierzchni będą ślady erozji w miejscu, gdzie woda sezonowo podnosi się i opada. Christopher będzie wiedział, czego szukać.

Christopher nie był jednak tak optymistycznie nastawiony.

– Trudno będzie znaleźć – powiedział. – I wciąż nie mamy pewności, czy Klipkoppie to właściwy fort. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczne burskie warownie, to może przypominać szukanie igły w stogu siana.

– No, ale mamy od czego zacząć – rzucił Tucker.

– Tymczasem spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej o dziejach twojego przodka, Paulosa De Klerka – zaofiarował się Manfred. – Przyjdźcie jutro po południu, to porozmawiamy.

Godzina 14.55

– Ruszamy do fortu Klipkoppie? – zapytał Christopher, gdy wyjechali z parkingu.

– Trudno tam dotrzeć?

– Do stóp wzgórza, na którym stał fort, nie jest daleko. Problem w tym, że nie ma drogi na szczyt. Trzeba będzie iść pieszo. Zbocza są strome, ale znam drogę.

Tucker spojrział na zegarek.

– O której zachodzi słońce?

– Proszę pamiętać, jesteśmy na południe od równika. Mamy tu schyłek lata, koniec pory deszczowej. Słońce zajdzie po siódmej.

– To daje nam jakieś cztery godziny. – Tucker zwrócił się do Ani: – Możemy podrzucić cię do pensjonatu. Odpocznij. Nie jestem pewien, czy ortopeda pochwaliby twoje chodzenie po górach.

– Miałabym stracić taką okazję? – Uniosła złamaną rękę. – Nic mi nie będzie. Poza tym już włożyłam traperki. Szkoda by było z nich nie skorzystać.

Tucker usłyszał radosne bębnienie ogona na fotelu obok siebie.

– Wygląda na jednogłośny wynik głosowania.

Christopher kluczył krętymi uliczkami Springbok i w końcu wyjechał z miasteczka na spieczone słońcem tereny wiejskie.

Zadzwoił jego telefon.

Tuckera przebiegł dreszcz strachu. Zastanawiał się, czy dobrze zrobili, zostawiając Bukołowa w pensjonacie. Ale przecież nie mieli innego wyjścia; raczej nie mogli pozwolić, żeby starszy pan wędrował pieszo w takim skwarze.

Po chwili cichej rozmowy Christopher podał mu telefon.

– Do pana. Manfred.

Zaskoczony i zaciekawiony Tucker wziął komórkę.

– Słucham?

– Ach, mój drogi, cieszę się, że cię złapałem. – Ton pastora wyrażał podekscytowanie i dumę. – Poszperałem trochę zaraz po waszym odejściu. Wychodzi na to, że generał Manie Roosa, dowódca twojego przodka, miał córkę o imieniu Wilhelmina.

– Wilma to zdrobnienie od Wilhelminy.

– Otóż to. I posłuchaj. W jednym z raportów Roosa pisze, cytuję: „Mamy Wilhelminę, więc ten łajdak MacDonald może oblegać nasz fort do sądneho dnia”. Przypuszczam, że nawiązuje do Iana MacDonalda, ówczesnego brytyjskiego dowódcy pułku. Ale wątpię, żeby córka Roosy miała jakkolwiek udział w przełamaniu tego oblężenia.

– Z pewnością chodziło mu o zaopatrzenie fortu w wodę! O źródło nazwane na cześć córki.

– I z pewnością twój przodek znał tę tajną nazwę.

Tucker podziękował Manfredowi, rozłączył się i przekazał informację swoim towarzyszom.

Christopher się uśmiechnął.

– Zdaje się, że nasz stóg siana znacznie się zmniejszył.

Springbok, RPA

19 marca, godzina 15.22 czasu miejscowego

Osiemnaście kilometrów za Springbok Christopher skręcił na wąską gruntową drogę, która kończyła się przy budynku z blaszanym dachem. Tablica głosiła, że to WARSZTAT HELMANA. Zaparkował w cieniu budynku, wysiadł i zniknął w otwartych drzwiach.

Po powrocie otworzył drzwi od strony Ani i skinął, żeby Tucker i Kain też wysiedli.

– Helman mówi, że możemy zostawić tu samochód. Obiecał, że jeśli nie wrócimy za trzy tygodnie, powiadomi policję.

– Trzy tygodnie?! – zawołała Ania i dopiero wtedy spostrzegła uśmiech młodego człowieka. – Bardzo śmieszne.

Christopher wyjął trzy plecaki z bagażnika SUV-a. Rozpiął futerał i podał Tuckerowi ciężką dubeltówkę wraz z pasem z dwunastoma nabojami większymi od kciuka.

– Nitro express – wyjaśnił. – Kaliber czterysta siedemdziesiąt. Zna się pan na broni, panie Wayne?

Tucker złamał strzelbę, sprawdził zamek i przeprowadził szybką inspekcję. Wyjął z pasa dwa naboje, wsunął je do luf i zatrzasnął broń.

– Może być – rzucił.

– Świetnie. – Christopher spoważniał. – W okolicy są lwy. Mało prawdopodobne, żebyśmy się na nie natknęli, ale musimy zachować ostrożność. Radzę, żeby Kain trzymał się blisko nas.

– Tak będzie.

– Jeśli napotkamy lwy, spróbujemy powoli się wycofać. Za dnia są zwykle mało aktywne i głównie śpią. Ale gdyby doszło do ataku, trzymajcie się za mną. Ja oddam pierwszy strzał. Jeśli chybię po wypaleniu z obu luf albo lew nie zrezygnuje z ataku, rzucę się na ziemię, żeby miał pan czyste pole. Lew prawdopodobnie się zatrzyma, żeby się do mnie dobrać. A wtedy proszę strzelać. Bez wahania. To bardzo ważne. Proszę celować kilka centymetrów poniżej szczęki, w środek piersi, jeśli to możliwe. Albo z boku, tuż za pachą.

– Rozumiem – zapewnił go Tucker.

– I na koniec... jeśli pan chybi, pod żadnym warunkiem nie należy uciekać.

– Dlaczego? – zapytała Ania.

– Ponieważ wtedy umrzesz wyczerpana, a nie godzi się w takim stanie pokazywać Bogu – odparł Christopher, załadował swoją strzelbę, zarzucił plecak na ramiona i wyjął z bagażnika wysoką laskę z pękiem metalowych dzwonków na czubku. – Gotowi?

– Chwileczkę – powstrzymała go Ania. – A gdzie broń dla mnie?

– Przykro mi, nie pomyślałem... Mamy niewiele klientek. Poza tym twoja ręka... Wybacz.

– W porządku. Kiedy jeden z was padnie z wyczerpania, będę miała strzelbę. – Ania uśmiechnęła się słodko. – W którą stronę idziemy?

– Na południe do miejsca, gdzie zaczyna się szlak, a potem na północny wschód na wzgórze.

Ania obróciła się na pięcie i ruszyła.

– Starajcie się dotrzymać mi kroku, chłopaki.

Dotarła przez zarośla do miejsca, w którym zaczynała się wąska ścieżka biegnąca na północny wschód. Tam rozsądnie pozwoliła, żeby poprowadził ich Christopher. Stromy, kręty szlak wiódł coraz wyżej.

Tucker szedł na końcu.

– BLISKI ZWIAD – powiedział, poklepując partnera po boku.

Kain truchtał to z jednej to z drugiej strony ścieżki, czasami z przodu, czasami z tyłu, ale nie dalej niż piętnaście metrów. Uszy miał postawione na sztorc i wyjątkowo jasne oczy. Były to zapachy, których nigdy nie miał okazji poznać. Tucker przypuszczał, że jest to dla niego coś w rodzaju zmysłowego kalejdoskopu.

Po przejściu kilometra skręcili w cienie wąskiego wąwozu. Powierzchnię skał wokół nich pokrywało mnóstwo pustynnych kwiatów w przytłumionych odcieniach różu i fioletu, nasycających powietrze słodkim aromatem, trochę podobnym do zapachu kapryfolium. Powitało ich niskie brzęczenie owadów, wzmocnione w ciasnej przestrzeni.

Kain stanął przed ścianą kwiatów, przekrzywiając głowę, i z zaciekawieniem obserwował wibrujące płatki i liście.

– Przyłądkowe pszczoły miodne – powiedział Christopher. – Nie ma obawy. Jeśli damy im spokój, zostawią nas w spokoju.

– Muszą ich być tysiące – mruknęła Ania.

– Wiele, wiele tysięcy.

Czteryście metrów dalej wyszli z wąwozu i znaleźli się na porośniętej gdzieś krzakami czerwonej równinie. Po lewej stronie piętrzyły się wysokie, faliste granitowe wzgórza.

Nagle Christopher głośno krzyknął, pół minuty później zrobił to samo, i jeszcze raz. Pomiędzy krzykami potrząsał laską, do której były przymocowane dzwonki.

– Co on robi? – szepnęła Ania do Tuckera.

– Daje wszystkim zainteresowanym znać, że tu jesteśmy. Większość dzikich zwierząt woli nie mieć z nami do czynienia.

Christopher znieruchomiał z przekrzywioną głową. Uniósł rękę i wskazał nią ucho, dając znak, by nasłuchiwali.

Po dłuższej chwili dobiegł ich niski pomruk, którego echo rozeszło się po wzgórzach.

Kain wyminął wszystkich bezszelestnie i zatrzymał się kilka kroków przed Christopherem. Obrócił się w prawo i usiadł, wpatrzony w dal.

Zabrzmiało parsknięcie.

– Lwy – powiedział Christopher i wskazał w lewo. – Parę kilometrów stąd. Nie powinny się ruszyć do nocy.

Kain wciąż patrzył – w przeciwnym kierunku, niż wskazywał Christopher. Tucker przykląkł obok psa.

– Może tamte się nie ruszą – mruknął. – Ale spójrz za te drzewa.

– Co? Nie widzę... – Christopher urwał i szepnął: – No nie...

Sto metrów dalej trzy lwice, każda ważąca ze sto pięćdziesiąt kilogramów, wysunęły się z zarośli i powoli kroczyły w ich stronę. Jakby na dany znak rozdzieliły się, dwie skręciły na boki, a największa zajęła środkową pozycję.

– Dziwne – mruknął Christopher. – Zazwyczaj nie zachowują się w ten sposób.

– Powiedz to im. Chcą nas oskrzydlić.

– Co mam robić? – zapytała Ania.

– Zachować spokój – odparł Christopher. – Panie Wayne, jeśli one nas obejdą...

– Wiem.

W chwili gdy Tucker wypowiedział to słowo, Kain się podniósł. Sierść zjeżyła mu się na wyprężonym grzbiecie, kiedy stał, nerwowo machając ogonem. Opuścił łeb i wyszczerzył zęby. Z jego piersi popłynęło przeciągłe, niskie warczenie.

– Panie Wayne, proszę go zatrzymać – odezwał się Christopher, gdy pies ruszył w stronę lwicy.

– Wie, co robi. Za mną. Broń w pogotowiu. Aniu, ty zostajesz.

– To zły pomysł – szepnął Christopher.

Tucker ruszył za Kainem ostrożnym, ale stanowczym krokiem.

Środkowa lwica, masywna góra mięśni, kłów i pazurów, nagle się zatrzymała. Przysiadła na zadzie, jej ogon zamiatał ziemię. Dwie pozostałe też stanęły, na drugiej i dziesiątej względem Tuckera.

– Co się dzieje? – zapytała szeptem Ania.

– Kain daje im do zrozumienia, że nie jesteśmy łatwym łupem.

– Niesamowite – wychrypiął Christopher. – Pan go tego nauczył?

– Tego się nie da nauczyć. To instynkt.

Lwice zaczęły posapywać.

Kain zawarczał i zrobił trzy szybkie kroki. Ślina ściekała mu z pyska.

– STÓJ – mruknął Tucker.

– Dajmy im do myślenia – powiedział Christopher. – Po jednym strzale nad łbami tych z boku.

Tucker pokiwał głową.

– Ty tu rządzisz.

– Musi pan wiedzieć, że jeśli nie uciekną, to zaatakują.

– Jestem gotowy.

– Chyba zaraz zwymiotuję – wymamrotała Ania.

– Nie radzę – rzucił Tucker.

Christopher odwrócił się w stronę lwicy na lewej flance, a Tucker do tej na prawej. Kain stał, wpatrzony w tę pośrodku.

– Pal!

Tucker uniósł strzelbę, przycisnął kolbę do ramienia i strzelił nad łbem lwicy. Podskoczyła, przypadła do ziemi i uciekła w zarośla. Druga zrobiła to samo.

Ta najroślejsza nawet nie drgnęła i nie ustąpiła pola, gdy pozostałe się wycofały. Przez kilka sekund patrzyła na Kaina, w końcu mruknęła przeciągle, odwróciła się i odeszła. Raz obejrzała się za siebie i zniknęła w krzakach.

Christopher bez chwili zwłoki poprowadził ich w przeciwną stronę. Po pokonaniu kilkuset metrów przystanęli pod występem skalnym, żeby się napić. Kain usadowił się wygodnie w cieniu, jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał. W końcu Ania przerwała milczenie.

– Nigdy w życiu tak się nie bałam. Wyraz tych ślepi... byliśmy dla nich po prostu jedzeniem.

– Zasadniczo tak – zgodził się z nią Christopher.

– Nawet nie jestem pewna, czy rozumiem, co się stało.

– Lwy bywają nieustraszone, ale nie są głupie. Mając do wyboru zasadzenie się na łatwą zdobycz i stoczenie walki, zawsze wybiorą tę pierwszą opcję. To po prostu kwestia praktyczności. Ranny lew jest słabym lwem. Pies pana Wayne’a po prostu im o tym przypomniał. Do tego dochodzi fakt, że o tej porze roku na tych terenach nie brakuje młodych zwierząt. Lwy mają pod dostatkiem jedzenia. Gdyby było inaczej, nasze spotkanie mogłoby mieć paskudny koniec.

Godzina 16.45

Nawodnieni i z uspokojonymi nerwami, podjęli wędrówkę.

Po dwudziestu minutach Christopher przystanął i wskazał na wzgórze.

– Ruiny fortu Klipkoppie są nad tym zrębem. Teraz będziemy się wspinać.

– Jak daleko? – zapytała Ania.

– Pół kilometra. Po drodze co jakiś czas głośno tupnijcie, żebyśmy nie zaskoczyli węży.

Poprowadził ich płytkim wąwozem zasłanym głazami, porośniętym krzakami i gdzieniegdzie drzewami. Drzewa miały grube pnie, które zwęzły się i z ich końców wystrzeliwały pęczki gałęzi zwieńczonych sztywnymi liśćmi w kształcie gwiazd.

– Wyglądają trochę jak brokuły – zauważyła Ania.

– Kokerboom! – zawołał Christopher przez ramię. – Zwane również drzewami kołczanowymi, bo lud San używa wydrążonych gałęzi jako kołczanów.

Gdy wąwóz się zwęził, musieli skakać z głazu na gład, żeby kontynuować stromą wspinaczkę. W paru miejscach Tucker przenosił Kaina i pomagał Ani. Wreszcie pokonali ostatnie kilka metrów i stanęli na górującym nad dalekim Springbok płaskowyżu w kształcie półksiężyca.

Wszyscy byli zadyszani, spoceni i spragnieni.

– Co za widok! – powiedziała Ania, rozglądając się.

W dole było strome urwisko, a za nimi wznosiła się granitowa kopuła. Po drugiej stronie płaskowyżu z ziemi wystawały tępo zakończone drewniane słupy. Więcej podobnych pali sterczało na krzywiźnie kopuły.

Mrużąc oczy, Tucker dostrzegał zarysy starych fortyfikacji i fundamenty od dawna nieistniejących budynków.

– To Klipkoppie – oznajmił Christopher.

– Niewiele zostało – zauważył Tucker.

– Prawda. Czas i erozja zrobiły swoje. Sto dwadzieścia lat temu był to potężny fort. Na szczycie kopuły stała wieża strażnicza. Stamtąd burscy żołnierze widzieli całą dolinę. Można się było tutaj dostać tylko tym wąskim wąwozem, którym przyszlismy.

– Naturalne wąskie gardło.

– Zgadza się.

Tucker ruszył na wędrowkę po ruinach, ale zatrzymał go krzyk ich przewodnika.

– Proszę patrzeć pod nogi! Na płaskowyżu jest pełno tuneli i starych piwnic.

– Tutaj? – zdumiała się Ania. – Przecież to lita skała.

Tucker ukląkł i palcami pomacał podłoże.

– Piaskowiec. Nietrudny do obróbki, co nie znaczy, że drażnienie nie wymagałoby ciężkiej pracy i cierpliwości.

Christopher pokiwał głową.

– Dwie cechy, z których słynęli Burowie. Wejścia są zakryte starymi deskami, zapewne bardzo kruchymi. Pod nami są kwatery mieszkalne i magazyny.

Tucker zawołał partnera, który badał płaskowyż na własną łapę.

– CHODŹ.

Pies przygalopował.

Kłęcząc, Tucker otworzył manierkę i nalał na dłoń wody, po czym zwilżył sierść na psim pysku i pod brodą. Przysunął wilgotną rękę do nosa partnera.

– SZUKAJ. LEKKI KROK.

Kain odszedł z nosem przy ziemi, trzymając się skraju płaskowyzu.

– Co on robi? – zapytała Ania.

– Wyznacza obszar poszukiwań.

Malinois zataczał coraz węższe kręgi, truchtając z nosem przy ziemi. Od czasu do czasu zatrzymywał się i skręcał w prawo albo w lewo, zanim podejmował dalsze poszukiwania.

– Sprawdza wyloty tuneli – wyjaśnił jego partner.

– Nadzwyczajne – mruknął Christopher.

Kain nagle się zatrzymał. Okrążył jedno miejsce, wężąc głośno i wzbijając obłoczki pyłu przy każdym oddechu. W końcu położył się i obrócił łeb w stronę Tuckera.

– Czuje wilgoć.

Ostrożnie ruszyli do psa. Christopher prowadził, stukając laską w ziemię, sprawdzając podłoże przed postawieniem nogi.

Kiedy dotarli do Kaina, Tucker oburącz potarł go po karku.

– Brawo!

Christopher uniósł laskę i mocno uderzył w ziemię w miejscu, gdzie Kain tak energicznie węszył. Odpowiedziało mu głuche dudnienie.

– Niesamowite zwierzę! – zawołał.

Wyjęli z plecaków saperki i zaczęli kopać zbitą ziemię, aż odsłonili kwadrat z desek. Wyglądało to jak kłapa. Na szczęście z grubsza ciosane drewno było spróchniałe, wysuszone na wiór przez stulecie gorąca. Wsuwając saperki w szczeliny i pęknięcia, powoli podważali deski i odrzucali je na bok, odsłaniając ciemny szyb o przekroju mniej więcej metr na metr.

Leżąc na brzuchu, Tucker zaświecił w głąb szybu. Kain przysiadł obok niego, posapując i wężąc.

– Ma jakieś dwa i pół metra głębokości – powiedział Tucker, podnosząc się na kolana. – Potem ciągnie się w lewo.

– Kto idzie pierwszy? – zapytała Ania.

Jakby ją rozumiejąc, Kain zerwał się i zatańczył wokół otworu, szybko machając ogonem. Spojrzał na partnera, a potem w głąb szybu.

– Zgadnij – rzucił Tucker.

– Wysyłasz go na dół? – Ania skrzyżowała ręce na piersi. – To okrutne.

– Okrutne? Myślę, że w poprzednim wcieleniu Kain był jamnikiem stworzonym do wypłaszania borsuków z nor. Jeśli tylko jest jakaś dziura, natychmiast chce do niej wpełznąć i ją zbadać.

Wyjął z plecaka kamizelkę taktyczną partnera. Spodziewając się, co będzie dalej, Kain aż drżał z podniecenia. Tucker pośpiesznie go ubrał i zsynchronizował kamerę z nowym telefonem satelitarnym, w który zaopatrzyła go Harper. Szybko sprawdził funkcje i stwierdził, że wszystko działa bez zarzutu.

– Gotów, Kain?

Pies podszedł do szybu i postawił przednie łapy na krawędzi. Tucker oświetlił ściany oraz dno i wskazał ręką.

– SKACZ.

Kain bez wahania dał nura w ciemność. Usłyszeli miękkie łupnięcie, gdy wylądował.

– MELDUJ.

Kain szczerknął na znak, że wszystko w porządku.

Tucker wcisnął klawisze telefonu i na ekranie pojawił się obraz z kamery. Ocinając ekran ręką, zobaczył wnętrze poziomego tunelu odchodzącego od szybu. Kamera miała funkcję noktowizora, ale wcisnął guzik i nad kamerą zapaliła się mała latarka LED, oświetlając Kainowi drogę.

W ostrzejszym oświetleniu ukazały się szorstkie ściany i grube stemple. Drewno, osłonięte przed słońcem i wiatrem, wydawało się dość solidne, ale wygląd może być złudny. W Afganistanie, gdy polował na talibskich żołnierzy w labiryncie jaskiń, widział kilka zawałów tuneli.

Obawiając się czegoś takiego, nerwowo oblizywał usta. Martwił się o Kaina, ale obaj byli na służbie i nie mieli odwrotu.

– NAPRZÓD. SZUKAJ – powiedział do mikrofonu.

Słyszac komende, Kain rusza. Oddala sie od oslepiajacej jasnosci dnia i kieruje w ciemnosc, prowadzony przez kaluze swiatla z latarki nad karkiem. Czuje zapach ziemi i pleśni, starego drewna i kamienia, ale koncentruje sie na sladzie wilgoci w powietrzu.

Wyroznia sie on na tle suchosci.

Kain nie potrzebuje swiatla, zeby go tropic.

Ale idzie powoli, stapajac ostroznie.

Jego uszy lowia chrzest piasku pod lapami, chrobot chitynowych odnocy na skale, poskrzypywanie drewna.

Przebija sie przez cienkie pajeczyny i kurz.

Dociera do rozwidlenia.

W ktora strone?

Slyszy szept komendy w uchu. Jego partner widzi to samo co on.

SZUKAJ.

Robi krok najpierw w jedna strone, potem w druga, wesy, przez rozszerzone nozdrza wciaga zapach w glab siebie, za jzyk, do miejsca, gdzie o wszystkim decyduje instynkt.

Wchodzi do jednej odnogi, potem do drugiej, sprawdza obie.

W glabi tunelu po lewej powietrze jest cięzsze z powodu wilgoci.

Slyszy krople spadajace na skale.

Kieruje sie w tamta strone, serce lomocze mu w piersi: jest na polowaniu i wie, ze cel jest blisko. Tunel opada, potem sie wyrównuje. Kilka ostrożnych kroków i wchodzi do jaskini na tyle wysokiej, ze mógłby w niej skakac z rozpierajacej go radości.

Chce to zrobic.

Ale slyszy:

STÓJ.

Wykonuje polecenie.

Wodzi wzrokiem po nachylnym podlozu i zatrzymuje spojrzenie na kaluzie szklistej czerni. Swiatlo latarki pomyka po powierzchni, zapala ja, przemienia czern w czysty lazurowy błękit.

Woda.

– Eureka – mruknel Christopher.

Tucker odwrócił się i podał telefon Ani.

– Schodzę – oznajmił. – Kiedy dotrę do Kaina, dam wam znać, używając jego kamery.

Sięgnął do plecaka, wyjął urządzenie GPS i wsunął je do kieszeni spodni.

– Nie rozumiem – powiedziała Ania. – Dlaczego chcesz tam zejść? Moim zdaniem to ryzykowne dla kogoś tak zbudowanego jak ty.

Usiadł i spuścił nogi do otworu.

– Potrzebujemy dokładnych współrzędnych.

– Ale po co? – Na jej twarzy odmalowała się troska. – Wiemy, że studnia jest pod tym płaskowyżem. Nie wystarczy?

– Nie. Musimy mieć namiar kompasowy dokładnie od tamtego miejsca. Błąd będzie rosnąć wykładniczo z każdym kilometrem. – Wskazał w stronę horyzontu. – Pomył się tutaj o sto metrów, a możemy się znaleźć dwa kilometry od miejsca wskazanego przez De Klerka. A w terenie tak trudnym i niegościnnym jak góry Groot Karas możemy spędzić miesiące na poszukiwaniach i niczego nie znaleźć.

Ania nie kryła zaskoczenia.

– O tym nie pomyślałam.

Tucker się uśmiechnął.

– Myślenie o takich rzeczach wchodzi w zakres moich obowiązków. – Przygotował się do zejścia do tunelu i nagle znieruchomiał. – Chwileczkę, właśnie sobie uświadomiłem, że pod ziemią nie odbiorę sygnału GPS. Trzeba wrócić do starej szkoły. Christopherze, pożycz mi swoją laskę.

Ich przewodnik zrozumiał.

– Użyj pan jej jako miary. Pomysłowe.

– Dajcie mi pół godziny. Chyba że strop się zarwie.

– Jeśli tak się stanie – Christopher klepnął go w ramię – powiadomię odpowiednie władze, żeby wydobyć pańskie zwłoki.

– I Kaina. Chcę, żeby został pochowany ze mną.

– Oczywiście.

Ania spojrzała na nich gniewnie.

– To wcale nie jest zabawne.

Obaj odwrócili się w jej stronę. Żaden z nich się nie uśmiechał. Zbladła, gdy to sobie uprzytomniła.

Tucker usiadł na krawędzi szybu, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, opuścił się, zawisł na rękach i opadł na dół. Gdy buty uderzyły w ziemię, przykucnął, po czym zapalił latarkę i zniknął w bocznym tunelu. Idąc na czworakach, przesuwając łaskę i liczył. Robił przerwy, żeby nanosić trasę w notesie.

Od czasu do czasu szorował plecami o strop, wywołując maleńkie lawiny piasku. W ciszy tunelu każda taka kaskada dudniła jak grad na chodniku. Dotarł do rozwidlenia i w ślad za Kainem podążył w lewo. Starannie mierzył przebytą drogę i poświęcił pięć minut na określenie położenia grotu.

Kain przydreptał i liznął go po twarzy.

– Dobry pies, dobra robota!

Tucker zaświecił latarką dokoła. Najwyraźniej burscy żołnierze spędzali tu na dole mnóstwo czasu. W kamiennych ścianach wycięto ławy, prymitywne stoły i dziesiątki półek. W wyobraźni zobaczył duchy tamtych ludzi, śmiejących się, wylegujących, jedzących, i wszystko to podczas jednej z najkrwawszych i mało znanych wojen w dziejach.

Po zanotowaniu ostatnich pomiarów podsunął notes przed kamerę Kaina i pokazał swoim towarzyszom uniesiony kciuk. Chciał mieć nagranie zanotowanych obliczeń, współrzędnych Studni Grietje, na wypadek gdyby coś mu się stało.

Zadowolony, wiedząc, że zdobyta wiedza nie przepadnie, ukląkł i zanurzył palce w wodzie. Była zimna i pachniała świeżością.

Jak długo ludzie korzystali z tego źródła? – zastanawiał się.

Wyobraził sobie starożytne plemię, które tu schodziło, żeby ugasić pragnienie i znaleźć wytchnienie od skwaru.

Postanowił zrobić to samo. Czuł się jak w oazie – ukryty nie tylko przed palącym afrykańskim słońcem, ale też wolny od napięcia związanego z misją. Wróciły do niego wspomnienia

wydarzeń ostatnich dni, seria ucieczek, strzelanin i śmierci. W tej chwili to wszystko wydawało się nierealne.

A teraz jestem tutaj, skulony w trzewiach stuletniego burskiego fortu.

Wszystko z powodu rośliny prawie tak starej jak sama Ziemia.

Popatrzył na Kaina.

– Nie możemy powiedzieć, że nasze życie jest nudne, prawda?

Jakby na potwierdzenie zabrzmiał ostry trzask niosący się echem po jaskiniach. Tucker najpierw pomyślał, że to strzał z dubeltówki.

Kolejny atak lwów.

Potem rozległo się niższe dudnienie, skarga skały i piasku.

Wtedy zrozumiał.

To nie strzał.

Trzask pękającej belki.

Zaczął się zawał.

Okolice Springbok, RPA

19 marca, godzina 17.28 czasu miejscowego

Gdy łoskot stawał się coraz głośniejszy i przypominał dudnienie nadjeżdżającej lokomotywy, Tucker pchnął Kaina do tunelu.

– UCIEKAJ! NA ZEWNĄTRZ!

Jego partner posłuchał gorączkowej wydyszanej komendy i wybiegł z jaskini. Był szybszy, więc miał większe szanse na przeżycie.

Skazywanie ich obu na śmierć nie miało sensu.

Tucker dokładał starań, żeby posuwać się jak najszybciej. Zostawił latarkę, żeby mieć wolną rękę, ale nie śmiał wyrzucić laski Christophera. Nie zmierzył jej przed zeskoczeniem do szybu. Musiał znać jej dokładną długość, żeby ostatecznie obliczyć współrzędne źródła.

Latarka z kamery Kaina podskakiwała coraz dalej w tunelu, podczas gdy Tucker gramolił się na czworakach. Zdzierał skórę z kostek, trzymając laskę. Obijał kolana o szorstką skałę i kamienie.

Nigdy mu się nie uda.

Nie mylił się – to był zawał.

Z przodu dobiegł zgrzytliwy ryk, a chwilę później gęsta chmura pyłu i drobnego piasku zawirowała w powietrzu.

Zarwał się strop tunelu.

W chmurze paliła się latarka Kaina; podskakiwała, ale już nie przesuwała się do przodu. Kaszłąc, Tucker pospieszył do

partnera.

Za Kainem tunel blokowała ściana piasku, okruchów skalnych i połamanych belek. Pies drapał pazurami przeszkodę.

Tucker wcisnął się obok niego, przyłożył wolną rękę do ściany i poczuł drżenie. Jak jedna kostka domina przewraca następną, tak ten zawał spowoduje kolejne. Macając po ścianie, czubkami palców znalazł narożnik na skraju rumowiska.

– SIAD – nakazał Kainowi.

Gdy partner usiadł, Tucker przekręcił kamerę, żeby zaświecić na rękę przyciśniętą do ściany. Spojrzał przez ramię, po czym znowu na palce, próbując zorientować się w otoczeniu.

Zrozumiał, że dotarli do rozwidlenia.

Do zawału doszło w prawym przejściu, tym wiodącym od szybu. Zablockowała ich powódź piasku i kamieni, która dotarła do rozwidlenia. To oznaczało, że nie mogą wrócić tą drogą, która przyszedli. Może przy odrobinie szczęścia zdołają się przekopać przez rumowisko do drugiego tunelu. Oczywiście, nie było żadnej gwarancji, że tą drogą wydostaną się na wolność, ale nie mieli wyboru.

– KOP – polecił Kainowi.

Ręka w łapę zabrali się do pracy. Kain kopał, wyrzucając piasek i kamienie pomiędzy zadnimi nogami. Tucker wybierał pełne drzazg kawałki belek i odrzucał je go tyłu. Powoli, ale systematycznie posuwali się coraz dalej.

Pokrwawionymi palcami Tucker stoczył z rumowiska dużą bryłę piaskowca. Sięgnął do powstałej luki i natrafił na pustkę. Krzyknął z radości i zdwoił wysiłki. Nie minęło wiele czasu, a obaj przeczołgali się na brzuchach do drugiego tunelu.

Kain otrząsnął się z piasku.

Tucker, na czworakach, zrobił to samo, choć w jego wypadku było to wyrazem ulgi i strachu.

– ZWIAD – szepnął.

Razem ruszyli w nieznany labirynt podziemnych tuneli starego fortu Burów – i rzeczywiście był to labirynt. Niemal na każdym kroku napotykali nowe przejścia i ślepe komory. Tucker

często przystawał, żeby wodzić palcami po stropie albo świecić latarką Kaina.

Dalekie dudnienie i grzechot oznajmiały kolejne zawały.

W końcu stanął w miejscu wielkości małego garażu. Wycięte w skale półki i rozsypujące się resztki rozbitych skrzynek sugerowały, że była tu spiżarnia. Odchodziło od niej więcej tuneli.

Pochylił się i skierował latarkę Kaina w górę.

Odetchnął z ulgą.

Niski strop był szalowany.

Gdy się wyprostował, pies warknął – Tucker słyszał w tym ostrą nutę furii – i przyskoczył do stosu skrzynek. Wsunął nos i szybko się cofnął, gwałtownie potrząsając łbem. Po kilku sekundach z czymś zwisającym z pyska wrócił do partnera.

Rzucił to na podłogę.

Był to długi prawie na metr czarny wąż o trójkątnej głowie, która sugerowała, że jest jadowity.

Dopiero teraz przez walenie serca Tucker usłyszał niskie, bezustanne syczenie. Gdy oczy przywykły do mroku, zobaczył cienie sunące po podłodze poza kręgiem światła. Z tuneli wypełzało coraz więcej węży. Drżenie ziemi wypłoszyło je z gniazd, nakazywało ucieczkę na górę.

Tucker laską odrzucił jednego od stopy, za co nagrodził go dziki syk i błysk długich kłów.

Czas stąd zmykać.

– CHROŃ – rozkazał Kainowi.

Chwycił oburącz laskę i uderzył w deski, czemu towarzyszyło brzęczenie przyczepionych do niej dzwonków. Kawałki drewna posypały się ze stropu. Uderzał raz za razem w spróchniałe deski, podczas gdy Kain miał oko na węże.

Tucker tłukł w strop, próbując doprowadzić do zarwania sklepienia komory, bo szalunek świadczył o tym, że są blisko powierzchni. Pamiętał, jak Kain wcześniej przeszukiwał płaskowyż, a Christopher stukał w ziemię, gdy szli, wypatrując pułapek. Strop zaczął się w końcu zarywać; kamienie, piasek

i okruchy skalne spadały coraz szybciej, co tym bardziej rozwścieczało kotłujące się węże.

Czując ból w ramionach, Tucker uderzył jeszcze raz i trafił w grubą deskę, która pękła z trzaskiem.

I to wystarczyło.

Duża część stropu się zarwała, spadając tuż przy jego uchu. Kawalek drewna skaleczył mu policzek. Posypał się piasek. Tucker starał się osłaniać Kaina własnym ciałem.

A potem zalała ich oślepiająca jasność.

Zaryzykował spojrzenie w górę i zobaczył błękitne niebo nad otwartą kopułą tego ciemnego świata. Usłyszał okrzyki zaskoczenia Ani i Christophera.

– Nic mi nie jest! – ryknął.

Sapiąc z ulgi, padł na kolano obok Kaina.

– Nic nam nie jest – szepnął.

Jego partner machnął ogonem, puszając się jak paw, wyraźnie dumny z otaczającego go wianuszka martwych węży. Reszta uciekła, spłoszona nagłym blaskiem słońca.

– Trochę za bardzo to wszystko cię bawi – zbeształ go Tucker z uśmiechem.

Godzina 18.13

Używając nylonowych linek z plecaka Christophera, Tucker pomógł ewakuować Kaina, przeciągając linę przez pętle kamizelki, a potem wygramolił się za partnerem.

Ania oczyściła skaleczenie na jego policzku, posmarowała je maścią antybakteryjną i przykleiła opatrunek.

Wszelkie dalsze zabiegi musiały poczekać na powrót do hotelu.

Zbliżał się zachód słońca, więc musieli jak najszybciej wydostać się ze wzgórz. Droga prowadziła głównie w dół, więc

posuwali się szybko, dopingowani przez dalekie pomrukiwanie lwów.

– Masz, czego potrzebowałeś? – zapytała Ania, maszerując obok Tuckera.

– Co do centymetra.

Zdażył już zmierzyć laskę Christophera.

– To dobrze. Konam z głodu, mam dość spaceru w plenerze jak na jeden dzień.

Nie mógł się z tym nie zgodzić.

Dotarli wreszcie do SUV-a zaparkowanego przy warsztacie Helmana, wsiedli i Christopher ruszył do Springbok. Byli tak zmęczeni, że podczas jazdy żadne się nie odzywało. Christopher zadzwonił do swojego brata, Paula, i dowiedział się, że w pensjonacie panował spokój, przynajmniej przez większość czasu. Bukołów wypoczął na tyle, że znów był irytująco zręczliwy. Wściekał się, że go zostawili, i chciał wiedzieć wszystko o dokonanych tego dnia odkryciach.

Tucker nie palił się do rozmowy z profesorem. Marzył, że najpierw weźmie długą, gorącą kąpiel w wannie, a później na krótko wskoczy do basenu.

Gdy wjechali na parking pensjonatu, zadzwonił telefon. Christopher trzymał go przy uchu.

Kiedy wysiedli z SUV-a, zwrócił się do Tuckera:

– To Manfred. Pyta, czy nie mógłby pan wpaść do niego do kościoła. Dziś wieczorem. Mówi, że ma nowiny, które mogą pana zainteresować. – Zasłonił mikrofon. – Czy przełożyć to na jutro?

– Powinienem się z nim spotkać. – Tucker uznał, że kąpiel w wannie i basen mogą poczekać.

Ania z powrotem zapięła pas, zdecydowana jechać, ale pochylił się i dotknął jej ramienia.

– Dam sobie radę. Zajmij się Bukołowem. Ktoś musi mu o wszystkim opowiedzieć, bo inaczej wkroczy na ścieżkę wojenną.

Zrobiła niewyraźną minę.

– Zachowa się jak należy – zapewnił ją. – Tylko się streszczaj.

Pokiwała głową.

– No dobrze. Po tym, co dziś przeszedłeś, wezmę Bukołowa na siebie.

– Dzięki.

Gdy zniknęła za drzwiami pensjonatu, pojechał z Christopherem do kościoła. Znaleźli wielebnego tam, gdzie go zostawili: przy stole piknikowym na dziedzińcu. Tym razem był w pełni ubrany w kolonialną biel, tyle że wciąż bosy. Palił fajkę i pomachał nią, kiedy ich zobaczył.

– Jak się udała wyprawa? – zapytał.

– Doskonale – odparł Tucker.

– Opatrunek na twarzy mówi coś innego.

– Za wiedzę zawsze trzeba płacić.

– W tym wypadku krwią.

Żebyś wiedział, pomyślał Tucker.

Pochylił się w jego stronę.

– Wielebny, Christopher wspomniał, że masz jakieś nowiny.

– A tak. Całkiem tajemnicze. Wygląda na to, że Springbok nagle stał się bardzo popularny.

– To znaczy?

– Jakąś godzinę temu odebrałem telefon od kobiety zajmującej się genealogią. Pytała o twojego przodka, Paulosa De Klerka.

– Kobieta? – Tucker usłyszał w głowie dzwonki alarmowe.

– Tak. Mówiła z akcentem... chyba skandynawskim.

Felice...

Manfred przymrużył oczy.

– Po twojej minie widzę, że nie jest to miła wiadomość. Z początku założyłem, że ta kobieta należy do waszej grupy.

Tucker pokręcił głową.

– Nie.

– Konkurencja? Ktoś próbuje was ubiec?

– Coś w tym stylu – odparł, nie chcąc okłamywać duchownego. – Możesz mi powiedzieć, czy to była rozmowa miejscowa?

Wielebny pokręcił głową.

– Łączył operator międzynarodowy.

Więc nie miejscowa.

Dzięki ci, Boże, za te drobne łaski.

– Co jej powiedziałaś o De Klerku? – zapytał.

– Że niewiele o nim wiem. Był lekarzem, botanikiem i prawdopodobnie stacjonował w Klipkoppie.

Tucker zdusił jęk, wymieniając spojrzenie z Christopherem.

– A co ze mną? – zapytał. – Pytała o nas?

– Nie. Zresztą i tak nic bym jej nie powiedział. W połowie rozmowy coś mnie zaniepokoiło. Chciałem porozmawiać z tobą, zanim się zgodzę na dalszą współpracę. Dlatego zadzwoniłem.

– Pytała o Studnię Grietje?

– Tak, i wspomniałem o forcie Klipkoppie.

Fatalnie.

Wyczuwając zdenerwowanie Tuckera, Manfred poklepał go po ręce.

– Ale nie powiedziałem, gdzie był fort Klipkoppie.

– Na pewno się dowie...

– Dowie się tego, czego dowiadują się wszyscy. Że Klipkoppie leży w centrum Springbok. Tak jest napisane we wszystkich przewodnikach turystycznych.

Tucker przypomniał sobie, jak przed południem Manfred mówił, że tutejszy fort jest pułapką na turystów. Poczul satysfakcję. Ten fałszywy trop zapewni im więcej czasu.

Uspokoił się. Prawie. Wiedząc, że Felice jest w drodze, chciał natychmiast wrócić do pensjonatu, wyciągnąć mapy i zlokalizować jaskinię De Klerka na podstawie położenia źródła.

Ale też miał przed sobą skarbnicę lokalnej wiedzy i nie chciał jej zmarnować.

– Wielebny, wspomniałeś, że De Klerk służył pod generałem Roosą. Czy w swoich badaniach natknąłeś się na wzmiankę o oblężeniu w górach Groot Karas? To tam, jak sądzę, zginął mój przodek.

– Nie, ale to nie znaczy, że tak właśnie nie było. Ówczesne wojny różniły się od dzisiejszych, pełnych reporterów, kamer i tak dalej. Mogę się tym zająć.

– Byłbym wdzięczny.

Manfred przeszył go spojrzeniem, pyknął z fajki i wypuścił długą smużkę dymu.

– Tak na ciebie patrzę i myślę sobie, że planujesz wyprawę w góry Groot.

– A jeśli tak?

– Cóż, pomijając partyzantów, namibijskie wojsko, kłusowników i bandytów napadających na podróżnych, pozostaje trudny teren, upał i niedostatek wody. Nie wspominając o tamtejszych zwierzętach, które będą chciały cię pożreć.

Tucker wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Z pewnością wynajęła cię namibijska agencja turystyczna.

– Jeśli tam pojedziesz, staraj się nie wyglądać na kłusownika – poradził mu Manfred ostrzegawczym tonem. – Namibijskie wojsko najpierw strzela, dopiero potem zadaje pytania. Jeśli wpadniesz w zasadzkę buntowników albo bandytów, walcz o życie, ponieważ jeśli dostaną cię w swoje ręce, będzie po tobie. Na koniec, załatw sobie niezawodny samochód. Jeśli nawali, na piechotę nie dotrzesz do cywilizacji.

Tucker skinął głową, szanując mądrość rozmówcy.

– Dzięki.

Wstał i uścisnął jego rękę.

Gdy szedł z Christopherem przez dziedziniec, Manfred zawołał:

– Co mam zrobić, jak zadzwoni twoja rywalka?!

– Wskaż jej z uśmiechem pułapkę na turystów w środku miasta.

Nie była to dokładnie taka pułapka, jakiej Tucker życzył Felice.

Wolałby ostry jak brzytwa potrzask na niedźwiedzie.

Ale na razie musi się zadowolić tym, co ma.

Upington, RPA

20 marca, godzina 9.09 czasu miejscowego

– Witajcie w krainie wina – powiedział Christopher, gdy koła cessny zetknęły się z płytą lotniska w Upington, malowniczym mieście leżącym trzysta dwadzieścia kilometrów na północny wschód od Springbok. – Tutaj znajdziecie najlepsze winnice RPA. Co roku zbiera się około stu dwudziestu ton winogron.

Tucker zwrócił uwagę na faliste połączenie winnic przytulonych do porośniętych bujną zielenią brzegów rzeki Oranje. Ta mała oaza miała służyć jako punkt wyjściowy podróży do granicy z Namibią. Nie miałby nic przeciwko spędzeniu dnia na degustacji wina, ale harmonogram był bardzo napięty.

Ubiegłej nocy skończył obliczenia i miał całkiem dobre pojęcie, gdzie może się znajdować jaskinia De Klerka. Wiedząc, że Felice nie zostanie daleko z tyłu, zerwał wszystkich o świcie na krótki lot do Upington. Nie zamierzał dać się wyprzedzić.

Kiedy wysiedli z samolotu, Paul Nkomo zaprosił ich do czarnego range rovera i wywiózł z zielonej doliny rzecznej na rozległą sawannę porośniętą gęstą trawą, gdzie wśród ciemnozielonych łąk lasu wznosiły się nagie skały. Po dwudziestu minutach jazdy zatrzymali się przed stalową bramą. Umieszczony obok niej znak oznajmiał, że to REZERWAT SPITSKOP.

Wychyłając się przez okno, Paul wcisnął guzik dzwonka, podał swoje nazwisko i brama się otworzyła. Droga doprowadziła ich do polany o powierzchni może pół hektara. Zaparkował przed

dużym parterowym domem o wielu skrzydłach. Na wschodnim skraju polany stały trzy szopy.

Wysiedli, rozprostowując kończyny.

– Tu nie jest aż tak gorąco – powiedział radośnie Bukołów, będący w optymistycznej fazie huśtawki nastrojów.

– Jeszcze jest wcześnie – zaznaczył Paul. – Zrobi się gorąco, bardzo gorąco.

– Są tu lwy? – zapytała Ania, patrząc na sawannę.

– Tak. Należy zachować ostrożność.

Rozejrzała się, wypatrzyła Kaina, uklękła przy nim i zaczęła go drapać za uchem. Pamiętając jego wczorajszy heroiczny wyczyn, najwyraźniej zamierzała trzymać się blisko psa.

Gdy pozostali weszli do domu, Christopher pociągnął Tuckera do szopy. Stał tam drugi range rover, pomalowany w kamuflujące barwy tutejszej ziemi. Na bagażniku dachowym i na skrzyni ładunkowej piętrzyły się stosy ekwipunku.

– Pańskie auto, panie Wayne.

– Robi wrażenie – powiedział Tucker. Obszedłszy samochód, zauważył, że jest to starszy model. – Ma dokumentację techniczną?

Pamiętał ostrzeżenie Manfreda o niebezpieczeństwach związanych z awarią samochodu w Namibii.

– Nie będzie pan miał żadnych problemów. Jeśli chodzi o porę naszego wyjazdu...

Tucker uniósł brew.

– Co to znaczy naszego?

– Pana, pańskich towarzyszy i oczywiście mnie.

– Kto powiedział, że jedziesz z nami?

Młody człowiek zrobił zaskoczoną minę.

– Myślałem, że mam być przewodnikiem podczas waszego pobytu w Afryce. To chyba zrozumiałe.

– Pierwszy raz o tym słyszę.

Tucker nie był zadowolony. Oczywiście doceniał doświadczenie Christophera, ale dotychczasowa liczba ofiar już była zbyt wysoka. On, Bukołów i Ania musieli jechać, lecz...

– Nie pisałeś się na to – powiedział.

Christopher nie chciał ustąpić.

– Kazano mi zapewnić wam wszelką pomoc w czasie podróży do Namibii. Sądzę, że mogę to zrobić. Zna pan jakiś dialekt tamtejszych plemion? – Wyliczał powody na palcach. – Wie pan, jak unikać zbirów z Czarnej Mamby? Ile range roverów naprawił pan na kompletnym odludziu?

– Rozumiem twoje racje. Pozwól, że przedstawię swoje.

Tucker podszedł do samochodu, ściągnął z bagażnika na dachu futerał i wyjął z niego karabin szturmowy. Położył go na kocu na masce.

– To samopowtarzalny karabin AR-piętnaście ze standardowym noktowizorem cztery razy dwadzieścia. Wystrzeliwuje osiemset pocisków na minutę. Skuteczny zasięg wynosi od czterystu do sześciuset metrów. Pytania?

Młody człowiek pokręcił głową.

– Patrz uważnie. – Tucker wprawnie rozłożył karabin na części, kładąc je na kocu, po czym złożył broń. – Teraz ty to zrób.

Christopher wziął głęboki oddech, podszedł do maski i powtórzył procedurę. Był wolniejszy i mniej pewny, ale zrobił wszystko właściwie.

Następnie Tucker pokazał, jak ładować broń i obsługiwać przełącznik ognia, żeby wybrać tryb.

– Teraz ty.

Christopher zrobił to samo co on.

Ostania lekcja.

Tucker wziął broń, rozładował i podał Christopherowi.

– Wyceluj w moją pierś.

– Co?

– Zrób to.

Christopher niepewnie wykonał polecenie.

– Dlaczego?

– Nigdy wcześniej tego nie robiłeś, prawda? – spytał Tucker, który zwrócił uwagę na jego lekko drżące ręce.

– Prawda.

- Nigdy do nikogo nie strzelałeś?
 - Nie.
 - Ktoś strzelał do ciebie?
 - Nie.
 - Nigdy nikogo nie zabiłeś?
 - Oczywiście, że nie.
 - Jeśli pojedziesz, wszystkie te rzeczy prawdopodobnie się zdarzą.
- Młody człowiek westchnął i opuścił karabin.
- Zaczynam rozumieć pańskie racje.
 - Dobrze. Więc będziesz tutaj na nas czekał.
 - Wyciąga pan zbyt daleko idące wnioski. – Christopher podał mu karabin. – Jeśli ktoś spróbuje do nas strzelać, zrobię to samo. Co się z nim stanie, wola boska.
 - Jesteś upartym draniem.
 - To samo mówi mi mama. Oczywiście, bez drania.

Godzina 11.45

- Jesteś pewien współrzędnych? – zapytała Harper.
- Tucker po skończonej inwentaryzacji został w szopie obok range rovera. Wszyscy inni uciekli ze skwaru na lunch, zostawiając go samego. Wykorzystał tę chwilę prywatności, żeby skontaktować się z Sigmą.
- Na dziewięćdziesiąt procent... musi wystarczyć. Wysforujemy się przed konkurencją.
 - Skoro o tym mowa, kobieta pasująca do rysopisu Felice Nilsson, mająca szwedzki paszport, dziś rano przybyła do Kapsztadu. Mniej więcej w tym samym czasie przez odprawę przeszło czterech mężczyzn, także ze szwedzkimi paszportami.
 - Jakoś mnie to nie dziwi. Ale mamy nad nią dużą przewagę. Bez Utkina przekazującego informacje niewiele wiedzą. I muszą jeszcze rozwikłać tajemnicę Klipkoppie.

– Mam nadzieję, że masz rację. A teraz ostatnia sprawa. Pamiętasz zdjęcie, które nam przekazałeś, to z kawiarenki internetowej w Dimitrowgradzie?

– Tak.

– Jest w nim coś dziwnego.

– Zdecydowanie.

– Nasi technicy są zaniepokojeni anomaliami w strukturze pikseli obrazu. Może to nic takiego, ale analizujemy wszystko, co przesłałeś, łącznie z danymi Bukołowa.

– I jaki werdykt?

– Mamy zespół biologów, epidemiologów i botaników, którzy wszystkiemu się przyglądają. Nie ma mowy o konsensusie, ale są zgodni co do jednej rzeczy.

– Że to mistyfikacja. Możemy wracać do domu.

– Niestety nie – odparła. – Są zgodni, że LUCA, jeśli istnieje, może mieć r-zero wykraczający poza skalę.

– A co to znaczy po naszymu?

– R-zero to podstawowy współczynnik reprodukcji. Im wyższa liczba, tym bardziej wirulentny i trudniejszy do kontrolowania jest organizm. Na przykład r-zero dla odry wynosi od dwunastu do osiemnastu. Jeśli wyniki wczesnych eksperymentów Bukołowa i jego wnioski są prawidłowe, współczynnik LUKI może wynosić od dziewięćdziesięciu do stu. Praktycznie rzecz biorąc, jeśli szczep LUKI zostanie wprowadzony na hektar pola upraw, całość zostanie zarażona w niespełna jeden dzień, a później idzie już lawinowo.

Tucker, przytłoczony tymi informacjami, westchnął ciężko.

– Znajdź tę LUCĘ – powiedziała Harper. – I dopilnuj, żeby nie wpadła w ręce Charzina.

Wyobraził sobie owinięte folią kostki C-4 zapakowane do range rovera.

– Tyle mogę obiecać.

Po zakończeniu rozmowy pochylił się nad mapą pustyni Kalahari i wschodniej Namibii, rozpostartą na masce samochodu. Powiódł palcem wzdłuż gór Groot Karas i postukał w miejsce,

gdzie powinna się znajdować jaskinia De Klerka. Gdy dotrą do celu, będą musieli znaleźć coś, co przypomina głowę dzika. Ale najpierw muszą się tam dostać.

– Przyniosłem panu lunch – powiedział Christopher za jego plecami. – Musi pan coś zjeść.

Trzymał talerz pełen sałatki ze szpinaku i buraczków, a do tego kanapkę klubową ze stekiem, kurczakiem, boczkiem i sadzonym jajkiem – białko, tłuszcz, węglowodany i witaminy.

Kain, który drzemał przy range roverze, wstał i zaczął węszyć, wysoko unosząc nos. Tucker podał mu kawałek mięsa kurczaka.

– Co pana trapi? – zapytał Christopher.

Tucker spojrział na mapę.

– Próbuję zdecydować, gdzie najlepiej przekroczyć namibijską granicę. Z naszym ładunkiem broni i materiałów wybuchowych lepiej będzie przekraść się w nocy.

– Zgadza się. Wwożenie czegoś takiego do Namibii jest nielegalne. Karane długimi wyrokami więzienia. Co więcej, z powodu przemytniczych operacji partyzantów i bandytów granica jest regularnie i często patrolowana.

– Widzę, że rozumiesz mój problem. A co z rozwiązaniem?

– Hm. – Christopher lekko trącił go łokciem i wskazał na talerz. – Proszę jeść. Coś panu pokażę.

Wskazał palcem miasteczko leżące niedaleko granicy.

– Noenieput. To mała rolnicza osada. Tamtejsza policja jest pobłażliwa. Przedostanie się na drugą stronę nie powinno stanowić problemu. Może tylko trzeba będzie uiścić pewną... opłatę turystyczną.

Tucker od razu się połapał.

– Innymi słowy, dać łapówkę.

– Tak. Ale po drugiej stronie granicy namibijska policja nie jest ani trochę wyrozumiała, z łapówką czy bez. Na wszystkich utwardzonych drogach są blokady. Jak pan powiedział, musimy jechać w nocy, bezdrożami.

Christopher przesunął palec na północ i postukał nim w mapę.

– To najlepsze miejsce do przekroczenia granicy.

– Dlaczego?

– Tędy najczęściej przechodzą partyzanci. Bardzo niebezpieczni ludzie.

– I to ma być plus?

Młody człowiek spojrzał na Tuckera.

– Oczywiście. – Wskazał na talerz. – A teraz proszę jeść.

Z jakiegoś powodu Tucker stracił apetyt.

Granica między RPA i Namibią

20 marca, godzina 18.55 czasu miejscowego

Sawanna powoli ustępowała mieszaninie rdzawoczerwonych piasków, białych równin solnych i rozproszonych, odizolowanych wysokich wzgórz zwanych *kopje*. Słońce chyliło się ku zachodowi i kamienne garby rzucały długie cienie na spieczone równiny.

W dali na tle nieba rysowały się ciemne sylwetki gór Groot Karas. Jak dotrzeć do tych dalekich szczytów? Teren był płaski, dyskretne przekroczenie granicy wydawało się niemożliwe. Jakby na potwierdzenie, na niebie zabrzęczały małe czarne cętki. Były to samoloty zwiadowcze namibijskich sił powietrznych. Zgodnie z obowiązującą zasadą, Namibijczycy najpierw strzelali do przemytników, a potem zadawali pytania.

Tucker próbował wybadać, jaki plan ma Christopher, który siedział za kierownicą samochodu, ale młody człowiek pozostał nieugięty. Może się bał, że kiedy Amerykanin pozna jego zamiary, on przestanie być potrzebny.

– Noenieput – rzucił, wskazując skupisko bielonych domów i spłwiałych frontów sklepów. – Jest tu jedyny posterunek policji w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów. Jeśli przeszukają ładunek, nie będzie wesoło.

Ania zgarbiła się na przednim fotelu, zaciskając rękę na uchwycie drzwi.

Bukołów stęknął nerwowo. Siedział z tyłu z Tuckerem i Kainem.

– LEŻEĆ – wydał komendę Tucker.

Pies padł na podłogę, a partner narzucił na niego koc.

Przed nimi biały policyjny pojazd częściowo blokował drogę, stojąc przodem w ich stronę. Gdy się zbliżyli, błysnęły światła na dachu, wyraźnie coś sygnalizując.

Ale co?

Christopher zwolnił i podjechał do radiowozu. Opuścił szybę i wysunął rękę ni to w salucie, ni w powitalnym geście. Kierowca radiowozu zrobił to samo.

Gdy Christopher uderzył dłonią w dłoń policjanta, Tucker dostrzegł złożone banknoty przekazywane z ręki do ręki.

Opłata turystyczna.

Pojechali dalej.

– Udało się – szepnęła z ulgą Ania.

– Jeszcze nie – przestrzegł Christopher, wpatrując się w lusterko boczne. – Muszę mieć pewność, czy zapłaciłem tyle, ile trzeba. Za dużo może wzbudzić podejrzliwość i ruszy za nami. Jeśli za mało, to może poczuć się obrażony i robi to samo.

Minęło trzydzieści sekund.

– Stoi. Chyba wszystko w porządku.

Odprężyli się. Kain wskoczył na siedzenie i merdał ogonem, jakby cała ta sytuacja była szalenie zabawna.

– Jeszcze pięć kilometrów – oznajmił Christopher.

– Pięć kilometrów do czego? – zaburczał Bukołów. – Chciałbym, żebyście w końcu nam powiedzieli, co, u licha, się dzieje.

– Za pięć kilometrów musimy zjechać z drogi i czekać, aż zapadnie noc – wyjaśnił Tucker, chociaż nie wiedząc, co będzie później, wcale nie był bardziej zadowolony niż profesor.

Po przebyciu pięciu kilometrów Christopher zjechał na pobocze i w dół stromego zbocza pokrytego piaskiem i kamieniami. Na dole zatrzymał się za głazem, który osłonił ich od strony drogi. Siedzieli w milczeniu, słuchając tykania stygnącego silnika.

Kilka minut później zapadł zmierzch i szybko zrobiło się zupełnie ciemno.

– To nie trwało długo – szepnęła Ania.

– Taka jest pustynia. Za godzinę temperatura spadnie o dwadzieścia stopni. Nad ranem będzie wynosić tuż powyżej zera. W południe znowu będzie ukrop.

Tucker i Christopher chwycili lornetki, odeszli kilkaset metrów na zachód i wspięli się na *kopje*. Położyli się płasko na brzuchach i zlustrowali sześć kilometrów otwartej przestrzeni dzielącej ich od granicy.

Zabójcza ziemia niczyja.

Odległość wydawała się za duża, żeby się przekraść, zwłaszcza że...

– Tam! – Christopher wskazał światła samolotu migające na ciemnym niebie. – Namibijski zwiadowca. Partyzanci co noc robią to samo co my, tylko w drugą stronę. Pod osłoną ciemności przekradają się do RPA, gdzie zwolennicy zaopatrują ich w broń i amunicję.

Tucker śledził wzrokiem samolot lecący wzdłuż granicy, aż w końcu maszyna zniknęła w ciemności.

– Ile ich jest? Jak często przelatują?

– Wiele. Pojawiają się mniej więcej co dziesięć minut.

Przebycie otwartego terenu w tak krótkim czasie wydawało się niemożliwe.

– A co się dzieje, kiedy kogoś wypatrzą?

– Samoloty zwiadowcze są wyposażone w zamontowane w drzwiach chińskie działka wystrzeliwujące do sześciu tysięcy pocisków na minutę. Namibijskie siły powietrzne przypuszczają średnio trzy ataki w ciągu nocy wzdłuż długiej granicy. Kiedy przejedziemy, po drugiej stronie zobaczymy wraki ciężarówek, których kierowcy kiepsko wybrali czas.

– Mam nadzieję, że będziemy w tym lepsi – mruknął Tucker.

– Dzisiejszej nocy czas nie ma znaczenia. Musimy po prostu znaleźć królika. – Po tej tajemniczej uwadze Christopher się podniósł. – Musimy być gotowi i w odpowiednim miejscu.

– Ale gotowi na co?

Młody człowiek nie odpowiedział. Wrócili do samochodu, usiadł za kierownicą i ruszył bez włączania świateł. Mleczna księżycowa poświata zalewała wydmy i *kopje*. Dalej góry Groot Karas wyglądały jak czarna smuga na tle nocnego nieba.

Christopher jechał w tempie szybkiego marszu, żeby opony nie wzbijały kurzu. Skręcił w wąską dolinę pomiędzy wydмами i trzymał się pod ich osłoną. Półtora kilometra dalej wyjechał z niej obok ciągu porośniętych krzakami *kopje*.

Kiedy pełznąć w żółwym tempie, dotarli do ostatniego wzgórza, zatrzymał auto przy ostatnim, tak by nie było go widać na tle skalistego zbocza.

Przed nimi leżała otwarta przestrzeń.

– Teraz czekamy – powiedział.

– Na co? – zapytał Tucker.

– Na królika.

Godzina 20.22

Tucker trzymał lornetkę przy oczach. Zamienił się miejscami z Anią, żeby mieć lepszy widok na otwartą przestrzeń. Przez lornetkę widział ostrzelane wraki aut pechowych przemytników i partyzantów. Większość była na wpół pogrzebana przez omiatane wiatrem wydmy.

Nagle daleko na północnym zachodzie dostrzegł mignięcie światła.

Zesztywniał.

– Coś się rusza – szepnął.

Kierowca pochylił się, też patrząc przez lornetkę.

– Co pan widział?

– Tylko błysk... może blask księżycy na szkle.

Czekali w napięciu. Christopher kilka minut temu wreszcie wyjawiał swój plan. Tucker już wiedział, że to nie z obawy, że go

zostawia, młody człowiek nie chciał zdradzić swojego planu. Milczał, ponieważ plan zakrawał na czyste szaleństwo.

A jednak go realizowali.

Nie było odwrotu.

– Widzę – powiedział Christopher. – Zdecydowanie pojazd, pick-up. Przyspiesza. Oto nasz królik.

Uciekaj, króliczku, uciekaj...

Tucker przez lornetkę patrzył, jak pick-up z zawrotną prędkością pędzi w kierunku RPA. Nic dziwnego, że ich przewodnik wybrał obszar regularnie odwiedzany przez partyzantów. Żeby jego plan się powiódł, potrzebowali przynęty.

– Jeśli w okolicy są obserwatorzy, to nie potrwa długo – uprzedził Christopher.

Samochód mknął, zmierzając do drogi po południowoafrykańskiej stronie. Tucker już nie potrzebował lornetki, żeby śledzić jego jazdę zygzakiem przez wydmy.

Gdy pick-up przejechał półtora kilometra, Christopher szepnął:

– Tam, na południu!

Na niebie zamrugwały światła. Namibijski samolot zwiadowczy pędził niczym polujący jastrząb nad wzgórzami po drugiej stronie granicy, ścigając umykającego królika. Pikował, nabierając prędkości, przyciągany przez chmury pyłu za półciężarówką. Już leciał ledwie siedemdziesiąt metrów nad pustynią. Jeśli nie zmieni kursu, przeleci obok *kopje*, za którym się ukrywali.

– Przygotować się – szepnął Christopher. – Zapiąć pasy i mocno się trzymać.

– To szaleństwo! – warknął Bukołow.

– Cicho, Awramie! – przykazała mu Ania.

– Za kilka sekund... – mruknął Tucker.

Gdy samolot przemknął nad wzgórzem i zniknął, Christopher wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu. Range rover ruszył i zaczął podskakiwać na nierównościach terenu.

– Panie Wayne, niech pan ma oko na ten samolot. Jeśli za szybko się uwiną z tamtym wozem, możemy przyciągnąć ich uwagę.

– Rozumiem. – Tucker wykręcił się w fotelu, wysunął przez okno i przysiadł na drzwiach. Jedną ręką trzymając się bagażnika, śledził wzrokiem pick-upa.

– Raczej im się nie uda! – krzyknął.

– Rzadko im się udaje. Trzymać się mocno!

Range rover zwiększył prędkość; omijając przeszkody, podskakiwał na skałach i wpadał w doliny między wydmami. Chłodny pustynny wiatr mierzwił Tuckerowi włosy. Serce waliło mu z podniecenia.

– Jak daleko do granicy?! – krzyknął.

– Półtora kilometra. Dziewięćdziesiąt sekund.

Tucker patrzył, jak samolot nagle skręca w prawo i leci równoległe do pick-upa.

– Jeszcze kawałek!

Ogień bluzgnął z drzwi samolotu i w stronę pojazdu pomknęły smugi. Wystrzeliwujące sto pocisków na sekundę działko rozdarło pick-upa na kawałki. Wybuch płomieni oświetlił czarną pustynię.

Strzały ucichły.

Dym i płomień wznosiły się nad wrakiem.

Samolot zatoczył koło nad dokonanym przez siebie zniszczeniem. Obserwator z pewnością zobaczył wzbity przez nich ogon pyłu.

– Leci! – krzyknął Tucker.

Odwrócił głowę i zobaczył wysoką do pasa skałę przemykającą obok prawego zderzaka range rovera. Brakowało centymetrów, by strąciła go z drzwi.

– Znak graniczny! – zawołał Christopher. – Przejechaliśmy! Witajcie w Namibii!

Tucker wsunął się do środka i zapiął pasy.

Kain wyciągnął szyję i liznął go po twarzy.

– Już nic nam nie grozi? – zapytała Ania.

– Jesteśmy w Namibii – odparł Christopher. – Więc nie.
Bukołow, taki czerwony, jakby groziła mu apopleksja,
pochylił się.

– Na miłość boską! Chcieliście mnie zabić? Naprawdę tego
chcieliście?

Tucker się obejrzał.

– Nie, panie profesorze, ale dzień jeszcze się nie skończył.

Pogranicze Namibii

20 marca, godzina 22.11 czasu miejscowego

– Powinna być za następnym wzniesieniem – powiedział Tucker.

Miał mapę na kolanach i urządzenie GPS w ręce.

– Czego szukamy? – zapytała wychylona pomiędzy oparciami foteli Ania, przyciskając do piersi rękę w gipsie.

Po szaleńczej jeździe przez granicę Christopher prowadził w rozsądnym tempie, wciąż po bezdrożach, starając się wykorzystywać osłonę, jaką zapewniało im ukształtowanie terenu.

– Tam powinna być utwardzona droga – odparł Tucker. – Prowadząca na zachód w góry.

– Czy to na pewno mądre? – zapytała. – Nie będzie na niej ruchu?

– Możliwe, ale samochód z południowoafrykańskimi tablicami nie jest w Namibii niczym niezwykłym. Jeśli nie ściągniemy na siebie uwagi, mamy szansę.

Christopher spojrzał na dziewczynę.

– Poza tym na drodze jest mniejsze prawdopodobieństwo spotkania partyzantów czy bandytów.

– To znaczy, że będziemy względnie bezpieczni, dopóki nie znajdziemy się na górskich szlakach – dodał Tucker. – Kiedy zjedziemy z utwardzonych dróg i zagłębimy się w góry... wtedy wszystko może się zdarzyć.

Wciąż nie włączając świateł, Christopher wyjechał spomiędzy ostatnich wydm. Przed nimi pojawiła się asfaltowa droga biegnąca prosto przez piaski. Zaczekali minutę, sprawdzając, czy w zasięgu wzroku nie ma innych pojazdów, po czym przeskoczyli przez pobocze na gładką nawierzchnię.

Kierowca zapalił światła i ruszył na zachód.

Mimo że znajdowali się na odludziu, droga była dobrze utrzymana i oznakowana – i zupełnie pusta. Na odcinku czterdziestu kilometrów, kiedy wiała się coraz wyżej, nie dostrzegli ani samochodu, ani żadnego innego śladu cywilizacji.

Gdy droga się rozwidliła, Christopher zatrzymał auto. Bukołów głośno chrapał na tylnym siedzeniu, a Ania spała skulona przy drzwiach.

– Jest piękna – powiedział. – To pańska kobieta?

– Nie.

– Rozumiem. Ale się lubicie, prawda?

Tucker przewrócił oczami.

– To skomplikowane. Pilnuj swojego nosa.

Zastanowił się jednak nad słowami Christophera. Ania z pewnością była atrakcyjna, lecz dotąd nawet nie przeszło mu przez głowę, że między nimi mogłoby do czegoś dojść. W Ameryce będzie potrzebowała przyjaciela i pod tym względem będzie mogła na niego liczyć, ale coś więcej... Hm... czas pokaże. Było mu jej żal, czuł się za nią odpowiedzialny, tylko że to nie jest najlepsza motywacja do rozpoczęcia romansu. Co ważniejsze, ani czas, ani miejsce nie były odpowiednie, żeby w ogóle się nad tym zastanawiać.

Zwłaszcza w pełnej partyzantów Namibii.

Tucker porównał współrzędne GPS z mapą.

– Jesteśmy na dobrej drodze – powiedział. – Tu powinniśmy skrócić, a pół kilometra dalej zjechać na drogę gruntową, która prowadzi na północny zachód.

– Jak daleko mamy do celu?

– Dwadzieścia dziewięć kilometrów.

W każdym razie taką miał nadzieję. Jeśli kierunek nie zgadzał się choćby o ułamek stopnia, jaskinia może leżeć wiele kilometrów od wyznaczonego przez niego miejsca. Co więcej, nawet jeśli jego obliczenia były dokładne, to charakterystyczny element krajobrazu, który musieli znaleźć – Głowa Dzika – mógł zostać unicestwiony przez czas i erozję. Przebiegł go dreszcz paniki i zniechęcenia, lecz starał się niczego po sobie nie okazać.

Zajmij się tym, co masz przed sobą, rangerze, upomniał siebie po raz kolejny.

– Daleko – skomentował Christopher. – Bo teren będzie coraz trudniejszy.

– Wiem. – Tucker spojrział na zegarek. – Dochodzi północ, a nie chcę wjeżdżać w wysokie góry przed świtem. Pojedźmy jeszcze kawałek, poszukajmy miejsca na obóz i trochę odpocznijmy. O świcie pójdę z Kainem na rekonesans.

Bukołów zachrapał, jęknął i mruknął:

– Bolą mnie uszy.

– Jesteśmy na wysokości dziewięciuset metrów, panie profesorze – powiedział Christopher. – Pańskie uszy szybko się dostosują. Proszę spać dalej.

Niedługo później zjechali na wyboistą, pociętą koleinami drogę gruntową. Wspinali się zwięzającym się szlakiem.

Po godzinie jazdy Tucker wskazał urwiste wzgórze z krzakami na szczycie.

– Zobacz, czy da radę tam wjechać.

– Postaram się.

Christopher skręcił ze szlaku i zjechał po skarpie. Przejechał suchym korytem rzeki na południową stronę wzgórza i znalazł tam prowadzącą na górę naturalną rampę. Sto metrów dalej zobaczyli polanę otoczoną półkolem gładkich i karłowatych drzew.

– Może być – ocenił Tucker i Christopher się zatrzymał.

Tucker wysiadł z Kainem i wyciągnął rękę.

– ZWIAD I WRÓĆ.

Pies potruchtął w ciemność; okrążył polanę, badając coś, co wyglądało na szlaki wydeptane przez zwierzynę. Tucker zatoczył

krąg wokół range rovera. Z dali płynęło porykiwanie lwów. Inne stworzenia skrzeczały i wyły.

Pomachał do Ani i Bukołowa, po czym zwrócił się do Christophera:

– Rozbijmy namioty. Co myślisz o rozpaleniu ogniska?

– Płomienie wprawdzie odstraszą ciekawskie zwierzęta, ale mogą przyciągnąć rebeliantów i bandytów. Jestem przeciwny.

Tucker się z nim zgodził. Szybko rozbili obóz, nawet profesor pomagał, dopóki się nie zmęczył, a wtedy niemal padł na posłanie w namiocie. Ania szybko poszła w jego ślady.

– Ja czuwam pierwszy – zwrócił się Tucker do ich przewodnika. – Przez cały dzień siedziałeś za kółkiem. Prześpij się.

– Nie potrzebuję wiele snu. Zluzuję pana za parę godzin.

Nie próbował spierać się z młodym człowiekiem.

Podszedł do range rovera i oparł się biodrem o maskę. Na niebie płonęły gwiazdy z jaśniejącym pasem Drogi Mlecznej. Słuchał brzęczenia owadów, dalekiego pohukiwania i wrzasków, szumu wiatru – odgłosów tworzących kakofonię afrykańskiej nocy.

Trudno było uwierzyć, że za takim niesamowitym pięknem skrywa się równie niesamowite niebezpieczeństwo.

21 marca, godzina 1.24

Tucker pełnił senną wartę, gdy skulony Kain poruszył się przy oponie.

Usłyszał szmer rozsuwanego zamka namiotu.

Odwrócił się i zobaczył Anię owiniętą w koc. Jej oddech mglił się w zimnym pustynnym powietrzu. Podeszła do niego powoli, nieśmiało.

– Nie możesz spać? – zapytał szeptem. – Dokucza ci nadgarstek?

– Nie. Nie o to chodzi... – Zawiesiła głos, wzruszając ramionami.

Poklepał maskę obok siebie.

Usiadła, przysunęła się bliżej i zarzuciła koc na jego ramiona.

– Wyglądasz na zmarzniętego.

Nie zaprzeczył. Musiał przyznać, że nie ma nic przeciwko ciepłu... i towarzystwu.

Kain zerknął na nich, zamruczał gardłowo i znowu się położył.

– Chyba ktoś jest zazdrosny – powiedziała Ania z uśmiechem.

– Potrafi być marudny, kiedy jest zmęczony.

– Widzę, że dobrze znacie swoje nastroje.

– Jesteśmy razem od długiego czasu. Odkąd Kain był szczeniakiem. I po latach szkolenia dobrze poznaliśmy nasze nawyki i dziwactwa.

Nagle poczuł się głupio, że rozmawia o psie z tak piękną kobietą u boku.

Ona jednak chyba nie miała nic przeciwko temu.

– Miło jest mieć kogoś tak bliskiego, kogoś, kto dobrze cię zna.

Nagle zrozumiał, jak niewiele wie o prawdziwej Ani Awerin – i jak bardzo chciałby wiedzieć więcej.

– A skoro już mowa o poznawaniu... – szepnął. – Nie wiem nic o twojej przeszłości. Gdzie się wychowałaś?

Zapadła cisza – najwyraźniej trudno było jej się zwierzać, szczególnie po tylu latach noszenia fałszywej twarzy.

– W wielu miejscach – wymamrotała w końcu, spuszczać wzrok. – Często się przenosiliśmy. Mój ojciec służył w wojsku. Był... twardym człowiekiem.

Usłyszał ból w jej głosie. Po długim krępującym milczeniu odsunęła się od niego. Widocznie trafił w czuły punkt.

– Chyba spróbuję się przespać – mruknęła, zeskakując z maski i zabierając ze sobą koc. Lekko pomachała ręką i wróciła do namiotu.

Noc stała się znacznie chłodniejsza.

Góry Groot Karas, Namibia

21 marca, godzina 5.16 czasu miejscowego

Tucker, obudzony przez Christophera, gdy jeszcze było ciemno, natychmiast oprzytomniał i mięśnie mu stwardniały, kiedy otrząsnął się z pajęczyn niepokojących snów.

– Wszystko w porządku, panie Wayne. Chciał pan, żebym zbudził pana przed wschodem słońca.

– Racja, racja...

Wypełzył ze śpiwora i podniósł spoczywający obok niego karabin AR-15.

Gdy wychodził za Christopherem z namiotu, Bukołów zachrapał i przebudził się.

– Co się dzieje? Stało się coś?

– Nie, profesorze – odparł Tucker. – Może pan spać dalej.

– Mógłbym, gdybyście się nie rozpychali jak dwa słonie. – Przewrócił się na bok, plecami do nich.

Po drugiej stronie namiotu w ciemności błysnęły oczy Ani i po chwili ona też się odwróciła.

Z Kainem za plecami Tucker wyszedł w chłód i mrok. Tupał nogami, żeby przyspieszyć krążenie, podczas gdy Kain przyskoczył do krzaka i zadarł łapę.

Kiedy wrócił, Christopher zapytał:

– W którą stronę pójdziecie i jak daleko?

Tucker wskazał na wschód.

– Przejdziemy kilka kilometrów. Możemy poruszać się ciszej niż range rover. Sprawdzimy, czy pomiędzy nami i celem nie ma

jakiejś przeszkody. Jeśli uznam, że jest bezpiecznie, pojedziemy range roverem. Powinienem wrócić przed południem. Gdybym wpadł w jakieś tarapaty, albo wy, mamy radia.

– Rozumiem.

– Spakujcie rzeczy i przygotuj samochód. Jeśli będzie trzeba, uciekajcie. Nie walcz, chyba że nie będziesz miał innego wyboru.

– Wolałbym pójść z...

– Wiem, ale ktoś musi czuwać nad Anią i Bukołowem. Dlatego tu jesteśmy. Są ważniejsi niż ja.

– Nie zgadzam się, proszę pana. Każde życie jest cenne w oczach Boga.

Tucker wiedział, że polemizowanie z młodym człowiekiem byłoby głupotą. Modlił się tylko o to, żeby – gdyby doszło do walki – Christopher postawił swoje cenne życie nad życie wrogów.

Włożył Kainowi kamizelkę, po czym starannie sprawdził karabin i przypiął do paska kaburę z rewolwerem Smith & Wesson kalibru 44. Podejmował dodatkowe środki ostrożności, bo wiedział, że może napotkać partyzantów, więc chciał mieć silniejszego asa w rękawie. Znalazł kostkę C-4 i wsunął ją do pojemnej naszywanej kieszeni spodni.

To powinno wystarczyć, pomyślał i ruszył z Kainem szlakiem prowadzącym w dół stromego północnego zbocza wzgórza, do niewielkiej doliny. Sprawdził wskazania kompasu, naniósł je na mapę i powędrował na wschód. Góry Groot Karas były unikatowe i obce jak granicząca z nimi pustynia. Na zdjęciach satelitarnych wyglądały tak, jakby ręka olbrzyma wylała na zbocza płynny metal: formacje skalne wiły się jedna wokół drugiej, a zasłane głazami doliny i półksiężycy kanionów rozcinały płaskowyż, tworząc kręty labirynt.

Nic dziwnego, że buntownicy i bandyci wybrali te surowe góry na bazę swoich operacji. Trudno byłoby ich tutaj znaleźć, a jeszcze trudniej wypłoszyć i zniszczyć. Wyglądało na to, że w wojnie partyzanckiej jak w handlu nieruchomościami najważniejsza jest lokalizacja.

Tucker szedł na wschód, korzystał ze szczegółowej mapy, żeby posuwać się równolegle do drogi gruntowej. Wypatrywał wszystkiego, co sugerowałyby pułapkę zastawioną przez bandytów lub partyzantów. Nie chciał żadnych niespodzianek, kiedy sprowadzi tu pozostałych w range roverze.

Partner był przedłużeniem jego oczu i uszu.

ZWIAD. WRÓĆ.

Tak brzmiały rozkazy obowiązujące Kaina, kiedy szli przez labirynt urwisk, krzaków i piasku. Stąpając bezgłośnie, pies sprawdzał każdy zakamarek. Wspinał się na zbocza, zerkał nad krawędziami, badał ślepe wąwozy i węszył przy wejściach do jaskiń, po czym wracał, żeby zameldować: *czysto*.

Po przejściu pięciu kilometrów zajaśniało pierwsze światło nowego dnia. Tucker wyobraził sobie słońce wstające nad daleką pustynią Kalahari, rozpalające piaski i sięgające promieniami ku góróm. Przystanął, żeby się napić, i dał wody Kainowi. Sprawdziwszy kompas, nanosił jego wskazania na mapę.

Nagle Kain poderwał pysk znad składanej miski. Tucker zamarł, patrząc na partnera. Pies przekrzywił łeb najpierw w lewo, potem w prawo, a potem zrobił kilka kroków przed siebie.

Tucker niczego nie słyszał, ale bezgranicznie ufał uszom Kaina. Po cichu schował manierkę i miskę i zarzucił plecak na ramiona.

– BLISKO. CICHY ZWIAD.

Malinois z natury chodził cicho, ale ta komenda kazała mu się skradać. Tucker ruszył pięć kroków za nim. Kain powoli wchodził na piaszczyste wzniesienie, przemieszczając się od kamienia do kamienia, żeby nie spowodować lawiny piasku, która mogłaby zdradzić ich pozycję.

Tucker brał z niego przykład.

Na szczycie pies padł na brzuch i znieruchomiał. Skupienie i ostro postawione uszy sugerowały, że zlokalizował źródło hałasu.

Jego partner też padł na brzuch i przeczołgał się dwa metry, żeby do niego dołączyć. Dotarł do krawędzi.

Przed nimi rozpościerała się wachlarzowata niecka długości około pół kilometra. Po drugiej stronie widniały wyloty kanionów, które przecinały wysoki płaskowyż. Było to miejsce idealne na partyzancką bazę albo bandycką kryjówkę, z kilkoma drogami ucieczki.

Jak na zawołanie, od strony niedalekiej drogi gruntowej w dolinę wjechały dwa ciemne pick-upy z karabinami maszynowymi zamontowanymi na skrzyniach ładunkowych. Tuckerowi zjeżyły się włoski na karku. Nie wiedział, czy to bandyci, czy partyzanci, ale nie miało to większego znaczenia. Byli grupą uzbrojonych ludzi.

To wystarczyło.

To i fakt, że są dokładnie tam, gdzie ich nie chciał.

Obserwował samochody mijające w dole jego pozycję i niknące w jednym z wąwozów. Odczekał kilka minut dla pewności, że nie wrócą, po czym zszedł z Kainem do doliny i ruszył tam, gdzie po raz pierwszy dostrzegł pojazdy. U stóp niewysokiego zbocza niedaleko drogi znalazł jeszcze ciepły popiół ogniska. Wokół walały się odpadki, łącznie z czymś, co wyglądało na oblepione muchami wnętrze oprawionej na miejscu antylopy albo gazeli.

Podszedł do ogniska. Było małe, z warstwą popiołu głęboką na kilka centymetrów, co wskazywało na to, że nieczęsto rozpalano tu ogień. Nie była to stała baza.

Zatem tylko tędy przejeżdżali. Może polowali przed powrotem do głównej bazy zlokalizowanej głębiej w górach.

– Miejmy nadzieję – mruknął.

Sprawdził, która godzina, i uznał, że pora wracać do towarzyszy.

Kain warknął u jego boku i zjeżył sierść.

Tucker przykucnął i w tym momencie usłyszał kolejne warknięcie – nie Kaina.

Po drugiej stronie drogi pojawiły się cętkowane cienie, stado psów – po zaokrąglonych uszach i nakrapianych bokach Tucker rozpoznał afrykańskie dzikie psy, likaony. Z konieczności czytał o naturalnych zagrożeniach, jakie może tutaj napotkać. Wiedział, że likaony są drugimi pod względem wielkości psowatymi drapieżnikami świata, ważącymi do trzydziestu pięciu kilogramów; że cechuje je najwyższa wśród wszystkich mięsożerców siła nacisku szczęk w stosunku do wielkości ciała; że ich najpowszechniejszym sposobem na rozprawienie się z ofiarą jest wypatroszenie.

Patrzył na stos wnętrzności, na smużkę dymu wciąż wznoszącą się z węgielków. Najpewniej zwabił je tutaj zapach. Do tej pory, zniechęcone przez obecność większej grupy ludzi, trzymały się w ukryciu, czekając na odpowiednią chwilę. Po odjeździe intruzów nie zamierzały tolerować jednego człowieka i psa w swojej spizarni.

Kiedy wataha dotarła do drogi, Tucker szybko się wycofał, pociągając ze sobą Kaina. Wycelował z karabinu, gdy zwierzęta przedarły się przez krzaki.

Nie chciał strzelać – nie dlatego, że były psami, ale ponieważ partyzanci usłyszeliby huk i najprawdopodobniej wrócili do drogi.

Cofał się, mając nadzieję, że likaony, widząc takie spokojne zachowanie, przestaną się nimi interesować. Większa część stada podbiegła do pożywienia; spłoszone spasione muchy chmarą wzbiły się w powietrze. Zwierzęta ucztowały, powarkując i popiskując, przepychając się i poszturchując.

Dwa likaony zignorowały jednak łatwą zdobycz i wyraźnie zainteresowane świeżym mięsem popędziły za Tuckerem i Kainem. Pierwszy przyskoczył do Tuckera i rozdziawił pysk, mierząc w krocze. Spodziewając się takiego ataku, Tucker obrócił karabin i trzasnął go kolbą w czaszkę. Pies upadł, oszołomiony wstał chwiejnie i odszedł, potykając się. Był to samiec.

Zaskoczona nagłym atakiem samica zawahała się. Uskoczyła w bok i obserwowała ich, stąpając tam i z powrotem. Ściągała

wargi, szczerząc zęby, i miała nastroszoną sierść. Kain naśladował jej ruchy, warcząc groźnie.

Tucker wiedział, że zachowania likaonów różnią się od innych psowatych – watasze przewodzi dominująca samica, nie samiec.

I właśnie miał przed sobą przywódczynię.

Jakby na potwierdzenie tego, z głębi gardła samicy popłynął ćwierkliwy odgłos; wzywała wsparcie. Kilka psów oderwało zakrwawione pyski od uczyty.

Tucker wiedział, że ucieczka nie wchodzi w rachubę. Wataha dopadłaby ich w kilka sekund. Musieli urządzić tu bastion, zanim samica zwoła wszystkie psy – a to oznaczało unieszkodliwienie jej.

Wciąż nie chciał strzelać, wiedząc, że echo poniesie się daleko, najpewniej do niepowołanych uszu.

Ale miał inną broń.

Wskazał samicę.

– ATAK.

Kain rusza, zanim jego partner kończy komendę. Spodziewał się rozkazu – i natychmiast przypuszcza atak. Wrze w nim agresja, rozpalona do czerwoności przez samicę. Czuje zapach jej sierści, odczytuje w jej postawie, że znalazł się na jej terytorium, słyszy groźbę.

Samica nie ustępuje i skacze na niego w tej samej chwili.

Zderzają się mocno pierś w pierś, zęby błyskają, chwytając powietrze i sierść. Przetaczają się po ziemi, splątani, najpierw on jest na górze, potem ona.

Jest szybka i silna, chce mu się dobrać do odsłoniętego brzucha. Gryzie mocno – ale znajduje nie miękkie ciało, tylko twardą kamizelkę. Kain wysuwa się spod niej, wykorzystując jej dezorientację i zaniepokojenie. Skacze, kłapiąc szczękami, i rozdziera jej ucho.

Samica ponawia atak, ale teraz ma się już na baczności.

Kain wyczuwa jej strach.

Warczy niżej, groźniej. Kładzie uszy, stroszy sierść na grzbiecie. Szerzej rozstawia przednie łapy, rzucając jej wyzwanie. Ze skurczonych fafli ścieka ślina zmieszana z jej krwią.

To wystarcza.

Samica, zniechęcona jego bojową postawą, twardością jego fałszywej skóry, cofa się.

Jeden krok, potem drugi.

Kain słyszy nową komendę przebijającą się przez szkarłatną mgłę jego gniewu.

CHODŹ. ZA MNĄ.

Słucha, cofa się, przez cały czas patrząc wyzywająco w oczy samicy, dopóki nie traci jej z pola widzenia.

Tucker spiesznie oddalił się od obozowiska i pokonał kilkaset metrów, zanim zwolnił. Przystanął tylko na chwilę, żeby przeciągnąć palcami po ciele Kaina. Poza wyrwanymi kępkami sierści pies wydawał się cały i zdrowy.

Jak Tucker miał nadzieję, wzmocniona kevlarem kamizelka taktyczna nie tylko ochroniła Kaina, ale też wyraźnie zaskoczyła jego przeciwniczkę swoją wytrzymałością. Samica bez protestów pozwoliła im odejść.

Wracali po własnych śladach, więc droga powrotna przebiegła znacznie szybciej. Zjawili się w obozie krótko przed południem i zostali radośnie powitani przez Christophera i Anię.

Nawet Bukołów zaskakująco szczerze wyburczał:

– Cieszę się, że żyjecie.

Podczas gdy Ania z profesorem szykowała lunch na zimno, Tucker opowiedział Christopherowi o spotkaniu z partyzantami i likaonami.

– Miał pan szczęście, panie Wayne, że przeżył pan spotkanie z wygłodniałą watahą. I miejmy nadzieję, że nie myli się pan co do tego, że ci ludzie byli tam tylko przejazdem. Proszę mi pokazać na mapie, jak daleko pan zaszedł, a zaplanuję najlepszą trasę, żeby uniknąć kłopotów.

Pół godziny później wszyscy zgromadzili się nad mapami i planami. Christopher i Tucker wytyczyli trasę do miejsca wskazanego przez współrzędne De Klerka. Ale rozwiązali tylko jeden problem.

– Na miejscu musimy znaleźć ten element krajobrazu, o którym wspomniał De Klerk – powiedział Tucker. – Coś w kształcie głowy dzika w pobliżu wodospadu. – Zwrócił się do Bukołowa i Ani, którzy jako jedyni dokładnie znali historię De Klerka: – Czy w dzienniku z czasów oblężenia De Klerk zawarł jakieś inne informacje dotyczące wodospadu, na przykład jego wysokość?

– Nie – odparł profesor.

– Może napisał, czy jest zasilany przez źródło, czy przez wodę deszczową?

Ania pokręciła głową.

– Nie podał żadnych szczegółów dotyczących trasy żołnierzy przez góry – odparła.

– W takim razie musimy się tam dostać i sprawdzać każdy potok, strumień i strużkę, szukając wodospadu.

Christopher rozważył jego słowa.

– Mamy koniec pory deszczowej. Na wyżynach prawdopodobnie będzie mnóstwo strumieni i wodospadów. To dobrze i źle. Źle, ponieważ może być wiele miejsc do zbadania.

Prowadzenie długotrwałych poszukiwań...

Tucker wyobraził sobie zmierzającą ich tropem Felice.

Ile mają czasu?

– A dobrze? – zapytała Ania.

– Podłoże jest twarde i nieustępliwe. W konsekwencji strumienie i rzeki rzadko zmieniają bieg. Rok po roku są takie same. Jeśli wodospad był tam w czasach De Klerka, prawdopodobnie wciąż istnieje.

– Więc to nie będzie szukanie wiatru w polu – powiedział Tucker. – Wodospad gdzieś tam jest.

Była to mała pociecha, ale na tym pustkowiu nie mógł liczyć na więcej.

Zrolował mapy.
– Jedziemy.

Góry Groot Karas, Namibia

21 marca, godzina 15.30 czasu miejscowego

Posiłkując się mapą Tuckera, jechali powoli i miarowo – przede wszystkim powoli.

Christopher kierował się na wschód drogą gruntową. Przejechali obok obozowiska, gdzie Tucker i Kain spotkali się z afrykańskimi dzikimi psami, i parę kilometrów dalej szlak się skończył – niknął tak stopniowo, że dopiero po kilkuset metrach zorientowali się, że jadą bezdrożem.

Zatrzymywali się mniej więcej co kilometr.

Tucker zabierał Kaina i wysiadał, wspinał się na najwyższy punkt obserwacyjny i sprawdzał, czy przed nimi nie ma ukrytych bandytów albo partyzantów. Wytyczał również jak najlepszą trasę dla samochodu, posługując się wzrokiem i mapami topograficznymi.

Gdy Christopher wiozł ich skalistym wąwozem, testując możliwości range rovera w jeździe przełajowej, Tucker usłyszał sygnał GPS. Spojrzał na ekran.

– Zbliżamy się do miejsca wskazanego przez De Klerka. Jeszcze jakieś pół kilometra. – Przeniósł spojrzenie z ekranu na wąwóz i obliczał w pamięci. – To powinno być na szczycie następnej przełęczy.

Range rover pokonywał ostatni odcinek pomiędzy zbliżającymi się do siebie ścianami. Było ciasno, ale zdołali dotrzeć na przełęcz i wyjechali na otwarty płaskowyż.

– Zatrzymaj się – poprosił Tucker.

Wszyscy wysiedli, zmęczeni, ale podekscytowani.

– Udało się – powiedziała Ania z wielkim zaskoczeniem.

Tereny za płaskowyżem przypominały strzaskane schody olbrzymów. Płaskowzgórza i góry stołowe wznosiły się coraz wyżej. Niezliczone błyski odbitych promieni słonecznych oznaczały spadające z wysoka strugi wody, ożywiające krajobraz jak srebrna lameta.

Blżej wznosiło się dziesięciometrowe urwisko przecięte przez dwie doliny, dość szerokie, by mógł w nie wjechać range rover. Pomędzy nimi sterczał dziwnie uformowany fragment urwiska w kształcie trójkątnego nosa o tępym czubku. Zbocza były zbyt strome, żeby się wspiąć na górę.

Ale uwagę Tuckera przyciągnęły bliźniacze wąwozy, rozchodzące się jak wielkie mroczne V, tyle że ramiona V były lekko zakrzywione, jak uniesione szable...

– Głowa dzika – mruknął Bukołów jakby z rozczarowaniem.

Tucker dopiero teraz zobaczył, że wystające urwisko przypomina spłaszczony świński ryj – z dwoma kanionami tworzącymi szable.

Rozumiał rozczarowanie profesora. Jego wyobraźnia stworzyła wizerunek wspaniałej granitowej głowy dzika z lśniącem strumieniem wody tryskającym spomiędzy szabl, wpadającym do stawu, wokół którego rosły pustynne kwiaty.

Rzeczywistość okazała się znacznie bardziej prozaiczna.

A także niebezpieczna.

Tucker kazał wszystkim zabrać plecaki i ruszyli. Po jakimś czasie wskazał dwa kaniony.

– Póki jeszcze jest widno, powinniśmy sprawdzić oba. Profesor pójdzie ze mną, Ania z Christopherem. Wszyscy mają mieć włączone radia. Jakies pytania?

Nie było żadnych.

Tucker z Kainem i Bukołowem skierował się do wąwozu po prawej. Szedł pierwszy. Wąwóz z dnem zasłanym piaskiem i kamieniami miał jakieś dwa i pół metra szerokości.

– Jak znajdziemy tu wodę? – zapytał profesor.

– Kain to robi.

Partner podbiegł do niego, a Tucker przykląkł, wylał trochę wody z manierki na dłoń i przysunął ją do nosa psa.

– SZUKAJ.

Kain odwrócił się, unosząc pysk.

Zrobiłeś to już wczoraj, przyjacielu, więc zrób jeszcze raz.

Jakby czytając w myślach partnera, Kain spojrział na niego i popędził w głąb wąwozu.

– Coś wyczuł. Idziemy.

Podążali za psem, nie dotrzymując mu kroku; ostrożnie stąpali po rumoszu i obchodzili głazy. Znaleźli Kaina przy skalnej ścianie po lewej stronie. Pies szczeknął na widok partnera i podskoczył, opierając się łapami o ścianę.

– Czy to znaczy, że coś znalazł? – zapytał Bukołów.

– Zaraz się przekonamy.

Tucker zdjął plecak i wyjął saperkę. Podszedł do ściany i odłupał kawałek piaskowca. Kopał, aż zrobił dziurę głębokości może piętnastu centymetrów. Wymagało to czasu i wysiłku, ale spotkała go nagroda, gdy zobaczył zmianę w kolorze skały. Sięgnął w głąb dziury i namacał ciemniejszy czerwonawobrazowy piasek. Ziarnka były zlepione.

– Tu jest wilgoć.

– Co to oznacza? – zapytał profesor.

– Gdzieś tutaj musi być źródło wody – odparł Tucker, kładąc rękę na ścianie.

– W jaskini?

– Możliwe.

Bukołów ściągnął brwi.

– Ale przecież nie ma tu wodospadu!

– Nie. Ale w pobliżu jest źródło wody. – Tucker poklepał partnera po boku. – Dobry pies.

Kain jakby nie przyjął pochwały; obwąchał zapiaszczone palce, szybko szczeknął trzy razy, po czym znowu skoczył na ścianę.

– Sza! – powiedział Tucker.

Kain posłuchał, ale stał oparty łapami o powierzchnię skały, zadzierając łeb.

Co próbujesz mi powiedzieć?

Tucker odsunął się od ściany, przysłonił oczy ręką i spojrzał w górę.

– Co się dzieje? – usłyszał za plecami wołanie Christophera.

– Nasz kanion się skończył – wyjaśniła Ania, która towarzyszyła ich przewodnikowi. – Usłyszeliśmy szczekanie.

Christopher wyraźnie utykał na lewą nogę.

– Skręciłem kostkę na luźnych kamieniach. Boli, ale poza tym w porządku.

Ania spojrzała na Kaina.

– Co znalazł?

– Nie...

Nagle Tucker zrozumiał.

Ruszył w głąb kanionu i niebawem znalazł to, czego szukał: głązy spiętrzone pod lewą ścianą.

– Chyba uda mi się po nich wejść.

– Po co? Do licha, co się dzieje? – zapytał Bukołów, podchodząc do niego z Anią i Christopherem.

– Wspinam się – rzucił Tucker, obracając się w jego stronę. – Coś na górze intryguje Kaina.

– Idę z tobą – oznajmiła Ania.

Spojrzał na jej gips.

– Dam radę – rzuciła. – Skoro mogłam się wspiąć do fortu Klipkoppie, tutaj też sobie poradzę.

Christopher z obolałą nogą nie kwapił się do nich dołączyć.

– Zostań z profesorem Bukołowem – zwrócił się do niego Tucker. – Sami to sprawdzimy.

Nie wiedząc, co jest na górze, potrzebował dodatkowej pary oczu i uszu. Pochylił się, wziął Kaina na barki sposobem strażackim i ruszył po gładkich. Miejscami wspinaczka była ryzykowna, ale bez wypadku dotarli na szczyt.

Znaleźli się na płaskim wierzchołku zasłanym gładzami, które tworzyły istny labirynt. Po prawej stronie płaskowyz kończył się

świńskim ryjem, a po lewej piętrzyły się dwie kolejne płaskie góry, jak uniesione ramiona ogromnej bestii.

– Stoimy na Głowie Dzika – powiedział.

To musiało być ważne.

– SZUKAJ – wydał komendę.

Pies bez wahania popędził ku wyższym górcom, klucząc wśród głazów. Tucker i Ania poszli za nim i po kilku zakrętach znaleźli go siedzącego obok sadzawki, do której spadała po szeregu progów skalnych skrząca się kaskada.

Kain wesoło machał ogonem, jakby chciał powiedzieć: „No, właśnie o tym mówiłem”.

– Co, u licha... – szepnęła Ania, patrząc na tańczącą po skale wodę. – Czy to wodospad De Klerka? Jeśli tak, to gdzie jest jaskinia?

– Nie wiem.

Tucker poświęcił chwilę, żeby się przyjrzeć sadzawce i wodospadowi. Coś tu się nie zgadzało. Jeziorko w kształcie nerki miało około sześciu metrów szerokości. Patrzył na wpadającą do niego kaskadę, która raczej nie była sezonowa. Wydawało się za małe, żeby pomieścić taką ilość wody.

Więc dlaczego się nie przelewała?

Wkrótce poznał odpowiedź.

Góry Groot Karas, Namibia

21 marca, godzina 16.38 czasu miejscowego

Tucker ukląkł na skraju wody przy Kainie. Przekrzywił głowę i spojrzał na powierzchnię jeziora, przypatrując się drobnym zmarszczkom rozchodzącym się od kaskady po drugiej stronie.

– Czego szukasz? – zapytała Ania.

– Jest! – Wskazał miejsce blisko środka, gdzie zmarszczki lekko na siebie nachodziły. – Widzisz wir?

– Tak, widzę, ale co to znaczy?

– To znaczy, że woda wycieka na dół. Dlatego się nie przelewa, choć jezioro jest bez przerwy zasilane przez wodospad. Woda spływa w takiej ilości, w jakiej jej przybywa.

– Myślisz, że na dole jest jaskinia? – zapytała Ania z nutą podniecenia w głosie.

– Możliwe, że właśnie ta, której szukamy. Jesteśmy w miejscu wyznaczonym przez współrzędne De Klerka.

Wrócił na skraj urwiska i krzyknął do Christophera:

– Potrzebna mi lina z plecaka! Możesz mi ją rzucić?

– Chwileczkę!

– Co znalazłeś? – zapytał Bukołow.

– To, co miałem znaleźć!

Christopher wyjął nylonową linkę, zrobił na końcu duży węzeł i rzucił. Tucker złapał za pierwszym razem i wciągnął resztę liny. Zawrócił do sadzawki i okręcił liną leżący na brzegu głaz.

Włożył rękawice i cisnął koniec z węzłem na środek sadzawki.

Węzeł zatonął, a po kilku pełnych napięcia oddechach lina zaczęła przesuwać się w jego palcach. Znikała w wodzie, z początku powoli, potem coraz szybciej. W końcu wyskoczyła mu z palców i utworzyła linię prostą od głazu do wiru.

Tucker wszedł do sadzawki, sunąc ręką po linie. Kiedy woda sięgała mu do połowy uda, poczuł lekkie szarpnięcie wiru. Zacisnął palce na linie i szedł dalej krok po kroku. Wir stawał się coraz silniejszy. Gdy woda sięgnęła do pasa, buty zaczęły się ślizgać po skałach.

Dla bezpieczeństwa okraczył linę, chwycił ją oburącz i ruszył tyłem ku środkowi sadzawki.

Stawiał ostrożne kroki.

Nagle lewa noga nie znalazła dna. Sapiąc z zaskoczenia, opadł na prawe kolano. Woda pieniała się i kotłowała tuż poniżej jego barków.

– Tucker, uważaj! – Ania stała na brzegu, wyraźnie przejęta, z ręką uniesioną do szyi.

Kain szczechnął do niego.

– Nic mi nie jest – zapewnił ich Tucker.

Pociągnął linę i wyrwał nogę z dziury. Zaparł się, żeby nie stracić równowagi w wirującej wodzie. Ściskając linę prawą ręką, pochylił się i lewą sięgnął w dół. Macał dno, aż znalazł palcami skraj otworu.

– Wydaje się dość duży! – zawołał do Ani.

– Dość duży na co?

– Na mnie.

– Tucker, nie! Nie wiesz, co jest na dole. Nie...

Zaczerpnął powietrza, usiadł, spuścił nogi do dziury i zsunął się na dół.

Obracając się na linie, opuszczał się przemieszczając dłonie. Wreszcie poczuł pod butami twarde podłoże. Znalazł pewne oparcie dla nóg, cofnął się kilka kroków od strumienia wody i puścił linę. Zgięty, zasapany, wypluł wodę, zakasłał i przetarł oczy.

Wyprostował się, przekonany, że niewiele zobaczy, ale z góry wpadało przefiltrowane przez wodę światło. Gdy oczy się dostosowały, zauważył otaczające go wąskie snopy blasku, który sączył się przez szczeliny w stropie i nachylonych ścianach.

Panował tu półmrok.

Tucker wyjął z kieszeni latarkę i oświetlił owalną grootę z wodospadem pośrodku. Woda zebrała się w kilku miejscach, ale większość wyciekała przez szczeliny w podłożu.

Obracając się powoli, określił swoją pozycję względem zewnętrznego krajobrazu. Oczywiście nad głową miał zasłany głazami płaskowyż. Po lewej znajdował się świński ryj, urwisko obramowane przez cieniste szable dzika. Na prawo spostrzegł wyloty dwóch tuneli, które wyglądały jak bliźniacze lufy strzelby. Przypuszczał, że prowadzą na wyższe płaskowyże za głową dzika.

Świecąc latarką po grocie, wyobraził sobie żołnierzy siedzących wokół stołów oświetlonych lampami naftowymi, polerujących bagnety, żartujących i opowiadających wojenne historie.

Popatrzył na tunele. Był ciekaw, dokąd prowadzą, ale wiedział, że nie jest to czas na samotną eksplorację.

Z westchnieniem spojrział na linię wijącą się w strudze wody.

Potrzebował pozostałych.

Wyjście okazało się sto razy trudniejsze niż zejście. Przemieszczając dłonie wciągał się przez dudniącą wodę, aż w końcu dotarł do otworu i wygramolił się na powierzchnię. Wyczerpany, dobrnął do brzegu i padł jak długi. Przekręcił się na plecy i wygrzewał się w słońcu.

– Tucker? – Ania uklękła obok niego. – Nic ci nie jest?

Kain podszedł z drugiej strony i natarczywie trącał go nosem, na wpół powitalnie, na wpół z naganą.

– Co tam jest? – zapytała Ania.

– Sama zobaczysz – odparł z szerokim uśmiechem.

Godzina 17.23

– Niech cię Bóg błogosławi, chłopcze! – wykrzyknął Bukołów, stając na brzegu sadzawki. – I twojego psa!

Dostarczenie go na płaskowyż wymagało sporo zachodu, ale profesor okazał się sprawniejszy, niż można było przypuszczać. Christopher wypoczął w czasie, gdy Tucker badał grotę, i pewnie opierał się na lewej nodze. Bez pomocy wszedł po schodach z głazów.

– Stoimy u wejścia do jaskini De Klerka! – zawołał Bukołów. – U progu odkrycia największego skarbu znanego ludzkości!

Tucker nie miał nic przeciwko wykrzyknikom i lekkiej przesadzie.

Bo naprawdę tego dokonali.

Christopher i Ania chichotali, stojąc obok profesora.

Tucker poszedł na skraj urwiska, żeby sprawdzić, jaki ekwipunek wciągnęli na linie. Uznał, że przyda mu się jeszcze kilka drobiazgów, wyprostował się i zawołał:

– Zrobię jeszcze jedną rundkę do samochodu, póki jest widno!

Pokiwali głowami. Nim jednak zdążył zrobić krok, w plecaku zabrzczał telefon satelitarny. Wyjął go i odebrał.

– Tucker, cieszę się, że cię złapałam. – W głosie Harper słychać było napięcie.

– Co się stało?

– Gdzie byłeś?

– W dziurze. W miejscu wskazanym przez De Klerka. Znaleźliśmy je. Znaleźliśmy...

– Kto jest z tobą?

– Wszyscy.

– Jak blisko?

– Piętnaście metrów. – Tucker, zorientowawszy się, że Ruth Harper zależy na poufnej rozmowie, odsunął się dalej i stanął za głazem. – Teraz prawie dwadzieścia. O co chodzi?

– Zdekonstruowaliśmy zdjęcie, które przysłałeś, to z kawiarenki internetowej w Dimitrowgradzie. Jest

spreparowane. Zostało obrobione w Photoshopie. Nie pytaj mnie o szczegóły, ale technicy znaleźli jakieś defekty pikselowe.

– Mów dalej.

– Coś takiego powstaje, kiedy wycinasz fragment jednego zdjęcia i wklejasz go w drugie. Rozumiesz?

– Jak zamiana końskiej dupy z twarzą twojego szefa. Kapuję. Dalej.

– Twoje zdjęcie w kawiarence internetowej zostało złożone z dwóch różnych zdjęć. Na jednym jest wnętrze kawiarenki, a na drugim ty, sfotografowany gdzieś indziej. Ktoś je połączył. Spreparował.

– Co, do cholery...?

– Nasi technicy wyizolowali twoje zdjęcie. Przez ekstrapolację i na podstawie struktury pikseli zdołali odtworzyć pewne szczegóły, które zostały wycięte, głównie wokół rąk. Na tym spreparowanym zdjęciu twoje ręce unoszą się nad klawiaturą komputera, ale jak się okazało, w rzeczywistości spoczywały na kierownicy.

– Więc zdjęcie zostało zrobione w trakcie jazdy.

– Otóż to. I zapewne telefonem komórkowym. Widać cię z profilu, jakby zrobił je ktoś siedzący obok ciebie.

Po kilku sekundach do Tuckera dotarło znaczenie tego, co usłyszał. Mocno zacisnął powieki, jej ostatnie słowa tłukły mu się po głowie.

„Widać cię z profilu, jakby zrobił je ktoś siedzący obok ciebie”.

– Co miałem na sobie? Nie pamiętam.

– Zimowy strój kamuflujący.

Miał tę kurtkę, kiedy wyprowadził Anię z kazańskiego Kremla. Później uciekli z miasta. Przypomniał sobie tamtą jazdę.

Bukołow i Utkin siedzieli z tyłu.

Ania obok niego.

– To ona – szepnął.

Zdesperowany zamknął oczy. Ukradkiem zrobiła mu zdjęcie komórką, kiedy wywoził ich z Kazania, i przesłała je pocztą elektroniczną, zanim zabrał im sprzęt.

Musiał zrewidować swoje poglądy na temat dotychczasowych wydarzeń – i oprzeć się ręką o głaz, żeby nie stracić równowagi, bo nogi się pod nim ugięły.

Ania kłamała, że w Dimitrowgradzie wyszła tylko po herbatę. Mając wolną rękę, skontaktowała się z ludźmi Charzina i powiedziała, gdzie Specnaz ma urządzić zasadzkę. Śledziła go i wiedziała, że korzystał z kawiarenki internetowej. Ludzie Charzina wykorzystali te informacje, żeby spreparować zdjęcie. Było to ubezpieczenie, fałszywy trop. Przekazano je żołnierzom ze Specnazu na wypadek, gdyby zasadzka się nie udała. Jeśli sytuacja rozwinęłaby się zgodnie z tym najgorszym – dla Charzina – scenariuszem, miał znaleźć zdjęcie i założyć, że napastnicy ich śledzili, co postawiłoby Anię poza wszelkimi podejrzeniami.

Ale nie to było najgorsze.

Utkin...

Nagle Tucker stwierdził, że trudno mu oddychać i ściska go w dołku. Wyobraził sobie mężczyznę wykrwawiającego się na plaży, poświęcającego własne życie, żeby ocalić ludzi, którzy niesłusznie go oskarżyli i wydali na niego wyrok.

Mimo to nas ocaliłeś.

Utkin wcale ich nie zdradził. To Ania go wrobiła. Generator sygnału należał do niej. Puste pudełko do kart w torbie asystenta profesora należało do niej. Wiedziała, że Utkin będzie miał przy sobie talię kart, a podrzucenie dowodu nie było trudne.

Głos Harper wybuchł w jego uchu, przywołując go do teraźniejszości.

– Tucker!

– Jestem. – Odetchnął głęboko. – To Ania. Pracuje dla Charzina. Powinienem się tego domyślić.

– Nie miałeś jak.

– Tak czy inaczej, musimy założyć, że była w kontakcie z ludźmi Charzina po tym, jak wylądowaliśmy w Afryce. Była ze mną, kiedy znalazłem Studnię Grietje. Zna współrzędne tego miejsca. Więc zna je również Charzin.

– A to oznacza, że prawdopodobnie niebawem będziesz miał towarzystwo – powiedziała Harper. – Co zamierzasz zrobić?

– Znaleźliśmy jaskinię, ale nie okazy LUKI.

– No to masz niewiele możliwości.

– Tylko jedną. Zabrać Bukołowa do jaskini i pozwolić mu pracować. W tym czasie przygotuję się do oblężenia i rozmieszczę w jaskini ładunki C-cztery. Jeśli nie zdołamy zatrzymać Felice i jej ludzi, wysadzę wszystko w diabły.

Zapadła długa cisza.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie – odezwała się w końcu Harper. – I co z Anią? Co zamierzasz z nią zrobić?

– Na krótszą metę jeszcze nie zdecydowałem.

– A na dłuższą?

Wyobraził sobie twarz Utkina.

– Nie sądzę, żeby była dla niej jakaś dłuższa meta.

Godzina 17.38

Tucker ukląkł przy plecaku, niewidoczny dla innych, i odciął dwa dwumetrowe kawałki liny. Rozmyślał nad tym, jak łatwo Ani udało się go zwieść. Z drugiej strony, podobnie postąpiła ze swoimi zwierzchnikami w SWR. Od początku była kretem GRU albo Charzina. Z tego powodu fałszowała raporty wysyłane do SWR – nie dla ochrony Bukołowa, ale żeby pomóc generałowi. Wyjawienie, że jest agentką SWR, było sprytnym posunięciem: przyznać się do obciążającego ją kłamstwa, rzucić się na własny miecz i okazać skruchę. Potem udawać, że gra się w tej samej drużynie, zmagać się z trudnościami i cierpieć wraz z pozostałymi. A na koniec, kiedy wyszła na jaw rzekoma zdrada Utkina, bronić go ze współczuciem i próbować uzasadnić jego postępowanie.

Boże... – pomyślał Tucker.

Wstał, schował kawałki liny do kieszeni plecaka i podniósł karabin AR-15. Wrócił na brzeg sadzawki.

Christopher pomachał mu ręką na powitanie.

– Myślałem, że wybrałeś się do range rovera po więcej zapasów.

Kain przytruchtał z uniesionym ogonem, ale natychmiast wyczuł ponury nastrój partnera. Zwiesił ogon i cały zeszywniał, przygotowując się do działania.

Ania nie omieszkała okazać zmartwienia.

– Tucker, co się stało?

Uniósł karabin i wycelował w nią.

– Ręce nad głowę. Jeśli choć kiwniesz palcem, zastrzelę cię.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała, udając konsternację, ale zauważył błysk wściekłości w jej oczach.

– Pięć sekund, Aniu.

– Przerażasz mnie.

Christopher i Bukołów otrząsnęli się z chwilowego szoku i dali wyraz zdumieniu. Tucker zignorował ich chóralne protesty.

– Trzy sekundy.

Przycisnął kolbę do ramienia.

Ania uniosła ręce. Z miną skrzywdzonej niewinności spojrzała na profesora i Christophera, szukając wsparcia.

– Powiedz mi, o co chodzi – rzuciła.

– Moi ludzie popracowali nad zdjęciem z kawiarenki internetowej w Dimitrowgradzie. To byłaś ty, od samego początku. Ty byłaś zdrajcą. Nie Utkin. To był uczciwy chłopak, a ty go wrobiłaś, zwałając na niego winę.

Christopher i Bukołów ucichli.

– Tucker, proszę, nie wiem, o czym...

– Zaprzecz jeszcze raz... Jeszcze raz, a wpakuję ci kulę w stopę.

Wpatrywała się w niego i w końcu zrozumiała, że mówi poważnie. Patrzyła, nie okazując wstydu, ale też bez śladu satysfakcji.

– To nie było nic osobistego. Widok rozlewu krwi nie sprawia mi przyjemności. Lubiałam Utkina, naprawdę... Niestety, było to

konieczne. Znam swoje obowiązki i wypełniałam je w miarę moich możliwości. – W jej tonie nie było ani chłodu, ani pogardy, tylko spokojna pewność siebie.

– Kiedy będą tu twoi ludzie? – zapytał.

– Nie powiem ci.

– Jak nas namierzali?

Tylko na niego patrzyła.

– Na kolana, potem na brzuch, ręce płasko na skale – nakazał.

Wykonała polecenie, poruszając się z zaskakującym wdziękiem.

– PILNUJ – wydał Kainowi komendę.

Gdy pies na sztywnych łapach podszedł do jej boku, Tucker podał broń Christopherowi.

– Weź ją na cel.

Szybko związał ręce i nogi dziewczyny. Przeszukał ją, wyjmując to, co znalazł, zdjął nawet buty i skarpetki. Sprawdził wszystko, ale nie znalazł żadnych nadajników ani innych urządzeń elektronicznych.

Był przekonany, że nie miała telefonu, co oznaczało, że ludzie Charzina ją namierzali. Ale jak? Będzie musiał przeszukać jej plecak i samochód.

Spostrzegł, że Bukołów oddalił się o kilka kroków i stoi plecami do nich.

Zaniepokojony, podszedł do niego. Nie chciał, żeby profesor się załamał. I bez tego nie miał stabilnej osobowości.

– Panie profesorze?

Starszy pan spojrzał na niego, po czym odwrócił głowę, ale Tucker zdążył zobaczyć łzy.

– Umarł z myślą, że go nienawidzę.

Utkin...

– Byłem taki głupi. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Chciał panu pomóc. – Tucker położył rękę na ramieniu Rosjanina. – Wiedział, że ktoś nas zdradził, i dlatego rozumiał naszą nieufność. Ocalił nas, ponieważ nie chciał odejść napiętnowany z powodu zdrady. Musimy to uszanować.

Bukołow pokiwał głową, ocierając oczy.

– Postaram się.

– Proszę zapomnieć o Ani. Zapomnieć o wszystkim. Chcę zabrać pana do jaskini, a pan chce znaleźć próbkę LUKI. Teraz tylko to się liczy.

– A co z ludźmi Charzina?

– Niech to będzie moje zmartwienie. Proszę się skupić na tym, co ma pan tutaj zrobić. Im prędzej znajdzie pan LUCĘ, tym szybciej stąd odejdziemy... przy odrobinie szczęścia, zanim się zjawią nasi wrogowie. Jest pan ze mną, profesorze?

Bukołow wyprostował się, głęboko odetchnął i zdecydowanie pokiwał głową.

– Jestem.

Tucker przeniósł spojrzenie na Anię. Wciąż leżała na brzuchu, z rękami związanymi za plecami, pilnowana przez Christophera i Kaina.

Nadszedł czas, żeby obrócić jej zdradę na swoją korzyść.

Góry Groot Karas, Namibia

21 marca, godzina 18.12 czasu miejscowego

Stojąc na brzegu sadzawki, Tucker dał Bukołowowi rewolwer Smith & Wesson kalibru 38. Choć magazynek bębnekowy mieścił tylko pięć naboí, była to – z powodu rozmiaru, celności i niezawodności – jego ulubiona broń. Przetrawanie strzelaniny zależy często nie tyle od liczby naboí w magazynku, ile od jakości broni. Wolał mieć pięć pewnych strzałów niż dziesięć marnych.

– Umie pan posługiwać się bronią? – zapytał.

Bukołow obrócił rewolwer w rękach.

– Tu się naciska palcem. Tędy wylatują kule. Chyba dam radę. – Zerknął na Anię, wciąż leżącą na brzuchu i związaną. – Mogę ją zastrzelić?

– Nie, chyba że się uwolni i pana zaatakuje. Zostawiamy pana tutaj, żeby pan jej pilnował do naszego powrotu.

Christopher czekał, stojąc z boku. Zamierzali we dwójkę wrócić do range rovera, w którym został plecak Rosjanki. Tucker chciał dokładnie przeszukać plecak i SUV-a. Musiał znaleźć nadajnik, a poszukiwania przebiegną szybciej, jeśli będą je prowadzić dwie osoby.

Spojrzał na niebo.

Została mniej niż godzina dziennego światła.

Podszedł do Ani i ostatni raz przed odejściem sprawdził jej więzy.

– Nie wygrasz, kapitanie Wayne – powiedziała rzeczowo, jakby mówiła o pogodzie, a w tym wypadku o raczej

o nadciągającej burzy. – Generał Charzin będzie miał ze sobą wielu ludzi. Elitę Specnazu.

– Wierzę ci.

– Może zatrzymasz ich przez jakiś czas, ale w końcu przegrasz. Będzie lepiej, jeśli po prostu się poddasz.

– Jakoś nie widzę innego zakończenia niż to z kulą w mojej czaszce. – Szarpnął sznur na jej kostkach. – Jeszcze tylko jedno pytanie.

Wykręciła szyję i spojrzała na niego znad ramienia.

– Dlaczego, wiedząc o LUCE tyle, ile wiesz, chcesz, żeby zdobył ją Charzin?

– Nie moja sprawa to osądzać. Znam swoje obowiązki i je wypełniam, to wszystko.

Widział, że jest nienaturalnie w tych okolicznościach spokojna; patrzyła na niego niewzruszenie i bezpośrednio. Jej postawa zaczynała wytrącać go z równowagi. Oto miał przed sobą prawdziwą Anię.

– Jak Charzin planuje wykorzystać LUCĘ? – zapytał.

– Nie wiem.

O dziwo, akurat w to uwierzył.

Godzina 18.33

– Niech pan spojrzysz tutaj! – zawołał Christopher, klęcząc na ziemi obok plecaka Rosjanki. Już wysypał zawartość i powoli wszystko przeglądał.

Tucker prowadził podobne poszukiwania w range roverze, wiedząc, że bezprzewodowy nadajnik może być ukryty w tysiącu miejsc. Słońce opadało ku horyzontowi, więc czuł narastającą presję czasu.

– Co znalazłeś? – zapytał, podchodząc do Christophera.

Kain zrobił to samo i zaczął węszyć.

Młody człowiek pokazał coś, co wyglądało jak gruby długopis.

– Proszę to otworzyć – powiedział.

Tucker rozkręcił znalezisko. Wewnątrz zobaczył pęk cieniutkich przewodów, mikroprocesor i akumulatory litowo-jonowe wielkości paznokcia małego palca.

Uśmiechnął się. Mam cię.

– Co z range roverem? – zapytał Christopher. – Mam panu pomóc w poszukiwaniu dodatkowych nadajników?

– W końcu nie będą miały znaczenia. Potrzebny mi ten, który mamy.

– I co dalej?

– Ty wrócisz do wodospadu. Trzeba ukryć wszelkie dowody, że tam jesteśmy. To oznacza, że ty, Bukołów i Ania musicie zejść do jaskini.

Tucker szybko poinstruował Christophera, jak opuścić dwójkę Rosjan przez wir i jak sam ma się dostać do jaskini.

– Powinienem wrócić o zmierzchu – powiedział. – Kontaktuj się przez radio, gdyby wynikły jakieś kłopoty.

Gdy młody człowiek ruszył w drogę, Tucker wsiadł za kierownicę range rovera, a Kain wskoczył na fotel obok niego.

Uruchomił silnik, powoli wycofał samochód z wąwozu i przez dziesięć minut dość szybko jechał na zachód, tą samą trasą, którą jechali wcześniej. Miał nadzieję, że Charzin monitoruje przemieszczający się nadajnik.

Wreszcie znalazł idealne miejsce.

Zatrzymał się przy wylocie wąskiego kanionu, podobnego do bliźniaczych wąwozów przy Głowie Dzika. Wyskoczył z kabiny i wszedł do wąwozu. Używając latarki, przyglądał się zasłanemu okruchami skalnymi podłożu, aż wypatrzył rozpadlinę. Zajrzał w głąb i nie dostrzegł dna.

Może być.

Wyjął z kieszeni długopis Ani i wrzucił go do szczeliny.

Wykop go sobie, generale.

Wrócił do samochodu. Jeśli były w nim jakieś inne nadajniki, już się tym specjalnie nie przejmował. Chciał zwabić Charzina tutaj. Zostawił kluczyki w stacyjce i zabrał się do realizacji drugiej

części planu, czyli przygotowania niespodzianki dla ludzi generała.

Z naszytej kieszeni spodni wyjął woskową kostkę C-4, którą nosił przez cały dzień.

Pracując szybko, ale ostrożnie, wsunął się na plecach pod samochód i wcisnął pół kostki pomiędzy tłumik i podwozie. Następnie przeciągnął lont do resora za przednią oponą i przymocował zapalnik chemiczny.

Wygramolił się i przyjrzał swojemu dziełu.

Jeśli ktoś usiądzie w samochodzie, nacisk na resor spowoduje uruchomienie zapalnika. Przy odrobinie szczęścia eksplozja zabije jednego czy dwóch ludzi Charzina.

I choć zasadzka nie zatrzyma generała całkowicie, to powinna zapewnić Tuckerowi trochę cennego czasu.

– Gotów na małą przebieżkę? – zapytał Kaina.

Machnięcie ogonem było wystarczającą odpowiedzią.

Godzina 19.18

Tucker narzucił sobie ostre tempo i powrót do kanionu zajął mu zaledwie dziesięć minut. Christopher czekał na niego na brzegu sadzawki. Słońce już zaszło, ale było jeszcze w miarę widno.

– Rosjanie są bezpieczni w jaskini? – zapytał Tucker, sapiąc ciężko. – I sprzęt?

– Profesor poszedł pierwszy z pistoletem, a potem opuściłem Anię, skrępowaną jak baleron. Profesor powiadomił mnie przez radio, że trzyma ją na muszce.

– W takim razie my też schodzimy.

– Coś mi przyszło do głowy – powiedział Christopher. – Jeśli zadzwonię do braci i...

– Nie. Nie mam zamiaru ich w to mieszać.

– Nie chodzi mi o to, żeby ich tu ściągać. Za bardzo ich kocham. Chciałbym tylko poprosić, żeby czekali na nas tam, gdzie obozowaliśmy w nocy. Mogę podać współrzędne. Jeżeli wyjdziemy stąd żywi, będziemy potrzebowali środka transportu, żeby wrócić do cywilizacji, zwłaszcza jeśli range rover wyleci w powietrze.

To miało sens.

Christopher przez dwie minuty rozmawiał z bratem przez telefon satelitarny.

– Będą tam jutro w nocy.

Gdy ta sprawa została zamknięta, przygotowali się do zejścia do jaskini. Christopher pierwszy zniknął w wirze. Następnie Tucker wyekspediował Kaina, przeciągnąwszy linę przez pętle na kamizelce taktycznej. Zawiązał linę na skalnym bloku tak, żeby móc ją ściągnąć na dół, i opuścił się.

Chwilę później, przemoczony do suchej nitki, stał w grocie z innymi. Ściągnął linę.

– Co robisz? – zapytał Christopher, patrząc, jak lina opada na podłoże.

Bukołow podniósł się ze sterty ekwipunku, celując z rewolweru w głowę Ani, która leżała płasko na brzuchu, jak wcześniej.

Tucker nikomu nie powiedział o tym ostatnim szczególe swojego planu, żeby nie doszło do buntu przeciwko zejściu na dół.

– Wolę nie zostawiać jakichkolwiek śladów tego, że byliśmy na górze. I zdecydowanie nie chcę zostawiać wskazówki, jak można tutaj zejść.

– Ale jak się stąd wydostaniemy? – zapytał Bukołow.

– Według doktora De Klerka, jest to stary burski bunkier. – Tucker przywołał na myśl labirynt tuneli i komór w forcie Klipkoppie. – Założę się, że są inne wyjścia z tego systemu jaskiń.

– Stawką jest nasze życie – zaznaczył Bukołow, choć z beztroskim wzruszeniem ramion. – Ale masz rację, Burowie byli pomysłowi.

– Jeśli się mylę, to mam nawet plan awaryjny.

– To znaczy? – zapytał Christopher.

– Będziemy się o to martwić po przeszukaniu tego miejsca.

Tucker zdał sobie sprawę, że jedna osoba z grupy jest nietypowo milcząca. Podszedł do Ani i opadł na kolano.

Bukołów zaszurał nogami.

– Miała mnóstwo do powiedzenia, kiedy was nie było. Chytra sztuka. Umie mieszać w głowie. Przypochlebiała się, nalegała, obiecywała, aż w końcu musiałem wepchnąć jej w usta skarpetę.

Tucker uśmiechnął się, bo starszy pan rzeczywiście to zrobił. Zakneblował Anię zwiniętą skarpetą.

Wyprostował się.

– Właśnie dlatego jest pan miliarderem, profesorze. Umie pan używać głowy.

A w tym szczególnym przypadku stopy.

Wskazał Anię i wydał komendę Kainowi.

– PILNUJ.

Pies podszedł do dziewczyny i opuścił łeb, ziejąc, aż pysk znalazł się w odległości kilku centymetrów od jej ciała. Leżała z błyskiem nienawiści w oczach; w jej profesjonalnym pancerzu opanowania zaczynały pojawiać się rysy.

Bukołów zachichotał.

– Całkiem polubiłem tego psa.

Godzina 19.55

Przygotowując się do eksploracji jaskiń, Tucker i Christopher założyli latarki czołowe. Jaskinię oświetlała tylko latarka LED leżąca obok Bukołowa. Profesor siedział na stosie ekwipunku, pilnując Ani. W jednej ręce trzymał rewolwer, a w drugiej dziennik De Klerka i z determinacją szukał wskazówek, które mogłyby pomóc znaleźć LUCĘ.

– W tym przeklętym dzienniku wspomina o wielu różnych miejscach – powiedział. – O sypialniach, mesach oficerskich,

infirmierii, a także o czymś, co ponuro nazywa *Die Bloedige Katedraal*, czyli Krwawa Katedra. Wygląda na to, że Burowie sprowadzali tu nawet konie i wozy.

Tucker spojrział na ciemniejący otwór, przez który wlewała się woda.

Na pewno nie tędy, pomyślał.

– Wciąż natykam się na wzmiankę o *Die Horro*, co można rozumieć jako „zgrozę”. To *Die Horro* było chyba czymś ważnym. Tropienie jego kroków w tym podziemnym świecie byłoby łatwiejsze, gdybym miał jakąś mapę.

I właśnie to Tucker miał zamiar zrobić z pomocą Christophera i Kaina. Uznał, że podczas tej misji warto wykorzystać umiejętności jego partnera do czegoś więcej niż tylko do pilnowania Ani, która przecież była związana i pod złowrogim okiem Bukołowa. Poza tym dokąd miałyby uciec?

Christopher i Tucker ruszyli więc do dwóch tuneli, które wyglądały jak wyloty luf dubeltówki.

Tucker wybrał ten z prawej, Christopher zniknął w drugim. Po sześćdziesięciu zaledwie krokach dotarł do drugiej groty, znacznie większej, z licznymi kolumnami, z których wiele sięgało do stropu jak filary w...

– W katedrze – mruknął.

Czy to miejsce wspominane przez Bukołowa?

Die Bloedige Katedraal.

Gdy przeszedł dalej, zobaczył szerokie stopnie wycięte w ścianach, prawdopodobnie przez Burów.

Usłyszał szuranie butów za plecami. Obejrzał się i oślepiło go światło latarki Christophera, który pojawił się dziesięć metrów dalej. Jego tunel też prowadził do Katedry.

– O rany! – powiedział młody człowiek z przejęciem, omiatając snopem światła jaskinię. – Jak pan sądzi, jak duża jest ta grota?

– Szeroka na pięćdziesiąt metrów i może dwa razy dłuższa. – Tucker wskazał stopnie po swojej stronie. – Chcę je obejrzeć. To

nie są twory naturalne. Widać ślady po dłucie i uderzeniach siekierą.

Wskoczył na pierwszą półkę, potem na drugą i trzecią, jakby się wspinał po wysokich schodach. Kain pospieszył za nim. Znaleźli się trzy metry nad podłożem jaskini. Wyżej odkrył kolejne dowody pracy Burów. W najwyższym stopniu pod ścianą wryto podłużne wgłębienie, coś w rodzaju prymitywnego okopu, w którym mogli się kulić żołnierze, niewidoczni z dołu.

Zaświecił do środka i zobaczył, że dno jest zasłane łuskami. Kain zeskoczył i zaczął je obwąchiwać, przesuwając je nosem.

Christopher wspiał się po stopniach po przeciwnej stronie grotu i odkrył to samo. Obaj szli po najwyższym stopniu wzdłuż jaskini, równolegle do siebie.

– Zaczynam rozumieć, jak Burowie to robili! – zawołał Tucker. – Z tych okopów mogli zastrzelić każdego, kto przechodził dołem! Idealne miejsce do zabijania.

– Aż strach o tym myśleć!

Tucker teraz rozumiał, dlaczego to miejsce nazwano krwawym.

– Idziemy! – rzucił.

Zeskoczyli na dół, spotkali się pośrodku ogromnej jaskini i podjęli dalsze poszukiwania.

Na pobliskiej skalnej kolumnie Tucker zauważył charakterystyczne dzioby, świadectwo strzałów z broni palnej.

Ale jeśli tak, to gdzie się podziały zwłoki z dawnej rzezi? Czy Brytyjczycy spalili je po zdobyciu tego miejsca? Nawet szczątki Burów? Czy gdzieś w tych górach jest masowy grób?

Gdy szli przez Katedrę, strop opadał i ściany były coraz bliżej siebie, aż w końcu dzieliło je niespełna dziesięć metrów. Zobaczyli wysoki do pasa wał z jutowych worków ciągnący się od ściany do ściany. Przeleźli przez przeszkodę – Kain ją przeskoczył – i trzy metry dalej, gdzie jaskinia była jeszcze węższa, ujrzeni drugi wał worków, a za nim następny. Za tym ostatnim zaczynał się tunel.

– Obrona w głąb – szepnął Tucker.

– Słucham?

Tucker wskazał ciemny tunel.

– Tędy nadchodzą wrogowie. obrońcy ukrywają się za najbliższym rzędem worków z piaskiem. Jeśli wróg się przedrze, wycofują się za następną barierę.

– A potem do kolejnej...

– Do końca. Wróg, jeśli się zdoła przebić, wciąż ma przed sobą tę zabójczą ziemię. Nic dziwnego, że Burowie utrzymywali się tu tak długo. W takim miejscu nieliczni obrońcy mogli odpierać ataki przeważających sił.

Przeszedł przez ostatni wał, zastanawiając się, czy on i jego towarzysze staną w obliczu podobnego zagrożenia.

– Zostań tu z Kainem – powiedział. – Zaraz wrócę.

Opadł na czworaki i zaczął pełznąć tunelem, który ostro skręcał w prawo i lewo. Wyobraził sobie, jak burski strzelec wyborowy leży za ostatnim załomem, strzela do brytyjskiego żołnierza, po czym wycofuje się za następny zakręt.

Po ośmiu czy dziesięciu takich zakrętach dotarł do prostego tunelu, na końcu którego dostrzegł nikły blask. Zgasił latarkę, po omacku przebył ostatni odcinek i znalazł się przy stosie kamieni, blokującym dalszą drogę. Wyciągnął rękę w stronę srebrnego światła i wyjął kamień wielkości pięści. Wraz z nim spadło kilka innych, odsłaniając otwór wielkości melona.

Do tunelu wpłynęło chłodne nocne powietrze.

Tucker wytknął głowę i rozejrzał się.

Zrozumiał, że dotarł do bliźniaczego kanionu – drugiej szabli dzika – wcześniej badanego z zewnątrz przez Christophera i Anię.

Interesujące.

W każdym razie znalazł drugi wlot.

Starannie odłożył kamienie na miejsce, zamykając otwór, żeby z zewnątrz zamaskować wejście.

Nie chciał, by jacyś nieproszeni goście weszli tylnymi drzwiami.

Godzina 20.13

Wrócił do wału z worków, gdzie czekał Christopher – sam.

– Gdzie Kain?

Młodzieniec okręcił się dokoła.

– Przed chwilą tu był. Ten pies jest jak duch.

Prawda... i do tego obdarzony psią ciekawością.

Tucker zapomniał powiedzieć Kainowi, że ma zostać.

Dwa razy cicho zagwizdał.

Jego partner dwa razy szczeknął w odpowiedzi.

Kierując się tym dźwiękiem, wrócili do Katedry i zobaczyli Kaina stojącego na półce pod lewą ścianą. Malinois spojrzął prosto na Tuckera, zeskoczył do okopu i zniknął z pola widzenia. Wiadomość była jasna.

Chodź zobaczyć, co znalazłem!

– Co znowu? – mruknął Tucker i ruszył do partnera. Na najwyższym stopniu zaświecił do rowu i zobaczył, że Kain siedzi przed drewnianymi drzwiami osadzonymi w ścianie jaskini.

– To chyba nie koniec labiryntu – powiedział Christopher.

Tucker zeskoczył i pomacał szerokie na metr dwadzieścia drzwi. Drewno kiedyś było mocne, z solidnymi żelaznymi okuciami. Kiedyś. Gdy oparł się plecami o przeciwny brzeg rowu i kopnął, stare drewno pękło pod podszwami. Za drzwiami ciągnęło się przejście.

– Zobaczmy, dokąd prowadzi.

Tym razem zabrał ze sobą Kaina. Christopher zaczął mocno utykać z powodu skręconej kostki, więc pozwolił mu odpocząć.

Na szczęście wędrówka na czworakach była krótka. Tunel prowadził do mniej więcej okrągłej komory, która była zastawiona skrzyniami, ale tu chociaż mogli się wyprostować.

Odchodziły z niej cztery tunele.

Westchnął.

Najwyraźniej w innym wcieleniu Burowie byli mrówkami.

– Jeśli nie wrócę za piętnaście minut, chodź za mną! – zawołał do Christophera.

Poświęcił chwilę na obejrzenie skrzyń. Na bokach każdej z nich widniał wypalony herb Wolnego Państwa Orania i numer jednostki De Klerka. Zdjął wieko z jednej z nich i zajrzał do środka. Zobaczył naboje karabinowe, konserwy, puszki nafty, świece, młotki, gwoździe. Zajrzał do trzech innych i znalazł podobną zawartość.

Choć nie było tam nic znaczącego, pewne pytanie nie dawało mu spokoju: Dlaczego Brytyjczycy nie zabrali łupu po zdobyciu jaskini?

Nie znalazłszy odpowiedzi, przeszedł do badania czterech tuneli, zaczynając od tego z lewej strony.

Dotarł do mesy, długiej wąskiej galerii ze stołami na kozłach, zbitymi z czegoś, co wyglądało na elementy wozów, zastawionymi talerzami i cynowymi kubkami.

Drugi tunel kończył się w sypialni, podłużonej jaskini ze spleśniałymi siennikami i zwisającymi ze stropu latarniami.

Znowu nic nie wskazywało, że byli tu Brytyjczycy. Nic nie zostało złupione, wszystkie rzeczy wyglądały na nienaruszone. Tucker czuł się jak w opuszczonym teatrze.

Trzeci tunel prowadził do infirmerii, komory z około trzydziestoma prymitywnymi pryczami i skrzyniami ze sprzętem medycznym.

Już miał wyjść, kiedy coś go zdziwiło.

– Nie ma koców, materacy, poduszek – mruknął.

Prycze zostały ogołoczone.

I dlaczego jest ich tak wiele?

Według Bukołowa przebywało tu tylko stu ludzi. W infirmerii były miejsca dla prawie jednej trzeciej. Czy aż tylu żołnierzy zostało rannych?

Mając więcej pytań niż odpowiedzi, wszedł do czwartego, ostatniego, korytarza. Ten prowadził do wielkiej pustej jaskini: żadnych skrzyń, żadnego wyposażenia. Nic. Ale gdy spojrział na daleką ścianę, coś wydało mu się dziwne.

Oświetlając sobie drogę, podszedł i zobaczył stos odłamków skalnych z czarnymi śladami sadzy po obu stronach. Z pewnością

Roosa wysadził wejście, zamykając je za sobą. To odkrycie pozwoliło odpowiedzieć na nękające go pytanie: Jak wprowadzali tu konie? Oczywiście, to nasunęło kolejne: Co się z nimi stało?

Kain szczerknął dwa razy za jego plecami.

Zaprowadził go do tunelu po prawej stronie, starannie zablokowanego ścianą z głazów. Były szczelnie zaklinowane, a w nielicznych szczelinach utknięto kawałki worków.

– Co, do cholery...? – mruknął.

Rękami i nożem podwazał jeden kamień, aż się wysunął i spadł z hukiem, o włos mijając palce jego stóp. Tucker przysunął twarz do otworu, żeby zaświecić latarką, ale uderzony przez falę intensywnego smrodu, gwałtownie odsunął głowę.

Mimowolnie cofnął się o kilka kroków, zasłaniając ręką nos i usta. Natychmiast rozpoznał odór, wracając myślą do zbyt wielu pól bitewnych, zbyt wielu śmierci.

Ciało i ogień.

Dał sobie całą minutę, żeby się przygotować, po czym ruszył do ściany. W smrodzie wykrył nikłą woń nafty użytej do spalenia tego, co leżało na dole.

Wspomniał wpis z dziennika De Klerka, który czytał Bukołów.

Die Horro...

Wstrzymując oddech, wsunął głowę do otworu. Spojrzał w dół i skierował tam światło latarki, spodziewając się zobaczyć dno. Ciemność pochłonęła jednak całe światło. Patrzył w gardziel szybu, czarną dziurę.

Wysunął głowę i usiadł obok Kaina.

Wiedział, co musi zrobić, ale buntował się przeciwko swojej decyzji.

Nie miał wątpliwości, co jest na samym dole.

Ale musiał znać odpowiedź, dlaczego i kto.

A odpowiedź spoczywała na dnie szybu – być może wraz z tajemnicą dziennika De Klerka. Zamknął oczy, próbując się zmobilizować. Przełało się zbyt wiele krwi, by dotarł tak daleko. Nie mógł teraz odwrócić się plecami i odejść.

Ale właśnie tego chcę... dobry Boże, chcę odejść.

Godzina 20.41

– Tucker, co pan znalazł? – zapytał Christopher, nie kryjąc zaniepokojenia, które, być może, wywołała przerażona mina Wayne’a.

– Nie jestem pewien. Ale chcę, żebyś przyniósł mi linę.

Młody człowiek wrócił po dwóch minutach.

– Chodź ze mną – powiedział Tucker i poprowadził go przez wielką grotę do szybu.

– Ależ tu śmierdzi... – mruknął Christopher, gdy zajrzał do otworu. Pomógł go poszerzyć, wyciągając kilka kamieni. – Chyba nie ma pan zamiaru tam schodzić?

– Z przyjemnością pozwolę, żebyś mnie zastąpił.

Choć raz Christopher nie dyskutował.

Wspólnymi siłami owiązali linę wokół pobliskiej skalnej kolumny i rzucili drugi koniec do dziury.

Tucker kazał Kainowi czekać, wsunął nogi do otworu i obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Trzymając linę rękami w rękawicach, odchylił się i zaparł nogami o ścianę szybu. Odetchnął, żeby się uspokoić. Spróbował uciszyć głos w głowie krzyczący, żeby tam nie schodził.

W końcu po prostu postanowił go zignorować.

Opuszczał się w głąb szybu, przemieszczając dłonie na linie; światło latarki czołowej tańczyło po skale. Przystanął, gdy zobaczył znacznik trzech metrów, zaparł się nogami i spojrzał w dół. Dno wciąż było poza zasięgiem światła. Zatrzymał się ponownie trzy metry niżej i zobaczył, że koniec liny leży na skalnej płóce nachylonej pod ostrym kątem.

Opuścił się i stanął na tej naturalnej pochylni. Spostrzegł, że ściany szybu wokół niego pokryte są oleistą czarną sadzą. Trzymając linę jedną ręką – bo nie miał zaufania do śliskiej, stromej powierzchni skały – przykucnął, wychylił się i spojrzał za krawędź, w głąb szerokiej rozpadliny.

Nie myśl, przykazał sobie w duchu.

Z trudem przełykając ślinę, zaświecił w dół.

W snopie światła zobaczył rękę wyciągniętą w jego stronę, czarną, spaloną do kości, z palcami wykręconymi przez płomienie.

Zadrzał, czując, jak wszystko podchodzi mu do gardła.

Poruszył głową, świecąc w dół ramienia, które znikало w...

Dopiero po kilku sekundach jego umysł zaakceptował to, co widziały oczy: grzęzawisko szczątków szkieletów i zwęglonych ciał. Na skrajach rozpoznał spalone ubrania i koce, kawałki na wpół zwęglonego drewna i poczerniałe puszki po nafcie. Na przekór sobie rejestrował szczegóły.

...tors wystający z zastygłej mazi, jakby człowiek próbował wygrzebać się z ruchomych piasków.

...końskie kopyto z matowo połyskującą podkową.

...okulary na iglicy skalnej, cudem nietknięte przez ogień, odbijające światło latarki.

– Boże... – mruknął.

Mając wrażenie, że za chwilę zwymiotuje, z głową pełną gryzącego smrodu spalonych ciał, oderwał oczy od tej hekatombi i zaczął wspinać się po linie. Kiedy stawiał drżące nogi na osmalonej pochylni, w jego głowie kłębiły się pytania.

Co się tu stało?

Jak głęboki jest ten dół?

Ilu do niego trafiło?

Spojrzał w górę, pragnąc jak najszybciej uciec z tej bramy do piekła.

Pół metra nad głową dostrzegł sterczącą ze ściany rękojeść sztyletu, tak okopconą, że nie zauważył jej w trakcie schodzenia. Wyciągnął rękę, chwycił rękojeść i nią poruszył. Płatki sadzy zawirowały w blasku latarki. Pod sadzą coś było, przybite ostrzem do ściany.

Czubkami palców starł sadzę i zobaczył prostokąt grubej ceraty. Ostrożnie oderwał go od ściany i wsunął do kieszeni na udzie.

– Panie Wayne!

Krzyk Christophera go przestraszył.

– Co pan znalazł?

Spojrzał w kierunku światła latarki młodego człowieka.

– Wychodzę! Cholera, nie świeć mi w oczy.

– Przepraszam.

Szybko i z wielką ulgą wspiął się po skalnej ścianie i wygramolił z szybu. Bez jednego słowa odszedł kilka metrów od poczerńskiego dołu i usiadł. Christopher podsunął mu manierkę.

Tucker pociągnął długi łyk wody.

Kain podbiegł ze zwieszonym ogonem, pytając kiwając samym koniuszkiem.

– Nic mi nie jest, w porządku...

Krzepiące słowa były przeznaczone zarówno dla partnera, jak i dla niego.

– Co tam jest na dole? – zapytał Christopher.

Powiedział mu, chociaż słowa nie wyraziły prawdziwego koszmaru.

– Dobry Boże, dlaczego to zrobili? – mruknął Christopher.

– Nie wiem. – Tucker wyjął z kieszeni swoje znalezisko. – Może to będzie jakąś wskazówką.

Obrócił zdobycz w rękach. Znalazł szew, rozciął go czubkiem noża i rozwinął nasączone olejem płótno. Miało kilka warstw. W pakunku znajdował się plik złożonych na pół, zachowanych w idealnym stanie kartek, bez śladów sadzy czy butwienia.

Na wierzchu zobaczył dwie linijki tekstu napisanego ręką De Klerka, jedną po afrykanersku, drugą po angielsku, prawdopodobnie znaczących to samo.

Aan wie dit vind...

To whoever finds this...

Wymienił spojrzenie z Christopherem i rozłożył kartki. Zobaczył zapiski w obu językach. Przeczytał głośno te po angielsku.

– *Jakkolwiek to mało prawdopodobne, żeby niniejsza wiadomość kiedyś została znaleziona, sumienie nakazuje mi zdać relację z tego, co doprowadziło do strasznych wypadków, do jakich tu doszło. Bóg rozsądzi, czy nasi bliscy docenią albo przynajmniej zrozumieją nasze poczynania, ale rozstaję się z życiem w przekonaniu, iż On w swojej nieskończonej mądrości nam wybaczy...*

Testament De Klerka miał kilka stron. Tucker przeczytał wszystko, złożył kartki i schował do kieszeni.

– I co? – zapytał Christopher.

Tucker wstał.

– Bukołow musi to zobaczyć.

Góry Groot Karas, Namibia

21 marca, godzina 22.10 czasu miejscowego

Z Kainem na czele Tucker i Christopher wrócili do Katedry. Po przeczytaniu listu De Klerka prawie nie rozmawiali. Gdy skręcili ku bliźniaczym tunelom wychodzącym z jaskini, Kain zatrzymał się i odwrócił łeb. Patrzył w głąb Katedry, w kierunku dalekich worków z piaskiem. Miał postawione uszy i naprężone mięśnie.

Co usłyszał?

– CICHY ZWIAD – polecił Tucker.

Przygarbiony, stąpając po cichu, Kain ruszył przez byłą zabójczą ziemię Katedry. Tucker i Christopher szli za nim, klucząc w lesie kolumn. Przy końcu jaskini Kain przeskoczył przez wał worków i zatrzymał się przy wejściu prowadzącym do krętego korytarza.

– STÓJ – rozkazał cicho Tucker.

Pies zatrzymał się i czekał na nich.

Tucker poczołgał się tunelem, pokonując kolejne zakręty. Dotarł do prostego odcinka na samym końcu i zobaczył, że srebrny blask księżycowej poświaty był teraz znacznie wyraźniejszy. Nagle to usłyszał – coś, co prawdopodobnie przyciągnęło uwagę jego partnera.

Cichy pomruk diesla.

Tucker zgasił latarkę i pokonał ostatni odcinek korytarza. Padł na brzuch przy stosie skał, zerknął przez szczelinę i zobaczył kanion jasno oświetlony reflektorami zaparkowanej terenówki.

Ktoś zawołał coś po rosyjsku.

W pobliżu zabrzmiało szczeknięcie śmiechu.

Para butów zatrzymała się przy jego ukrytym punkcie obserwacyjnym. Mężczyzna w mundurze polowym opadł na kolano. Tucker zamarł, czekając na krzyk albo strzały.

Ale żołnierz tylko zawiązywał sznurowadło i po chwili się wyprostował.

Tucker usłyszał innych, chodzących i prowadzących ciche rozmowy.

Ilu?

Nagle ktoś krzyknął srogo niskim barytonem i wszyscy wrócili do samochodu. Chwilę później ton warkotu silnika się zmienił, kamienie zachrzęściły pod kołami i w kanionie znowu zapadła ciemność.

Słuchał, jak dudnienie powoli cichnie w dali.

Odjeżdżali.

Zdecydowanie byli to ludzie Charzina. Czy przyjechali sprawdzić miejsce, w którym range rover zatrzymał się na kilka godzin? A jeśli tak, to czy po tym, jak nic nie znaleźli, pojechali tam, gdzie zostawił samochód z podłożoną bombą, kierowani sygnałami nadajnika?

Oparł czoło o chłodną skałę i wypuścił długo wstrzymywane powietrze. Z ulgą wrócił do Christophera i Kaina i razem poszli do jaskini z wodospadem.

Niewiele się w niej zmieniło.

Bukołow siedział tam, gdzie go zostawili. Ania zmieniła pozycję i siedziała oparta o kamienny filar, z rękami związanymi za plecami. Wyglądało na to, że śpi ze zwieszoną głową.

– Jak poszły poszukiwania? – zapytał Bukołow. Wstał i przeciągnął się.

– Musimy porozmawiać – powiedział Tucker.

Rozkazał Kainowi pilnować dziewczyny i pociągnął Rosjanina do jednego z tuneli. Zrelacjonował mu przebieg poszukiwań i zakończył opowieścią o tym, co znalazł w osmalonym dole.

– Co? Nie rozumiem...

– W tym dole znalazłem brakujące kartki z dziennika De Klerka, przybite do ściany szybu jako ostrzeżenie.

– Co? – Profesor aż zadygotał z przejęcia.

Tucker podał mu kartki.

– Napisał swoje przesłanie po afrykanersku i angielsku. Musiał wziąć pod uwagę wszystkie możliwości; nie wiedział, kto kiedyś, być może, odkryje ten dół, Burowie czy Brytyjczycy.

– Czytałeś?

Tucker skinął głową.

– Pisał zwięźle, ale obrazowo. Jakies trzy tygodnie po zejściu do jaskiń rozchorowało się kilku ludzi. Skarżyli się na straszne bóle brzucha, gorączkę, bóle mięśni. De Klerk robił, co w jego mocy, żeby ich leczyć, ale umierali jeden po drugim. W ostatniej fazie choroby u pacjentów pojawiały się guzki na brzuchu i szyi. Wybuchały, rozdzierając skórę. Podczas gdy brytyjscy żołnierze oblegali jaskinię, De Klerk przyjmował kolejnych chorych. Bardzo się starał, ale nie znalazł źródła epidemii.

– I co potem?

– Trzydziestego dnia generał Roosa rozkazał zawalić pozostałe wejścia do jaskini. Był przekonany, że wszyscy są zarażeni albo niebawem się zarażą. Bał się, że jeśli Brytyjczycy się wedrą, spotka ich to samo i plaga rozprzestrzeni się po świecie.

– Wcale nie dziwi mnie taka reakcja – zauważył Bukołów. – Na przełomie stuleci wszyscy panicznie bali się zarazy. Wybuchały epidemie szkarlatyny, grypy, tyfusu. To sprawiało, że zwykle rozsądni ludzie byli skłonni do robienia szalonych rzeczy.

– Myślę, że w tym wypadku w grę wchodziło coś bardziej osobistego. Według doktora De Klerka cała rodzina generała, łącznie z córką Wilhelminą, zmarła na ospę. Roosa nigdy do końca nie doszedł do siebie po tej tragedii. De Klerk napisał, że symptomy choroby przypominały ospę, która zabiła rodzinę generała. Krótko mówiąc, facetowi odbiło.

– Więc wszyscy tu umarli. Wbrew temu, co sugerują raporty, Brytyjczycy nie zdobyli jaskini?

– Raporty zapewne zostały sfalszowane przez brytyjskiego pułkownika dowodzącego oblężeniem. Przybył zabić Roose i jego ludzi. A po tym, co się tu stało, końcowy wynik był taki sam. Wszyscy zginęli. Więc przypisał sobie zasługę i ogłosił swoje zwycięstwo.

– Tchórzliwy oportunistą – mruknął cierpko Bukołów, wyraźnie zmartwiony, że ta historia brzmi tak mało wiarygodnie.

– Brytyjczycy odeszli niedługo po tym, jak Roosa i jego Burowie zamknęli się w grobowcu – podjął opowieść Tucker. – Wrzucali martwych do dołu i palili ich razem z ubraniami, pościelą i rzeczami osobistymi. Wielu popełniło samobójstwo i też zostało spalonych, łącznie z samym generałem. De Klerk był ostatni, ale zanim wszedł do dołu i przyłożył sobie pistolet do głowy, przekazał dziennik burskiemu zwiadowcy, który odkrył ich kryjówkę. Podjął środki ostrożności, żeby go nie zarazić. To ten człowiek zwrócił dzienniki wdowie po De Klerku.

– A to, co przybił do ściany? – Bukołów potrząsnął kartkami.

– To ostrzeżenie dla każdego, kto się tutaj zjawi. Na ostatniej stronie testamentu De Klerk wyłożył swoją teorię dotyczącą choroby. Uważał, że coś pożerało ludzi od środka. Mieli białe bąble, które według żołnierzy były odmianą miejscowego grzyba. Dołączył nawet nadzwyczaj szczegółowe rysunki. Pod nimi napisał nazwę. *Die Apokalips Saad*.

Oczy Bukołowa zalsniły w ciemności.

– LUCA.

Tucker skinął głową.

– Wygląda na to, że ten pański organizm zaraża nie tylko rośliny.

– Niekoniecznie. Wspomniałeś, że najgorsze symptomy występowały na gardle i brzuchu. Ludzki przewód pokarmowy jest pełen materiału roślinnego i flory przypominającej formy roślinne. LUCA może się dobrze rozwijać w takim środowisku, siejąc spustoszenie w układzie trawiennym gospodarza.

– Czy to znaczy, że stanowi zagrożenie jako potencjalna broń biologiczna?

– Możliwe. Ale tylko na małą skalę. Żeby się zarazić, ludzie musieliby ją zjeść albo, jak tutaj, długo przebywać w zamkniętej przestrzeni, gdzie są skondensowane zarodniki.

– Na ile jest pan tego pewien, profesorze?

– Nauka jest skomplikowana, ale proszę mi wierzyć: jako broń biologiczna LUCA jest na większą skalę praktycznie bezużyteczna, zwłaszcza w porównaniu z węglikiem, którego szczypta może unicestwić całe miasto. Ale jako zagrożenie ekologiczne, uzbrojona wersja LUKI jest bombą termojądrową.

– W takim razie dopilnujmy, żeby nigdy nie została użyta jako broń.

– W tej kwestii poczyniłem pewne postępy.

Godzina 22.48

Kiedy Tucker i Bukołów wrócili po rozmowie, Ania nie spała. Christopher jej pilnował, uzbrojony w karabin AR-15, a Kain również czuwał.

Nie zwracając na nią uwagi, Tucker poszedł z profesorem do zaimprovizowanego biura, które Rosjanin urządził wśród ekwipunku. Porozrzucane papiery, notatki i kartki dziennika wskazywały, że nie próżnował.

– Jest tutaj – powiedział i sięgnął do skrzynki po stary dziennik De Klerka.

Z wprawą magika wykonującego karcianą sztuczkę otworzył go w miejscu, gdzie brakowało kartek. Przyłożył te znalezione przez Tuckera.

– Pasują idealnie – stwierdził.

Ania drgnęła, aby wstać i zobaczyć, co robią, ale głębokie warknięcie Kaina odwiodło ją od tego zamiaru.

– Patrz. To pierwszy prymitywny rysunek LUKI w starym dzienniku, szkic zrobiony jakby od niechcienia. Nasz punkt wyjścia. – Bukołów wsunął na miejsce kartkę z pliku

przyniesionego przez Tuckera. – Ta strona jest następna. Uwieńczenie arcydzieła.

Na kartce widniał wprawnie narysowany szkic, przedstawiający podobny do grzyba organizm z kapeluszem karbowanym na brzegach. Kolory każdego elementu były opisane drobnymi, precyzyjnymi drukowanymi literami. Inne rysunki przedstawiały tę samą roślinę na różnych etapach rozwoju.

Bukołow wskazał najwcześniejsze rysunki.

– To LUCA w stanie uśpienia. Bulwiasta. De Klerk pisze, że ma maślany kolor. Pomiar wskazuje, że jest mniej więcej wielkości piłki golfowej. Ale nie daj się zwieść prostocie. Ten organizm to czysty potencjał. Każda komórka jest niezapisaną tablicą, bezwzględną chimerą czekającą na wzniecenie chaosu w dzisiejszym świecie. Rozmnaża się przez zarażanie innych organizmów i replikację, nadzwyczaj inwazyjna, szczytowa forma drapieznika świata roślinnego. Ale jeśli zdołamy ją ujarzmić, jeśli znajdziemy klucz do unikatowej pierwotnej genetyki, wszystko będzie możliwe.

– Najpierw jednak musimy ją znaleźć – zaznaczył Tucker.

Bukołow obrócił się w jego stronę ze zdziwionym wyrazem twarzy.

– Przecież już wyjaśniłem, gdzie jest.

– Nie rozumiem.

– Przed chwilą, kiedy powiedziałem, że jest tutaj.

Tucker myślał, że profesor nawiązywał do dziennika De Klerka.

– Co to znaczy „tutaj”?

– Albo powinna być. – Zmieszany naukowiec rozejrzył się. – Powinna tu być. W tej jaskini. Przynajmniej według De Klerka.

– Dlaczego pan tak sądzi?

Rosjanin przewertował dziennik do strony poprzedzającej prymitywny rysunek LUKI.

– Tutaj De Klerk pisze o znalezieniu drzemiących bulw, lecz ani słowem nie wspomina, gdzie je znalazł. Jest sprytny. Ale

proszę spojrzeć ma margines przy tym akapicie.

Tucker się pochylił. Nie mógł przeczytać tekstu napisanego po afrykanersku, ale obok widniała nagryzmołona spirala.



– Zawsze myślałem, że to tylko bazgroły – podjął Bukołów. – Sam to robię, zwłaszcza kiedy się skupiam. Umysł błądzi, podobnie jak pióro.

– Ale teraz pan uważa, że to ważne.

– Rysunek kojarzy się z wodą spływającą z wanny. – Bukołów wskazał strugę wpadającą do jaskini. – To nie są bezsensowne zawijasy. Doktor De Klerk zaznaczył fragment o odkryciu bulwy, ilustrując go symbolem miejsca znalezienia. Jak mówiłem, to tutaj, pod tym odpływem wanny.

Zamknął dziennik i odłożył go na bok.

– Po prostu wystarczy poszukać. Teraz, gdy już nie muszę jej niańczyć... – Rzucił gniewne spojrzenie Ani, podniósł latarkę i ruszył przez jaskinię.

Tucker pozwolił mu na prowadzenie poszukiwań. Wiedząc, że w pobliżu są ludzie Charzina, musiał się przygotować, na wypadek gdyby Bukołów poniósł porażkę. Zasadzka z range roverem i bombą nie powstrzyma wroga na długo. Nie miał pojęcia, ilu przeciwników zginie, a ilu przeżyje.

Przypomniął sobie Felice Nilsson, gdy widział ją po raz ostatni, wychyloną z drzwi śmigłowca, z twarzą osłoniętą szalikiem, z jasnymi włosami powiewającymi na wietrze.

Nadzieja, że zginie w eksplozji, nie była zbyt wielka.

Musiał być przygotowany.

Podszedł do stosu skrzynek i plecaków, ukląkł i wyjął sztywne tekturowe pudło zawierające kostki C-4.

– Christopherze, możesz odmierzyć dwumetrowe kawałki lontu? Potrzebuję około piętnastu.

Ania spojrzała na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Nie zwracając na nią uwagi, Tucker wytypował takie miejsca, żeby rozmieszczone w nich ładunki spowodowały jak największe zniszczenia. Jeśli Bukołow nie znajdzie bulw LUKI, on będzie musiał dopilnować, żeby nikt inny tego nie dokonał, a już zwłaszcza generał Charzin.

Otworzył karton i zajrzał do środka.

Czując skurcz w brzuchu, popatrzył na Anię. Jej wyraz twarzy się zmienił, dostrzegł na ustach dziewczyny cień uśmiechu.

– Jak? – zapytał.

Pudło było pełne ziemi, ważącej mniej więcej tyle, co C-4.

Ania wzruszyła ramionami.

– W obozie dziś rano, kiedy poszedłeś na zwiad. Spaliłam cały twój zapas C-cztery.

Oczywiście znała jego plan awaryjny; wiedziała, że w ostateczności wysadzi jaskinię, i podjęła kroki, żeby do tego nie dopuścić.

Ale myliła się co do jednego: „cały twój zapas C-cztery”.

Tucker zabrał ze sobą kostkę materiału wybuchowego, gdy poszedł z Kainem na zwiad. Później połowę podłożył w range roverze. Wciąż miał resztę, ale za mało, żeby spowodować jakieś znaczące szkody.

A czas uciekał.

Skoro nie mógł wysadzić jaskini, była tylko jedna możliwość: znaleźć źródło LUKI, zanim pojawią się tu ludzie Charzina.

Pozostała jeszcze iskierka nadziei – niewielka, ale zawsze.

Bukołow ją zgasił, gdy wrócił ze złą wiadomością.

– Niczego nie znalazłem.

Godzina 23.12

Napędzany gniewem i frustracją Tucker cisnął przez grootę nogę starego połamanego krzesła. Odbiła się od ściany i wpadła do kałuży. Christopher i Bukołów podjęli poszukiwania, okrążając słup wody spadającej z centralnego otworu w stropie.

Tucker, niezadowolony z tych pobieżnych poszukiwań, kazał im przesiać część starych burskich odpadków i spiętrzonego pod ścianą materiału przyniesionego tu przez wodę.

Wymagało to czasu i doprowadziło donikąd.

Gdyby mieli próbkę LUKI, Kain mógłby bez problemu wywęszyć ukryty tu mroczny ogród. Nie mieli jej, więc Tucker zostawił partnera na straży Ani.

Kiedy Christopher i profesor wrócili po dokładnym przeszukaniu groty, wyczytał z ich ponurych twarzy, że nic nie znaleźli.

– Może się myliłem co do tego odpływu z wanny. – Rosjanin patrzył na wodę spadającą z otworu. – Może to rzeczywiście tylko gryzmoły.

Tucker nagle zeszywniał.

– Jacy byliśmy głupi...

Christopher się odwrócił.

– Co?

Tucker złapał Bukołowa za ramię.

– De Klerk rzeczywiście zaznaczył lokalizację. To odpływ.

Profesor popatrzył na strop pieczary.

– Nie. – Tucker wskazał podłogę, gdzie woda zbierała się w kałuże albo spływała w szczeliny. – To odpływ narysowany przez De Klerka. Woda musi dokądś spływać.

Bukołów zrobił wielkie oczy.

– Pod nami jest druga jaskinia!

Christopher powiódł wzrokiem dokoła.

– Jest pewien problem – powiedział. – Jeśli ma pan rację, to jak się tam dostaniemy?

Tucker też się rozejrzył.

– De Klerk od początku był ostrożny. Nie zostawiłby otwartego wejścia. Zapieczętowałby je albo jakoś zamaskował. – Zatoczył ręką okrąg. – Jeszcze jedna rundka. Musimy znaleźć ten otwór.

Wiedzieli, czego szukać, więc tym razem poszło szybko.

– Spójrzcie tutaj! – krzyknął Christopher.

Przywołał Tuckera i Bukołowa do wysokiego do uda głazu niedaleko wody. Jej nadmiar wypływał przez szeroką na dziesięć centymetrów szczelinę.

– Jestem pewien, że ten gład zakrywa większy otwór – dodał.

– Chyba masz rację – przyznał Tucker.

We dwóch napaarli ramionami i udało im się odtoczyć gład.

Otwór był niewielki, miał zaledwie sześćdziesiąt centymetrów szerokości. Pochylili się nad nim we trójkę, świecąc latarkami w dół. Znajdowała się tam grota z dnem leżącym dwa metry niżej.

Tucker zauważył coś sterczącego z podłoża i przymrużył oczy.

Przez chwilę myślał, że to skupisko naturalnych form skalnych, ale były do siebie zbyt podobne. W świetle latarki lśniły jak mosiądz pokryty zielonkawą patyną.

– Do licha, co to takiego? – zapytał Bukołow.

– Pociski artyleryjskie – odparł Tucker.

Góry Groot Karas, Namibia

21 marca, godzina 23.34 czasu miejscowego

Tucker położył się na brzuchu i wsunął głowę do otworu. Oświetlił grootę. Poustawiane pociski wyglądały jak fragment łoża olbrzymiego fakira. Podniósł się i odwrócił głowę.

– Na dole jest co najmniej dwadzieścia pocisków.

– Do jakich dział? – zapytał Christopher.

– Trudno powiedzieć. Sądząc po rozmiarze, do dwudziestofuntówek. Jednostki brytyjskiej królewskiej artylerii konnej używały takich podczas wojen na początku dwudziestego wieku.

– Mogą wybuchnąć? – zapytał Bukołów.

– To bardziej niż możliwe.

– Dlaczego je tu zgromadzili? – dociekał Christopher.

Tucker zastanawiał się przez chwilę.

– Przypuszczam, że z powodu czarnego prochu, który zawierają – odparł w końcu. – Burowie prawdopodobnie używali go w swoich nabojach.

– Musieli być pomysłowi, żeby przeżyć – skomentował Bukołów.

Podobnie jak my, pomyślał Tucker.

Opuścił nogi do otworu. Gdzieś na dole musi być mroczny ogród De Klerka.

– Niech mi pan powie, profesorze, czego szukać. Czego mam wypatrywać.

Bukołów pokręcił głową.

– Nie ma czasu na przyspieszony kurs z botaniki, a co więcej, nie przeczytałeś wszystkich notatek De Klerka. Powinienem pójść z tobą. Poza tym dlaczego tylko ty miałbyś się dobrze bawić?

Christopher nie wyglądał na przekonanego.

– Panie profesorze, może pan nie usłyszał, co dokładnie powiedział pan Wayne. Te pociski są prawdopodobnie bardzo niestabilne i może dojść do eksplozji.

– Słyszałem, ale w czym problem? Wystarczy po prostu je omijać, prawda?

– Właśnie o to chodzi – powiedział Tucker. – Tam na dole jest ciasno. Będzie pan musiał iść na czworakach. Nie będzie lekko.

– A niby po co oszczędzałem siły? – zapytał Bukołów. – Dam sobie radę. Nie przebyłem całej tej drogi w poszukiwaniu LUKI, żeby wysadzić się w powietrze. Bóg pokieruje moją ręką.

– Nie wiedziałem, że wierzy pan w Boga.

– Niedawno się nawróciłem. Biorąc pod uwagę wszystko, przez co dzięki wam przeszedłem...

– W porządku, idziemy.

– Najpierw muszę zabrać parę rzeczy. Narzędzia, pojemniki na próbki, torebki.

– Proszę to przynieść.

Gdy Bukołów odszedł, Tucker znów spojrzał na pociski.

– Na dole jest co najmniej sto kilogramów czarnego prochu – zwrócił się do Christophera. – To może rozwiązać nasz problem braku materiałów wybuchowych.

– Wystarczy do wysadzenia całego systemu jaskiń?

– Nie, ale tych grot na pewno.

Bukołów szybko wrócił, niosąc potrzebne rzeczy w brązowej skórzanej torbie ze swoimi inicjałami. Zmierzył wzrokiem dziurę.

– Panowie, przydałaby mi się pomoc przy schodzeniu na dół. Nie jest wysoko, ale nie pora na łamanie nóg.

Tucker się z nim zgodził. Zszedł pierwszy, opuszczając się na rękach jak najdalej od pierwszego rzędu pocisków, a gdy znalazł

się na dole, pomógł zejść profesorowi. Christopher trzymał Rosjanina za ręce, a Tucker kierował nogami, stawiając je w bezpiecznym miejscu.

– Wystarczy, panowie. – Bukołów, wyposażony w latarkę, schylił się. – Zaczynamy?

Tucker kucnął obok niego. Pieczara była niska, ze stropem na wysokości może stu dwudziestu centymetrów. Dno łagodnie się nachylało. Strumienie spływającej z góry wody wyźłobiły w miękkim piaskowcu kanały, które wyglądały jak gryzmoły obłąkanego boga. Na płaskich, suchych miejscach stały rzędy póltek.

– Powinniśmy iść za wodą – powiedział Bukołów, wskazując w dół spadku. – Tak robiliśmy, odkąd tu jesteśmy.

– Pójdę pierwszy.

Pochylając się nisko, Tucker ruszył wzdłuż ułożonych pocisków. Szedł w ślad za strumykami, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś będzie suchy. W pewnym miejscu musiał się położyć i przesuwając na boku, żeby wyminąć niebezpieczną przeszkodę. Nieopatrznie trącił łokciem wysoki mosiężny nabój, który się zakołysał. Nie śmiał go dotknąć, żeby go ustabilizować.

Obaj wstrzymali oddech.

W końcu pocisk znieruchomiał.

Tucker chciał pomóc Bukołowowi się przecisnąć.

– Sam dam radę – powiedział zrzędliwie profesor. – Może mam siwe włosy, ale nie jestem inwalidą.

Gdy minęli pociski, mogli już iść na czworakach obok siebie. Nagle ujrzeni w dali łagodne światło.

– Też to widzisz? – zapytał Bukołów. – Czy może mam omamy?

Tucker osłonił ręką latarkę, a profesor wziął z niego przykład. Przed ich oczami jaśniał blask.

Zdecydowanie coś tam jest, pomyślał Tucker.

Kiedy ruszyli dalej, strop zaczął się obniżać i musieli się czołgać. Ślizgali się obok siebie po mokrym, piaszczystym dnie. Dotarli do sadzawki głębokiej może na trzydzieści centymetrów

w sklepionej pieczarze mniej więcej wielkości kabiny samochodu. Mieli dość miejsca, żeby uklęknąć, ale niewiele więcej.

– Zdumiewające – powiedział Bukołów, wykręcając szyję, żeby się rozejrzeć.

Sklepienie jarzyło się łagodnym srebrzystym lazurem jak księżycowa poświata, ale nie było w nim żadnych szczelin. Światło wydzielał pomarszczony dywan mchu.

– To porosty – wyjaśnił Bukołów.

– Hm...

– Jakies fosforyzujące gatunki. I spójrz na drugą stronę!

Sadzawka, w której klęczeli, miała kształt półksiężyca, którego końce dochodziły do przeciwległej ściany, tak że między nią a wodą powstało coś w rodzaju małego półwyspu. Jego powierzchnię porastał wysoki może na piętnaście centymetrów las maślanobiałych roślin. Bulwiaste podstawy przechodziły w łodygi zakończone płaskimi parasolami, z których opadały delikatne włókna. Rośliny wydzielały lekki siarkowy zapach, który przesycił powietrze.

– LUCA... – szepnął Bukołów z nabożną czcią.

Gdy przysunęli się bliżej, Tucker poczuł pod kolanami szczeliny. Woda zasysała materiał nogawek, co wskazywało na odpływ. Zapach stał się bardziej intensywny.

– Czy oddychanie tu jest bezpieczne? – spytał.

– Tak sądzę.

Chciałby w to wierzyć.

– Wyglądają dokładnie tak jak szkice w dzienniku – dodał Bukołów.

Tucker musiał przyznać, że rysunki De Klerka świadczyły o mistrzowskiej ręce. Profesor z chlupotem przesunął się dalej w lewo.

– Chodź to zobaczyć! Spójrz tam, gdzie bulwy dotykają skały.

Tucker pochylił się, żeby popatrzeć we wskazane miejsce. Bulwy i brzegi parasolek przy skale były brązowo-czarne, jakby przypalone przez blask porostów na ścianie.

– Myślę, że te porosty wytwarzają coś, co niszczy LUCE. – Bukołów obrócił się w jego stronę. – To może rozwiązać problem wyłącznika awaryjnego.

Tucker poczuł nieopisaną ulgę, ale jednocześnie zaczął się martwić.

– Miałem nadzieję to tu znaleźć – dodał profesor. – Coś, co nie pozwoliło LUCE się rozprzestrzenić. To nie mogła być tylko kwestia odizolowanego środowiska.

– W takim razie niech pan pobierze próbki wszystkiego, co tu...

Bukołów musnął palcami strop. Blask ściemniał w miejscu dotknięcia.

– Nie rozumiesz. Patrzymy na mikrokosmos pradawnego świata, na enklawę pierwotnej historii. Mam tyle pytań...

– Spróbujemy odpowiedzieć na nie później. – Tucker złapał go za łokieć i wskazał palcem najpierw pojemnik na okazy, potem poletko LUKI. – Proszę pobrać próbki, póki jeszcze pan może.

Napłynęło do nich echo ostrego szczeknięcia, a po nim drugie. Kain.

– Do roboty, profesorze – ponaglił Tucker. – Sprawdzę, co się dzieje.

Zawrócił i pospiesznie przeczołgał się obok pocisków artyleryjskich do pieczary z wodospadem, po czym wspiął się na górę. Christopher pomógł mu wstać.

– Zaczął czekać przed chwilą – powiedział.

Ania, wciąż mocno związana, leżała nieruchomo w kałuży światła latarki. Kain stał obok niej, ale patrzył w kierunku bliźniaczych tuneli.

– O co chodzi? – zapytał Christopher.

– Nie wiem. Kain coś usłyszał.

Tucker przypomniał sobie widzianych wcześniej rosyjskich żołnierzy.

– Wychodzi na to, że jesteśmy ci winni podziękowania, kapitanie Wayne! – zawołała do nich dziewczyna. – Bez ciebie nie

pomyślelibyśmy o tej metodzie. Biorąc z ciebie przykład, postanowiliśmy dodać do naszego arsenału nową broń.

Patrzyła na Kaina.

Tucker nagle zrozumiał.

Niech cię... Dobra jesteś.

To akurat nie przyszło mu do głowy. Wyłączając technikę, jaki jest najlepszy sposób, żeby kogoś namierzyć?

Kain na niego zerknął, wyraźnie czekając na rozkaz rzucenia się na to, co wyczuł.

Tucker zwrócił się do Christophera:

– Zostań tutaj i bądź gotów pomóc Bukołowowi.

– Mamy kłopoty?

Jak zawsze, pomyślał Tucker.

Wskazał Anię.

– Jeśli się ruszy... po prostu ją zastrzel.

– Rozumiem.

Szybko podszedł do stosu ekwipunku i przygotował się na nadciągającą burzę. Zabrał dwa zapasowe magazynki do karabinu i czerwoną flarę, po czym zapakował wszystko w kieszenie. Zarzucił AR-15 na ramię i chwycił plastikowy kanister z paliwem.

Tak przygotowany ruszył z Kainem do tuneli.

Nadszedł czas na wypróbowanie starych burskich umocnień.

Godzina 23.55

W Katedrze Tucker przebiegł przez labirynt kolumn skalnych do rzędów worków z piaskiem. Z partnerem u boku przeskoczył przez dwa pierwsze, zatrzymał się przed trzecim i padł na kolana.

Usłyszał dochodzące z tunelu ciche ujadanie.

Wróg miał psy gończe.

Domyślał się, jaki był przebieg wydarzeń. Najwyraźniej Charzin wyprawiał główny oddział wraz z psami tam, gdzie

zostawił range rovera z podłożoną bombą. Inni Rosjanie – ci, których widział wcześniej – prawdopodobnie tworzyli mniejszą siłę ekspedycyjną wysłaną w celu sprawdzenia tego bocznego tropu. Nic dziwnego, że wydawali się tacy rozluźnieni i niedbali. Gdy pułapka zatrzasnęła się z potężnym hukiem, Charzin wrócił tutaj, ściągając wszystkich swoich ludzi.

Tucker musiał wiedzieć, co ma przed sobą.

Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Wskazał tunel.

– CICHY ZWIAD.

Kain przeskoczył przez worki i zniknął w tunelu. Używając telefonu, Tucker monitorował przekaz z kamery. Kiedy pies dotarł do prostego odcinka, dotknął laryngofonu.

– STÓJ. LEŻEĆ.

Kain zatrzymał się i położył, zasłonięty przez głązy.

Tunel był pusty, bez żadnych śladów, że ktoś z niego korzystał. Stos skał blokujący wylot tunelu wyglądał na nienaruszony. Psy jeszcze nie znalazły tylnego wejścia do systemu jaskiń, przynajmniej na razie. Ale znajdują.

Szczekanie, które słyszał przez radio Kaina, stawało się głośniejsze.

Tucker szybko zdjął worki ze środkowej części barykady. Po zrobieniu odpowiednio dużej luki wcisnął w nią kanister. Odłożył worki na miejsce, starannie zasłaniając pojemnik.

Przez cały czas zerkał na ekran telefonu, używając kamery Kaina jako przedłużenia swojego wzroku. Nagle jego uwagę przykuł jakiś ruch. Skrawki światła na końcu korytarza poszerzały się w szarozielonym blasku kamery noktowizyjnej. Światła przybywało; ktoś odsuwał kamienie.

Dostrzegł poruszające się cienie.

Zostali odkryci.

– CICHY POWRÓT – szepnął do partnera.

Kamera podskakiwała, gdy Kain czołgał się do tyłu. Dopiero po dłuższej chwili odwrócił się i pobiegł. Wyłonił się z tunelu i przeskoczył przez worki.

Dobry pies.

Tucker wyjął flarę i wcisnął ją pomiędzy dwa worki blisko spodu kanistra. Na razie jej nie zapalał.

– ZOSTAŃ – wydał komendę.

Pogłaskał Kaina po karku, przeszedł przez wał worków, przyłożył karabin do ramienia i wpełzł do tunelu. Czołgał się do ostatniego zakrętu korytarza. Krył się, ostrożnie wysuwając głowę i karabin. Szybko zgasił latarkę i przełączył lunetkę na tryb noktowizora. Czekał z celownikiem przy oku.

W prostym korytarzu pojawił się pierwszy żołnierz skąpany w księżycowej poświacie, która wlewała się przez otwarte wejście.

Tucker wycelował między oczy i nacisnął spust. Huk niemal go ogłuszył. Nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, jaki był skutek.

Schylił głowę i cofnął się, gdy zagrzechotały kule, prawdopodobnie wystrzeliwane na oślep przez drugiego żołnierza. Wiedział, że wróg nie ośmieli się rzucić granatu w ciasnym tunelu, żeby nie narazić się na zranienie odłamkami albo nie spowodować zawalenia stropu, bo to unicestwiłoby szanse na znalezienie tego, po co przybyli. Prawdopodobnie zakładali, że jest tylko jedno wejście.

Nigdy jednak nie stawiał na logiczne myślenie przeciwników.

Zwłaszcza kiedy już zabił jednego z nich.

Dlatego teraz Tucker uciekł, pełzając na czworakach.

Zasadzka ich zatrzyma, zmusi do zwolnienia, ale nie na długo.

Dotarł do końca tunelu, wstał i przeskoczył nad pierwszym wałem. Kucając, zmierzwił sierść na karku Kaina, po czym szybko sprawdził kanister i flarę. Zadowolony z wyniku inspekcji, przelazł przez pozostałe dwa wały.

Gdy był już za ostatnim, z drugiej strony Katedry napłynął alarmujący krzyk.

Christopher wołał z wylotu bliźniaczego tunelu:

– Panie Wayne... Niech pan uważa!

Góry Groot Karas, Namibia

22 marca, godzina 0.18 czasu miejscowego

Kain warknął nisko, skoczył na równe nogi i popędził przez Katedrę w kierunku Christophera. To, że nie posłuchał ostatniej komendy nakazującej mu zostać, mogło oznaczać tylko jedno.

Bezpośrednie, realne niebezpieczeństwo.

Tucker spojrział w głąb mrocznej groty.

Na drugim jej końcu błysnęła gwiazda, latarka czołowa Christophera.

Pomiędzy nim i Tuckerem zalegała ciemność, w której zniknął Kain. Tucker uniósł lunetkę i korzystając z noktowizora, rozejrzał się po Katedrze. Dostrzegł postać przemykającą między kolumnami skalnymi. Kain pędził ku niej co sił w łapach. Tucker miał kłopoty z jej tropieniem w lesie wysokich kamiennych filarów.

Nagle postać wysunęła się zza kolumny i przez chwilę widział jej idealną twarz – potem zniknęła. Skoczyła w bok, starając się trzymać pod osłoną, wiedziała bowiem, że jest uzbrojony.

Ania.

Wolna.

Jak?

Dostrzegł błysk metalu w jej ręce, rewolwer Smith & Wesson, który dał Bukołowowi.

Zniknęła.

Jakiś ruch po lewej.

Kain.

On też zniknął.

Padł strzał.

Trzy strzały w ciemności, każdy błysk z lufy go oślepił. Usłyszał zduszony skowyt, który rozdarł mu serce.

Patrzył, jak niewielka sylwetka szoruje po podłożu i zatrzymuje się w blasku jego latarki.

Kain.

Ania wypadła z ciemności, przeskoczyła nad psem i ruszyła prosto na Tuckera, strzelając. Chybiła, a on odpowiedział ogniem. Rozproszony widokiem leżącego Kaina, też chybił; trafił w skałę za plecami dziewczyny.

Niezrażona, strzeliła ponownie.

Tucker poczuł uderzenie w górze uda. Impet pocisku go okręcił i przerzucił nad workami z piaskiem. Wypuścił karabin z ręki. Podniósł się na kolana i sięgnął po broń.

– Ani drgnij! – krzyknęła Rosjanka.

Stała przy wale z worków. Z odległości metra celowała z rewolweru w jego głowę. Nie bacząc na to, rzucił się po karabin, a ona pociągnęła za spust. Usłyszał szcęk iglicy, nic więcej. Naliczył pięć strzałów: dokładnie tyle, ile mieściło się w magazynku tego modelu smitha & wessona.

Nie zwyczajny sześciostrzałowiec, Aniu.

Chwycił karabin, poderwał lufę – ale spowolniła go myśl, że ma nad nią przewagę. Odwrócił się i zobaczył rewolwer pędzący ku jego twarzy. Broń uderzyła w garb nosa i natychmiast oślepił go błysk bólu.

Dziewczyna przeszła przez wał i rzuciła się na niego.

Upadli, ona znalazła się na górze.

Tucker zobaczył błysk czarnego ostrza – jednego z burskich bagnetów, które widział po zejściu do jaskini. Zamachnęła się, mierząc w jego gardło. Poderwał głowę i czołem trzasnął ją w nos. Opadający bagnet uderzył w kamień za jego głową.

Zrzucił ją z siebie i usiadł na niej okrakiem. Chwycił ją za nadgarstek i wykręcił rękę, aż wrzasnęła.

Podniósł bagnet i przycisnął czubek do jej gardła.

Patrzyła, nie okazując strachu.

Nie bała się śmierci, a już na pewno nie jego.

Dzięki długiej wspólnej podróży wiedziała, że nie umie zabijać z zimną krwią – bez względu na to, jak bardzo tego pragnął.

Ruch jej oczu był jedynym ostrzeżeniem.

Tucker dostrzegł cień przeskakujący przez wał worków i niemal w tym samym momencie na plecy spadł mu ciężar – jego partner. Kain zeskoczył z barków Tuckera i chwiejnie stanął na czterech łapach, zziębnięty, oszołomiony. Z wściekłością szczyrzył zęby, wbijając oczy w cel. Choć ledwie mógł chodzić, przybył partnerowi na ratunek, nigdy się nie poddając.

Tucker spojrział na Rosjankę.

Krew pieniała się wokół bagnetu wbitego w jej szyję. Kiedy Kain skoczył, ostry czubek znajdował się pod jej podbródkiem i ich połączony ciężar wbił ostrze.

Jej usta otworzyły się i zamknęły, oczy patrzyły z niedowierzaniem i bólem.

– Panie Wayne! – krzyknął Christopher, biegnąc w ich stronę.

– Nic mi nie jest! Wracaj do Bukołowa!

Patrząc na coraz większą kałużę krwi, Tucker się podniósł.

Ania już nie oddychała, jej szkliste oczy spoglądały w górę.

Nie żyła.

Godzina 0.36

Tucker ukląkł i przywołał Kaina. Pies przykuśtykał z cichym popiskiwaniem i przytulił się do jego piersi. Tucker przeciągnął rękami po jego brzuchu, ale nie poczuł krwi. Dopiero gdy obmacywał kamizelkę, pies zaskomlał.

– Nic ci nie jest, brachu.

Jak najdelikatniej wyłuskał z kevlaru spłaszczony pocisk kalibru 38 i przytulił partnera.

Następnie sprawdził swoje obrażenia. Ania raniła go ostatnim strzałem, kula wydarła ciało z górnej części uda. Krew przesiąkła przez nogawkę i zaczynał odczuwać ból, ale uznał, że przez jakiś czas powinien wytrzymać. Kilka centymetrów i pocisk strzaskałby kość i zrobił z niego kalekę.

Taka już jest natura wojny, gdzie życie, śmierć czy kalectwo są mierzone w centymetrach i sekundach. Zadumał się nad swoją przeszłością. Ilu przyjaciół stracił przez kaprysy przeznaczenia? Zrób pół kroku w lewo, a zostaniesz przecięty na pół przez AK-47. Rzucony granat podskoczy w prawo, a cały i zdrowy dożyjesz jutra, lecz jeśli podskoczy w lewo, stracisz nogi...

Poczuł lodowate drżenie przebiegające wzdłuż kręgosłupa. Świat zawirował mu przed oczami. W jakiejś oderwanej części umysłu narodziła się myśl: klasyczne objawy zespołu stresu pourazowego.

Uczepił się jej kurczowo.

Znasz tego wroga, powiedział sobie.

Odetchnął kilka razy, żeby się uspokoić.

Żyjesz. Twój partner żyje. Połącz jedno i drugie i zrób to, po co tu przyszedłeś.

Nagle Kain zastrzygł uszami i warknął – cicho, żeby tylko Tucker go usłyszał.

Z tunelu dobiegł szelest.

Tucker gestem kazał psu zostać.

Zgasił latarkę, chwycił karabin, podniósł się na kolana i zerknął przez lukę między workami. Przez celownik noktowizyjny namierzył żołnierza Specnazu zbliżającego się do wylotu tunelu, ostrożnie, bo przecież słyszał niedawną wymianę ognia.

Tucker zaczekał, aż tamten dotrze do wylotu, i strzelił mu w głowę, po czym puścił serię w głąb tunelu, żeby zatrzymać innych. Strzelając, przeszedł przez wały worków, bo potrzebował czegoś od martwego żołnierza.

Dotarł do trupa, pociągnął go w bok i włączył latarkę.

W tunelu rozległy się strzały, ale Tucker nie znajdował się na linii ognia. Szybko zabrał radio zabitego. Właściwie tylko po to tu przyszedł, lecz zrobił się zachłanny i odpiął jeszcze dwa granaty z taktycznej uprząży. Wcisnął je do kieszeni, wziął trzeci granat, wyciągnął zawleczkę i rzucił go do tunelu.

I uciekł.

Przeskoczył nad pierwszym wałem i przystanął, żeby odpalić flarę. Przetoczył się przez drugą barierę i padł płasko na podłoże.

Granat eksplodował z ogłuszającym hukiem i oślepiającym blaskiem.

Tucker ukląkł, spojrzał na rozchodzący się dym i chmurę drobnego piasku. Tunel wprawdzie się nie zawalił, ale wybuch na jakiś czas zniechęci żołnierzy.

Z Kainem u boku, czując potworny ból w rannej nodze, pomknął przez Katedrę. Zanim dotarł do bliźniaczych tuneli, skarpetę miał mokrą od krwi. Wyczerpany, osunął się na podłoże przy wylocie tunelu.

– Christopherze! – krzyknął przez ramię.

Młody człowiek pojawił się chwilę później i ukląkł obok niego.

– Jest pan ranny.

– Ania nie żyje. Poradzę sobie. No właśnie... Jak się uwolniła?

– Kiedy wrócił profesor, musiałem mu pomóc wyjść z dziury. Wtedy zaatakowała nas z zaskoczenia. Powaliła mnie i ze starym bagnetem rzuciła się na Bukołowa. Chciała przeciąć pas torby z okazami i ją ukraść, ale profesor stawiał opór. Torba się rozdarła, pojemniki i bulwy wypadły, a Ania zdołała odebrać mu broń. Ja zdążyłem chwycić karabin i strzeliłem do niej, ale rzuciła się do ucieczki i zniknęła.

– Dalej nie rozumiem, jak się uwolniła.

– W sznurach znalazłem połamane kawałki gipsu.

Tucker powoli pokiwał głową. Podczas walki z dziewczyną nie zauważył, że gips z jej nadgarstka zniknął. Gdy ją krępował, przywiązał zdrową rękę do gipsu. Powinien być mądrzejszy, ale nie przyszło mu na myśl, że ta dziewczyna okaże taki spokój i opanowanie. Pozbycie się gipsu musiało być strasznie bolesne,

a jednak nawet się nie skrzywiła i ani jedna kropla potu nie wystąpiła jej na czoło.

Siedząc pod skalną kolumną, z rękami skrępowanymi za plecami, powoli rozkruszała gips, trąc o twardą powierzchnię. Gdy się go pozbyła, wysunęła dłonie z poluzowanych pęt. Od tej chwili wystarczyło czekać na odpowiednią chwilę, żeby przejść do działania.

– Przepraszam – mruknął Christopher.

– Nie masz za co przepraszać. Była przerażająco dobra. A teraz potrzebuję kilku rzeczy. Przynieś dwa pięciosekundowe zapalniki chemiczne i apteczkę.

Gdy Christopher zniknął w tunelu, Tucker nałożył zdobyczne słuchawki i włączył radio.

– Generale Charzin, jest pan tam?

Po kilku sekundach ciszy usłyszał szorstki głos:

– Tu Charzin. Zakładam, że rozmawiam z Tuckerem Wayne'em?

– Zgadza się. Chcę negocjować. Wszyscy możemy wyjść stąd z tym, z czym chcemy.

– A czego chcemy?

– Wbrew mojej radzie Bukołów chce zawrzeć umowę. Próbki LUKI za nasze życie.

– Więc je ma? – zapytał Charzin. – Znalazł źródło?

– Prawie – skłamał Tucker. – Jest w tunelu i kopie. Wydaje się pewny sukcesu.

– Proszę dać mi pięć minut na rozważenie propozycji.

On też kłamał.

Tucker musiał dać Rosjaninowi nauczkę, zanim naprawdę będą mogli rozpocząć negocjacje.

Wrócił Christopher z zapalnikami i apteczką.

– Dzięki. Chodź ze mną – powiedział Tucker.

Pokuśtykał po wysokich stopniach z prawej strony Katedry, zsunął się do starego burskiego okopu i przeszedł pięćdziesiąt metrów. Christopher podążał za nim z przyniesionymi rzeczami.

Gdy usiedli, Tucker wskazał przez Katedrę na mały czerwony blask.

– Widzisz płonąca flarę?

– Ledwie, ale tak.

– Patrz przez lunetkę w wylot tunelu i powiadom mnie, jeśli coś zobaczysz.

Z Christopherem pilnującym wejścia, rozciął nogawkę, rozdarł pakiet opatrunku z apteczki i przyłożył go do rany. Zacisnął zęby, czując pieczenie. Okręcił udo bandażem i go zawiązał.

Wyjął z kieszeni pozostałą połówkę kostki C-4 i podzielił ją na dwa równe kawałki. Jeden schował do kieszeni, a z drugiego uformował śmiertcionośny naleśnik i ostrożnie wbił w środek zapalnik chemiczny. Podał ładunek Christopherowi.

– Tą połówką wysadzimy pociski artyleryjskie.

– Chwila... – szepnął Christopher. – Coś się rusza. Chyba dwóch ludzi.

– Dobrze. Ja się nimi zajmę. Zabierz C-cztery do jaskini i czekaj na mnie.

Gdy młody człowiek odszedł, Tucker podniósł karabin i spojrział przez lunetkę. Przy wejściu do tunelu kucało dwóch żołnierzy. Byli w kamizelkach, z bronią w pogotowiu. Za nimi czołgał się następny żołnierz... i następny. Ostatni miał granatnik RPG. Uniósł rękę, szykując się do odpalenia pocisku.

Jakby na dany znak Tucker usłyszał głos Charzina.

– Panie Wayne, przemyślałem pańską propozycję.

– I?

– Jaką mam gwarancję, że dotrzyma pan słowa?

– Hm... dobre pytanie. – Tucker wycelował we flarę, potem przesunął krzyż celowniczy na ukryty kanister. – To moja odpowiedź.

Pociągnął za spust. Gdy pocisk uderzył w pojemnik, benzyna wyciekła przez dziury, spłynęła do płonącej flary i kanister eksplodował. Płomienie z szumem zalały drugi koniec Katedry.

Żołnierze wrzeszczeli; ich cienie tańczyły na ścianach w pomarańczowym blasku. Po kilku sekundach wrzaski ucichły.

– Słyszał pan? – rzucił do mikrofonu.

– Tak, słyszałem.

Charzin musiał wyciągnąć wnioski. Taki był rosyjski sposób. Dzięki pracy dla poprzedniego zleceniodawcy, Bogdana Fiedosiejewa, Tucker wiedział, jak generał zareaguje. Fakt, że złożono mu ofertę, uznał za słabość przeciwnika i – tak jak tego oczekiwał Tucker – próbował zyskać przewagę i wybadać rzeczywistą siłę wroga.

Teraz ją znał.

– Generale, miałem dwanaście godzin, żeby przemienić to miejsce w śmiertelną pułapkę dla pana i pańskich żołnierzy. Jeśli chce pan przysłać swoich chłopców, z radością będę ich zabijać. Ale nie sądzę, żeby miał pan do dyspozycji nieorganiczną liczbę ludzi.

– Podeszedł mnie pan.

Tucker usłyszał nutę szacunku we wściekłym tonie generała.

– Zawieramy umowę? – spytał.

Po chwili wahania Charzin westchnął.

– Dobrze. Jakie są pańskie warunki?

– Pozwoli pan, że sprawdzę, czego dokonał profesor Bukołow. Odezwę się za dziesięć minut. Jeśli znowu wejdzie mi pan w drogę, zrobi się naprawdę paskudnie. Czy pan rozumie?

– Tak.

– Jeszcze jedno. Jest z panem Felice Nilsson?

– A jeśli tak?

– To kolejny warunek. Chcę ją mieć.

– Dlaczego?

– Niech pan zgadnie.

– Cóż, tak się składa, że jej tu nie ma. Dostała inne zadanie. A skoro mowa o ludziach, którzy dla mnie pracują, to chcę, żeby Ania wróciła cała i zdrowa.

Tucker był za mądry, żeby wyznać prawdę.

– Da się zrobić – odparł.

- W takim razie umowa stoi.
- Proszę nie wyłączać radia, generale.

Tucker rozłączył się i pokuśtykał, z bólem stawiając kolejne kroki.

Choć w głębi Katedry wciąż płonął ogień, nie śmiał zostawić niestrzeżonych tyłów. Przycisnął czoło do łba Kaina.

- Wybacz, brachu, ale muszę cię prosić o coś jeszcze.

Jego partner machnął ogonem.

Tucker wskazał płomienie.

- ZOSTAŃ. CZUWAJ.

Pies opadł na brzuch i patrzył przez jaskinię, wypatrując kolejnych intruzów.

Jego anioł stróż, zawsze.

Godzina 0.55

Gdy Tucker przykuśtykał do jaskini, Bukołów i Christopher od razu do niego podeszli, wyraźnie chcąc wiedzieć, jaki ma plan.

- Zabezpieczył pan próbki, profesorze?

– Tak, są zapakowane. Co teraz?

– Powiedziałem Charzinowi, że chcemy zawrzeć umowę. Połowa próbek za nasze życie. – Bukołów otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Tucker uniósł rękę. – Gram na zwłokę. Stąd są tylko dwa wyjścia. Z jednego nie możemy skorzystać, bo ściągnąłem linę. W drugim jest pełno żołnierzy. Dlatego musimy zrobić trzecie.

- Jak? – zapytał Christopher.

– Pamiętacie miejsce, w którym kopaliśmy w wąwozie?

Obaj mężczyźni pokiwali głowami.

Tucker wskazał przez jaskinię.

– Jest po drugiej stronie tej ściany. Oceniam, że ściana ma metr, może metr dwadzieścia grubości... głównie miękki piaskowiec.

Bukołow spojrzał na niego z konsternacją.

– Przekopanie się zajmie nam godziny...

Tucker wyjął z kieszeni resztę C-4.

– Ale wysadzenie tylko sekundy.

– Uda się? – zapytał Christopher. – Naprawdę?

– To nasza jedyna szansa.

Tucker podał mu saperkę i kazał wykopać dziurę tak głęboką, jak tylko da radę. Sam przygotował nowy ładunek w kształcie placka i przekazał go profesorowi.

– Ostrożnie – uprzedził. – Jest uzbrojony. Proszę stanąć przy Christopherze.

Następnie zabrał przygotowaną wcześniej pierwszą bombę i umieścił ją wśród pocisków artyleryjskich.

Zostawił swoich towarzyszy, pokuśtykał z powrotem do Katedry i dołączył do Kaina. Nałożył słuchawki i włączył radio.

– Generale, jest pan tam?

Po kilku długich sekundach padła odpowiedź.

– Jestem.

– Bukołow ma próbki.

– To dobra wiadomość.

– Ile ma pan pojazdów?

– Dwa.

– Chcemy dostać jeden z nich.

– Rozumiem, zważywszy na los waszego samochodu. – Tucker usłyszał gniew w głosie rozmówcy.

A więc podstęp z range roverem się udał.

– Oba pojazdy stoją przy wejściu do jaskini? – Przypomniał sobie SUV-a zaparkowanego w wąwozie przy tylnym wyjściu. A Rosjanie prawdopodobnie sądzili, że to jedyne wyjście.

– Tak.

– W porządku. Mamy tu rannego. Proszę mi dać kilka minut, żebyśmy mogli się zebrać. Powiadomię pana, kiedy będziecie mogli wejść. Może pan zabrać ze sobą dwóch ludzi jako strażników. Wtedy nasze siły będą równe. Nie życzę sobie żadnych niespodzianek. Po dokonaniu wymiany pan i wszyscy

pańscy ludzie wsiądziecie do jednego pojazdu i odjedziecie. Czy pan się zgadza?

– Zgadzam się. I niech Ania będzie gotowa do podróży.

– Dobrze. Niech pan też się przygotuje.

Tucker zostawił Kaina na straży i wrócił do groty. Bukołów opierał się o ścianę, trzymając w ręce płacek C-4.

– Wcale mnie to nie bawi – poskarżył się.

– Proszę się nie niecierpliwić. Jak idzie, Christopherze?

Młody człowiek przestał kopać.

– Niech pan spojrzy. Szczerze mówiąc, nie sędzę, żebyśmy potrzebowali tego materiału wybuchowego. Piaskowiec się kruszy, gdy tylko uderzam.

Tucker zajrzał do dziury. Miała już pół metra głębokości.

– Masz rację. Wilgoć z komory z czasem osłabiła skałę, zmiękczyła ją. Kop dalej, ale ostrożnie. Jeszcze nie chcemy się przebić. Profesorze, jest pan spakowany i gotów do drogi?

– Oczywiście, że jestem gotowy, ale co mam z tym zrobić? – Bukołów wskazał C-4.

– Może pan położyć na ziemi, tylko niech pan uważa, żeby nie nadepnąć.

– Rozumiem.

– Panie Wayne, prawie się przebiłem! – zawołał Christopher.

Tucker podszedł do niego i dłutem wybił otwór w ścianie. Wsunął głowę do dziury i słuchał przez pół minuty. Zadowolony, że w wąwozie nikogo nie ma, poszerzył otwór i wyjrzał. Charzin zebrał wszystkich ludzi w drugim wąwozie, strzegąc tego, co uważał za jedyne wyjście.

– W porządku, od teraz mówimy po cichu. Nie powinniśmy przyciągnąć uwagi. – Zwrócił się do Christophera: – Kop dalej i jak najciszej poszerzaj dziurę, żebyście mogli się precyzować. Kiedy otwór będzie dostatecznie duży, zabierzcie plecaki i Kaina i dajcie stąd nogę. Idźcie na wschód, korzystając z wszelkiej możliwej osłony. Kain wam pomoże. Ruszę za wami, gdy tylko tu skończę.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał Bukołów.

– Gdy uciekniecie, ściągnę tu Charzina. Wrzucę na dół pański placek C-cztery, do tego, który już umieściłem wśród pocisków, po czym ucieknę na złamanie karku. Kiedy te maleństwa wybuchną, cała jaskinia się zarwie.

– Skończyłem – szepnął Christopher.

– W takim razie pora na opuszczenie posesji.

Tucker pomógł im zebrać plecaki i przerzucić je przez otwór w chłodną noc. Podniósł bombę Bukołowa i położył ją blisko dziury w podłożu.

Gdy wszystko przygotował, spojrzął na ekran z obrazem z kamery Kaina. W Katedrze panowały cisza i spokój, więc dotknął mikrofonu i przywołał partnera.

Po serdecznym powitaniu podał telefon Christopherowi.

– Bez względu na to, co będzie ze mną, idźcie do wczorajszego obozu i czekajcie na twoich braci. Kiedy bezpiecznie przekroczycie granicę, wciśnij jedynekę na liście szybkiego wybierania i poproś o rozmowę z Ruth Harper. Powiedz jej, co się stało, a ona was stamtąd zabierze.

– Dobrze.

– Zaopiekuj się Kainem.

– Panie Wayne...

– Obiecuj.

– Obiecuję. Będzie dla mnie jak kolejny brat.

Nie mógłbym prosić o nic lepszego.

Christopher wyciągnął rękę, uściskał jego dłoń, po czym wygramolił się przez otwór i zeskoczył.

– Teraz pan, profesorze – powiedział Tucker.

Bukołow bez ostrzeżenia zamknął go w niedźwiedzim uścisku.

– Jeszcze się zobaczymy, prawda?

– Wkrótce.

Gdy starszy pan wgramolił się do otworu, Tucker przyklęknął obok partnera.

– Dość tu zrobiłeś, brachu – powiedział łamiącym się głosem. – Ostatnią część zamierzam zrobić sam.

Kain przekrzywił łeb i spojrzał mu w oczy. Zaskamlał cicho, wyraźnie wyczuwając, co nadchodzi.

Tucker wyprostował się i szepnął:

– Christopherze, jesteś tam?

– Jestem.

Wziął Kaina w ramiona, uściskał go na pożegnanie, postawił w otworze i pchnął w wyciągnięte ręce Christophera.

– Mam go, panie Wayne. Życzę powodzenia.

– Ja wam też.

Odczekał trzy minuty, nasłuchując, czy ucieczka jego towarzyszy nie wywoła alarmu. Wykorzystał ten czas na zakrycie otworu kawałkiem płótna namiotowego w kolorze khaki; górne rogi płachty przykleił taśmą. Nie chciał, żeby blask księżycy wpadał przez nowe okno, kiedy za kilka minut zaprosi tu gości.

Wrócił do Katedry i nałożył słuchawki. Zgasił latarkę i spowiała go czarna jak smoła ciemność.

– Generale Charzin.

– Tak, jestem.

– Może pan wejść.

– Już idziemy.

Godzina 1.58

Tucker uniósł karabin i spojrzał przez lunetkę noktowizyjną. Po dwóch minutach w drugim końcu jaskini pojawiła się zielonkawa mgiełka świateł. Chwilę później zobaczył trzech mężczyzn. Z mowy ich ciał poznał, że przeżyli chwile grozy, gdy znaleźli zwęglone szczątki towarzyszy. Przeszli przez wał worków i ujrzeli zwłoki Ani. Klęczeli przez dłuższy czas, zapewne wołając, żeby ktoś ją zabrał. Potem spojrzeli w głąb Katedry.

Kiedy dotarli do połowy wielkiej groty, Tucker krzyknął:

– Stać!

Zatrzymali się.

– Generale – rzucił do mikrofonu – jest pan...

– Mówiłeś, że Ania żyje! – W głosie mężczyzny brzmiał ból.

– Nazwijmy to wyrównaniem rachunków.

– Wyrównaniem rachunków? To moja córka!

Zszokowany tym wyznaniem Tucker poczuł lodowate zimno w trzewiach. Przypomniawszy sobie, jak Ania mówiła o swoim ojcu. Wciąż słyszał ukryty ból w jej słowach: „Moj ojciec służył w wojsku. Był... twardym człowiekiem”.

Teraz się zastanawiał, na ile ten ból był udawany. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak to jest mieć ojca takiego jak Charzin i być używanym przez niego jako podręczne perfekcyjne narzędzie. Pamiętał, że to Ania zaproponowała Bukołowowi, że będzie udawać jego córkę. Może ten fortel miał swoje korzenie właśnie tu: żeby sobie ułatwić zadanie, po prostu przeniosła kłamstwo o jednym ojcu na drugiego.

– Zabiję cię – zapowiedział Charzin.

– Przykro mi z powodu poniesionej przez pana straty, generale. Naprawdę. I oczywiście może pan na mnie zapolować, ale na czym panu bardziej zależy? Na zemście czy na próbkach LUKI?

Charzin milczał przez całe dziesięć sekund.

– W takim razie osobiste porachunki załatwimy później. – Głos miał napięty z rozpaczy i wściekłości. – Ale obiecuję, że zostaną wyrównane.

– Nie mogę się doczekać – zadrwił Tucker. – Na razie proszę podejść. Miejmy to z głowy.

Charzin i jego dwaj towarzysze, pełni podejrzeń, szli powoli. Kiedy znaleźli się w odległości dziesięciu metrów, Tucker dostrzegł ruch w głębi Katedry.

– Stać! – ryknął. – Co się tam dzieje?

Jeden z mężczyzn się obejrzał.

– Zabierają ciała moich żołnierzy... i mojej córki – odparł generał. – Nie zostawię ich tutaj.

– W takim razie możecie iść dalej – powiedział Tucker i zablefował: – Ostrzegam, obserwując ich uzbrojeni ludzie, więc lepiej niech nie próbują żadnych sztuczek.

Zdjął słuchawki i zaczął się cofać w głąb tunelu.

– Proszę iść dalej, generale! – zawołał.

Wycofał się do pieczary z wodospadem i zatrzymał kilka kroków od dziury.

Charzin i jego ludzie ostrożnie weszli do jaskini, uważnie się rozglądając. Najwyższy z nich gestem kazał pozostałym stanąć na straży, a sam poszedł dalej.

To musiał być generał Charzin. Potężny niczym byk, miał grubo ciosane rysy, jak na zdjęciach, ale był młodszy, niż Tucker się spodziewał.

Tucker uniósł lufę na wysokość jego piersi.

– Miło w końcu pana poznać, generale.

Charzin nie chciał na niego patrzeć, odwracał surową, pełną złości twarz. Uniósł rękę, jakby nie miał ochoty rozmawiać z człowiekiem, który zabił mu córkę. Może nie ufał samemu sobie, że zdoła się pohamować.

– Jeszcze raz proszę przyjąć moje kondolencje – powiedział Tucker.

Generał stał z uniesioną dłonią.

– Pokaż mi LUCĘ.

W głowie Tuckera zabrzęczały dzwonki alarmowe. To nie był głos generała. Baczniej przyjrzał się ocienionym rysom mężczyzny. Dostrzegł pewne podobieństwo do zdjęć, które widział w Stambule, ale stojący przed nim mężczyzna nie był Charzinem.

– Na kolana! – wrzasnął, podrywając karabin do ramienia. – Ale już!

Wszyscy trzej uklękli.

Tucker nałożył słuchawki.

– Generale, to była kiepska zagrywka.

– Naprawdę myślałeś, że zaryzykuję własną głową? Teraz to nie ma znaczenia. Nawet po śmierci moja piękna córka zrobiła,

co do niej należało. Przyniosła mi to, czego chciałem. Wiedziałem, że nigdy mnie nie zawiedzie.

– O czym pan mówi?

– Powinieneś przeszukać Anię po tym, jak ją zabiłeś.

Tucker poczuł, że jego wnętrzności przemieniają się w lód.

– Klęczę obok mojej pięknej córki – kontynuował Charzin. – Wygląda na to, że profesorowi Bukołowowi brakuje jednej z próbek. Majorze Lipow, jesteście tam?

– Jestem, generale – odparł rosły mężczyzna.

– Zabić go!

Lipow sięgnął ręką za plecy i w tym momencie Tucker strzelił mu prosto w serce.

Pozostali dwaj poderwali broń, ale on już pędził. Gdy otworzyli ogień, skoczył w bok i przydepnął placek C-4, uruchamiając zapalnik chemiczny.

Pięć sekund...

Nie zważając na pociski rykoszetujące wokół jego stóp, strącił butem materiał wybuchowy do dolnej groty.

Cztery...

Strzelając z biodra, mknął przez jaskinię do zasłoniętej płachtą dziury.

Trzy...

Nie zwalniając, dał nura w głąb otworu.

Dwie...

Zrywając płótno, przeschorował na drugą stronę, wylądował twardo na rękach i zrobił przewrót.

Jedna...

Podniósł się na kolana, wstał i popędził w dół wąwozu.

Usłyszał ostry trzask i zaraz potem potężny huk.

Biegł, gdy wybuchały kolejne fajerwerki, stare pociski artyleryjskie.

Pędził z opuszczoną głową.

Nie oglądaj się! Biegnij!

Fala uderzeniowa dopędziła go i poderwała w powietrze.

Godzina 2.39

Tucker upadł na ziemię, zamrugał i klnąc pod nosem, wypłuł garść piasku. Przeżył, zapewnił bezpieczną ucieczkę swoim towarzyszom – ale zawiódł.

Charzin miał próbkę LUKI.

Z drugiego wąwozu dobiegło dudnienie silnika. Rosjanie przygotowywali się do odjazdu.

Tucker się obejrzał. Ściana urwiska, przez którą wyskoczył, nosiła ślady niewielkich zniszczeń, wyjąwszy kłęby dymu i pyłu wydobywające się z otworu. Wiedział, że wewnątrz ten maleńki mikrokosmos pierwotnego świata przestał istnieć, obrócony w popiół.

Ale za późno.

Wyobraził sobie Charzina w jednej z terenówek, ściskającego pojemnik z maślanobiałą bulwą.

Czy jest jeszcze czas, żeby go dorwać i, co ważniejsze, zrobić to z zaskoczenia? – zastanawiał się.

Zawrócił, w biegu sprawdzając kieszenie. Stracił karabin, więc będzie musiał improwizować. Przebiegł przez kłęby dymu i wyhamował przy stopniach z głazów, które prowadziły na płaskowyż. Wspiął się jak mała z podpalonym ogonem. Na szczycie przystanął, żeby złapać oddech, i próbował sobie wyobrazić, co leży na dole. Stał nad jaskinią. Jeśli wybuch osłabił strukturę, może spaść prosto w dół.

Może, być może, jeśli... Do diabła z tym!

Pobiegł przez płaskowyż w kierunku drugiego wąwozu. Gdy zbliżył się do krawędzi urwiska, pomruk silników przeszedł w ryk. Spojrzał w dół i zobaczył, że obie terenówki Charzina pędzą dnem wąwozu; blask reflektorów pomykał po skalnych ścianach.

Tucker biegł równolegle do nich, balansując na krawędzi; jednym okiem patrzył pod nogi, drugim na samochody. Niedaleko przed nim płaskowyż kończył się nachylonym

świńskim ryjem. Ignorował głos w głowie nakazujący mu się zatrzymać.

Przyspieszył i wyrwał z kieszeni dwa granaty, które zabrał zastrzelonemu żołnierzowi. Gdy dotarł na świński ryj, usiadł i zaczął się po nim zsuwać. Kątem oka dostrzegł przemykający pierwszy pojazd. Wciąż się ześlizgując, zębami wyrwał zawleczkę, ale mocno trzymał łyżkę.

Dotarł do ściętego końca ryja i poszybował. Od ziemi dzieliły go trzy metry. Uderzył w nią mocno i przetoczył się przez bark, podkulając nogi i przyciskając granaty do brzucha. Przyklęknął, puścił łyżkę i rzucił granat za pierwszą terenówką.

Za jego plecami ryczał silnik; omiotło go światło reflektorów. Odwrócił się i zobaczył, że druga terenówka pędzi prosto na niego. Uskoczył z drogi, ledwie wiedząc, co robi. Padł na plecy, wyciągnął zawleczkę drugiego granatu, uniósł rękę do rzutu...

Eksplozja pierwszego granatu zaskoczyła go w chwili, gdy rzucał drugi. Czarny pocisk przeleciał obok tylnego zderzaka i potoczył się w krzaki. Samochód wyminął uszkodzoną terenówkę i zniknął w głębi wąwozu, unikając zniszczeń.

Krzaki wyleciały w powietrze w tumanie skalnego pyłu.

Wszystko na marne...

Klnąc, Tucker odwrócił się w stronę pierwszego pojazdu. Prawy bok stał w ogniu, płomienie lizały wnętrze. Z kabiny dochodził krzyk.

Ruszył ile sił w nogach do samochodu, nie wiedząc, czy Charzin jest w tym, czy w tamtym, który odjechał. Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Podbiegł z lewej strony, tam gdzie nie sięgały płomienie, i otworzył drzwi po stronie pasażera. Omyła go fala żaru i ognia, więc musiał odskoczyć.

Kierowca leżał na kierownicy, jego plecy stały w płomieniach, skóra czerniała. Mundur wskazywał na to, że jest majorem, nie generałem, tak jak pasażer. Odłamki trafiły go w pierś i bok twarzy. Rosjanin z jękiem chwycił Tuckera za nadgarstek i obrócił głowę. Tucker zobaczył poharatany policzek i wypalony

oczodół. Mężczyzna otworzył usta, ale wydobyło się z nich tylko rżenie.

Tucker przekręcił rękę, próbując ją uwolnić z zaciśniętych jak imadło palców.

– *Niet* – wychrypiał Rosjanin. – *Niet!*

Uniósł drugą rękę – ściskającą granat i rzucił go przez ramię na tylne siedzenie, trzymając Tuckera z siłą zrodzoną z bólu i żądz zemsty.

Tucker błyskawicznie walnął go pięścią w twarz. Gdy głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu, wreszcie uwolnił się i pobiegł. Po kilku krokach poczuł się tak, jakby kowalski młot uderzył go w plecy.

Natychmiast wszystko ściemniało.

Góry Groot Karas, Namibia

22 marca, godzina 7.57 czasu miejscowego

Świat powracał skokami, w oderwanych fragmentach, które miały niewiele sensu: mignięcie zacienionej twarzy, szepty przy uchu, coś zimnego wlewającego się do ust.

A potem coś realnego: liźnięcie ciepłym językiem po policzku.

Wiem, że...

Tucker zmusił się do uniesienia powiek, do skupienia wzroku. Kilka razy zatrzepotał powiekami i stwierdził, że patrzy na czarny nos, wąsy i ciemnobursztynowe oczy. Wilgotny nos trącił go kilka razy.

Jęknął.

– Śpiąca Królowna się budzi. – Był to głos Bukołowa.

Tucker poczuł, że się rusza, podskakuje, ale nogi miał bezwładne.

– Proszę leżeć spokojnie, panie Wayne – powiedział Christopher, ciągnąc go na włókach, prowizorycznych saniach z gałęzi i liny.

Powoli dochodząc do siebie, Tucker się rozejrzał. Słońce stało nisko na niebie, a chłód sugerował, że jest wczesny ranek. Szli przez las zbyt wysoki i gęsty jak na wyżyny Groot Karas.

Zbliżamy się do podnóży...

Podniósł się na łokciu, świat zawirował mu przed oczami i znieruchomiał. Przez minutę tylko oddychał, żeby się pozbyć pajęczyn z wnętrza głowy.

Kain podbiegł, wymachując ogonem, i tańczył obok niego.

– Tak, ja też się cieszę, że żyję. – Tucker zwrócił się do Christophera: – Myślę, że dość długo robiłeś za wołu, przyjacielu. Mogę iść o własnych siłach.

Młody człowiek opuścił włóki.

– Na pewno?

– Będiesz wiedział, gdy stanę na nogach. – Tucker wyciągnął rękę. – Pomóż mi to zrobić.

Podnieśli go i przytrzymywali, aż odzyskał równowagę.

Rozejrzał się.

– Gdzie jesteśmy?

– Jakies pięć godzin marszu od jaskini – odparł Christopher.

– Kiedy usłyszeliśmy wybuchające granaty, wróciliśmy jak najszybciej i znaleźliśmy cię niedaleko zniszczonego pojazdu – wyjaśnił Bukołów.

– Czy nie mówiłem, że macie iść do obozowiska? – warknął Tucker. – Niezależnie od tego, co się będzie działo?

– Nie przypominam sobie, żebyś coś takiego mówił. A ty, Christopherze?

– Na pewno bym zapamiętał, profesorze.

– Pięknie. – Tucker spojrział na Rosjanina i ścisnęło go w piersi, gdy wrócił w myślach do wypadków ubiegłej nocy. – Profesorze, gdzie są pańskie próbki LUKI?

– W torbie, razem z porostami...

– Proszę je policzyć.

Bukołów ukląkł i ze ściągniętymi brwiami zaczął sortować zawartość torby.

– Nie zgadza się. Jednej brakuje.

– A próbki porostów?

Profesor policzył jeszcze raz i z ulgą pokiwał głową.

– Są wszystkie. Ale co z brakującą bulwą?

– Ania ją zabrała podczas zamieszania w grocie. Teraz ma ją Charzin.

Jej ojciec, przypomniał sobie.

– Niedobrze – jęknął Rosjanin. – Mając do dyspozycji takie środki, może rozpętać piekło.

– Ale nie ma porostów. Co oznacza, że nie ma wyłącznika awaryjnego, żeby kontrolować LUCE.

Tuckerowi stanęły przed oczami bulwy i łodygi, które stykały się z fosforyzującymi roślinami.

– A my mamy... albo możemy mieć. – Bukołów miał zdeterminowaną minę. – Muszę się dostać do laboratorium, gdzie będę mógł przeanalizować porosty, przeprowadzić badania nad LUCA i dowiedzieć się, co niszczy naszego pradawnego inwazyjnego drapieżnika.

– W takim razie trzeba to zrobić. Ten wyłącznik awaryjny jest nam potrzebny.

I to szybko.

Godzina 10.02

Dwie godziny później porzucili włóki i szli dalej na wschód, zmierzając do obozowiska. Kain wrócił ze zwiadu, usiadł przed partnerem, wbił w niego wzrok i wskazał nosem na wschód.

– Coś jest przed nami – powiedział Tucker.

Bukołów cofnął się o krok.

– Bandydzi? Partyzanci?

– Możliwe. Christopherze, zabierz profesora do jakiejś kryjówki. Ja pójdę z Kainem, żeby się rozejrzeć.

Tucker poszedł za psem w głąb doliny biegnącej wśród niskich wzgórz. Wspiął się na jedno z nich, żeby mieć dobry punkt obserwacyjny, i położył się na brzuchu.

Dwieście metrów dalej po słonej równinie jechała terenówka zmierzająca w ich stronę. Tucker podniósł lornetkę, ale słońce świeciło mu w oczy, więc minęło kilka sekund, zanim ustawił ją pod odpowiednim kątem. Spojrzał przez przednią szybę.

Uśmiechnął się, kiedy rozpoznał kierowcę.

Był to stały kierowca ich grupy.

Paul Nkomo.

– SPROWADŹ WSZYSTKICH – poinstruował Kaina.

Gdy pies popędził po Christophera i Kaina, podniósł się i pomachał rękami nad głową. Terenówka zatrzymała się i Paul wytknął głowę przez okno. Widząc błysk światła słonecznego na szkle Tucker zorientował się, że Paul patrzy prosto na niego przez lornetkę.

Z samochodu wysunęła się chuda ręka i odwzajemniła powitalny gest.

Chwilę później zjawił się Christopher. Spojrzał w dół na powoli zbliżającą się terenówkę.

– Mój młodszy braciszek... Miał się z nami spotkać w obozowisku, ale jak zwykle nie posłuchał. Zawsze pakuje się w kłopoty.

Tucker spojrział na posiniaczonego, utykającego, poranionego Christophera.

– Tak, racja – mruknął sarkastycznie. – To on jest największym rozrabiaką w rodzinie.

Godzina 20.42

Krótko po zmroku Paul dowiózł Tuckera i pozostałych do rezerwatu Spitskop, gdzie czekał na nich personel z jedzeniem, pić i pierwszą pomocą, łącznie z weterynaryjną.

Mężczyzna w nieskazitelnie białym kitlu, opowiadający barwne historie z życia afrykańskiego weterynarza, oczyścił rany Kaina, posłuchał bicia serca i pracy płuc i zbadał palcami żebra, w które trafiła kula wystrzelona przez Anię. Nie ma złamań, tylko głębokie stłuczenie, zawyrokował. Dopiero wtedy Tucker pozwolił, żeby pielęgniarka zszyła długie na dziesięć centymetrów draśnięcie na jego udzie.

Kilka godzin później zajrzał do pokoju Bukołowa. Profesor miał większe wymagania, które wychodziły poza żywność i opiekę medyczną. Pożyczył mikroskop i sprzęt laboratoryjny od

grupy naukowców prowadzących lokalne badania. O północy miał wraz z innymi wyruszyć do Stanów Zjednoczonych, ale chciał bezzwłocznie rozpocząć pracę nad potencjalnym wyłącznikiem LUKI.

Tucker wcale mu się nie dziwił. Po swoim krótkim spotkaniu z generałem Charzinem zdawał sobie sprawę, że nie wolno zmarnować ani chwili. Wiedział, że Charzin będzie równie szybko pracować nad przemianą swojej zdobyczy w broń.

– Jak idzie? – zapytał Bukołowa.

Rosjanin siedział zgarbiony nad mikroskopem. Na stoliku pod obiektywem leżał przecięty na pół okaz LUKI.

– Sam zobacz.

Profesor przesunął się, żeby zrobić dla niego miejsce. Tucker spojrział przez okular.

Ujrzał skraj okazu. Brzegi były wystrzępione, tkanka podziurkowana.

– To próbka umierającej LUKI z jaskini – powiedział Bukołow.

Tucker przypomniał sobie prastary ogród.

– Jestem całkiem pewien, że to, co widzisz, jest reakcją na porosty. Nie wiem, jaka reakcja chemiczna zachodzi, mam jednak hipotezę, którą za chwilę sprawdzę. Ale najpierw ci powiem o tych tajemniczych fosforyzujących porostach. – Profesor spojrział na niego. – Znasz się na porostach?

– Zważywszy, że wziąłem je za mech...

– Drogi chłopcze, nie. Porosty są znacznie starsze i dziwniejsze. Właściwie tworzą je dwa organizmy żyjące w symbiozie. Jednym jest grzyb, a drugim coś, co wykorzystuje fotosyntezę.

– Jak rośliny.

– Tak, ale w przypadku porostów to albo glony, albo cyjanobakterie, powszechniej znane jako sinice. – Przysunął szalkę Petriego z jarzącym się organizmem. – W tym szczególnym wypadku mamy sinice. Istnieją od trzech do czterech miliardów lat, jak LUCA. Oba organizmy pojawiły się

pod koniec dziwnego, wrogiego archaiku; prawdopodobnie rywalizowały o skąpe zasoby owej ery.

– Rywalizowały?

Bukołow położył szalkę z próbką porostów obok tej z LUCA.

– Widzisz, w archaiku nie było jeszcze roślin lądowych. Masz przed sobą dwóch prekursorów.

Postukał w porosty.

– Sinice dały początek chloroplastom, silnikom fotosyntezy obecnym w dzisiejszych roślinach.

Przesunął próbkę LUKI.

– A tutaj mamy wcześniejszego wspólnego przodka, komórki macierzyste świata roślinnego, jeśli wolisz.

Tucker znów przypomniał sobie mikroświat znaleziony w jaskini.

– I rywalizowały ze sobą?

– Zdecydowanie. W ówczesnych surowych warunkach zwycięzca brał wszystko. I jestem przekonany, że ta wojna była ewolucyjnym bodźcem, który doprowadził do rozwoju dzisiejszych roślin.

– A co widzieliśmy w jaskini?

– Fotografię z pradawnej bitwy. Ale jak we wszystkich wojnach, wrogowie często znajdują płaszczyznę porozumienia i rozpoczynają niezbędną przez jakiś czas współpracę. Tam, na dole, widzieliśmy właśnie takie przymusowe zawieszenie broni. Dwoch wrogów pomagało sobie wzajemnie, żeby przetrwać w tak ścisłej izolacji. Jeden potrzebował drugiego do życia.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Znalazłem zdrowe bulwy LUKI z rozkładającymi się wewnątrz martwymi porostami. Jestem przekonany, że żywe porosty mogą zabijać okazy LUKI i wykorzystać je jako nawóz. A martwe porosty spadające ze ścian i stropu stają się pokarmem LUKI.

– Mówi pan, że stanowiły wzajemne źródło pożywienia.

– Owszem. Jestem też pewien, że stały napływ wody zapewniał im składniki odżywcze i materię organiczną. Poza tym

myślę, że ich koegzystencja jest jeszcze bardziej skomplikowana. Może bioluminescencja porostów jest dobroczynna dla LUKI, podczas gdy wydzielany przez bulwy gaz, bogaty w siarkę... pamiętasz ten zapach... w jakiś sposób pomaga porostom. Nie wiem, czy kiedykolwiek to w pełni zrozumiemy. Ten unikatowy związek jest tworem zarówno biologii, jak i geologii.

– I jak to ma nam pomóc w znalezieniu wyłącznika?

Bukołow uniósł palec.

– Po pierwsze, wiemy, że żywe porosty mogą zabić LUCĘ. Już samo to pomoże mi zawęzić pole poszukiwań chemicznego wyłącznika. – Wyprostował drugi palec. – Po drugie, wiemy, kto wygrał tę pradawną bitwę. LUCA została pokonana, wyjąwszy ten odizolowany ogródek, i zostawiła tylko genetyczną spuściznę w postaci współczesnych roślin. A sinice wciąż żyją. Z powodu ich różnorodności można je znaleźć w każdym wodnym i lądowym środowisku Ziemi, od najzimniejszej tundry po najgorętsze kratery wulkanów, od sadzawek wody słodkiej po spalone przez słońce pustynne skały. Są mistrzami kamuflażu, stapiającymi się z innymi organizmami jak te porosty, ale również z roślinami, grzybami i bakteriami. Można je znaleźć nawet w sierści leniwców.

– To brzmi niemal jak pański wcześniejszy opis LUKI. Organizm o nieograniczonym potencjale.

– Właśnie! – Bukołow spojrział na Tuckera. – To dlatego sinice są dzisiaj najbliższymi LUCE żyjącymi organizmami. Ale z moich badań wynika, że pod czysto genetycznym względem LUCA jest tysiącokrotnie bardziej efektywna, agresywna i wytrzymała. Wypuszczona na swobodę, niekontrolowana i niepohamowana, spowoduje niewysłowione ekologiczne spustoszenia na całej Ziemi, na lądzie i morzu.

– Nie rozumiem, panie profesorze. Przecież sam pan powiedział, że w przeszłości została pokonana i nie przetrwała.

– I to jest właśnie druga wskazówka prowadząca do odkrycia wyłącznika. Dlaczego, w przeciwieństwie do sinic, LUCA nie przetrwała?

Tucker musiał przyznać, że jest pod wrażeniem tego, czego Bukołów dowiedział się w tak krótkim czasie. Mógł się tylko domyślać, czego by dokonał, gdyby miał do dyspozycji laboratoria Sigmy w Stanach.

– Mam wiele do przemyślenia – powiedział Rosjanin.

W kieszeni Tuckera zabrzączał telefon satelitarny.

– W takim razie nie będę dłużej przeszkadzać.

Wyszedł z pokoju i odebrał telefon.

– Rozmawiałam z biologami wojskowymi w Fort Detrick. Chcą wiedzieć, czy Bukołów oszacował, ile czasu zajmie Charzinowi przemiana jego próbki LUKI w broń.

– Właśnie w tym problem. Według Bukołowa nie wymaga to większego zachodu. LUCA w zasadzie już jest bronią gotową do użycia. Charzin musi tylko opracować, jak ją dostarczyć do celu i rozproszyć.

– Ile czasu mu to zajmie? Wygląda na to, że Bukołów całkiem dobrze zna Charzina i jego możliwości.

– Nie więcej niż tydzień.

– Mało czasu – rzuciła ponuro. – A czy Bukołów poczynił jakieś postępy w pracy nad wyłącznikiem?

– Tak, ale nad konkretnymi odpowiedziami trzeba będzie popracować w Stanach.

– Mam ostatnie pytanie. Czy według niego Charzin użyje tej broni biologicznej bez wyłącznika?

– Pytasz, jak bardzo jest szalony?

– Otóż to.

– Nie muszę pytać Bukołowa. – Tucker przebiegł w myśli wszystkie swoje problemy z Charzinem, od Władywostoku po góry w Namibii. – Wypróbuje ją, i to szybko.

CZEŚĆ CZWARTA
OSTATECZNA ROZGRYWKA

Frederick, stan Maryland

26 marca, godzina 7.57 czasu miejscowego

W szumie powietrza pod ciśnieniem Tucker przeszedł ze śluzy do laboratorium BSL-3. Miał kombinezon i maskę, podobnie jak ludzie krzątający się po długim, wąskim wnętrzu. Przypuszczał, że jest tu więcej osób ze stopniem doktora niż probówek – a tych było mnóstwo. Po drugiej stronie pomieszczenia stały stoły z bulgoczącymi kolbami, spiralnymi rurkami, płonącymi palnikami Bunsena i powoli napełniającymi się zlewkami. Wszędzie dokoła stopy sprzętu monitorowały i przetwarzały dane, które przewijały się na ekranach komputerów.

Tym chaosem niczym szalony dyrygent kierował Awram Bukołów. Rosjanin przechodził od stanowiska do stanowiska jak nerwowy ptak, tu gestykulując, tam dotykając czyjegoś ramienia, gdzie indziej szepcząc komuś coś do ucha albo głośno krytykując.

Ci biedacy po tym wszystkim będą potrzebować urlopu, pomyślał Tucker.

Laboratorium biologiczne mieściło się w piwnicach budynku na terenie Fort Detrick, kompleksu zajmującego powierzchnię pięciuset hektarów, niegdyś będącego wojskowym centrum obrony biologicznej, siedzibą wielu agencji, łącznie z USAMRIID, należącym do amerykańskiej armii instytutem badań nad chorobami zakaźnymi. Obecnie przebywali w budynku, w którym mieścił się podległy Departamentowi Rolnictwa ośrodek do walki z inwazyjnymi chwastami i chorobami roślin.

Wyglądało na to, że amerykańskie siły zbrojne doskonale zdają sobie sprawę z zagrożenia, jakie inwazyjne gatunki stanowią dla bezpieczeństwa narodowego. Dziś ta przezorność się opłacała, bo zmobilizowano naukowców z całego kompleksu Fort Detrick, żeby uporali się z problemem, jakim była uzbrojona forma LUKI.

Bukołow w końcu zauważył Tuckera i uniósł rękę, zapraszając go do siebie i jednocześnie odchodząc w głąb laboratorium. Tucker przeproszał, przedzierając się przez tłum, i wreszcie dopędził profesora przy stole z pięciolitrową zlewką, do której z aparatu destylacyjnego powoli ściekał destylat. Płyn wyglądał jak czarna kawa.

– Jest! – wykrzyknął Bukołow głosem lekko stłumionym przez maskę.

– Co?

Tucker przyszedł tutaj z tymczasowej kwatery w bazie, wezwany przez pilny telefon od profesora. Odkąd trzy dni temu wylądowali w Waszyngtonie, nie miał pojęcia, co się dzieje w laboratorium. Obaj z Bukołowem zostali przewiezieni prosto tutaj w asyście wojskowej eskorty.

– Złamałem kod porostów. – Rosjanin na wpół lekceważąco machnął ręką w stronę swoich współpracowników, przypisując im minimalną zasługę. – Problem sprowadzał się po prostu do rozstrzygnięcia, co staje się nieaktywne albo ulega rozproszeniu po śmierci organizmów. Nie będę cię zanudzać szczegółami technicznymi, ale powiem, że zdołaliśmy wyizolować związek chemiczny powodujący oparzenia, które zabijają LUCĘ. Okazało się, że nie jest to jeden czynnik, ale mieszanina. Ściślej mówiąc, kwasy siarkowe, azotowe, nadchlorowy.

Bukołowowi śmiały się oczy, jakby ta część była bardzo ważna. Tucker o nic nie zapytał, więc Rosjanin obrzucił go zirytowanym spojrzeniem i podjął:

– To nie tylko wyłącznik, ale także wyjaśnienie, dlaczego wyższa pod względem genetycznym LUCA nie przetrwała ery archaicznej, w przeciwieństwie do sinic.

– I jak brzmi odpowiedź?

– Jednym z punktów zwrotnych, które oznaczały koniec tej ery i początek następnej, była zmiana warunków atmosferycznych, zakwaszenie środowiska. Pamiętaj, wtedy nie istniały rośliny produkujące tlen. Była to toksyczna cieplarnia. Na wielkie połacie ziemi spadały kwaśne deszcze, wypalały ją przypyływy i burze.

– A dlaczego to ważne?

– Sinice były doskonale wyposażone, żeby sobie radzić z zakwaszeniem środowiska. Były mistrzami chemii organicznej, o czym świadczy opanowanie fotosyntezy, czyli procesu przemiany światła słonecznego w energię chemiczną. Można powiedzieć, że popłynęły na tej fali kwasu i zaadaptowały się. Niestety, przewaga LUKI leżała na polu genetyki. Postawiła wszystko na jedną genetyczną kartę, i był to zły wybór. Nie mogła przetrwać dramatycznej zmiany warunków i spadła z wysokiego miejsca w łańcuchu pokarmowym. Jak rekiny, które wyczuwają krew w wodzie, sinice skorzystały z okazji, włączyły kwas do swojego organizmu i wypaliły LUCĘ z ostatnich nisz ekologicznych, odsyłając ją do ewolucyjnej historii.

Bukołów wskazał parującą ciemnobrązową ciecz w zlewce.

– Kwas. – Kropla spadła z rurki destylatora. – To uchodziło za deszcz, na długo zanim zaistnieliśmy bodaj jako jednokomórkowe organizmy taplające się w błocie. To, co tu otrzymujemy, jest formą opadu atmosferycznego niewidzianego od trzech i pół miliarda lat.

– I zabija LUCĘ.

– Zdecydowanie. – Bukołów wbił w niego wzrok. – Ale musimy jeszcze nauczyć się szybko gasić ogień wzniecony przez LUCĘ, najlepiej zaraz po rozpaleniu. Kiedy LUCA zyska punkt zaczepienia i osiągnie masę krytyczną, rozprzestrzeni się jak szalejący pożar, którego nie ugasi nawet pradawna ulewa.

– Więc jeśli nie zdążymy powstrzymać Charzina, wyłącznik może nie wystarczyć.

Bukołow powoli pokiwał głową, patrząc na wolno ściekające krople.

– Jedyna dobra wiadomość jest taka, że dokonaliśmy szacunkowej oceny zagrożenia, jakie stanowi jeden okaz będący w posiadaniu Charzina. Oczywiście, z czasem może wyhodować ich więcej, ale to będzie wymagać cierpliwości.

– A tej akurat cnoty mu brakuje.

– Oceniamy, że w krótkim okresie może uzyskać najwyżej jeden albo dwa litry uzbrojonej LUKI. Ale to wystarczy, żeby wzniecić gdzieś pożar, który szybko przerodzi się w pożogę.

Pozostaje więc jedno pytanie: Gdzie zapali zapalkę?

Tucker miał tylko jedną szansę na znalezienie odpowiedzi.

Szansę w postaci bezwzględnej zabójczynie.

A ta, jak na razie, nie była chętna do współpracy.

Godzina 9.12

– Felice Nilsson wyczyściła swoje karty kredytowe – powiadomiła go Harper przez telefon.

Tucker zadzwonił do niej, gdy po opuszczeniu laboratorium szedł przez kampus Fort Detrick do swojej kwatery.

– Jak mówiłem od początku, Harper, to był daleki strzał.

Trzy dni temu przekazał Sigmie treść swojej radiowej rozmowy z Charzinem, kładąc nacisk na zaskakującą nieobecność pewnej osoby w tej dramatycznej rozgrywce w górach Afryki. Generał twierdził, że Felice ma inne zadanie, co już wtedy uznał za dziwne. Przecież od samego początku była głównym graczem generała i tropiła Tuckera od chwili, gdy wsiadł do pociągu Kolei Transsyberyjskiej. Później, kiedy ludzie Charzina zacisnęli się, nagle została wycofana i przydzielona do czegoś innego.

Dlaczego? I dokąd?

Zasugerował, że może Charzin wycelował tę wyjątkową blond włócznie w nowym kierunku, żeby przygotowała podwaliny pod następną część jego planu – i prawdopodobnie ją zrealizowała.

– Szukanie jej na podstawie tropu finansowego było dobrym pomysłem – powiedziała Harper. – Tyle że na razie nie mamy żadnych trafień z dokumentów, które sfotografowałeś w pociągu. Ani z tych czterech paszportów, ani pięciu kart kredytowych, nawet numerów kont, które udało ci się wyszperać. Prawdopodobnie ma nowy komplet papierów.

Wzdychając, Tucker przebiegł w myśli swoje poczynania tamtego dnia, kiedy się włamał do przedziału Felice. Starannie przejrzał jej rzeczy, sfotografował to, co znalazł, i odłożył wszystko na miejsce.

– Może nie byłem dość ostrożny – powiedział. – Musiała się zorientować, że złożyłem jej wizytę.

– A może tylko zapadła się pod ziemię i jeszcze stamtąd nie wypełzła. Będziemy trzymać rękę na pulsie.

Godzina 13.22

Po lunchu Tucker zajrzał do Bukołowa i dowiedział się, że wraz z jakimś inżynierem projektuje urządzenie do rozpylania swojego kwasu, zupełnie podobne do zakładanych na plecy spryskiwaczy ogrodowych. Ale usłyszał takie pojęcia, jak „objętościowe natężenie przepływu” czy „progi ochrony antykontaminacyjnej”, więc co on mógł o tym wiedzieć?

Bukołow nie miał czasu na pogawędkę, więc Tucker wyszedł z laboratorium i postanowił zrobić coś ważniejszego.

Stojąc na omiatanym przez wiatr szerokim trawniku, zamachnął się i rzucił czerwoną piłeczkę kong. Kain popędził jak strzała za podskakującą piłką, złapał ją w locie i wykonał taniec zwycięstwa, wracając do swojego partnera. Położył piłkę przy

jego stopach, cofnął się, opadł na przednie łapy i machał ogonem, gotów do dalszej zabawy.

Dobrze było widzieć taką prostą radość – choć może lepszym słowem byłaby obsesja, zważywszy na głęboką i nieprzemijającą miłość Kaina do gumowej piłki. Zabawa z psem pomogła Tuckerowi zapanować nad czarną chmurą, która w nim gęstniała.

Gdybym tylko był ostrożniejszy...

Po kilku minutach ruszył do kwatery i właśnie wtedy zadzwonił telefon. Znowu Harper.

– Wygląda na to, że czeka cię kariera włamywacza, kapitanie Wayne. Znaleźliśmy pannę Nilsson.

– Gdzie?

– W Kanadzie, w Montrealu. Miejmy nadzieję, że obaj z Kainem jesteście przygotowani na nieco zimniejszą pogodę.

Tucker wyobraził sobie twarz Felice, a potem wspomniał Utkina leżącego na piasku, brozącego krwią, usiłującego sięczołgać.

– Pójdę po kalesony.

St. Ignace, Michigan

28 marca, godzina 10.23 czasu miejscowego

Z powrotem tam, gdzie zacząłem...

Tucker stał na balkonie w hotelu, patrząc na zamarznięte brzegi jeziora Huron. Śnieg prószył z niskich chmur na porannym niebie. Poza tym niewiele widział. Było poniżej zera i prognoza pogody obiecywała, że w ciągu dnia temperatura wzrośnie o całe dwa stopnie.

Zaczął tę przygodę we Władywostoku, zamarznętym mieście nad morzem.

I teraz był tutaj, czekając w zimnie na spotkanie z kolejnym zabójcą.

– Niektórzy z nas nie mają kondycji młodego człowieka! – zawołał Bukołów z głębi pokoju. – Może jeśli zamkniesz drzwi balkonowe, nie złapię zapalenia płuc, zanim w okolicy zjawi się twój spóźniony gość.

Tucker wrócił do pokoju i zamknął drzwi. Kain, dotąd skulony na łóżku, uniósł łeb.

– Po raz setny powtarzam, profesorze: nie musiał pan tu przyjeżdżać.

– A ja po raz setny powiem: potrzebujesz mojego doświadczenia. Nie masz pojęcia, jak Charzin planuje wykorzystać uzbrojoną LUCĘ. I moje rozwiązanie nie zostało przetestowane w warunkach naturalnych. Być może będziemy musieli improwizować na poczekaniu. Nie pora na zgadywanki.

Minęły dwa dni, odkąd sieć cybernetyczna Sigmy wykryła kartę kredytową w Montrealu. Niestety, Felice wciąż była duchem, który tylko od czasu do czasu zostawiał za sobą okruszki finansowe: na stacji benzynowej pod Ottawą, w restauracji w miasteczku Bracebridge. Najwyraźniej zmierzała prosto do granicy z USA. Powiadomiono urzędy celne i służby imigracyjne, ale północna granica Stanów Zjednoczonych była dziurawa jak sito, zwłaszcza w gęstych lasach wokół Wielkich Jezior. Z łatwością mogła przekroczyć ją niepostrzeżenie.

Zostało to potwierdzone wczoraj, kiedy zlokalizowali ją w St. Ignace, mieście leżącym najdalej na północ w stanie Michigan. Dokonała jednego złowieszczego zakupu w miejscowym sklepie z artykułami żelaznymi i ogrodniczymi.

Kupiła plastikowy opryskiwacz plecakowy.

Tucker spojrział na szafę. Spoczywał w niej opracowany przez Bukołowa zasilany akumulatorami sprzęt napełniony jego kwasową breją.

Od tamtej pory nie mieli żadnych informacji na temat miejsca pobytu Felice.

Czy wciąż jest w mieście? Dokąd mogła się udać?

Mieli w gotowości czternaście śmigłowców z dwuosobowymi załogami wyposażonymi w kanistry roztworu wyłącznika. Sześć z nich przebywało w Michigan, a pozostałe osiem w okolicznych stanach.

Tucker nie wiedział, czy to wystarczy, ale zdał się na osąd Harper, która obawiała się, że poinformowanie lokalnych władz nieuchronnie doprowadzi do masowej obławy, którą Felice bez trudu wypatrzy. Jeśli tak by się stało, uciekłyby i nie korzystałyby więcej z kart kredytowych, a oni nigdy nie mieliby drugiej szansy, żeby ją dopaść. Musieli to zrobić porządnie za pierwszym razem, z chirurgiczną precyzją.

Dlatego na razie zadanie powstrzymania Felice i jej ludzi – powstrzymanie LUKI – spadło na barki Tuckera i czekających w pogotowiu załóg.

Miał nadzieję, że ostrożność Harper nie doprowadzi do katastrofy.

Godzina 19.02

Gdy słońce opadało ku linii horyzontu, zadzwonił telefon.

– Coś mamy – powiedziała Harper, gdy tylko Tucker odebrał. – Raport policyjny z Harbor Springs. Piętnaście minut temu widziano, jak kobieta pasująca do rysopisu Felice w towarzystwie trzech mężczyzn kradła ślizgacz z mariny. Wypłynęli na jezioro Michigan.

Tucker pochylił się nad mapą rozpostartą na stole.

– Harbor Springs... To pięćdziesiąt kilometrów na południe stąd.

– Jesteście najbliżej. Śmigłowiec już po was leci.

Tucker się rozłączył.

– Profesorze, w drogę!

Bukołow już szedł do szafy. Wyjął plecak ze sprzętem. Tucker rozpiął swoją torbę. Wyciągnął pistolet maszynowy HK MP-5 SD z tłumikiem, włożył szelki i przypiął broń. Narzucił kurtkę i wsunął browninga hi-power 9 mm do kabury przy pasku na plecach.

Jego prawdziwa broń zeskoczyła z łóżka i podreptała za nim do drzwi.

Z Kainem przy nodze Tucker wyszedł z pokoju i razem z profesorem pospieszyli przez oblodzony parking. W dali łopaty śmigłowca szatkowały niebo. Biało-niebieski bell 429 przemknął nad ich głowami, zwolnił do zawisu i wylądował.

Gdy tylko postawili buty i łapy na pokładzie, bell poderwał się z rykiem. Skręcili nad jezioro Huron, przemknęli nad Mackinaw City Bridge i skierowali się nad jezioro Michigan.

Tucker nałożył słuchawki i usłyszał głos pilota.

– Piętnaście minut do Harbor Springs, panowie. Połączenie na kanale piątym.

Tucker znalazł właściwą częstotliwość.

– Jestem na piątce! – zawołał w hałasie silnika.

Zgłosiła się Harper.

– Mamy markę, model i numery rejestracyjne łodzi. Podałam je pilotowi. Gdy ostatni raz ją widziano, płynęła kursem dwieście trzydzieści dziewięć stopni. Powinni teraz mijać miasto Charlevoix. To szybka łódź, Tucker, wyciąga jakieś czterdzieści węzłów.

– Co jest przed nią?

– Głównie statki towarowe płynące z Zatoki Świętego Wawrzyńca. Większość kieruje się do Milwaukee albo Chicago.

– Co mają w ładowniach?

– Pracuję nad tym.

Bukołow też miał słuchawki.

– Domyślam się, pani Harper, co się tu dzieje. Sądzę, że ta kobieta zmierza do jednego z tych statków, najprawdopodobniej takiego, który przewozi coś organicznego, nawozy, nasiona, może herbicydy.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Ponieważ na miejscu Charzina właśnie tak bym zrobił. Nie mógł wyprodukować więcej niż parę litrów uzbrojonej LUKI. O wiele za mało, żeby rozpylić ją w powietrzu. Z powodu tak małej ilości musi bezpośrednio skazić podstawowe źródło w celu zapewnienia odpowiedniego wzrostu i rozmnażania organizmu. Jak osiągnąć najwięcej przy takim scenariuszu? Załóżmy, że ta panna Nilsson skazi ładunek produktów rolnych i że statek wpłynie do portu w Chicago, Milwaukee albo innego ważnego ośrodka dystrybucji...

Tucker zrozumiał.

– Na Środkowym Zachodzie zaczyna się sezon zasiewów. Zainfekowany ładunek może dojrzewać w ładowni, a potem zostać rozprzestrzeniony w centrum kraju. – Wyobraził sobie spustoszenia. – Harper, co ze Strażą Przybrzeżną? Da się ich

zmobilizować, żeby utworzyli jakąś blokadę? Nie możemy pozwolić, żeby ten statek dotarł do brzegu.

– Ogłoszę alarm, ale wątpię, żebyśmy mieli dość czasu. Panie profesorze, proszę mi powiedzieć, co się stanie, jeśli LUCA zostanie wrzucona do wody?

Podzielając jej troski, Tucker przez padający śnieg spojrzął na jezioro przemykające pod śmigłowcem.

– To tylko spekulacje, ale mogłaby przetrwać. W jeziorach jest mnóstwo materiału roślinnego, który może się dla niej stać albo żywicielem, albo pożywieniem. Przez miliony lat rozwijała się bujnie w najbardziej niegościnnym okresie istnienia tej planety. Jest agresywna i ma wysokie zdolności adaptacyjne. Natura zawsze znajdzie sposób, żeby przetrwać, a LUCA jest jej najbardziej odpornym przedstawicielem.

– Obawiałam się, że pan to powie.

– Co cię martwi, Harper? – zapytał Tucker.

– Jeśli Nilsson wejdzie na pokład jednego z tych statków i skazi ładunek, będziemy mieli większe szanse na przegraną niż wygraną. Jeśli statek zatonie albo zostanie zniszczony, LUCA wydostanie się na wolność.

Bukołow pokiwał głową.

– Co więcej, jeśli skażenie dotrze na otwarte wody, zneutralizowanie go za pomocą wyłącznika będzie znacznie trudniejsze.

– W takim razie musimy powstrzymać tę kobietę, zanim dotrze do statku – powiedział Tucker.

Po zakończeniu rozmowy zmienił kanał, żeby porozmawiać z młodym pilotem Straży Przybrzeżnej, niejakim Nickiem Pasternakiem.

– Leć jak najszybciej, Nick.

– Rozumiem. Trzymajcie się mocno.

Ton silników się zmienił i bell przyspieszył. Skuta lodem linia brzegowa przemykała pod nimi z prędkością 150 węzłów.

– Zbliżamy się do Harbor Springs! – zawołał Nick po pięciu minutach. – Mam przed dziobem marinę, z której skradziono

łódź. Trzydzieści sekund.

– Stamtąd leć w kierunku, w jakim popłynęli. Dwieście trzydzieści dziewięć stopni. Miej oczy szeroko otwarte. Jeśli nie zmienili kursu, są czterdzieści kilometrów przed nami.

– Przelecimy w sześć minut.

Śmigłowiec przemknął nad mariną, skręcił na południowy zachód i leciał nad jeziorem. Gdy oddalali się od brzegu, Tucker patrzył, jak woda powoli zmienia kolor z zielonego na błękitny. W gęstniejącym śniegu wypatrywał skradzionej łodzi.

Nick miał lepsze oczy.

– Ślizgacz prosto przed nami! Zdaje się, że to ta marka i model. Tucker musiał mieć pewność.

– Przeleć blisko.

– Dobrze.

Bell zszedł na wysokość trzydziestu metrów.

– Łódź za pięć sekund – zameldował Nick. – Cztery... trzy...

Tucker przycisnął twarz do szyby i wreszcie dostrzegł ślizgacz wyłaniający się ze śnieżycy. Gdy szybowiec nad nim przelatywał, zobaczył pusty pokład. Nikt nie stał za kołem.

Co, do cholery...

Godzina 19.33

Bukołow też patrzył przez okno.

– Nikogo nie ma na pokładzie.

– Nie zmieniaj kursu! – nakazał Tucker przez radio pilotowi.

Profesor odwrócił się w jego stronę.

– Czy to oznacza, że już weszli na pokład statku?

– Najprawdopodobniej.

– Statek towarowy przed nami!

– Muszę znać jego nazwę – powiedział Tucker. – Możesz podejść bliżej?

– Tak, trzymajcie się. Schodzimy.

– Tylko w miarę dyskretnie!

Jeśli Felice była na pokładzie tego statku, nie chciał zdradzić swojej obecności – przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Rozumiem. Będę się trzymać pół mili dalej.

Tucker podniósł lornetkę i spojrzał na statek.

Szary kadłub, zwieńczony wysoką dziobówką ze skrzydłami mostka, sunął powoli w burzy śnieżnej. Tucker wyobraził sobie pilota i załogę kierujących statkiem w pogarszających się warunkach. Na rufie wznosiła się słabiej oświetlona trypoziomowa nadbudówka. Pomiedzy nią i tą na dziobie rozciągał się płaski pokład z dźwigami i ciągiem pięciu wielkich kwadratowych luków ładowni. Tucker spojrzał niżej i odczytał nazwę wymalowaną na burcie.

Przeliterował ją Harper.

– Chyba go mamy. MS *Macoma*. Potrzebne mi wszystkie informacje, zwłaszcza o ładunku.

– Zaczekaj – rzuciła Harper. Odezwała się ponownie po dwóch minutach. – MS *Macoma*, nośność czterdzieści tysięcy DWT. Płynie do Chicago, przewozi wzbogaconą nawozami próchniczną warstwę gleby i kompost na potrzeby rolnictwa.

– Profesorze, czy to się nadaje? – zapytał Tucker.

– Tak... Taki materiał byłby idealnym inkubatorem dla LUKI.

Harper zachowała większą rezerwę.

– Tucker, jesteś pewien, że to ten statek?

– Zauważyliśmy porzucony ślizgacz dryfujący kilka mil za rufą *Macomy*. Słuchaj, Harper, nie znajdziemy neonowego znaku, który wskaże nam drogę. Musimy liczyć na łut szczęścia.

– Słyszę. Ty jesteś na miejscu. To twoje zadanie.

– Jak szybko możemy się spodziewać pomocy?

– Najbliższy zespół jest czterdzieści minut za wami. Rozmawiam ze Strażą Przybrzeżną.

– Wobec tego wkraczamy. Jeśli Felice jest sprytna, a wiem, że jest, rozmieści na statku ładunki wybuchowe. Im prędzej zainterweniujemy, tym lepiej.

– W takim razie życzę wam powodzenia. – Tucker zmienił kanał. – Nick, musimy się dostać na ten statek. Dasz radę?

– Patrz i podziwiał – odparł pilot z pewnością siebie cechującą bardzo młode i bardzo niemądre osoby.

Gwałtownie zmniejszył wysokość o dziesięć metrów, aż żołądki podeszły im do gardeł. Naprowadził śmigłowiec nad rufę *Macomy* i ciemny statek zasłonił wszystko przed nimi. Śmigłowiec, uderzany przez boczny wiatr, wolno zmniejszał odległość do statku, aż w końcu dziób bella zawisł trzydzieści centymetrów od relingu rufowego.

Nick podał przez radio swój plan:

– Podskoczę wyżej, zawisnę nad rufówką i wtedy będziecie musieli skoczyć.

Tucker przyjrzał się wysokiej konstrukcji. Nadbudówka miała trzy poziomy; jej światła jarzyły się w zacinającym śniegu.

– Podleć – powiedział.

– Czekaście.

Nick pomanipulował dźwignią skoku ogólnego i mocy. Śmigłowiec skoczył do góry, po czym walcząc z wiatrem i podskakując, przesunął się nad rufę.

O Boże...

Bukołow na głos wyraził myśl Tuckera.

– O Boże...

Płozy przeskoczyły nad górnym relingiem, a potem usłyszeli zgrzyt stali, gdy zachrobotyły na dachu nadbudówki. Boczny wiatr spychał maszynę.

Słyszając trzaski, Tucker pomyślał, że mają jakąś awarię, ale Nick wyprowadził go z błędu.

– Uciekamy! Ktoś do nas strzela jak do kaczek!

Śmigłowiec szybko się wznosił.

Tucker rozpiął pasy i pochylił się, patrząc przez pleksiglasowy bąbel kokpitu. Na dachu nadbudówki stał mężczyzna w sztormiaku. Odłożył karabin, podniósł inną broń, większą i dłuższą, i położył ją na ramieniu.

Granatnik.

– Ostro w lewo, dziób w dół! – ryknął Tucker.

Nick opuścił dziób i skręcił.

Za późno.

Na dole błysnął ogień, ujrzeni smugę dymu...

...i granat o napędzie rakietowym trzasnął w tylny wirnik bella, powodując szaleńczy obrót maszyny.

Tucker poleciał w lewo i wylądował na fotelu pasażera w kokpicie.

Nick wrzasnął, walcząc o zachowanie kontroli.

– Dostałem w ogon... dostałem w ogon... Jezu!

Tucker wskazał mu główny pokład statku.

– Wyłącz silniki! Siadaj! I tak spadamy. Już!

– Dobra...!

– Profesorze, złap Kaina!

– Mam go.

Nick przesunął dźwignię skoku, wyrównał, zdjął rękę z dźwigni mocy i pstryknął przełącznikami.

– Silniki wyłączone! Trzymać się!

Gdy ryk ucichł, bell zaczął ukośnie opadać. Nagle przed owiewką wyrósł wysoki żurawik. Nick szarpnął dźwignię w bok i śmigłowiec się obrócił. Część ogonowa uderzyła w dźwig i bel jeszcze raz się okręcił.

Ze ścinającym krew w żyłach chrzęstem maszyna runęła na pokład, podskoczyła na płozach i uderzyła bokiem w nadbudówkę rufową. Wciąż obracające się łopaty tłukły w stal, pękały i kawałki metalu leciały nad pokładem, przecinając kable i relingi.

Potem zapadła cisza, zakłócana tylko pojękiwaniem i rżeniem silnika.

Jezioro Michigan

28 marca, godzina 19.49 czasu miejscowego

– Ktoś jest ranny?! – zawołał Tucker, gdy oprzytomniał po dzikim locie w dół i wstrząsie.

– Krwawię – wymamrotał oszołomiony Nick. – Z głowy. Ale nie jest źle.

– Panie profesorze?

– Nic nam nie jest, Kainowi i mnie... chyba.

Tucker podniósł się z podłogi i wgramolił do kabiny pasażerów. Obejrzał Kaina, który skoczył mu na powitanie.

Przerażony Bukołów ze świstem wciągnął powietrze.

– Dobry Boże... krew... twoje ucho...

Tucker ostrożnie obadał palcami ranę. Górna część lewego ucha zwisała jak klapka.

– Niech pan weźmie apteczkę z...

– Kolejny facet z bronią! – krzyknął Nick z kokpitu.

– Gdzie?

– Po lewej! Na bakburcie! Idzie przy relingu!

To znaczy, że ja muszę być na sterburcie, przemknęło przez głowę Tuckerowi.

Przeczołgał się przez nogi Rosjanina i szarpnął boczne drzwi. Były zablokowane. Kilka razy uderzył w nie barkiem, aż w końcu się otworzyły. Wydostał się na zewnątrz i twardo wylądował na pokrywie luku ładowni. Odtoczył się jak najdalej od mężczyzny idącego po drugiej stronie. Kiedy dotarł do zrębnicy, zsunął się na leżący o metr niżej pokład.

Wylądował na plecach, rozpiął kurtkę i wyciągnął pistolet maszynowy MP-5

Gdy mężczyzna strzelił do niego z drugiej strony, kule odbiły się rykoszetem od pokrywy.

– ATAKUJ STRZELCA! – wydał komendę Tucker.

Usłyszał, że jego partner zeskoczył na pokrywę i pędzi na wroga. Odczekał dwie sekundy, po czym wyskoczył z kryjówki. Zgodnie z jego przewidywaniami, strzelec odwrócił się w kierunku atakującego psa. W tym momencie Tucker strzelił dwa razy, trafiając go w pierś i twarz.

– CHODŹ! – zawołał do Kaina.

Pies poślizgnął się na pokrytej śniegiem powierzchni, zawrócił, podbiegł i zeskoczył na pokład obok niego.

Teraz trzeba się rozprawić z tym, który strzelał do nas, gdy byliśmy w powietrzu, uznał Tucker. Zabójca z wyrzutnią RPG był wtedy na nadbudówce. Ale gdzie znajdował się teraz?

Na pokładzie za plecami Tuckera zadudniły buty. Odwrócił się. Zabójca miał broń w rękach, ale celował w śmigłowiec. Gdy Tucker zeskakiwał ze śmigłowca na pokład, nie widział krótkiej wymiany ognia i nie miał pojęcia, że przeciwnik leży w ciemności pod zrębnicą, tylko kilka metrów dalej.

Mały cud, że tamten go nie zabił, ale Tucker nie miał nic przeciwko takim cudom.

Nie zastanawiając się ani chwili, wystrzelił trzy pociski w pierś mężczyzny.

Dwóch z głowy, pomyślał, kiedy przeciwnik padł na pokład.

Czyli została Felice i... ilu innych? W raporcie policyjnym była mowa o trzech mężczyznach towarzyszących jej w łodzi, ale czy tu nie było ich więcej? Mogła mieć współników pośród załogi, żeby sprawniej przejąć statek? Niezależnie od tego, najważniejsze pytanie w tej chwili brzmiało: Gdzie ona jest?

Wytknął głowę i w ciągu pięciu sekund zorientował się w otoczeniu. Śmigłowiec leżał pod rufową nadbudówką na pokrywie tylnej ładowni. Tucker odwrócił się i spojrzał przez otwarty pokład na mostek z dwoma skrzydłami.

Pierwsze zadanie polegało na tym, żeby tam dotrzeć i przejąć kontrolę nad statkiem.

Był tylko jeden problem.

Pomiędzy nim a mostkiem rozciągało się dwieście metrów otwartego pokładu. Poza zrębnicami kolejnych czterech ładowni i kilkanaście żurawików nie było tam żadnej osłony.

A gdzieś na pokładzie statku czaił się doświadczony snajper.

– Nick... profesoro! – zawołał w kierunku śmigłowca.

– Tutaj! – odkrzyknęli niemal jednocześnie z wnętrza maszyny.

– Myślicie, że dacie radę do mnie dołączyć?

– A mamy wybór?! – ryknął Bukołow.

Tucker uznał, że to pytanie retoryczne. Obaj mężczyźni wydostali się z rozbitej maszyny i pochyleni pobiegli w jego stronę. Nick pomógł zsunąć się ze zrębnicy profesorowi, który miał na ramionach ciężki plecak, i zeskoczył za nim.

Obaj przykucnęli obok Tuckera.

Nick podał mu apteczkę.

– Wygląda na to, że może ci się przydać.

Tucker szybko znalazł opaskę uciskową. Ustawił oklapnięte ucho we właściwej pozycji, okręcił głowę bandażem i zawiązał.

– Słyszałem twoją rozmowę – powiedział Nick. – Czy ten statek naprawdę może wylecieć w powietrze?

– To tylko możliwość. Dobra wiadomość jest taka, że jeszcze do tego nie doszło. Zła, że na pokładzie jest wyszkolona snajperka i o ile się nie mylę, prawdopodobnie szuka odpowiedniego miejsca do...

Kula odbiła się od pokrywy luku obok głowy Tuckera.

Wszyscy się skulili.

Tam jest...

Nisko pochylając głowę, odwrócił się do swoich towarzyszy.

– Nick, zostań z profesorem.

– Czeka! Czujesz? – zapytał Bukołow.

Tucker nagle zwrócił uwagę na drżenie pokładu. Wiedział, co to oznacza.

– Zwiększamy prędkość – powiedział. – I skręcamy.

Przez dwa dni studiował mapę Górnego Półwyspu na jeziorze Michigan. W wyobraźni nałożył na nią przybliżoną pozycję i kurs *Macomy*. Nagle zrozumiał, dokąd płyną.

Wyciągnął telefon satelitarny i zadzwonił do Harper; odebrała natychmiast.

– Ona tu jest! – krzyknął. – Na *Macomie*. Wie, że o niej wiemy i że statek nie zostanie wpuszczony do portu w Chicago, bo został podniesiony alarm. Przeszła do planu B i płynie prosto ku brzegowi, żeby rozbić statek.

To również wyjaśniało, dlaczego jej ludzie jeszcze się na nich nie rzucili. Musieli skoncentrować uwagę na mostku i prawdopodobnie tam się okopali, żeby Tucker nie popsuł im szyków.

– Jeśli ta kobieta naprawdę chce rozbić statek, to może być dobra wiadomość – powiedziała Harper.

– Dobra? Co ty mówisz?

– To oznacza, że nie miała czasu na rozmieszczenie ładunków wybuchowych... a może nawet ich nie ma. Tak czy owak, kieruję tam wszystkie zespoły. Policja stanowa i Straż Przybrzeżna niedługo do was dotrą. Nie ma jednak szans, żeby ktokolwiek zjawiał się tam wcześniej niż za dwadzieścia minut.

– Nie mamy tyle czasu, Harper.

– Rób, co możesz, żeby ją opóźnić. Nadciąga odsiecz.

Tucker się rozłączył.

– Kiedy uderzymy w brzeg? – zapytał Bukołów po wysłuchaniu rozmowy. Kucał, skulony w zimnie i śniegu.

– Za dwadzieścia minut, najwyżej dwadzieścia pięć – odparł Tucker.

Wiedział, że musi zabrać profesora i pilota w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Kawalek dalej znajdował się gruby zawias pokrywy ładowni. Miał tylko pół metra wysokości, ale zapewniał dodatkową osłonę przed wiatrem i widokiem z mostka, gdzie z pewnością czyhała Felice.

– Za mną, trzymać się nisko – nakazał i poprowadził ich do tej skromnej kryjówki.

Nick ścisnął jego łokieć.

– Urodziłem się i wychowałem w Michigan. Jeśli statek płynie do brzegu, to trafi do zatoki Grand Traverse, a tam wpadnie prosto na przylądek Old Mission Point. Skały rozedrą kadłub na strzępy.

– Na pewno dlatego wybrała ten kurs – wtrącił Bukołów.

Tucker ponuro pokiwał głową.

– Profesorze, zostanie pan z Kainem, przygotuje swój sprzęt i dołoży wszelkich starań, żeby się nie dać zastrzelić. Ta kobieta zaszyła się na mostku z Bóg jeden wie iloma ludźmi. Zamierza dopilnować, żeby statek nie zszedł z kursu. Muszę ją dopaść za wszelką cenę.

Musiał też założyć, że Felice i jej ludzie już skazili co najmniej jedną ładownię. W Fort Detrick wyszkolił Kaina do tropienia tego osobliwego siarkowego zapachu LUKI. Ale zanim będą mogli rozpocząć poszukiwania, najpierw trzeba oczyścić drogę.

Wysunął głowę nad zrębnicę, wycelował lunetkę MP-5 w mostek i znowu się schował.

Trzy okna sterówki wychodziły na rufę. Szyby wydawały się całe, co znaczyło, że Felice prawdopodobnie strzelała z jednego z dwóch skrzydeł wystających po obu stronach mostka jak u rekina młota.

Pomyślał, że może zdoła to obrócić na swoją korzyść.

– Jaki masz plan? – zapytał Bukołów.

– Biec co sił w nogach i mieć nadzieję, że ta kobieta chybi.

– To nie jest plan. Może zejdziesz pod pokład i będziesz się trzymać poza zasięgiem wzroku?

Tucker pokręcił głową.

– Zbyt łatwo się zgubić albo gdzieś utknąć, a nie wiem, ilu ma ludzi.

Jego jedyna przewaga polegała na tym, że Felice będzie zaskoczona frontalnym atakiem. Pytanie tylko jak długo.

Westchnął ciężko.

– Zostajecie tutaj. Dam znać, kiedy będzie widać brzeg. –
Zmierzył sierść na karku Kaina. – Ty też, brachu.
Pies przekrzywił łeb, wyraźnie gotów się kłócić.
Wskazując Nicka i Bukołowa, Tucker wzmocnił swoje słowa
komendą:
– ZOSTAŃ I CHROŃ.
Spojrzał na otwarty pokład.
Ale kto będzie chronić mnie?

Godzina 20.04

Tucker zrobił kilka głębokich oddechów, żeby uspokoić nerwy i przypomnieć sobie, że żyje i że ten stan nie powinien się zmienić.

Gotów jak nigdy, naprężył mięśnie nóg i popędził niczym sprinter, co w zacinającym śniegu i wietrze nie było łatwe. Ale ciemność i pogoda zapewniały mu jakąś osłonę i z zadowoleniem z niej korzystał. W biegu wciąż wypatrywał ruchu na mostku.

Mijając tylną ładownię, zrobił kilka kroków w lewo i pobiegł przez pokład ku następnej. Był sześć metrów od celu, kiedy spostrzegł ruch na skrzydle mostka na sterburcie. Rzucił się szczupakiem i zatrzymał pod zrębnicą.

Pocisk z karabinu zadudnił o pokrywę nad jego głową.

Niedobrze.

Przeczołgał się w prawo do narożnika zrębnicy i wyjrzał – w tej samej chwili kolejny pocisk uderzył w stalowy pokład obok jego głowy. Tucker się cofnął.

Nie mogę tu zostać...

Kiedy snajper raz namierzy cel, gra jest prawie skończona.

Tucker poczołgał się w lewo, starając się trzymać poza polem widzenia ze skrzydła na sterburcie. Gdy dotarł do narożnika, wstał i pobiegł z opuszczoną głową.

Ruch... tym razem na lewym skrzydle.

Felice spodziewała się jego manewru, więc przebiegła przez sterówkę na bakburtę, ale nie miała czasu wziąć go na cel.

Uniósł pistolet i w biegu wystrzelił trzy pociski. Skrzesały iskry na drabinie blisko ubranej w szary kombinezon postaci leżącej na skrzydle. Odotoczyła się, spłoszona jego krótką serią.

Zdecydowanie Felice.

Biegł, co kilka kroków strzelając w skrzydło.

Ruch.

Na drugim skrzydle.

Felice znowu przebiegła przez mostek.

Tucker skręcił w prawo i zderzył się ze zrębnicą trzeciej ładowni. Jeszcze dwie.

Wysunął lufę znad krawędzi i puścił serię w skrzydło na sterburcie. I w tym momencie coś uderzyło go w dłoń. Pistolet maszynowy wypadł mu z ręki i zagrzechotał, sunąc po pokładzie. Tucker spojrział na dłoń. Pocisk wyrwał kawałek ciała pod małym palcem. Przez chwilę z zaskoczeniem patrzył na ranę, z której tryskała krew. Fale rozgrzanego do białości bólu wybuchły mu za oczami i przyprawiły go o mdłości.

Kurwa mać!

Głęboko odetchnął, przełykając ból i przyciskając rękę do piersi, aż pulsowanie trochę osłabło. Pistolet leżał kilka kroków dalej, blisko relingu.

Jakby czytając w jego myślach, Felice strzeliła w kolbę. Broń obróciła się i przesunęła ze zgrzytem, zakołysała na krawędzi i spadła do wody.

– To koniec, Tucker! – krzyknęła Felice głosem stłumionym przez szalik.

Jezioro Michigan

28 marca, godzina 20.08 czasu miejscowego

Tucker próbował zlokalizować miejsce, z którego dochodził jej głos, ale echo niosło się po pokładzie i zdawało się dobiegać ze wszystkich stron naraz. Niestety, pod tym względem jego przeciwniczka miała zdecydowaną przewagę. Wiedziała, gdzie on jest, i nawet szybkie wysunięcie głowy byłoby fatalne w skutkach.

Wciąż miał browninga w kaburze na pasku, ale pistolet niewielkiego kalibru w takich warunkach pogodowych i na taką odległość był równie bezużyteczny jak straszak.

Z walącym sercem spróbował odgadnąć, gdzie jest Felice. Najprawdopodobniej wciąż czyhała na prawym skrzydle, skąd postrzeliła go w rękę i trafiła w pistolet maszynowy. Zważywszy, że praktycznie był bezbronny, a ona знаła jego pozycję, nie miała powodów się ruszać. Nie zrezygnowałaby z tej przewagi.

Z drugiej strony, wydawała się gadatliwa i nadmiernie pewna siebie. Pierwsza zasada w podręczniku snajpera mówi: „Nie można jednocześnie strzelać i krzyczeć”.

– Felice, Straż Przybrzeżna zna twój kurs! – ryknął Tucker. – Już są w drodze!

– To bez znaczenia! Statek rozbija się, zanim...

Podskoczył i wciągnął się na pokrywę ładowni. Pobiegł prosto w jej kierunku, ku skrzydle na sterburcie. Tak jak na to liczył, odpowiadając na jego zaczepkę, uniosła głowę i oderwała

policzek od kolby, popełniając kardynalny błąd snajpera. Natychmiast się zreflektowała.

Skoczył w prawo, gdy kula skrzesała iskry na metalu przy jego podeszwie. Dwoma susami zeskoczył z pokrywy, przeturlał się po pokładzie i uderzył w następną zrębnicę. Znów był osłonięty.

– Cwane! – krzyknęła Felice. – Śmiało... spróbuj jeszcze raz!

Nie, dzięki.

Musiał minąć ostatnią ładownię, żeby znaleźć się pod osłoną dziobówki. Chcąc tam dotrzeć, nie miał innej możliwości, jak tylko tę złą – niemal nie do pomyślenia.

Nie, całkowicie nie do pomyślenia... rozdzierając serce.

Ale nie mógł pozwolić, żeby LUCA wydostała się na wolność.

Lewą ręką wyciągnął browninga z kabury. Mocno zacisnął powieki i co sił w płucach wrzasnął:

– KAIN! ATAKUJ CEL! SZYBKIE UNIKI!

Głośna komenda uderza Kaina prosto w serce. Słyszał strzały i wie, że partner jest w niebezpieczeństwie. Buntował się przeciwko ostatniemu poleceniu, które wciąż ma wyryte w umyśle. ZOSTAŃ. Ktoś cuchnący strachem zacisnął rękę na skraju kamizelki Kaina, wyczuwając jego pragnienie.

Ale w końcu napływa krzyk. Kain wyrывa się z trzymających go palców. Lodowaty, pełen soli wiatr mocno uderza w jego ciało. Nisko pochyla łeb i pędzi, walcząc z podmuchami, spinając zadnie łapy, szukając jak najpewniejszego oparcia.

Słucha rozkazu, pamięta ostatnie słowa.

...SZYBKIE UNIKI.

Zygzakami mknie po pokładzie. Gwałtownie skręca, robi zmyłki i biegnie w innym kierunku. Ani na chwilę nie zwalnia.

Pędzi tam, gdzie słyszał strzały.

Nic go nie powstrzyma.

Tucker słyszy bębnienie łap po pokładzie. Serce rwie się do przyjaciela, teraz żywej przynęty wysłanej przez niego, żeby

przyciągnąć zabójczy ogień. Pożałował rozkazu, gdy tylko go wypowiedział – ale go nie odwołał.

Było za późno. Jego partner już znajdował się na linii ognia. Znał swój cel, wiedział, że musi robić uniki... Ale czy to wystarczy? Czy reakcje Kaina są szybsze niż Felice?

Spudłuj... spudłuj... dobry Boże, spudłuj...

Ze skrzydła na sterburcie padł jeden strzał. Kain przyciągnął jej uwagę...

Dobry pies.

Tucker wyskoczył spod osłony i zaczął biec w stronę dziobówki. Felice kucała na skrzydle, z karabinem przyciśniętym do ramienia.

– KRYJ SIĘ! – krzyknął do Kaina.

Kain natychmiast reaguje na nowy rozkaz i obraca się na prawej przedniej łapie. Ślizga się na mokrej, oblodzonej powierzchni, drapie pazurami, obraca się lekko i uderza w metalową zrębnicę.

Przypada do pokładu.

Ignoruje palący ból.

Ale ogień narasta.

Felice usłyszała rozkaz Tuckera. Obróciła się ku niemu, podnosząc lufę do ucha; soczewki lunetki błysnęły w burzy śnieżnej.

Tucker oddał trzy szybkie strzały w jej kierunku bez prawdziwej nadziei, że trafi. Trzy pociski uderzyły w schody i reling nad Felice. Ani drgnęła, przyciskając oko do okularu lunetki.

– ATAKUJ CEL! – wrzasnął.

Kain spycha ból głęboko w trzewia i wyskakuje z kryjówki. Pędzi prosto, z każdym wybiciem z zadnich łap i każdym uderzeniem przednich nabierając prędkości.

Pędzi z brzuchem przy ziemi w wirującym śniegu, skupiony na stalowych perforowanych stopniach, które prowadzą na górę. Tam czai się jego cel, ukryty i niebezpieczny.

Mimo to biegnie.

Słyszy nową komendę, ale nie zna tego słowa. Słowo przepływa przez niego i ucieka, nie zostawiając śladu.

Nieznaczące jak wiatr.

Biegnie.

– ZABIJ! – ryknął Tucker na całe gardło.

Kain minął go po prawej stronie i popędził ku schodom, nie próbując stosować uników. Gnał po pokładzie z pochylonym łbem, skupiony na celu. Był czystym mięśniem w ruchu, instynktownym myśliwym z dzikością, jaką go obdarzyła natura.

– ZABIJ! – krzyknął ponownie Tucker.

Pusta, bezsilna komenda – tego słowa nigdy nie nauczył Kaina – nie była przeznaczona dla jego partnera. Wydał ją, żeby trącić strunę pierwotnego strachu, który tkwi w nas wszystkich, strachu sięgającego czasów, kiedy ludzie kulili się w nocy wokół ognisk, słuchając wycia wilków.

Tucker podjął bieg po pokrywie luku, strzelając w stronę Felice. Cofnęła się, oderwała policzek od kolby i spojrzała w lewo, w kierunku Kaina.

Pies zbliżył się na sześć metrów do stopni i wciąż przyspieszał. Skierowała lufę w dół i zaczęła go namierzać.

Strzelając w górę, Tucker przebiegł kilka kroków, zeskoczył z krawędzi zrębnicy i schował się pod osłoną dziobówki.

– KAIN! KRYJ SIĘ!

Felice strzeliła, gdy Tucker uderzył w gródź. Odbił się i pokuśtykał w cień pod skrzydłem mostka na sterburcie. Celował z broni w górę, patrząc przez perforowaną stal stopni i wypatrując ruchu.

Nic.

Spojrzał za siebie.

Ani śladu Kaina.

Czy partner zdążył się schować?

Niezależnie od tego, co go spotkało, Kain wypełnił swoje zadanie, pozwalając Tuckerowi dostać się tak blisko Felice. Straciła swoją nadrzędną przewagę jako snajper. Stała się zwyczajnym żołnierzem z karabinem.

Ale wciąż była niebezpieczna.

Czaiła się gdzieś tam na górze, a on był tu, na dole – i o tym wiedziała. Będzie czekać, aż sam do niej przyjdzie.

Gdy ostrożnie wymijał jakąś przeszkodę, trzymając browninga przed sobą, skoczył ku niemu ciemny kształt. Cofnął się o krok i rozpoznał partnera.

Kain podbiegł do niego, zziębnięty, zadyszany.

W Tuckerze wezbrała fala ulgi... i szybko opadła, kiedy zobaczył krwawy odcisk na śniegu nawianym pod dziobówkę.

Brachu...

Ukląkł i obadał Kaina. Znalazł draśnięcie po kuli na łopacie. Rana mocno krwawiła, krew zlepiła sierść, ściekała po łapie. Przeżyje, ale będzie potrzebował pomocy medycznej, i to szybko.

Z gardła psa popłynęło warknięcie.

Nie z bólu – ostrzegawcze.

Zaskrzypiała klamka i drzwi trzasnęły o gródź. Tucker odwrócił się, unosząc browninga, ale Kain był szybszy. Minął go i trzema susami dopadł do mężczyzny. Zacisnął szczęki na uzbrojonej ręce i potrząsnął, przewracając przeciwnika z głośnym trzaskiem pękającej kości przedramienia.

Pistolet, rosyjski makarow, zagrzechotał na pokładzie.

Tucker podszedł do leżącego i rękojeścią browninga uderzył go w skroń. Mężczyzna zwiotczał i dopiero wtedy Kain puścił jego rękę.

– Dobry pies – szepnął Tucker. – A teraz ZOSTAŃ.

Zbliżył się do wjazdu i wyjrzał za próg. Zobaczył korytarz prowadzący w głąb nadbudówki, a po prawej stronie przyśrubowaną drabinę, która prowadziła na górę.

Usłyszał szcęk.

Z góry spadł granat; odbił się od ściany i znieruchomiał niespełna pół metra od włazu.

Cholera...

Tucker odskoczył i potknął się o wyciągniętą rękę powalonego napastnika. Ciężko upadł na pokład, przetoczył się w prawo, jak najdalej od włazu.

Granat eksplodował z ogłuszającym hukiem.

Z wejścia wypadł kłęb dymu wraz z odłamkami. Śmiercionośny grad zagrzecotał o stopnie wiodące na skrzydło mostka, niektóre odłamki odbiły się i uderzyły w ścianę tuż nad skulonym Tuckerem.

Cudem obaj z Kainem wyszli z tego bez szwanku.

Tucker wytężył słuch, może spodziewając się ostatniej drwiny Felice, ale panowała cisza. Ta kobieta miała przewagę i była tego świadoma.

Jeśli tak chcesz to rozegrać...

Godzina 20.18

Tucker szybko schował browninga do kabury i wrócił do nieprzytomnego mężczyzny. Posadził go, ściągnął swoją kurtkę, zarzucił mu na ramiona i naciągnął kaptur na głowę.

Mężczyzna jęknął, ale nie odzyskał przytomności.

Tucker zawlókł bezwładne ciało do nadbudówki i oparł je o gródź. Postawił stopę na dolnym szczeblu drabiny i szarpnął poręcz.

Aluminium skrzypnęło satysfakcjonująco.

Natychmiast dostał odpowiedź.

Granat odbił się od ostatniego szczebla i potoczył w jego stronę.

Tucker przeskoczył nad nogami siedzącego mężczyzny i wypadł na zewnątrz, skręcając na lewo od włazu. Granat

wybuchł z hukiem i w kłębach dymu. Odłamki znalazły cel w postaci mężczyzny przy drzwiach.

Zanim dym się rozwiął, Tucker zajrzał do środka i nogą pchnął zmasakrowane zwłoki w głąb korytarza. Upadły twarzą w dół i spoczęły w kałuży krwi u stóp drabiny.

Znów się wycofał.

Minęło pięć sekund... dziesięć sekund...

Felice była urodzonym myśliwym. Wiedział, że będzie chciała zobaczyć upolowaną zwierzynę.

Gdy tylko usłyszał szmer podeszwy na pierwszym metalowym szczeblu, dał znak Kainowi i wszedł z nim po zewnętrznych schodach na skrzydło mostka. Na ostatnim stopniu pochylił się i zajrzał przez otwarty właz do sterówki. Wydawała się pusta.

Wyobraził sobie Felice na drabinie, schodzącą z mostka, żeby triumfować nad jego zwłokami.

Dobrze.

Z browningiem gotowym do strzału, po cichu przestąpił próg sterówki. Przypadł do drabiny i wycelował w dół szczebli.

Ani śladu Felice.

Nikogo.

Tylko trup w powiększającej się kałuży krwi.

Kain warknął u jego boku.

Tucker odruchowo odwrócił się na pięcie, poderwał pistolet i strzelił, gdy Felice weszła przez właz na bakburcie.

Strzał nie był do końca celny – trafił kobietę w bok tuż nad biodrem. Zachwiała się i ciężko opadła na pokład.

Rzucił się w jej stronę i dotarł do włazu w chwili, gdy podnosiła karabin.

– Nie – powiedział, oburącz trzymając browninga i celując w jej twarz. – Przegrałaś.

Uniosła głowę. Szalik opadł, odsłaniając ruinę jej pięknej twarzy. Straciła fragment nosa, resztę zszyto czarną nicią, i kącik górnej wargi, wskutek czego usta wyglądały na wykrzywione

w ironicznym uśmiechu. Gruby opatrunek zakrywał jej lewy policzek.

Wspomniął, jak widział ją wtedy, gdy znikła w lodowatej wodzie. Znalaziono ją i odratowano, ale odmrożenia zdążyły zebrać żniwo.

Poderwała karabin, próbując wykorzystać przewagę jego chwilowego szoku – ale Tucker pamiętał również zadziorną Elenę i biednego Utkina. Ich wspomnienie zdusiło szok i odrazę. Wszystkim, co widział w jej twarzy, była sprawiedliwość.

Spokojnie nacisnął spust i wpakował pocisk w jej czoło.

Zatoka Grand Traverse, jezioro Michigan

28 marca, godzina 20.22 czasu miejscowego

Tucker usłyszał tupot butów na zewnętrznych schodach. Odwrócił się i zobaczył uzbrojonego człowieka wbiegającego po schodach na sterburcie. To jego wcześniej słyszał na drabinie – nie Felice.

Gdy mężczyzna z uniesioną strzelbą dotarł na szczyt schodów, Kain skoczył przez właz, warcząc z odsłoniętymi kłami. Nagłe pojawienie się dużego psa zaskoczyło intruza, ale natychmiast opuścił lufę w jego stronę.

Tucker strzelił raz, w mostek, a kiedy mężczyzna spadł ze schodów, wyszedł na skrzydło z browningiem gotowym do strzału. Wróg leżał na plecach, płatki śniegu topiły się w jego otwartych oczach.

Tucker cofnął się do sterówki i szybko policzył. Zastrzelił trzech mężczyzn i Felice, dokładnie tyle osób, ile według raportu policyjnego ukradło łódź.

Ale czy to na pewno wszyscy?

Odczekał jeszcze pełną minutę, lecz nikt się nie zjawiał.

Uspokojony, wrócił na skrzydło mostka i przyłożył ręce do ust.

– Profesorze! Nick! Chodźcie tu szybko!

Gdy Bukołow i pilot biegli do niego w padającym śniegu, Tucker zdjął bandaż z głowy, przyklęknął i przywołał Kaina. Najlepiej, jak umiał, opatrzył ранego przyjaciela.

Gdy skończył, dołączył do niego profesor. W drodze do sterówki widział zwłoki mężczyzny i teraz spojrzał na martwą Felice.

– To wszyscy?

– Chyba tak. Czas zabrać się do pracy. Niech pan weźmie Kaina i użyje jego nosa do wywęszczenia, która ładownia mogła zostać skażona.

Z wewnętrznej kieszeni Tucker wyjął torebkę z gąbkę nasyoną siarkowym zapachem okazów LUKI. Przysunął ją do nosa owczarka.

– SZUKAJ – wydał komendę, po czym zwrócił się do Nicka: – Idź z nimi. Dbaj o ich bezpieczeństwo.

– Już się robi.

Ruszyli we trójkę pod pokład.

Tucker został w sterówce i szybko podszedł do skomputeryzowanej konsoli. Miał nadzieję, że znajdzie jakiś sposób, żeby skręcić i zapobiec zderzeniu *Macomy* ze skalistym brzegiem.

W śnieżnej dali błysnęło światelko. To z pewnością Old Mission Point, prosto przed dziobem.

Może trzy kilometry, prawdopodobnie mniej.

Spojrzał, jaką mają prędkość, i szybko przeliczył. Osiem minut do zderzenia.

Przyjrzał się konsoli sterowania. Dziesiątki przełączników, galek, przycisków i ekranów – ale ani śladu koła sterowniczego.

Dostrzegł joystick, a obok niego wyświetlacz kursu. Patrząc na ekran, chwycił drążek i lekko przechylił go w prawo.

– No dawaj, rusz się...

Cyfry na wyświetlaczu się nie zmieniły. Sfrustrowany, przechylił joystick maksymalnie w prawo, z tym samym skutkiem. *Macoma* nieubłagalnie płynęła ku brzegowi.

Blask w dali stawał się jaśniejszy.

Co robię źle?

Cofnął się o krok, żeby rozważyć możliwości, i nastąpił na coś na podłodze. Zobaczył, że pokład pod konsolą jest zasłany

połamany układami scalonymi.

Felice dokonała sabotażu.

Nawet po śmierci rzucała mu kłody pod nogi.

Kain nagle pojawił się w wejściu z lewego skrzydła, a pół minuty później dołączył do niego Nick z zasapanym Bukołowem.

– Znaleźliśmy! – oznajmił profesor. – A raczej Kain znalazł. Ten gość ma nadzwyczajny nos. Skazili ładownię numer pięć, tuż za nami. Ale jest zabezpieczona jak bankowy skarbiec. Ktoś uszkodził mechanizm zamka.

Felice.

Nick spojrział w okno z taką miną, jakby nagle zrobiło mu się niedobrze.

– To Old Mission Point – powiedział, potwierdzając przypuszczenia Tuckera. – Wprost przed nami.

– Strasznie blisko – skomentował profesor. – Jeśli się rozbijemy, zanim przeprowadzę dekontaminację tej ładowni...

Nie musiał kończyć.

LUCA rozpleni się po świecie.

Godzina 20.27

Po wyjaśnieniu, że nie można zwolnić ani zmienić kursu statku, Tucker zmarnował cenną minutę na rozglądanie się po konsoli; przez cały czas zaciskał pięść. Musi coś być, sterowanie ręczne, awaryjny wyłącznik...

Gdzie się podziewa ta cholerna wtyczka, kiedy ją trzeba wyciągnąć?

Jego spojrzenie prześlizgnęło się po jakichś wskaźnikach i zaraz do nich wróciło. Uważniej przeczytał napis.

SYGNALIZACJA POŻARU W ŁADOWNIACH

Nagle zeszytniał. Odwrócił się w stronę Nicka i Bukołowa.

– Za mną!

Zsunął się po drabinie, a dwaj mężczyźni pospieszyli za nim. Kain skorzystał z zewnętrznych schodów, żeby do nich dołączyć. Na dole Tucker podniósł strzelbę ostatniego mężczyzny, którego zabił.

Nick się rozejrzał.

– Co mamy...?

– Musimy znaleźć załogę – odparł Tucker.

– Dlaczego?

– Później wyjaśnię. Kain nam pomoże.

Zajrzał do kilku pomieszczeń i znalazł kabinę członków załogi. Wyjął z kosza jakieś brudne ubrania i podsunął Kainowi pod nos, miętłąc materiał, żeby zapach był bardziej intensywny. Przykuł tym całą uwagę partnera.

– SZUKAJ – polecił.

Pies wsunął nos w ubrania, głęboko wdychając zapach. Cofnął się o krok, wysoko uniósł nos w powietrze i wyskoczył za drzwi.

Pobiegli za nim. Poprowadził ich w głąb wnętrza statku, ale niedaleko. Wyhamował przed dwuskrzydłowymi drzwiami, gorączkowo węsząc u spodu.

Na drzwiach widniał napis: JADALNIA ZAŁOGI.

Tucker w nie załomotał.

– Jest tam kto?!

Opowiedziały mu szaleńcze, pełne ulgi, nakładające się na siebie krzyki.

Nacisnął klamkę – oczywiście drzwi były zamknięte.

– Przesuńcie się jak najdalej w prawo! Stańcie plecami do drzwi!

Gdy usłyszał potwierdzenie, że to zrobili, dał znak Bukołowowi i Nickowi, że mają pójść z Kainem w głąb korytarza. Z odległości może piętnastu centymetrów wycelował z karabinu w zawiasy i odwrócił głowę.

Od huku zapiekły go uszy.

Wymierzył w drugi zawias i zrobił to samo. Z dzwonieniem w uszach kopniakiem otworzył drzwi.

Ośmiu członków załogi kulilo się w dalekim kącie. Felice musiała ich tu spędzić, kiedy przyleciał śmigłowiec, wiedziała bowiem, że jej nadzieje na skażenie ładunku bez niczyjej wiedzy i tak już legły w gruzach.

Od grupy oderwała się wysoka kobieta o kasztanowych włosach.

– Kim pan jest? Co się dzieje?

– Nie ma czasu – odparł Tucker. – Pracujemy dla bezpieczeństwa narodowego. Gdzie jest inżynier okrętowy?

Żyłasty mężczyzna w grubym wełnianym swetrze i szelkach uniósł rękę.

– To ja, John Harris.

– Zna się pan na systemie przeciwpożarowym w ładowniach?

Tucker przywołał na myśl tabliczkę na pulpicie:
SYGNALIZACJA POŻARU W ŁADOWNIACH.

Oczywiście, statek towarowy musiał być wyposażony w nowoczesne systemy gaszenia ognia, szczególnie w ogromnych ładowniach. Na morzu ogień jest najgorszym wrogiem.

– Jasne – odparł inżynier. – To wysokociśnieniowy system rozpylania wody.

– Gdzie jest sterownia?

– Pokład niżej, wprost przed nami.

– Może pan odizolować ładownię numer pięć?

– Tak.

– Świetnie. To profesor Bukołów. Proszę go zabrać na dół, a tam wypompować część wody ze zbiornika i dopełnić go tym, co da panu profesor. Można to zrobić?

– Tak, ale...

Tucker zwrócił się do Bukołowa:

– Takie rozwiązanie wystarczy, panie profesorze?

– Tak, w zupełności.

– John, wie pan, co robić. Do dzieła.

Gdy wyszli, Tucker wrócił do pozostałych.

– Kto jest kapitanem?

Wysoka kobieta się przedstawiła.

– Kapitan Maynard.

– Pani kapitan, *Macoma* za trzy minuty uderzy w brzeg, a konsola steru jest zablokowana. Gdzie jest najbezpieczniejsze miejsce na statku?

– Na rufie. W mapiarni. Pokład niżej niż mostek.

– Idźcie tam natychmiast! – rozkazał.

Gdy członkowie załogi przechodzili obok niego, ostatni z nich, mężczyzna w fartuchu kucharza, nagle się na niego zatoczył. Trzymał przy twarzy zakrwawiony ręcznik i miał głębokie skaleczenie na czole. Zaschnięta krew pokrywała jego brwi, nos i usta.

– Co się panu stało? – zapytał Tucker.

Mężczyzna jęknął i odsunął ręcznik, pokazując pękniętą wargę i złamany nos.

Rękodzieło Felice.

– Jak najszybciej sprowadzimy pomoc medyczną. – Tucker zwrócił się do Nicka: – Zaprowadź pana w bezpieczne miejsce.

Pilot skinął głową i objął ramiona mężczyzny, pomagając mu iść szybciej. Obaj pospieszyli za pozostałymi.

Tucker tymczasem zsunął się po drabinie na niższy pokład, w ślad za Bukołowem i Harrisem, inżynierem okrętowym. Znalazł ich przed ścienną konsolą z otwartym panelem. W pobliżu stała butla profesora z węzem podłączonym do otwartego zaworu.

– Tu są zbiorniki przeciwpożarowe – wyjaśnił Bukołow. – Właśnie skończyłem przepompowywanie wyłącznika do tego, co trzeba.

Tucker spojrział na zegarek.

Dwie minuty.

– Naprawdę zadziała? – zapytał profesora.

– W zamkniętej przestrzeni takiej jak ładownia? Bez cienia wątpliwości, pod warunkiem że ich system działa tak, jak mi to

opisano.

– Działa – zapewnił go Harris i zaczął wciskać kolejne guziki na tablicy, a potem przekręcił dźwignię zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Przycisk oznaczony numerem pięć zaczął błyskać na czerwono. – Gotowe.

– Proszę uruchomić.

Harris kciukiem dźgnął przycisk. Ze zbiornika dobiegł szum, a potem bulgotanie.

– Płynie – powiedział inżynier.

– Kiedy zbiornik się opróżni?

– Wysokie ciśnienie, wysokie natężenie przepływu. Za czterdzieści pięć sekund kompost w tej ładowni będzie zupełnie przemoczony.

Tucker poklepał go po ramieniu.

– Dobra robota. A teraz musimy pędzić do mapiarni, żeby dołączyć do pozostałych.

Wspięli się po drabinie. Tucker zabrał Kaina i ruszyli w głąb korytarza z Harrisem na czele.

Pokład zadrżał pod ich nogami.

– Kil szoruje po ławicy! – krzyknął przez ramię inżynier.

– Biegiem!

Harris prowadził ich ku rufie, mijając kolejne rozwidlenia przejść. Nagle uwagę Tuckera przyciągnął jakiś ruch. Spojrzał w prawo i mignęła mu postać w białym fartuchu, biegnąca w przeciwnym kierunku równoległym korytarzem.

Mężczyzna miał plecak.

Tucker wyhamował, podobnie jak Kain.

Plecak...?

Bukołow obejrzał się przez ramię.

– Tucker...?

– Dalej! Nie zatrzymywać się!

Mężczyzną w fartuchu z pewnością był kucharz. Tucker nie miał co do tego wątpliwości, ale dlaczego...?

Zakręciło mu się w głowie, gdy przywołał w pamięci pokiereszowaną twarz kucharza. Dodaj gęste szpakowate włosy,

wąsy i zetrzyj krew z twarzy...

General Charzin.

Nie, nie, nie!

Tucker przypomniał sobie podstęp w Afryce, kiedy Charzin kazał sobowtórówi zająć swoje miejsce. Tym razem postanowił zrobić coś innego i zakamuflował się, żeby wyglądać na rannego członka załogi. Załoga go akceptowała, co mogło oznaczać tylko jedno: udając kucharza, zaokrętował się jakiś czas temu, żeby pomóc ludziom Felice najpierw po cichu wejść na pokład, następnie skazić ładownię i na koniec najprawdopodobniej niepostrzeżenie zejść ze statku.

Sprytne.

Ale przybycie Tuckera pokrzyżowało im szyki. Felice pokieraszowała generałowi twarz, zapewniając mu dodatkowy kamuflaż. Charzin stanowił ostateczną gwarancję powodzenia misji. Jeśli statek ocaleje, będzie mógł się wymknąć z ostatnim kanistrem LUKI.

Tucker nie mógł do tego dopuścić.

Cofnął się, skręcił i popędził z Kainem za uciekającym mężczyzną. Kiedy dotarł do równoległego korytarza, stanął i wyrztał zza narożnika. Nie dostrzegł śladu Charzina, ale gdzieś dalej otwarte drzwi załomotały o stal.

Wyskoczył z kryjówki i pobiegł. Pokład gwałtownie zadygotał. Tucker stracił równowagę i padł na gródź.

Gdy się wyprostował, usłyszał ciche stąpanie po aluminiowych stopniach.

Wskazał przed siebie.

– SZUKAJ NA DŹWIĘK.

Kain pomknął korytarzem, na następnym skrzyżowaniu skręcił w prawo. Korytarz kończył się przy schodach prowadzących na główny pokład.

Gdy trzy metry dzieliły go od schodów, na górze załomotał wąż.

Tucker zmniejszył odległość, padł na kolana i sunął z uniesioną strzelbą. Kiedy dotarł do dolnego stopnia, strzelił –

w chwili gdy stopa Charzina zniknęła z otworu.

Właz się zatrzasnął.

Tucker popędził po schodach, widząc, że koło zaczyna się obracać. Udało mu się uderzyć we właz, zanim został zaryglowany. Naparł barkiem, zapierając się nogami i wyężdżając wszystkie siły. Właz otworzył się, a on wypadł na zewnątrz i runął jak długi.

Kain wgramolił się za nim.

Tucker wstał i powiódł wzrokiem dokoła. Generał Charzin biegł po pokładzie na lewo od niego.

– Charzin!

Rosjanin się nie obejrzał.

Tucker popędził za nim – i nagle pokład uciekł mu spod nóg. Wylądował twardo na plecach. Pokład znowu podskoczył w zgrzycie stali szorującej po ostrych skałach.

Tuckera i Kaina wyrzuciło w powietrze.

Old Mission Point

28 marca, godzina 20.30 czasu miejscowego

Tysiące ton żelaza i stali wdzierają się na ląd, orząc zimne piaski Old Mission Point. Dziób Macomy spycha przed sobą drzewa, kamienie i krzaki. Masa ziemi przewala się nad relingiem i uderza w dziobówkę. Kilkadziesiąt metrów w głębi lądu dziób zderza się z wielkim głazem, statek przechyla się na sterburtę, przednia trzecia część kadłuba pada na ostre skały i Macoma w końcu się zatrzymuje.

Tucker nie był tego świadom.

Gdy świat sprowadził się do potwornego ryku rozdzieranej stali i zgrzytu skał, pamiętał, żeby chwycić partnera za kamizelkę i przytulić go do piersi. Razem upadli na pokład *Macomy*. Podskakiwali na pokrywach ładowni, zderzali się z żurawikami i w końcu wylądowali pod nadbudówką na dziobie. Zsunęli się po nachylonym pokładzie i znieruchomieli, zatrzymani przez reling na sterburcie.

Chryste Wszchemogący...

Z walącym sercem Tucker zmusił się do otworzenia oczu i spojrzał w dół studni czerni. Zamrugał kilka razy, żeby wzrok się skupił.

Ujrzał świat błota.

W oszołomieniu patrzył przez reling, który nie pozwolił im spaść na ziemię, kiedy statek położył się na burcie. Pod nim

wznosił się ogromny kopiec czarnego błota z wierzchołkiem oddalonym o dwa metry od jego nosa.

Czuł intensywny zapach nawozu organicznego.

Kompost.

Kain, który wciąż na wpół na nim leżał, liznął go po podbródku. Tylko reling chronił ich przed spadnięciem.

– Mam cię, brachu – powiedział. – Trzymaj się.

Pod nim zewnętrzna strona kadłuba ładowni numer 5, skażonej LUCA przez ludzi Felice, wyglądała tak, jakby olbrzym pociął ją masywnymi nożycami do stali. Z rozdarcia wylała się wielka fala kompostu, tworząc pod nim górę i rozlewając się po przylądku jak ciemna lava.

Pięćdziesiąt metrów dalej sterczała drewniana tablica.

LATARNIA – OLD MISSION POINT

Kilka metrów za nią znajoma postać z plecakiem na ramieniu szła na obrzeżach pryzmy kompostu, brnąc do połowy łydki w gęstej brei.

Charzin.

Tucker lewą ręką objął Kaina i przytulił go mocniej.

Musiał znaleźć drogę na dół – co nie znaczy, że była jakaś droga na górę.

Widział jedną możliwość... brudną i śmierdzącą.

Spojrzał w dół na stromą górę wilgotnego kompostu.

– Trzymaj się, brachu, zaraz będziemy spadać.

Przesunął się na skraj relingu i przetoczył. W locie jeszcze mocniej przycisnął Kaina do ciała. Lądowanie na gęstej brei okazało się wcale nie miękkie i zaraz potem sturlali się po śliskiej powierzchni. Tucker miał wrażenie, że odbiera zapach wszystkimi zmysłami. Oblepiła ich gruba warstwa gnoju.

Stoczyli się z pryzmy kompostu na mieszaninę śniegu i piasku. Tucker wstał niepewnie i przez dłuższą chwilę ślaniał się na nogach. Czuł pulsowanie w lewym ramieniu. Kain przykuśtykał, podkulając lewą zadnią nogę, ale gdy Tucker

obmacał jego ubłocone ciało, pies postawił łapę na ziemi i na próbę zrobił kilka kroków.

Może zwichnięta, ale nie złamana.

Gdzie jest generał Charzin? Nigdzie nie było go widać.

Kain kuśtykał, gotów do działania, ale Tucker zatrzymał go zdecydowaną komendą:

– ZOSTAŃ.

Dość już zrobiłeś, brachu.

Wyjął browninga z kabury i ruszył, trzymając się głębokiego cienia pod nachylonym kadłubem *Macomy*. Osłonięty od wiatru i śniegu, słyszał trzaski i metaliczny jęk konającego statku, który piętrzył się nad nim jak budynek zamrożony w trakcie upadania.

Spostrzegł linę zwisającą z relingu w miejscu, gdzie Charzin zszedł ze statku. Koniec kołysał się dobre trzy metry nad ziemią. Wyobraził sobie, jak generał zeskakuje.

Idąc dalej, wspiał się na hałdę piasku i kamieni przed dziobem, który wisiał w szalejącej śnieżycy niczym masywny topór gotów do opadnięcia.

Tucker wdrapał się na szczyt spiętrzonego zwału i ostrożnie wyjrzał znad wierzchołka.

Pięćdziesiąt metrów dalej ktoś szedł w wirującym śniegu, plecami do niego, wyraźnie oszczędzając jedną nogę. Najwyraźniej Charzin, skacząc z liny, ucierpiał. Teraz powoli kuśtykał w kierunku ośnieżonych drzew, wśród których przy zwirowych ścieżkach stały parkowe ławki.

Tucker ostrożnie zszedł z hałdy i zaczął się podkradać do celu, nie chcąc przedwcześnie uprzedzać generała o swojej obecności. Nie miał pojęcia, czy Rosjanin go usłyszał, ale nagle zdjął plecak i ukląkł w pobliżu kępy bezlistnych klonów.

Rozpiął plecak i w mrocznym parku załśnił pojemnik ze stali nierdzewnej. Charzin odkręcił go i wyrzucił wąż.

No nie...

Tucker przyspieszył i nieopatrznie nastąpił na gałązkę. Gdy pękła z trzaskiem, Charzin odwrócił głowę.

Spojrzeli sobie w oczy.

Tucker uniósł pistolet i rzucił się na generała. Rosjanin wyrwał pojemnik z plecaka i przytulił go do piersi jak dziecko.

– Śmiało! Strzelaj! – rzucił prowokująco. – Strzel w zbiornik albo we mnie... na jedno wychodzi! Tak czy owak, LUCA wyleje się na twoją cenną glebę. A ja zemszczę się za córkę, za mój kraj!

Tucker opuścił browninga i zwolnił.

Z dali dobiegło zawrozczenie syren.

Bez słowa mierzyli się wzrokiem.

Tucker rozważał możliwości. Przede wszystkim nie miał pojęcia, czy Bukołowowi powiodła się dekontaminacja ładowni. Czuł gęstą woń pokrywającą go mazi. LUCA mogła wydostać się na wolność i grasować po brzegach jeziora Michigan.

Jeśli tak, kanister w ramionach przeciwnika nie miał znaczenia.

Czekał jednak, chcąc mieć dodatkowe zabezpieczenie, zanim wykona następny ruch.

Nagle usłyszał łoskot wielu śmigłowców niosący się echem nad wodą.

Świetnie!

Strzelił Charzinowi w prawą rzepekę, przerywając impas. Noga ugięła się pod Rosjaninem i przechylił się. Gdy upadł, kanister wysunął się z jego ramion i poturlał po ziemi. Z otworu wypływała żółta ciecz, toksyczny trop znaczący drogę pojemnika. Kiedy butla znieruchomiała, wciąż wyciekała z niej uzbrojona LUCA.

Tucker pobiegł, starając się nie nastąpić na żółte linie.

Charzin przekręcił się na plecy, krzywiąc twarz z wściekłości i bólu.

Znad kadłuba *Macomy* nadleciał śmigłowiec i zawisł przed lądowaniem na niedalekim otwartym pasie plaży. Inne śmigłowce krążyły wyżej, kreśląc szerokie łuki, młócąc łopatom padający śnieg.

– Przybyła kawaleria – powiedział do Charzina.

Gdy tylko płozy pierwszej maszyny zetknęły się z kamienistą plażą, boczne drzwi się otworzyły i wyskoczyło dwóch ludzi

w skafandrach i ze spryskiwaczami plecakowymi. Tucker miał nadzieję, że zdążą przeprowadzić dekontaminację i zneutralizować rozlaną LUCE. Za nimi podążało trzech innych z karabinami szturmowymi.

Wszyscy biegli w jego stronę. Tucker przeniósł uwagę na Charzina.

– Widzisz ludzi z karabinami?

Generał milczał, w jego oczach płonęła nienawiść.

– Aresztują cię i zabiorą gdzieś na długą rozmowę. Ale ja oficjalnie nie jestem z nimi, rozumiesz. Więc zanim cię zabiorą, chcę, żebyś o czymś wiedział.

Charzin przymrużył oczy, okazując zaciekawienie, które przebiło się nawet przez ból.

– Będą ci potrzebne nowe buty.

Strzelił generałowi w lewą stopę, potem w prawą – po czym odwrócił się od wrzasków i krwi. Miał dość jednego i drugiego.

Czas wracać do domu.

Poszedł tam, gdzie zostawił Kaina.

Taki dom mu wystarczał.

Rezerwat Spitskop, RPA

7 kwietnia, godzina 10.43 czasu miejscowego

W szopie rozległy się kroki.

Co teraz?

Leżąc na plecach, Tucker wysunął się na wózku spod range rovera. Wytarł śliskie od oleju ręce w kombinezon, ale nie mógł nic zrobić ze smugami smaru na twarzy. Nie ulegało wątpliwości, że SUV potrzebuje nowej miski olejowej i uszczelki.

Gdy wyjechał w blask oślepiającego afrykańskiego słońca, ocienił oczy i zobaczył zmartwioną twarz Christophera Nkomo.

– Przyjacielu – powiedział młody mężczyzna – nie czuję się dobrze, przyjmując taki wielki dar.

Tucker się podniósł.

Kain pomachał ogonem; leżał na stercie słomy, cierpliwie czekając, aż partner w końcu zrozumie, że nie jest mechanikiem.

Tucker podrapał bandaż na uchu. Dzięki szwom, które już mogłyby zostać zdjęte, naderwany kawałek wrócił na swoje miejsce.

Minęło dziesięć dni od zderzenia *Macomy* z brzegiem. Wyglądało na to, że wyłącznik Bukołowa zadziałał. LUCA została zneutralizowana, ale miejsce katastrofy monitorowano dwadzieścia cztery godziny na dobę. Powiadomiono media, że do nieszczęśliwego wypadku doszło wskutek usterki w systemach nawigacyjnych statku podczas silnego zimowego sztormu, a obecność kordonu uzasadniono wyciekami niebezpiecznych substancji. Pod taką przykrywką łatwo było wkroczyć zespołom

z elektrycznymi spryskiwaczami i na wszelki wypadek zalać cały obszar wyłącznikiem. To tłumaczyło również nieprzerwane monitorowanie środowiska.

Reszta załogi wraz z Bukołowem przeżyła katastrofę, nie licząc kilku złamanych kości i skaleczeń. Pilota Nicka Pasternaka znaleziono tylko z wielkim guzem za uchem – Charzin ogłuszył go przed ucieczką.

W końcu, skoro nie było ofiar śmiertelnych, media szybko straciły zainteresowanie, skupiając się na wynikach loterii i ślubach celebrytów.

Życie płynęło dalej.

A Tucker razem z nim.

Dwa dni po wypadku obaj z Kainem wylądowali w Kapsztadzie. Posiniaczeni, pozszywani, obandażowani, potrzebowali nieco odpoczynku – i Tucker wiedział, gdzie go znajdzie.

Wskazał Christopherowi ocienioną werandę dworu z czasów kolonialnych. Dwupiętrowy duży dom stał w odległym zakątku rezerwatu Spitskop, daleko od ośrodka turystycznego z portierami i służbą w białych uniformach, gdzie wraz z innymi zatrzymał się podczas poprzedniego pobytu w rezerwacie. Ten zabity deskami dwór dziesięć lat temu został opuszczony i zapomniany przez wszystkich, nie licząc węży i innych nieproszonych lokatorów, których trzeba było wyeksmitować przed rozpoczęciem renowacji.

Ekipa remontowa pracowała we dnie i w nocy. Drabiny i rusztowania jeszcze skrywały większość powoli przywracanej świetności głównego budynku. Nowe deski wyróżniały się na tle starych. Wokół domu już rozwinięto szerokie trawniki porośnięte tutejszą trawą, pokrywające dobre dwa tysiące metrów kwadratowych powierzchni i obficie nawadniane. Na werandzie puszki z farbą czekały na ożywienie spłowiałego piękna starego dworu.

Dalej, na działce o powierzchni ośmiu hektarów, stały stodoły i budynki gospodarcze, także przeznaczone do renowacji i

czekające na swoją kolej.

Przy żwirowej drodze postawiono nową tablicę z literami wyciętymi w lokalnym twardym drewnie, pomalowaną na pomarańczowo, biało i czarno. Napis wyrażał nadzieje i marzenia braci Nkomo:

LUKSUSOWE WYCIECZKI SAFARI

Tucker przeciął wilgotny trawnik i wszedł po świeżo wybielonych stopniach werandy. Nad głową puszek z przewodami wyznaczały miejsca przyszłych wentylatorów. Kain dreptał obok niego, szukając cienia i miski z wodą.

– Naprawdę, panie Wayne – powiedział Christopher, wchodząc po schodach takim krokiem, jakby wstępował na szafot. – To zbyt wielki dar.

– Miałem fundusze, i przestań nazywać to darem. To inwestycja, nic więcej.

Po zakończeniu romansu z Sigmą Tucker zauważył nagły wzrost środków na swoim koncie oszczędnościowym w banku na Kajmanach. Niespodziewany dar pochodził nie od Sigmy – choć ich zapłata była dość uczciwa – ale od Bogdana Fiedosiejewa, rosyjskiego przemysłowca, którego ocalił we Władywostoku. Fiedosiejew najwyraźniej przykładał wielką wagę do swojego dobrostanu, co znalazło odzwierciedlenie w wysłanej premii.

Tucker wziął sobie jego przykład do serca i okazał podobną hojność wobec braci Nkomo, którzy, jak on Fiedosiejewowi, pomogli zachować mu życie. Z rozmowy z Christopherem podczas długich etapów podróży w góry Groot Karas wiedział, że bracia marzą o zakupie tego dworu wraz z połacią ziemi, żeby tam zamieszkać i prowadzić interesy.

Ponieważ brakowało im pieniędzy, postanowił rozwiązać ten problem.

– Spłacimy pana, kiedy tylko będziemy mogli – obiecał Christopher. Tucker wiedział, że młody człowiek nie rzuca słów

na wiatr. – Ale może powinniśmy porozmawiać o odsetkach.

– Masz rację. Powinniśmy negocjować. Ja mówię zero procent.

Christopher westchnął, zdając sobie sprawę z daremności swoich usiłowań.

– W takim razie zawsze będzie czekać tu na pana i Kaina apartament prezydencki.

Tucker zadarł głowę, patrząc na spękane belki, łuszczącą się starą farbę, okna z powybijanymi szybami. Obrzucił Christopfera sceptycznym spojrzeniem.

Młodzieniec uśmiechnął się.

– Człowiek musi mieć nadzieję, prawda? Pewnego dnia, tak?

– Zadzwoń do mnie, kiedy apartament prezydencki będzie gotowy.

– Nie omieszkam. Ale proszę powiedzieć, kiedy zamierza pan nas opuścić? Będzie nam pana brakować.

– Biorąc pod uwagę stan range rovera, może nieprędko zaczniesz za mną tęsknić. Po prostu nie wiem.

I tak właśnie lubił.

Spojrzał na wiekowe piękno wyłaniające się spod warstw zaniedbania. To dało mu nadzieję. Poza tym podobała mu się myśl o istnieniu miejsca, gdzie w razie potrzeby będzie mógł zagościć wśród przyjaciół. Jeśli nie dom, to przynajmniej przystanek.

Kain skończył pić i woda ściekała mu z fagli. Z tęsknym wyrazem w oczach skierował spojrzenie ku horyzontowi.

Ty i ja, brachu. Razem.

To był ich prawdziwy dom.

Tucker poczuł wibrowanie telefonu w kieszeni. Wyjął go i odebrał, domyślając się, kto dzwoni.

– Harper, mam nadzieję, że to będzie towarzyska rozmowa.

– Wyjechałeś w pośpiechu. Po prostu chciałam się dowiedzieć, co u ciebie i Kaina.

– Mamy się doskonale.

– Miło mi to słyszeć. Więc może masz ochotę na towarzystwo?

Zanim zdążył odpowiedzieć, na podjazd wjechała czarna limuzyna Lincoln i zatrzymała się przed domostwem. Silnik zgasł.

– Przypuszczam, że za późno na zaprzeczenie – powiedział.

W odpowiedzi otworzyły się drzwi po stronie kierowcy i z limuzyny wysiadła kobieta w ciemnoniebieskiej spódnicy i białej bluzce. Była wysoka i miała długie nogi, które wydały się jeszcze dłuższe, gdy stanęła na palcach, żeby je rozprostować po podróży. Odgarnęła za uszy jasne włosy, odsłaniając opaloną twarz o wysoko zarysowanych kościach policzkowych.

Znał ją, choć nigdy wcześniej się nie spotkali.

Ruth Harper.

Wyprostował się, próbując połączyć rzeczywistą postać z wyobrażeniem stworzonym na podstawie wielu rozmów telefonicznych.

Zdecydowanie nie była bibliotekarką.

Jedynym drobiazgiem, który pasował do wyobrazonego wizerunku, były okulary w prostokątnych grubych oprawkach na jej nosie. Wyglądała w nich inteligentnie i jeszcze bardziej seksownie.

Zdecydowanie nigdy nie spotkał takiej bibliotekarki.

– W pewnych branżach, Harper, coś takiego uznano by za zasadzkę! – zawołał do niej z werandy.

Wzruszyła ramionami i ani trochę niespieszona weszła po schodach z pudełeczkiem w dłoniach.

– Najpierw zadzwoniłam. Na Południu dama nie zjawia się u dżentelmena bez zapowiedzi. Po prostu nie wypada.

– Dlaczego przyjechałaś? – zapytał, choć domyślał się, że to jej szef, Painter Crowe, coś kombinuje.

– Po pierwsze, żeby ci przekazać pozdrowienia od Bukołowa, wraz z podziękowaniami.

– Powiedział, że dziękuje? Profesor Bukołów?

Roześmiała się, co było u niej nieczęste.

– To nie ten człowiek, odkąd ma własne laboratorium w Fort Detrick. Kiedyś nawet widziałam, że się uśmiechnął.

– To niemal cud. Jak sobie radzi?

– Jego prace wciąż są w powijakach. Jak w przypadku badań nad ludzkimi komórkami macierzystymi, nauczenie się, jak odpowiednio manipulować tym unikatowym kodem genetycznym dla dobra ludzkości, może zabrać lata, jeśli nie dziesięciolecia.

– A co ze szkodami? Są jakieś wieści z Rosji?

– Dowiedzieliśmy się nieoficjalnymi kanałami, że zwierzchnicy Charzina z GRU z uporem wypierają się wiedzy o jego poczynaniach. Nie mamy pojęcia, czy to prawda. Ale podobno rosyjskie Ministerstwo Obrony przewraca GRU do góry nogami i robi czystki, pozbywając się wszystkich osób kojarzonych z Charzinem.

– A co z nim samym? Poszedł na współpracę?

Ruth odwróciła się i położyła pudełeczko na balustradzie werandy.

– Nie wiem, czy przed wyjazdem słyszałeś, że stracił stopę. Gdy go postrzeliłeś, przetoczył się i zakaził ranę LUCA. Zanim ktokolwiek zdał sobie z tego sprawę, jedynym wyjściem była amputacja.

– Przykro mi to słyszeć – zełgał Tucker.

– Co do współpracy, dobrze wie, co go spotka, jeśli wróci do Rosji, więc powoli się łamie. Wyjawiał szczegóły, które pozwoliły uzupełnić kilka luk. Na przykład podał nazwisko agenta portowego, któremu słono zapłacono za patrzenie w inną stronę, kiedy *Macoma* wejdzie do portu w Chicago. Facet już jest w areszcie.

I dobrze, pomyślał Tucker.

– Wychodzi na to, że paranoja Charzina w końcu okazała się dobrodziejstwem. Przed wyjazdem do Stanów nastawił urządzenie zegarowe w swoim laboratorium pod Kazaniem. Bez wprowadzania przez niego osobiście kodu co dwadzieścia cztery godziny pozostałe próbki LUKI miały ulec automatycznemu spaleni. Nie chciał, żeby wpadły w ręce kogoś innego.

– A więc już ich nie ma?

– Taka jest zgodna opinia. Jego laboratorium rzeczywiście spłonęło. A jeśli się mylimy, wciąż i tak tylko my mamy wyłącznik.

– Więc po wszystkim.

– Do następnego razu – przestrzegła Ruth, unosząc brew. – A skoro o tym mowa...

– Nie.

– Przecież nie wiesz...

– Nie – powtórzył bardziej stanowczo, jakby beształ psa.

Westchnęła.

– Zatem to prawda. Ty i bracia Nkomo zamierzacie tu zainwestować? Luksusowe wycieczki safari?

– Jak zawsze, Harper, jesteś niepokojąco dobrze poinformowana.

– Wobec tego przypuszczam, że jedynym powodem, dla którego wybrałam się w tę długą podróż, było dostarczenie ci tego. – Wskazała pudełeczko na balustradzie. – Mały dowód mojej wdzięczności.

Tuckera pchnęła ciekawość. Otworzył pudełko, sięgnął do środka i wyjął kubek do kawy. Ze ściągniętymi brwiami patrzył na dziwny podarek – dopóki go nie obrócił i nie zobaczył pomarszczonego pyska buldoga. Pies miał czapkę w czerwono-białe paski z dużą literą G.

Uśmiechnął się, gdy rozpoznał maskotkę Uniwersytetu Georgii i przypomniał sobie wszystkie próby umiejscowienia akcentu Harper.

– Nigdy nie wziąłbym cię za fankę Buldogów – powiedział.

Podrapała Kaina za uchem.

– Zawsze miałam specjalne miejsce w sercu dla psów.

Jej uniesiona brew sugerowała, że nawiązuje nie tylko do czworonogów.

– Co do tej drugiej sprawy – podjęła, prostując się – jesteś pewien?

– Jak najbardziej.

– Jak w na zawsze?

Rozważył pytanie.

– Na razie mam lepsze rzeczy do zrobienia.

Od autora

Jak w przypadku moich powieści o Sigmie, pomyślałem, że na końcu tej spróbuję zakreślić tę delikatną linię pomiędzy faktem i fikcją. Lubię to robić, choćby tylko dlatego, żeby rzucić kilka okruszków chleba tym, którzy mogą być zainteresowani pogłębieniem wiedzy o nauce, historii czy miejscach, które odwiedzili Tucker i Kain.

Zacznę od przedstawienia tego duetu.

Wojskowe psy do zadań specjalnych i ich trenerzy

Z przekazów historycznych wiadomo, że Egipcjanie już cztery tysiące lat przed naszą erą używali w bitwach psów bojowych. Początki współczesnego wykorzystywania psów w amerykańskim wojsku sięgają pierwszej wojny światowej. Od tamtej pory psy stały się integralną częścią sił zbrojnych, łącznie z psem Cairo, który brał udział w polowaniu na Osamę bin Laden.

Podczas zorganizowanej dla pisarzy wycieczki do Iraku i Kuwejtu miałem okazję widzieć kilka tych bojowych zespołów w akcji. W Bagdadzie spotkałem kolegę ze studiów, weterynarza służącego w korpusie weterynaryjnym. Zaznajomił mnie z metodami, psychologią, a nawet następstwami pracy w takich wyjątkowych zespołach bojowych.

Wszystkie opisane w tej książce techniki stosowane w przypadku psów służących w wojsku są zgodne

z rzeczywistością, od wzmocnionej kevlarem taktycznej kamizelki K9 storm noszonej przez Kaina po jego sprzęt łączności. Próbowałem również oddać wyjątkową zażyłość łączącą przewodnika z psem – „to spływa po smyczy” – gdzie z czasem oboje uczą się odczytywać emocje i przewodnik porozumiewa się ze swoim psem bez konieczności wydawania komend gestami czy słowami. Dowiedziałem się też tego, w jaki sposób PTSD (zespół stresu pourazowego) wpływa nie tylko na żołnierza, ale także na psa, i że podejmowane są wysiłki mające na celu poddawanie terapii obu poszkodowanych.

Jeśli chodzi o zdumiewający talent Kaina, to jest oparty na prawdziwych historiach. Nawet imponujący słownik Kaina został zademonstrowany przez psa Chasera, rasy border collie, który dowiódł, że rozumie ponad tysiąc słów, łącznie ze strukturą gramatyczną.

Po trzydziestu latach weterynaryjnej pracy z psami wiedziałem, że chcę sportretować tych nieustraszonych bohaterów wojennych i przedstawić ich takimi, jakimi są naprawdę – nie tylko jako czworonożnych żołnierzy, ale też jako prawdziwe psy. W tej książce są sceny napisane z perspektywy Kaina. Chciałem, żeby czytelnicy zyskali pewne pojęcie, co to znaczy być psem bojowym, jak pies odbiera świat, jak funkcjonuje podczas walki, korzystając ze swoich wyjątkowych zmysłów i umiejętności. Mam nadzieję, że oddałem im sprawiedliwość.

O głównej koncepcji naukowej i zagrożeniu

LUCA i sinice

LUCA (Last Universal Common Ancestor, ostatni uniwersalny wspólny przodek) jest naukową koncepcją dotyczącą pochodzenia życia, nasiona, z którego wyrosło całe życie. Istnieje

wiele różnych teorii mówiących o tym, jak ta starożytna forma życia mogła się zachować, czy jej genom zawiera DNA czy RNA, czy rozwija się w skrajnie wysokich czy umiarkowanych temperaturach. To pozostaje wielką niewiadomą. Co do koncepcji sinic jako przodka współczesnych roślin, to zawarte w książce szczegóły dotyczące tej wszechobecnej formy życia są prawdziwe, łącznie z tym, że można je znaleźć w każdej niszy ekologicznej na planecie, nawet w futrze leniwców.

Gatunki inwazyjne

To prawdziwe i aktualne zagrożenie na całej Ziemi, gdzie obce gatunki wdzierają się do istniejącego ekosystemu i przynoszą wielkie szkody: od sprowadzenia pytonów do Parku Narodowego Everglades, gdzie węże powodują niewysłowione zniszczenia, po azjatyckiego karpia w Missisipi wyniszczającego rodzimą populację ryb i rozprzestrzeniającego się w kierunku Wielkich Jezior. Takie zagrożenia nie umykają uwadze federalnych służb do walki z terroryzmem. Dzwony biją na alarm, że terroryści mogą wykorzystać gatunki inwazyjne jako broń biologiczną, ponieważ wprowadzenie jednego zjadliwego organizmu do środowiska może spowodować wielkie szkody ekonomiczne i fizyczne, prawdopodobnie nieodwracalne.

Zagadnienia historyczne

Wojny burskie

Wszystkie szczegóły krwawego konfliktu są prawdziwe, łącznie z taktyką przedstawioną w prologu i używaną bronią (jak karabin „krag”). Postać generała Maniego Roosy jest wzorowana na rzeczywistym burskim dowódcy, Maniem Maritzu. W górach

Afryki Południowej wciąż można znaleźć „kieszonkowe obozy” Burów, a ruiny ich fortów nadal urozmaicają krajobraz.

Arzamas-16

Na terenie Związku Radzieckiego rzeczywiście istniały tak zwane *naukogrady*, zamknięte miasta nauki. Jednym z nich był Arzamas-16, ośrodek badań nad bronią jądrową. Amerykański wywiad nazywał to miasto Rosyjskim Los Alamos.

NA KONIEC...

Miejsce akcji

Jednym z wielkich ekscytujących elementów pisania jest możliwość przedstawiania różnych regionów świata. *Wyłącznie awaryjny* nie jest wyjątkiem. Grant i ja staraliśmy się dopilnować, żeby wszystkie szczegóły były dokładne i oświetlone możliwie jak najlepiej: od życia w syberyjskich wioskach po historyczną wspaniałość kazańskiego Kremla. Nawet takie detale jak podwodne wycieczki na Wołdze są zgodne z prawdą. Chciałem również namalować wierny obraz Afryki Południowej, tamtejszej dzikiej przyrody, surowego piękna gór Groot Karas i konfliktu w Namibii. Podczas pisania tej książki pokochałem te miejsca i mam nadzieję, że ta podróż również Wam sprawiła przyjemność.

I ostatni fakt: Tucker i Kain powrócą – ponieważ ich prawdziwa przygoda dopiero się zaczyna!